Wstęp

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, zarówno w Warszawie, jak i w niektórych większych miastach wojewódzkich, zaczęły powstawać czasopisma literackie lub ściśle poetyckie.

Wychodzące w stolicy jeszcze podczas okupacji pismo młodzieży akademickiej “Pro arie et studio”, a od r. 1919 “Pro arte”, przekształciło się w r. 1920 w miesięcznik “Skamander”, który w pierwszym okresie wydawniczym mniej lub więcej regularnie ukazywał się do połowy r. 1928 i w latach dwudziestych dzięki wybitnym piórom nadawał ton młodej poezji polskiej. Wznowiony w siedem lat później, wydawany z dużym rozmachem, zrazu jako miesięcznik, a potem kwartalnik, wobec zmienionej sytuacji w poezji nie mógł już spełniać dawnej roli.

Ekspresjonistyczny “Zdrój” w Poznaniu przetrwał tylko cztery lata i przestał wychodzić w tym samym roku, w którym zaczął się ukazywać “Skamander”. Krótki był żywot “Ponowy” (pięć numerów w latach 1921-1922), pięknie wydany “Czartak” (1922) okazał się jednodniówką, podobnie “Krokwie”. Niedługa była egzystencja krakowskich “Formistów” (1921), zastąpionych w r. 1922 przez awangardową “Zwrotnicę”, którą na początku lat trzydziestych zmieniła “Linia”.

Parę numerów ,.Nowej Sztuki” a później jej almanachy w r. 1924 i 1925, kilka zeszytów lewicowej “Dźwigni”, którą w r. 1929 zastąpi “Miesięcznik Literacki”, trzy numery łódzkiego “Meteora”, po którym później wychodziły również krótkotrwałe “Prądy”, warszawska “Kwadryga” (1927-1928), po kilkuletniej przerwie wznowiona jako “Nowa Kwadryga”, wileńskie “Żagary” i “Piony” - to chyba byłaby większość czasopism literackich, które ukazywały się w latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych poza Lublinem. Można by jeszcze wspomnieć o takich efemerydach, jak “Gospoda Poetów” (r. 1920 - trzy zeszyty; przypomniał ją ostatnio Edward Kozikowski w książce “Między prawdą a plotką”) czy “Quincunx” (r. 1922 - dwa zeszyty) lub “Kadra” (r. 1930 - dwa numery), o których przelotnym istnieniu nikt już chyba nie pamięta.

Pominąłem tu pisma dużego formatu, ukazujące się regularnie, jak “Wiadomości Literackie”, “Gazeta Literacka”, “Zet” czy in. Wymieniłem tylko ważniejsze wydawnictwa przedstawicieli młodej generacji literackiej (dlatego nie wspomniałem też o “Nowym Przeglądzie Literatury i Sztuki”, “Przeglądzie Warszawskim” czy późniejszej “Drodze”), którzy tak czy inaczej, opierając się na własnym talencie czy też ulegając wpływom nowych prądów artystycznych na Zachodzie i Wschodzie i importując je w przekładach, pragnęli odświeżyć i uwspółcześnić naszą literaturę. Abstrahując zupełnie od różnej wartości i roli, jaką w rozwoju naszej poezji pisma te spełniły, chcę podkreślić jedno: z wyjątkiem “Zdroju”, “Skamandra”, “Zwrotnicy” i “Miesięcznika Literackiego” po jednym, dwu lub kilku numerach kończyły one swoją egzystencję.

Podobnie działo się w Lublinie. W r. 1921 ukazał się nr 1, a w marcu następnego roku

potrójny (2, 3 i 4) nr “Lucifera”. Pismo zrobiło karierę na konfiskacie numeru 1 za “Dytyramb szatański” Konrada Bielskiego, co spowodowało interpelację PPS i Wyzwolenia w Sejmie. O “Luciferze” było w Polsce głośno. Mimo to trzeci zeszyt już nie wyszedł. Dłużej wytrwał awangardowy “Reflektor”, którego w latach 1923-1925 ukazały się cztery zeszyty. Pismo było ambitne, miało dobre pióra (tutaj m. in. debiutował Czechowicz), a jednak nie zdołało się utrzymać. Ale gdy o “Luciferze” już zupełnie głucho, tradycje “Reflektora” są dość żywe: odeszli Czechowicz i Grędziński, ale inni poeci związani z tym pismem pracują nadal w Lublinie. “Nowego Życia” (r. 1925) ukazały się tylko trzy zeszyty, “Barykad” (1931-1932) - dwa, w tym drugi skonfiskowany. “Dźwigary” (dwa zeszyty) - to czasy nieco późniejsze. Prócz tego istniały dodatki literackie przy tygodniku “Przegląd Lubelsko-Kresowy” (1925) i przy dzienniku “Ziemia Lubelska” (1927 i 1929).

Jak z tego widać, lubelskie pisma literackie miały żywot wybitnie krótkotrwały, choć poziom niektórych (“Reflektor”) był wysoki, a ambicje duże, sięgające poza obręb Lubelszczyzny.

I. KLIMAT

W roku 1925 przy Męskim Seminarium Nauczycielskim w Chełmie powstało z mojej inicjatywy koło, grupujące młodzież, która miała specjalne zainteresowania literackie i pragnęła poprzez lekturę, referaty i dyskusję pogłębić znajomość twórczości Stefana Żeromskiego, obranego patronem organizacji.

Ale koło nie poprzestawało na zaznajamianiu się z dziełami Żeromskiego. Jako drugi, nie mniej ważny cel swej działalności, postawiło sobie poznanie rozwoju współczesnej poezji polskiej - od skamandrytów do awangardy włącznie, bo program języka polskiego w zakresie literatury kończył się wówczas na Młodej Polsce.

Wśród uczniów moich znaleźli się nie tylko konsumenci, ale i producenci słowa poetyckiego. Zrazu były to jednostki: najpierw Jan Szczawiej, debiutujący zbiorkiem w r. 1930, potem Witold Kasperski - w r. 1932 (obaj - po opuszczeniu szkoły). Wrodzone zdolności rozwinięte przez systematyczne poznawanie liryki współczesnej pozwoliły im na wydanie książek, których nie musieli się wstydzić. Ale najszczęśliwsze dla rozwoju poezji szkolnej okazały się lata 1933-1934, kiedy to kilka zdolnych i rywalizujących ze sobą jednostek skupiło się na jednym kursie: Wacław Mrozowski, który już będąc na czwartym roku studiów nauczycielskich wydał zbiorek wierszy, Zdzisław Popowski, który zadebiutował w r. 1934, Wacław Iwaniuk, późniejszy członek grupy “Wołyń”, dziś jeden z poetów emigracyjnych, Ignacy Gąsior, Wiktor Matyszczuk, Czesław Morawski i Stanisław Turczyn. Dodajmy tu jeszcze nie ujawniającego się wówczas, ale już piszącego - Czesława Twardzika oraz dzisiejszego plastyka warszawskiego Kajetana Sosnowskiego, a cała paczka uzdolnionych moich uczniów będzie w komplecie.

Do tych nazwisk wypadnie mi jeszcze wrócić. Na razie wspominam o nich dlatego, że Koło Literackie stwarzało klimat sprzyjający m. in. powstaniu takich zdawałoby się niedorzecznych pomysłów, jak zamiar założenia w Chełmie pisma literackiego. Bo pismo młodzieży seminarialnej, i to pod nie byle jakim tytułem (“Pióro”), wychodziło tu sporadycznie z przerwami przez trzy lata. Nie czułem się osamotniony i był precedens.

Ale nie tylko dlatego. Wśród kolegów-nauczycieli miałem człowieka bliższego mi od innych, z którym się zaprzyjaźniłem. O sześć lat starszy ode mnie, nauczyciel rysunków o wszechstronnych upodobaniach artystycznych, ale przede wszystkim malarz, który już parokrotnie wystawiał swe obrazy, nazywał się Zenon Waśniewski.

Przybył do Chełma z młodziutką urodziwą żoną, która mu nieraz pozowała do portretów, w r. 1921 z Radzynia, gdzie, niedoszły architekt, pracował w budownictwie wojskowym i w prywatnym gimnazjum. Rodem z Tarnowa, ukończył szkołę realną w Krakowie, po czym



wstąpił do Politechniki Lwowskiej na architekturę. Ale wybuchła wojna i po dwu latach studiów, zmobilizowany przez władze austriackie, do r. 1916 pełnił służbę pozafrontową, po czym został zwolniony z wojska. Jako student architektury, otrzymał wtedy pracę w Krakowie i odnawiał freski na Wawelu. Tam zetknął się z Fałatem, który go zachęcał, aby zaczął studiować w Akademii Sztuk Pięknych. Zdawał do Akademii w r. 1917, ale nie został przyjęty, gdyż ówczesny rektor Mehoffer na podstawie przedłożonych mu akwarel i rysunków stwierdził, że Waśniewski ma już swoją manierę - widocznie profesor wolał mieć do czynienia z materiałem surowym.

Kontynuację studiów w Politechnice uniemożliwiły znowu wypadki wojenne - wybuch powstania ukraińskiego we Lwowie. Uczelnię zamieniono na szpital, a niefortunny student zrezygnował już z dalszej nauki. Jednak plastyce pozostał wierny przez całe życie. Malował przeważnie portrety, ale pracował chętnie i w plenerze (przeważnie akwarele, lecz również olej, tempera i pastel). Dwukrotnie wystawiał obrazy w warszawskiej Zachęcie, prócz tego w Lublinie i Zamościu. Zresztą miał i zamiłowania literackie. Pisał wiersze oryginalne i tłumaczył z poezji niemieckiej.

Nic więc dziwnego, że zbliżyliśmy się do siebie. Łączyły nas wspólne zainteresowania, zamiłowanie do książek, które jak i ja gromadził, przyjazny stosunek do młodzieży, udział w reżyserowanych przeze mnie szkolnych przedstawieniach teatralnych, do których robił dekoracje i projektował kostiumy. Na niego mogłem zawsze liczyć. Pracowity, uczynny, łatwo entuzjazmujący się, choć na pozór zamknięty w sobie i milkliwy, był dowcipny i miał poczucie humoru, co zawsze w ludziach cenię. Z innymi kolegami utrzymywałem tylko bliższe lub dalsze stosunki koleżeńskie i towarzyskie, jego uważałem za przyjaciela.

Na dłużących się nieraz w nieskończoność i nie zawsze interesujących posiedzeniach rady pedagogicznej sadowiłem się zazwyczaj obok niego, bo zawsze jakimś zabawnym spostrzeżeniem i szeptanym mi z śmiertelną powagą do ucha dowcipem potrafił rozwiać panującą nudę. Zaglądałem mu przez ramię, gdy słuchając toczącej się dyskusji, jednocześnie szybko i niedbale kreślił karykatury kolegów i kilkoma pociągnięciami ołówka osiągał zdumiewające podobieństwo.

Nieraz w naszych pogawędkach

poruszaliśmy sprawę, która interesowała nas obu, a do której często wracaliśmy zwłaszcza po ukazaniu się w Lublinie pierwszego numeru “Barykad”. A gdyby tak spróbować założyć pismo literackie w Chełmie? Koszty wydawnictwa byłyby tu znacznie mniejsze niż w Lublinie. Orientowaliśmy się mniej-więcej w cenie, znając zakład, w którym drukowało się pisemko uczniowskie i gdzie tłoczono parę moich zbiorków. Ale wydawać coś podobnego w mieście powiatowym liczącym trzydzieści tysięcy mieszkańców, z czego połowę stanowili Żydzi? Dlaczegoż by nie? Przecież nie miejsce druku jest ważne, tylko treść publikacji, wartość piór, które się zdobędzie. A chwila do założenia miesięcznika poświęconego poezji była bardzo odpowiednia: umilkł “Skamander”, skończyła się “Kwadryga”, przestała ukazywać się “Linia”, podob nie łódzkie “Prądy”, “Reflektor” już dawno nie wytrzymał próby czasu, a ostatnio znów “Barykady”. Wilno zdobywało się jedynie na nieregularnie ukazujące się wydawnictwo o formacie gazetowym. Luka wyraźnie prosiła się o wypełnienie.



Tylko że strona graficzna nie jest obojętna, a czego można się spodziewać po drukarniach chełmskich, których możliwości są bardziej niż skromne? Trzeba się najpierw rozejrzeć w sytuacji, zasięgnąć języka. No, dobrze, ale przede wszystkim skąd wziąć pieniędzy na imprezę tego rodzaju?

Gdyby tak założyć coś w rodzaju spółdzielni wydawniczej? Roześmialiśmy się na tę myśl obaj. Ładna mi spółdzielnia, z góry przewidziana na straty a nie zyski. Ale im więcej członków byłoby w takiej kooperatywie, tym straty przypadające na każdego byłyby mniejsze. Na razie jest nas dwóch. Gdybyśmy mogli znaleźć jeszcze osiemnastu, to na pewno ruszylibyśmy z miejsca. Gdzie szukać tych ludzi? Oczywiście liczyć można by tylko na niektórych kolegów. Bądź co bądź przecież to akcja oświatowa.

II. INAUGURACJA

Nie pamiętam daty inauguracyjnego zebrania, na którym powzięto uchwałę wydawania pisma literackiego. Rok 1933 przed wakacjami. Widzę dobrze ten słoneczny dzień czerwcowy, tuję ocieniającą okno pokoju i grupą nauczycieli, wśród których znajdował się i mój były uczeń. Zreferowałem pokrótce nasz projekt, o którym zresztą koledzy i przedtem coś niecoś wiedzieli, Waśniewski zaś zapoznał obecnych z budżetem zamierzonego wydawnictwa, po zasięgnięciu bowiem informacji w tutejszych drukarniach orientowaliśmy się już z grubsza, ile mniej więcej nasza impreza może kosztować.

Wszystko poszło niespodziewanie gładko, co wynikało zarówno ze zrozumienia wartości wydawnictwa tego rodzaju, jak i koleżeńskiej chęci poparcia w miarę możności naszej inicjatywy. Tylko że, niestety, możliwości te ze zrozumiałych względów były niewielkie, a i wyolbrzymiliśmy w naszych przypuszczeniach liczbę kolegów, którzy przyjdą na zebranie, aby nam pomóc. W każdym bądź razie zebrało się wraz z nami kilka osób. Postanowiono opodatkować się na ten cel w wysokości 5-10 złotych, z tym że wpłacono by już składki za czerwiec i dwa miesiące wakacyjne, aby z początkiem roku szkolnego we wrześniu mógł się ukazać pierwszy numer pisma. Bez żadnej dyskusji przez aklamację orzeknięto na wniosek jednego z kolegów, że ja będę redaktorem, a Waśniewski zostanie skarbnikiem, administratorem i “wydawcą”.

- I grafikiem! - dodałem - bo w każdym zeszycie musi się znajdować wkładka linorytowa. - Oczywiście pracować będziemy honorowo. Uchwaliliśmy, że pismo będzie miesięcznikiem, ukazującym się od września do czerwca (10 numerów) z przerwą wakacyjną należną dziecku nauczycielskiemu. Na razie jeszcze nie ustaliliśmy jego nazwy.

Zwrócę uwagę na jedną znamienną okoliczność: wszyscy koledzy znali moje poglądy lewicowe, z którymi nie każdy z nich się godził, a jednak dano mi całkowitą swobodę pod względem charakteru pisma, sposobu jego redagowania i dobierania współpracowników.

Długo biedziłem się z Zenkiem nad wymyśleniem tytułu. Pamiętam, jak każdy z nas z osobna wypisywał kolumny projektów, jak potem porównywaliśmy je ze sobą. Wszelkie “Zenity” i “Nadiry”, astronomiczne “Oriony” i “Kasjopeje”, geometryczne “Elipsy”, “Trapezy” czy “Sześciany” - odpadły od razu. Pismo miało być przede wszystkim poświęcone poezji, należało więc raczej sięgnąć do mitologii. Mówiło się o “Pegazie”, “Bellerophonie” i ariostowskim “Hipogryfie”. Aż wreszcie zatrzymaliśmy się na “Syrindze” i “Kamenie”. Obie te nazwy -wydawały nam się skromniejsze i nie były dotąd używane. Ostatecznie stanęło na “Kamenie”, do czego w dużym stopniu przyczyniła się ta okoliczność, że wydając przed dwoma laty *Wybór poezyj* S. Jesienina w swoim przekładzie, zaopatrzyłem zbiorek w signum: “Biblioteka Kameny” nr 1 i zapowiadałem dalsze pozycje w tej serii. Poza tym Kameny występowały nieraz w poezji polskiej i rosyjskiej zamiast Muz, symbolizując poezję. Rozmiłowany w

antyku Tadeusz Bocheński dziwił się potem: “Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Tobie, nie starożytnikowi przecież, taki tytuł wpadł do głowy i serca. Przyznaję, że tytuł to bardzo dźwięczny i bardzo odpowiedni”. I dodawał uczenie: “Camena toć przecie łacińska nazwa greckiej Muzy. Inna rzecz, że wyraz może nie jest rdzennie łaciński. Dopatrują się w nim pierwiastków «świętości» i «jaśnienia», «odznaczania się». Dawniej dopatrywano się wprost związku z pieśnią (carmen)”.

Z tym tytułem mieliśmy potem zabawne historie. Wprawdzie w numerze drugim w sfingowanej “odpowiedzi redakcji” powołaliśmy się na *Mitologię* Parandowskiego i cytowaliśmy jego określenie Kameny, ale wciąż trzeba było tłumaczyć, co ta nazwa oznacza. Nawet redakcje niektórych pism przysyłając egzemplarze zamienne przekręcały na adresie tytuł na “Kameę” lub “Kamerę” (ba, i dziś jeszcze jedno z pism czeskich wciąż na banderoli adresuje w ten drugi sposób, a przed wojną w spisie czasopism wychodzących w Polsce, zredagowanym przez “PAR” - Polską Agencję Reklamy, znaleźliśmy nasz tytuł w rubryce poświęconej fotografice, z podaniem miejsca wydawnictwa - Chełm Lubelski). Dowcipnisie z prawicy mieli okazję do złośliwych kalamburów: Kamena - komuna, kamenistyczni poeci itp.

Mamy zatem te sto złotych; mamy tytuł i drukarnię, bo zdecydowaliśmy się na zakład “Kultura”, którego właścicielem był M. J. Bronfeld, znany mi bliżej, bo tam drukowałem zbiorek jesieninowski i *Więcierze*; mamy przed sobą dwa miesiące letnie, aby wejść w kontakt z lubliniakami, zebrać materiały i odpowiednio przygotować numer pierwszy, który miał się ukazać we wrześniu. Musi być na dobrym poziomie, od startu bowiem zależy dalszy rozwój pisma.

Licząc się z naszymi możliwościami finansowymi i nie chcąc, aby nowe pismo stało się jeszcze jedną efemerydą, która zemrze po kilku miesiącach istnienia, z góry postanowiliśmy utrzymać “Kamenę” przynajmniej przez rok, wydawać szczupłe szesnasto-dwudziestostronicowe numery i starać się, by do następnych wakacji możliwie regularnie ukazało się dziesięć zeszytów. Nakład ustaliliśmy na 300 egzemplarzy. Liczba ta dzisiaj może się wydawać bardzo mała, ale na ówczesne stosunki, kiedy zbiorki poetyckie wydawano przeważnie w kilkuset egzemplarzach (u Kuglina w Poznaniu nawet 110) była dla pisma tego rodzaju zupełnie normalna. Nie chcieliśmy zresztą gromadzić makulatury.

Podzieliliśmy pracę w ten sposób, że korespondencja z literatami, projektowanie numeru i adiustacja materiału miały należeć do mnie, do Zenka zaś prowadzenie ksiąg rachunkowych, porozumiewanie się z kolporterami i zaopatrzenie każdego zeszytu we wkładkę linorytową. Obaj mieliśmy doglądać pracy w drukarni, przeprowadzać korektę i po ukazaniu się numeru ekspediować pismo.

III. MONTAŻ

Numer pierwszy postanowiłem oprzeć wyłącznie na literatach lubelskich, dawnych reflektorzystach i innych, a przede wszystkim zwrócić się do seniorki poezji lubelskiej, ogólnie szanowanej i lubianej Franciszki Arnsztajnowej z prośbą, by otworzyła zeszyt swoim wierszem.

Niedawno, jeszcze przed naszym zebraniem nauczycielskim, otrzymałem list od Czechowicza, w którym m. in. pisał: “Miesięcznika 1 numer wyjdzie 1 września. Ja mam redaktorstwo. Tytuł «Strefa» - objętość (na razie) 16 stron formatu barykad tylko trochę bardziej kwadratowego. Jesienią też wyjdzie drugie wydanie mego *Kamienia* pod firmą Związku [...]. W 1 numerze miesięcznika zobaczysz kilka ciekawych rzeczy - ataki, przycinki, złośliwości, zajadła walka o swobodę poezji jako kategorii ponad-marksistowskiej itp. Forsa na “Strefę” jest. Afisze reklamowe już się drukują. Dłuższy czas (od Wielkiejnocy) nic się w Związku nie działo, bo ja wyjechałem - wcale nie mam zamiaru chwalić się w ten sposób, ale młodzi to lenie skończone, a starsi: Madej, Wacio, Kondzio - to lenie nieskończoności. Staruszka robi, co może, ale sam wiesz, że niewiele może. Im bliżej ją poznaję, tym więcej ją cenię. To zacny człowiek przez duże C”.

Między innymi i ta wiadomość o mającej powstać “Strefie” zmobilizowała mnie do szybszej realizacji planów kamenowych. Nie chodziło mi o to, abym chciał lubliniaków ubiec, mogły przecież ukazywać się i dwa pisma a emulacja między nimi byłaby pożyteczna, ale mimo zapewnień Czechowicza, że “forsa na «Strefę» jest” i mimo dość pewnego tonu listu, coś nie bardzo wierzyłem w urzeczywistnienie tego projektu. W takim razie pismo chełmskie zastąpiłoby tę “Strefę”, no i mógłbym liczyć na większą pomoc Czechowicza.

Na wiadomość o moich zamiarach wydawniczych i prośbę o przysłanie materiałów do “Kameny” odpowiedział mi 17 V I 1933 r.: “Życzę szczęścia. Przekłady załączam. Łobodowski za 2 dni będzie w Chełmie, więc doręczy Ci osobiście swoje utwory. Co do oryginalnych moich wierszy nie mam ich tak na kopy, żeby aż dwa nie drukowane od razu wydobywać dla miłych skądinąd towarzyszów ze Zw. Literatów. Co mam - posyłam. Gdyby później - może bym coś przysłał z wakacyjnego plonu. Na razie jeszcze brnę przez statystyki szkolne, sprawdzanie inwentarza etc. Ja jeszcze nie mam wakacji [...]”. A w post scriptum: “Artykuł jestem skłonny przysłać, ale nieco później i pseudonimowo, bo w artykułach nie specjalizuję się”.

Madej obiecał skreślić notatki do kroniki słowiańskiej i przysłać swoje wiersze i przekłady. Podał mi też adresy paru literatów czeskich i pism w Pradze i Brnie.

A “staruszka” Arnsztajnowa pisała: ,,[...] za zaproszenie do współpracy w miesięczniku dziękuję serdecznie i chętnie zeń skorzystam [...]. Wiersz z cyklu *Stare kamienie* załączam. Będę wkrótce miała parę świeżych rzeczy z nowo rozpoczętego

cyklu, prześlę je Panu podczas wakacji, ewentualnie przywiozę [...]".

W ogóle koledzy odnieśli się do mojej inicjatywy bardzo życzliwie i prawie wszyscy przysłali coś do startowego zeszytu. Tylko Bielski na razie się nie odezwał, a Gralewski był całkowicie pochłonięty redagowaniem "Expressu Lubelskiego".

Wakacje spędziłem w rodzinnych stronach mojej ówczesnej żony w województwie stanisławowskim, w Wojniłowie, niedaleko Kałusza. Osadę tę, położoną w okolicy falistej z rzeką Siwka, nadbrzeżną "Skałą" i widokiem na dalekie Gorgany zamieszkiwali w większości Ukraińcy. Korzystałem z nawiązanych znajomości, przeważnie wśród studentów bojkotujących uniwersytet lwowski i studiujących w Pradze, dla bliższego poznania języka, z którego zaczynałem tłumaczyć. Miałem z sobą zbiorek wierszy Pawła Tyczyny; dzięki znajomości rosyjskiego rozumiałem prawie wszystko, znalazły się jednak tu i ówdzie wyrazy, których znaczenia i w kontekście nie mogłem się domyśleć. Prosiłem więc o ich wytłumaczenie. Rozmowy moje z Ukraińcami dotyczyły głównie spraw literackich, nie poruszałem drażliwych tematów politycznych tym bardziej, że studenci byli nacjonalistami spod znaku "Wistnyka" i Doncowa. Musiałem przezwyciężyć ich szowinistyczną niechęć do Polaków, w czym pomogły mi moje wiadomości z literatury ukraińskiej, a przede wszystkim wyraźna chęć ich pogłębienia w prowadzonych rozmowach. Na ogół skorzystałem niewiele, gdyż studenci nie byli zorientowani w rozwoju najmłodszej poezji, a o Tyczynie, który wydawał się im dziwaczny, dowiedzieli się dopiero ode mnie. Ale przynajmniej osłuchałem się języka i wzbogaciłem trochę swój zasób słów ukraińskich.

IV. REDAKTOR "OD SIEDZENIA W KOZIE"

Po powrocie z wakacji zabrałem się do montowania numeru. Waśniewski tymczasem, zgodnie z przepisami, zgłosił do Starostwa nasz zamiar wydawania “Kameny”. Otrzymaliśmy pismo urzędowe następującej treści:

Starosta Powiatowy Chełmski
L. B. 10/13

Chełm, dnia 28 sierpnia 1933 r.

Do
Administracji Czasopisma «Kamena»
na ręce p. Zenona Waśniewskiego
zam. w Chełmie - Reformacka 15

Na skutek zgłoszenia z dnia 25 sierpnia 1933 r. o wydawaniu czasopisma «Kamena», miesięcznika, mającego wychodzić w Chełmie, Starostwo zawiadamia, że nie zgłasza sprzeciwu przeciwko wychodzeniu czasopisma.
Jednocześnie Starostwo wzywa do złożenia deklaracji Redaktora odpowiedzialnego czasopisma, wymaganej zgodnie z artykułem 16 Dekretu w przedmiocie tymczasowych przepisów z dnia 7/II 1919 r. Dz. Pr. nr 14.

Starosta
w/z T. Illukiewicz

Dzięki solidności, z jaką Zenek prowadził księgowość “Kameny”, zachowało się w papierach to “historyczne” pismo. Podpisany na nim zastępca starosty został rozstrzelany przez Niemców jako jedna z pierwszych ofiar terroru hitlerowskiego.

Z treści pisma wynikało, że musimy zdobyć redaktora odpowiedzialnego, który z kolei miał złożyć jakąś deklarację. Na stanowisko to, jak dowcipkowaliśmy, “od siedzenia w kozie”, upatrzyliśmy już sobie mojego kolegę szkolnego Wawrzyńca Berezeckiego, który chętnie się na nie zgodził. Wprawdzie udział jego w “Kamenie” ograniczał się do tego, że obok dwu - redaktora i wydawcy - figurowało i jego nazwisko, ale choćby i z tego względu wypada mi tu o nim wspomnieć, tym bardziej

że to postać dość oryginalna.

Od wczesnych lat gimnazjalnych zdradzał zdolności literackie, już jako uczeń klas niższych pisał wcale zgrabne wiersze w języku... rosyjskim. W czasie pierwszej wojny światowej znalazł się w Rosji, gdzie ukończył gimnazjum i zapisał się na uniwersytet. A może i nie zapisał, dość że zjawił się po powrocie do Chełma w niebieskiej czapce uniwersyteckiej. Pokazywał mi swoje nowe utwory, które świadczyły o tym, że pracował coraz lepiej, niestety jednak nie w języku ojczystym. W Polsce już studiów nie kontynuował, zarabiał korepetycjami, których miał mnóstwo, trochę gospodarzył na gruncie odziedziczonym po rodzicach, trochę redagował tu i ówdzie jakaś gazetkę i... kochał się nieszczęśliwie i beznadziejnie, z czym się nie krył wcale. Ta miłość, z którą nie potrafił walczyć, zaciążyła na jego życiu: zdziwaczał i stał się kompletnym abnegatem. Ale zainteresowania literackie wciąż w nim trwały. Utrzymywaliśmy bliskie stosunki, jako że znaliśmy się od dzieciństwa, odwiedzał mnie często i pożyczał ode mnie książki. Zawsze go namawiałem, aby zaczął pisać po polsku. Próbował. Tylko ojczystym językiem nie umiał się posługiwać tak swobodnie, choć czasami udawało mu się wpaść we właściwy nastrój, jaki w tym oto erotyku zatytułowanym *Liście:*

Pod gorącym obcym niebem, dalej niźli szlak wielbłądzi,
Brat twój rozbił swe namioty na dalekim Czarnym Lądzie;
Południowych mórz mu fale znad Gwinei wiatr przyniosą,
Kiedy tu podąży myślą jak za masztem albatrosy.

Drugi brat twój nad Jordanem ziemię skalną z siostrą płuży (!)
Aby drugą swą ojczyznę odbudować pośród wzgórzy;
I gdy spojrzą w naszą stronę, gdzie spędzili marzeń lata,
Znad Libanu w twarz im wionie wiatr gorący, wiatr skrzydlaty.

Tylko ty zostaniesz z nami, boś tu wzrosła młodą duszą,
Bo cię inne horyzonty niźli te, widzialne, kuszą;
Tylko ty zostaniesz, dziewczę, choć ten kraj ci ciasną klatką,
Tylko ty go nie porzucisz, bo tu grób jest twojej matki.

W tych trocheicznych szesnastozgłoskowcach widać może wpływ rytmiki Briusowa ze *Spotkania* (“Bliz miedlitielnogo Niła, tam gdie oziero Mierida, w carstwie płamiennogo Ra” - “Tam gdzie Nilu senne fale, gdzie jezioro jest Merida, gdzie płomienny rządzi Ra”). No i widać błędne rozumienie wyrazu “płużyć”, A może miał to być neologizm?

Pamiętam, jak Czechowicz, poznawszy Berezeckiego, z ciekawością przeglądał jego rosyjskie wiersze (a Wacek - tak go nazywałem - pięknie je kaligrafował wpisując do oprawianych przez siebie grubych brulionów, których miał kilkanaście), a potem w jednym z listów pisał: “Pozdrów chełmską ferajnę, a w szczególności tego pana Sołłohuba czy Briusowa, który takie fajne wiersze w zoszczenkowskim języku pisze”.

V. CHAŁUPNICTWO

Drukarnia, Księgarnia, Skład Materiałów Piśmiennych oraz Zakład Stempli Kauczukowych “Kultura” M. J. Bronfeld w Chełmie, ul. Lubelska nr 10 i 26, tel. nr 47” - tak, szumnie niby wyliczanie imion i tytułów jakiegoś granda hiszpańskiego, brzmiała widniejąca na blankietach rachunkowych nazwa przybytku, w którym przez sześć lat składano i tłoczono “Kamenę”.

W rzeczywistości był to zakładzik bardzo skromny, nawet prymitywny, składający się z dwóch pomieszczeń połączonych z sobą ciemnym przedpokojem. W pierwszym stała lada z kontuarem, za którym właściciel przedsiębiorstwa, mężczyzna lat sześćdziesięciu o dobrodusznej okrągłej twarzy z chorobliwymi rumieńcami i łysiną, maskowaną “pożyczką”, załatwiał klientów, przeważnie zamawiających stemple, bilety wizytowe i zaproszenia lub kupujących materiały piśmienne. Na półkach leżały stosy papieru, kartonu, bibuły i innych rodzajów papeterii, a na ladzie spoczywała maszyna introligatorska do cięcia papieru.

Pan Bronfeld senior był człowiekiem konserwatywnym, który przestrzegał tradycji i nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co zamierzamy w jego zakładzie drukować, nieskłonnym do robienia inwestycji, niezbędnych na przykład, jeśli chodziło o zakupienie nowych czcionek, co mu nie przeszkadzało na wszelkiej nasze propozycje wielokrotnie powtarzać zgodne: “Topsze, topsze”. Zresztą był bardzo uprzejmy, podobnie jak i jego syn, który często zastępował go w zakładzie, a który już niezadługo po śmierci ojca miał przejąć całe przedsiębiorstwo. Pan Bronfeld junior, przystojny brunecik o wygolonej twarzy, inteligentniejszej od seniora, bardziej wykształcony i postępowy, lepiej się orientował w naszych zamiarach i łatwiej go było przekonać. Toteż stosunki z nim ułożyły się nam jak najwłaściwiej. Dość powiedzieć, że przez cały sześcioletni okres naszej współpracy nie było między nami żadnego nieporozumienia.

W drugim, większym pokoju stała maszyna drukarska, bliżej okna pedałówka, tak zwana amerykanka, a wzdłuż ściany pulpity z kasztami drukarskimi. Na podłodze przy drugiej ścianie - pudełka z farbami, bańka z naftą do czyszczenia czcionek, wiaderka, smary, szczotki. Ciasno tu było straszliwie.

Maszyna drukarska nie działała za pomocą prądu elektrycznego, ale poruszano ją w sposób prymitywny - korbą. Wymagało to dużego wysiłku, gdyż trzeba było zadrukować trzysta kilkanaście arkuszy z obu stron (po osiem stronic), co zajmowało sporo czasu. Motorem wprawiającym w ruch maszynę był Rosjanin Michaił, bas w chórze cerkiewnym, silne chłopisko, któremu jednak pot spływał z twarzy przy tej czynności. On też czasem składał czcionki, ale wolałem, gdy to robił sympatyczny Goldman albo dorywczo pracujący w drukarni Szapiro, którego Zenek ochrzcił “szapirografem”. Obaj Żydzi byli inteligentniejsi od Rosjanina i lepiej od niego orientowali się w polszczyźnie, toteż mniej robili błędów przy składaniu. Nie mieliśmy

maszyny do pisania i zecerzy musieli się biedzić nad rękopisami. A my z kolei nad korektą “szczotek”, którą przeprowadzaliśmy kilkakrotnie.

Uroczysty dzień, w którym odbywało się drukowanie “Kameny”, gromadził w ciasnym przejściu między maszyną a pulpitami, oprócz kręcącego korbą Michaiła - Zenka i mnie, pilnie czuwających nad pracą, Goldmana lub Szapirę, a czasem i któregoś z Bronfeldów. Co kilkanaście arkuszy przekrzykiwaliśmy hałas maszyny wołając: stop! i Michaił przerywał pracę, a myśmy brali do ręki kolejny arkusz, uważnie patrząc, czy odbicie nie jest za mocne lub za blade i czy któraś z czcionek nie jest zanieczyszczona; czasem w ostatniej chwili dostrzegaliśmy 'jakiś przeoczony błąd korektorski. Gdy znaleźliśmy defekt, zecerzy usuwali go przez odpowiednie zabiegi, po czym Michaił ruszał dalej. Procedura ta w czasie obustronnego drukowania arkuszy powtarzała się wielokrotnie. Staliśmy tak przy maszynie do późnego nieraz wieczora, ale dzięki cierpliwości naszej i drukarzy otrzymywaliśmy jednak w tych prymitywnych warunkach coraz lepsze rezultaty. Podkreślić tu należy wyjątkową uprzejmość zarówno właścicieli drukarni, którzy nam pozwalali gospodarować w lokalu, jak i zecerów-maszynistów, którzy żadnym słowem nie wyrażali nam niezadowolenia, że przysparzamy im pracy. Okładki i linoryty pod czujnym okiem Zenka odbijano na amerykance. Potem jeszcze falcowanie i introligatornia.

Po otrzymaniu kompletu gotowej już “Kameny” wkładaliśmy numery do specjalnych kopert z nadrukiem naszej firmy, wpisywaliśmy na nich adresy (zazwyczaj robił to Waśniewski swym pięknym kaligraficznym charakterem pisma), po czym zamienialiśmy się w gońców redakcyjnych i zanosiliśmy to wszystko na pocztę: były to egzemplarze dla prenumeratorów, zamiejscowych kolporterów, gratisowe i zamienne. Pewną część nakładu zatrzymywaliśmy dla Chełma: do nabycia w kiosku i rozprzedaży wśród kolegów w szkole (udziałowcy otrzymywali “Kamenę” bezpłatnie). Cena zeszytu wynosiła 50 groszy.

VI. PROGRAM

Zastanawialiśmy się nad tym, czy pierwszy numer “Kameny” zaopatrzyć w słowo wstępne od redakcji, które zawierałoby program pisma. “Skamander” chytrze zaczynał od zdania: “Nie występujemy z programem”, by na trzech stronach wyrazić jednak swe credo poetyckie. “Ponowa” - “myszką i grzybem rozkładu cuchnącemu inteligentowi polskiemu” i ludowi polskiemu, “zasłuchanemu w błędne głosy-pogłosy rozbrzmiewającej wichrami po polach złotej harfy Wenedów” - zwiastowała “PONOWĘ”. “Czartak” twierdził, że “manifesty, programy, bezprogramowości, gigantyczne recitale, hasła, hejnały, tromtadratyzmy, fidrygalizmy - wszystko to obmierzło do cna”, “o przyszłości nie rozstrzygał”, “ślubował życiu” i wzywał “braci wielkiej PRACY”, aby się zbudzili. “Reflektor” (w pierwszej deklaracji) buńczucznie “przekreślał spuściznę duchową Słowackiego”, a w drugiej zapowiadał “świadomy eklektyzm” z orientacją na “człowieka współczesnego, tj. człowieka żyjącego w mieście pośród nowoczesnej techniki i w nowym układzie społecznym, a u nas w Polsce, nawet i przede wszystkim politycznym”.

Nie, nie chcieliśmy ani mętnej grandilokwencji, ani szumnej deklaracji: obawialiśmy się słów bez pokrycia. Niech nowe pismo mówi samo za siebie. “Kamena” zresztą nie będzie reprezentowała żadnej grupy poetyckiej, żadnej szkoły. To nie znaczy, żeby redakcja nie miała programu, lecz niech się on wyłoni z zawartości miesięcznika.

Ale zamykając rok pierwszy wydawnictwa i niejako podsumowując pracę w końcowym artykule *Spojrzenie wstecz* zamieszczonym w numerze 10, pisałem m. in.:

“Rozpoczynając nasze wydawnictwo nie poprzedziliśmy go, jak to jest we zwyczaju, żadnym słowem wstępnym, żadnym credo mieszczącym w sobie program pracy. Uczyniliśmy to świadomie. Nie chcieliśmy powtarzać szumnych frazesów o sztuce przez wielkie S, o nieśmiertelności piękna, o stosunku poezji do szeregu zagadnień, jakimi nabrzmiewa dzień dzisiejszy. Wiedzieliśmy nazbyt dobrze, jak życie wykoszlawia najwznioślejsze hasła, jak z dumnych sztandarów zostają strzępy kolorowych gałganków. Nie chcieliśmy więc wyprzedzać faktów i czekaliśmy, by wypowiedzieć się później, gdy pierwszą część pracy mieć już będziemy za sobą. Nie znaczy to jednak, byśmy nie mieli pewnej wytycznej postępowania, pewnych norm, którymi kierowaliśmy się w swej drodze dotychczasowej. O nich dzisiaj chcemy pomówić, by zestawiwszy to, czego się chciało, z tym, co się osiągnęło, ustrzec się błędów na przyszłość.

Wystarczy przejrzeć nazwiska pisarzy, których utwory znalazły się w pierwszym roczniku «Kameny», aby stwierdzić, że rekrutują się oni w przeważającej większości z tak zwanej awangardy, to jest reprezentują te indywidualności, które gardząc utartymi szlakami, z trudem i mozołem przedzierają sięprzez wciąż jeszcze według nich dziewiczą puszczę poezji, której pragną być pionierami. Stoimy na tym stanowisku, że powaga dziejów, w których żyjemy, wymaga i szczególnie poważnego ustosunkowania się do słowa będącego materiałem twórczości literackiej, że w okresie inflacji poezji budulcem tym posługiwać się należy ostrożnie, ekonomicznie, z

pełnym poczuciem odpowiedzialności cechującej świadomego artystę. Stąd sympatie wiążące nas z awangardą poetycką wysuwającą celowość ekonomicznej konstrukcji wiersza, jako jedno z zasadniczych wymagań współczesnej poezji. Ciążąc jednak ku awangardzie «Kamena» nie zajmowała nigdy stanowiska krańcowo jednostronnego, dlatego też na jej kartach znajdowały się utwory i innych pisarzy...".

"Będąc pismem literackim «Kamena» nie wiąże się z żadnym obozem politycznym. Chlubą naszą właśnie jest ta okoliczność, że utrzymując się zupełnie samodzielnie, nie licząc jednorazowego subsydium Zw. Literatów w Lublinie na numer mickiewiczowski, potrafiliśmy zachować całkowitą niezależność ideową. Rozumiemy jednak dobrze społeczne podłoże literatury, związanej z życiem i opierającej się na nim; zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady, nie tylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletariatu [...]".

"To właśnie rzeczowe ustosunkowanie się do współczesności dzisiejszej każe «Kamenie», abstrahując znowu od wszelkiej polityki, zwrócić specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie, a w równej mierze zagrożonych przez apetyty faszystowsko-hitlerowskich rekinów - narodów mających mało przeszkód dzielących je, za to wiele punktów stycznych - łączących. Przy tym kulturę tych narodów, młodą jeszcze, choć nieraz bardzo ciekawą, poza nielicznymi wyjątkami dotyczącymi naszych najbliższych sąsiadów - Rosjan i w mniejszym stopniu - Czechów, najmniej znamy. Dlatego «Kamena» z literatury niepolskiej najwięcej uwzględniała słowiańską, dając w dziewięciu numerach przekłady utworów bułgarskich, czeskich, słowackich, serbo-łużyckich, rosyjskich i ukraińskich. Najszerzej potraktowaliśmy poezję najbliższych naszych sąsiadów - czeską, słowacką i rosyjską. Nie uwzględniliśmy dotychczas twórczości jugosłowiańskiej: chorwackiej, serbskiej i słoweńskiej oraz białoruskiej. Braki te uzupełnimy w roku przyszłym: 1 numer rocznika drugiego «Kameny» będzie poświęcony poezji jugosłowiańskiej. Koroną naszej tegorocznej akcji zmierzającej do zbliżenia kulturalnego narodów słowiańskich jest obecny numer mickiewiczowski [...]. W przyszłym roku projektujemy wydanie specjalnego numeru tatrzańskiego, zredagowanego wespół z literatami słowackimi...".

A więc: umiarkowany awangardyzm, lewicowość społeczna i polityczna oraz kulturalny słowianofilizm - to trzy zasady, na których opierała się "Kamena". O ile drugiej i trzeciej pozostała przez cały czas wierna, o tyle awangardyzm ustępował nieraz eklektyzmowi.

VII. START

Startowaliśmy w pierwszym tygodniu września 1933 r. Zielona okładka w symbolicznym kolorze nadziei określała optymizm towarzyszący realizacji naszych zamierzeń. W numerze znalazły się wiersze poetów lubelskich: Franciszki Arnsztajnowej, która otwierała zeszyt utworem *Na Olejnej*, Józefa Czechowicza, moje, Józefa Łobodowskiego i Antoniego Madeja, wydrukowane w porządku alfabetycznym tak, jak to tutaj podaję. Zresztą Arnsztajnowa byłaby zawsze pierwsza, choćby jej nazwisko zaczynało się od litery Z: seniorka poezji lubelskiej, debiutująca jeszcze w dobie Młodej Polski, autorka nowych, wcale nie passeistycznych wierszy o Lublinie, mimo różnicy wieku obcująca blisko ze swymi znacznie młodszymi kolegami, stanowiła jakby ogniwo "między dawnymi a młodszymi laty". W numerze znalazły się także przekłady z poezji francuskiej: *Ostrokoły* Apollinaire'a w tłumaczeniu Czechowicza i *Zapach twojej sukienki zwabia wszystkie pszczoły* F. Mauriaca - w moim. Czechowicz zasilił również dział słowiański spolszczeniem wdzięcznego utworu poety czeskiego Mili Bureša. Oprócz tego Madej dał przekłady trzech wierszy Jarosława Zatloukala oraz wiele wzmianek dotyczących ruchu wydawniczego w Czechosłowacji do kroniki słowiańskiej, w której ja z kolei wspomniałem o tragicznej śmierci Mikołaja Chwylowyja.

Prozę literacką reprezentowała złośliwa diatryba *Słup dymu,* piętnująca pamiętne majowe autodafé na Placu Opery w Berlinie, kiedy to na stosie wzniesionym przez hitlerowców spłonęły arcydzieła literatury światowej. Podpisałem ten pamflecik pseudonimem Flamen, który sobie obrałem dla posługiwania się nim w projektowanych wypadach tego rodzaju przeciw faszyzmowi. Podobał mi się znaczeniowo - kapłan, i skojarzeniowo - flamma, płomień. Użyłem go zresztą tylko dwa razy.

W stałej rubryce pt. *Noty* -zw- (Waśniewski) pisał o *Zagadnieniach kultury duchowej w Polsce* Leona Chwistka, a -kaj- przypomniał o 25-leciu śmierci Ludwika Stanisława Licińskiego, dopominając się o wznowienie *Pamiętników włóczęgi* i *Halucynacyj,* co parokrotnie (i po wojnie) powtarzałem w "Kamenie", wciąż jak dotąd bezskutecznie. Tam też zamieściłem krótkie wzmianki o wileńskim ruchu poetyckim *(Antologia poezji społecznej* i pierwsze zbiorki T. Bujnickiego, C. Miłosza i J. Zagórskiego) i o esejach St. Napierskiego: Od *Baudelaire'a do surrealistów.* Wreszcie nawiązując do oświadczenia Karola Radka podczas niedawnej jego wizyty w Polsce i listu otwartego chełmianina p. Eliasza Dobkowskiego do Penklubu i Ligi Praw Człowieka i Obywatela, w którym twierdził on, że "posiada w swym ręku niezbite dowody niewinności Brzozowskiego" i żądał konfrontacji z Burcewem "celem obalenia jego oskarżenia opartego na oszczerstwach Bakaja" - przypomniałem o kwestii rehabilitacji Stanisława Brzozowskiego. (Do tej sprawy wracałem nieraz w "Kamenie"; na mój wniosek Lubelski Oddział ZLP wystosował w lutym r. 1960 pismo do rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego domagające się wszczęcia procesu rehabilitacyjnego, co dotychczas jeszcze nie nastąpiło mimo kilku publikacji powojennych, m. in. w "Twórczości" i "Świecie", przemawiających na korzyść autora *Legendy Młodej Polski*).

Numer zamykała rubryka *Pro urbe sua,* która wraz z linorytem Waśniewskiego przedstawiającym kościół Mariacki w Chełmie nadawała pismu akcentu regionalnego. W rubryce tej, prowadzonej tylko w pierwszym roczniku, poruszaliśmy różne sprawy dotyczące życia kulturalnego w mieście.

Tak się przedstawiał zeszyt pierwszy "Kameny". Na szczupłych 16 stronicach chcieliśmy dać materiał o dużym ciężarze gatunkowym, prezentujący nas nie tylko pod względem artystycznym, ale i ideowym. Programowe *Spojrzenie wstecz* miało się ukazać dopiero po dziewięciu miesiącach, ale już tutaj z grubsza można się było z nim zapoznać: wiersze nasze miały reprezentować umiarkowany awangardyzm, Słup dymu podkreślał nasz humanizm i humanitaryzm i wyznaczał miejsce po stronie przeciwników faszyzmu, a wiersze czeskie i kronika słowiańska wskazywały na naszą orientację słowiańską. Poza tym przekłady z poezji francuskiej i noty, w których poruszaliśmy różne sprawy dotyczące ogólnie kultury polskiej, świadczyły o tym, że nie zamierzaliśmy zamykać się tylko w zaścianku regionalnym (choć - poeci lubelscy, a miejsce wydawnictwa - Chełm, znany dotąd w literaturze jedynie dzięki Reymontowi) i że interesują nas sprawy sięgające daleko poza Lubelszczyznę.

Można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością wyczekiwaliśmy teraz wypowiedzi zarówno prywatnych w listach, jak i publicznych w druku, na temat naszego startu. A egzemplarze recenzyjne i wymienne wysłaliśmy do wielu ważniejszych czasopism i dzienników.

Czechowicz pisał z Warszawy: "Winszuję «Kameny». Nic to, że zewnętrznie niedociągnięta, nic to, że tu i ówdzie mogłaby być lepsza. Całość jest pięknym wysiłkiem. Nie ustawaj. Ze swej strony pomogę Ci jak umiem - to znaczy - dam kupę materiału".

Wśród przysłanych mi przez Czechowicza materiałów znajdował się wiersz Światopełka Karpińskiego *Dno* i dwa przekłady z poezji ukraińskiej (liryki O. Olżycza), które potrzebne mi były do następnego numeru.

Recenzja na razie ukazała się w "Robotniku" (12 września 1933). Właściwie była to raczej dłuższa informacja. Nie podpisany autor podawał treść numeru i cytował z rubryki *Pro urbe sua:* "Pismo literacko-społeczne w Chełmie. Komu i na co potrzebne? W Chełmie, gdzie tygodnik wyłącznie sprawom regionu poświęcony z trudnością wychodził. Kto będzie czytał te wiersze, których nadmierna ilość w pierwszym numerze niejednego przestraszy". "Redakcja jednak - pisał recenzent dalej - nie zraża się i zapowiada, że pismo poświęcone będzie nie tylko literaturze polskiej i obcej, lecz także walczyć będzie o podniesienie kultury miasta". Autor tej informacji podał szczegółowy adres wydawnictwa i nazwisko "dobrze znanego czytelnikom naszym" redaktora, pochwalił okładkę i wkładkę Zenona Waśniewskiego, jako "ładną", orzekł, że "Kamena" pod względem zewnętrznym przedstawia się bardzo estetycznie" - lekka przesada: jeszcze nie nauczyłem się właściwego łamania - i życzył nowemu pismu "powodzenia, na które ze wszech miar zasługuje."

Zdawałem sobie sprawę, że ta "recenzja" była nieco "kumoterska" (nie znano

jeszcze, wtedy tego wyrazu), jako że z “Robotnikiem” współpracowałem już od lat dziesięciu. Mimo to podniosła ona nas na duchu: przecież z informacją o “Kamenie” zamieszczoną w stołecznym dzienniku zapoznają się tysiące czytelników.

VIII. NIEFORTUNNE POSUNIĘCIE

Drugi numer drukowaliśmy w zakładzie Kazimierza Czernickiego “Zwierciadło”. Nie byliśmy zachwyceni wykonaniem Bronfelda, ponieważ miał tylko jeden krój czcionek - garmond, co powodowało monotonię graficzną. Chcieliśmy spróbować gdzie indziej.

Czernicki przyjechał do Chełma z Mińska Mazowieckiego przed dziesięciu z górą laty. Był to człowiek rzutki i energiczny, o ambicjach nie tylko wydawniczych, ale i dziennikarskich. Już w Mińsku Mazowieckim wydawał jakąś gazetkę. Wkrótce i w Chełmie zaczął się ukazywać tygodnik o formacie gazetowym, zatytułowany “Zwierciadło”. Czernicki miał pracą o tyle ułatwioną, że rozporządzał własną drukarnią, a wydawca i redaktor w jednej osobie, przeważnie sam wypełniał swoje pismo. Niestety “Zwierciadło” nie było “Myślą Niepodległą”, a Czernicki - Niemojewskim. Był chyba samoukiem, a brak kultury mścił się zarówno na poziomie jego tygodnika, jak i w obcowaniu z ludźmi - na nim samym.

Chciał być wyrazicielem opinii miasta, a nie miał danych po temu. Zarozumiałość kazała mu zabierać głos we wszystkich sprawach, nawet w takich, o jakich nie miał pojęcia. Bo tak zwany chłopski rozum i inteligencja, którą miał bezsprzecznie, nie mogły pokryć zasadniczych braków w wykształceniu. A był gwałtowny i agresywny, toteż pozadzierał z wieloma ludźmi w Chełmie. Ale z uporem ciągnął “Zwierciadło” przez dziewięć lat. W tym czasie, kiedy zwróciliśmy się do niego w sprawie “Kameny”, tytuł jego pisma pozostał już tylko na stemplu, który widnieje na rachunku za druk: “Wydawnictwo czasopisma Zwierciadło Drukarnia”. A Chełm miał już inny tygodnik - “Kronikę Nadbużańską”, wydawaną przez Stowarzyszenie Krzewienia Kultury Polskiej. Poziom tego wydawnictwa był wyższy, ale pismo, które wciąż zmieniało redaktorów pracujących bez “nerwu” i zamiłowania właściwych Czernickiemu, było blade i cieszyło się mniejszą popularnością.

Czernicki, który był antysemitą, przyjął nas uprzejmie, jak synów marnotrawnych wracających na łono rodziny, i zaczął nam klarować, jak pismo tego rodzaju co “Kamena” powinno wyglądać. Oczywiście, ma różne kroje czcionek, które się odpowiednio zastosuje, ale poza tym doradza układ dwuszpaltowy i żywą paginację. Słowem, czarował nas swoją życzliwością. Miłe złego początki.

Przyzwyczajeni do gospodarowania w drukarni Bronfelda, gdzie asystowaliśmy cały czas przy “produkcji” numeru, nie przewidywaliśmy, że Czernicki się skrzywi, gdy coś podobnego zechcemy stosować i na jego gruncie. A po co? Zecerzy są doświadczeni, maszyniści również, a pracują elektrycznością, nie swoimi mięśniami, on zresztą dogląda wszystkiego, do nas tylko będzie należeć korekta.

Nie byliśmy zadowoleni z wykonania tego numeru. Wśród 300 zeszytów “Kameny” 17 okazało się bez wkładek, 26 brudnych przez nakładanie jednych na drugie lub posmarowanych palcami, czcionek nie oczyszczono należycie i wiele liter było zamazanych. A rachunek za sam druk wynosił 50 zł, a więc o 11 zł więcej niż u Bronfelda.

Gdyśmy w rozmowie z Czernickim zwrócili na to wszystko uwagę, twierdząc, że numer pierwszy, wykonany przecież w gorszych warunkach, nie miał takich defektów, drukarz do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, że do Waśniewskiego dwukrotnie użył zwrotu “idź pan do diabła”, a o nas obu wyraził j się niewybrednie: “gówniarze się wzięli do wydawania”. Zachował się odpis listu, który po tym incydencie wystosowaliśmy do krewkiego przedsiębiorcy. Pisaliśmy m. in., że “mieliśmy początkowo zamiar załatwić tę sprawę na drodze sądowej, po głębszym jednak namyśle doszliśmy do wniosku, że byłoby to co najmniej zbyteczne, ponieważ uważamy, że Pan ze swoim temperamentem cholerycznym zasługuje raczej na współczucie, jako człowiek nieszczęśliwy, który obrazić nikogo nie może”. Wspominam o tym błahym z perspektywy czasu incydencie, aby pokazać, w jakich warunkach wypadło nam na prowincji pracować i jak o niedorzeczne nieraz przeszkody musieliśmy się potykać.

Wróciliśmy więc do Canossy i odtąd już aż do wybuchu wojny drukowaliśmy u Bronfelda. Ale w rok później Czernicki odegrał się jeszcze na “Kamenie”, o czym będzie mowa później.

Nie wymienialiśmy odtąd ukłonów na ulicy, choć byłem nauczycielem dwóch jego synów, chłopców zdolnych jak i ich ojciec. A potem pogodziliśmy się w dramatycznych okolicznościach, kiedy w historycznym wrześniu podszedł do mnie na ulicy i wyciągnął rękę ze słowami: “Co tam było między nami, to było! Zapomnijmy o tym, kiedy Polska się wali”. W gruncie rzeczy był to dobry i uczciwy człowiek, a jakim był patriotą, o tym świadczyć może jego śmierć w lipcu 1941 roku: wraz z synami został rozstrzelany przez hitlerowców.

W numerze drugim ukazały się nowe nazwiska: Światopełka Karpińskiego (wspomniałem już, że Czechowicz przysłał mi jego wiersz), jednego z moich wychowanków - Wita (a właściwie Witolda) Kasperskiego, którego obecnie łączą z literaturą tylko stosunki platoniczne i który “szklane domy” patrona naszego Koła Literackiego realizuje jako prezes Centralnego Zw. Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, w postaci olbrzymich bloków wznoszonych w całej Polsce, i Jalu Kurka, który na mą prośbę przysłał cztery przekłady z włoskiej poezji futurystycznej oraz fragment swego poematu. Odpowiedział mi natychmiast (poznałem go osobiście w Krakowie przed paru laty), a w liście podał również adresy Przybosia, Brzękowskiego i Czuchnowskiego, których utwory miały się wkrótce ukazać w “Kamenie”. Kontynuując “akcję” słowiańską zamieściłem teraz przekłady Czechowicza i własne z współczesnej poezji ukraińskiej. Odpowiedzi redakcji były pół na pół zmyślone. W jednej z nich odsłanialiśmy ważny punkt naszego programu, który mieliśmy ogłosić pod koniec roku wydawniczego: “Tak jest, «Kamena» propaguje zbliżenie kulturalne narodów słowiańskich, dlatego w każdym numerze znajduje Pani utwory tłumaczone z innego języka słowiańskiego: w pierwszym zeszycie - z czeskiego, w obecnym - z ukraińskiego, w następnym - z rosyjskiego, w czwartym - ze słowackiego itd.”

W tym czasie otrzymałem z Krakowa obszerny list od Tadeusza Bocheńskiego. Po wyjeździe z Lublina osiadł tam i uczył w Gimnazjum Nowodworskim. Tadzio, którego

bardzo ceniłem jako artystę i człowieka i z którym niemało nocy przegadałem na tematy obu nam bliskie, tj. związane z poezją i Tatrami, pisał m. in.: “Z podziwem i radością patrzę na Twe zabiegi j owocne, tj. na dwa już zeszyty «Kameny». W czasach nędzy kieszeniowej, niemal ostatecznej i beznadziejnej drukować pismo poetyckie i z dalekiego Chełma atakować nim zahukaną niedostatkami materialnymi i brawurą czy tupetem federacji literackich dzisiejszość naszych miast i dusz - to zaprawdę szlachetna odwaga, zdrowy przebój, idealistyczna otucha [...] Życzę Tobie i Twojej miłej «Kamenie» pięknego rozrostu i rozwoju. Widząc tyle nazwisk i taki rozmach właśnie poetycki, nabieram i ja otuchy, że się to wszystko uda, że nie upadnie i zwycięży”. Bocheński obiecywał służyć mi swoim materiałem i już przysyłał coś niecoś, a “ponieważ słowu Waszemu odpowiedzieć powinna kieska czytelników” przekazał administracji należność za cały rok, obiecując jednać prenumeratorów. Tacy to już byli ci współpracownicy “Kameny”: nie tylko bezinteresownie zasilali ją wartościowymi utworami, ale wielu z nich jeszcze czuło się w obowiązku opłacać prenumeratę. Odezwał się i Bielski, przysyłając dwa liryki. Otrzymałem wiersz od Stanisława Piętaka. “Interes” się rozkręcał.

IX. DALSZE KROKI

Rozkręcał, to znaczy, że numer po numerze liczba współpracowników skromnego, w chałupniczych warunkach wydawanego pisma wciąż się powiększała, że pojawiały się w nim nowe nazwiska z różnych części Polski. Jednych zapraszałem do uczestnictwa w chełmskim eksperymencie, inni zgłaszali się sami. W numerze czwartym już wystąpił z wierszem przedstawiciel grupy łódzkiej *Meteor* - Grzegorz Timofiejew i awangardy krakowskiej - Jan Brzękowski. W piątym zeszycie ukazał się wiersz Czesława Miłosza, jednego z członków wileńskiego zespołu poetyckiego, który się skupiał przy "Żagarach", a Stanisław Czernik, który odtąd miał się stać gorliwym przyjacielem "Kameny" i który zasilał ją wierszami i publicystyką literacką, zanim stworzył w Ostrzeszowie "Okolicę Poetów", (wtedy już mniej o nas pamiętał) - zaprezentował się po raz pierwszy w chełmskim miesięczniku artykułem o poetach chłopskiego pochodzenia pt. *Synowie ziemi.* W następnym zeszycie przybywają jeszcze trzej poeci wileńscy: Teodor Bujnicki, Józef Maśliński i Jerzy Putrament. Dzisiejszy płodny prozaik zaczynał jako rymotwórca, a w przysłanym nam wierszu *(Poecie)* jakby błogosławił wstępującego na drogę poetycką kolegę.

W tym samym numerze debiutował u nas Marian Czuchnowski artykułem *Uspołecznione eksperymenty,* który, jak zaznaczał przypisek redakcji, miał być pierwszym "na wciąż aktualny temat wzajemnego stosunku treści i formy w poezji". "Pragnęlibyśmy - sugerowałem w zakończeniu tego post scriptum - by sprawa ta znalazła w naszym piśmie wszechstronne oświetlenie". Jakby zgodnie z tym życzeniem, już w następnym numerze - siódmym, Czernik zamieścił pierwszą część swych rozważań na temat *Treści i formy* (dokończenie drukowane w zeszycie ósmym). Numer siódmy zawierał też utwór Juliana Przybosia Z *Tatr* **-** jeden z najpiękniejszych wierszy tatrzańskich w liryce powojennej. Z nowych nazwisk występujących w zeszycie ósmym i dziewiątym wymienić należy Jana Szczepańskiego, Leopolda Lewina, Antoniego Bogusławskiego, Stanisława Helsztyńskiego, Jadwigę Ważewską, Ludomira Rubacha, Mariana Piechala (jeszcze jeden łódzki "meteoryta"), Józefa Mondscheina, Sergiusza Kułakowskiego i J. N. Kłosowskiego. Ostatni nr 10 miał specjalny charakter i wrócę do niego później.

"Akcję" słowiańską konsekwentnie prowadziłem dalej. Jeśli chodzi o Czechów i Słowaków, wiele materiałów (artykuły, przekłady, noty do kroniki) dostarczał mi A. Madej, który w ogóle do naszego eksperymentu ustosunkował się, przynajmniej w pierwszych latach, bardzo życzliwie, a nawet służył nam pomocą w kolportowaniu "Kameny" w Lublinie.

W numerze trzecim znalazły się przekłady z poezji rosyjskiej (od Puszkina do Pasternaka), w czwartym - z poezji czeskiej i słowackiej z artykułem Madeja o *Współczesnej liryce słowackiej,* w piątym - zaznajomiliśmy czytelników z poezją najmniejszego narodu słowiańskiego – Serbo-łużyczan, zalewanych niemczyzną i dzielnie broniących się przed nią (artykuł i przekłady L. Rubacha), w szóstym - poezja czeska ze szkicem Madeja o Vilemie Zavadzie i rosyjska, w siódmym - ukraińska, w ósmym - czeska, rosyjska i bułgarska, w dziewiątym - rosyjska (z artykułem S.

Kułakowskiego o Maksymilianie Wołoszynie) a powiększony do 28 stronic numer dziesiąty z okazji 100-lecia Pana *Tadeusza* został w całości poświęcony Mickiewiczowi. Na ten cel otrzymaliśmy nawet małą subwencję od Związku Literatów w Lublinie - w kwocie 20 zł.

Numer mickiewiczowski miał stanowić jakby ukoronowanie naszej rocznej działalności słowiańskiej i materiał do niego zbierałem w ciągu ostatnich kilku tygodni nawiązując kontakty z tymi literatami czy naukowcami narodowości rosyjskiej, ukraińskiej i słowackiej, którzy w taki czy inny sposób mogli się przyczynić do wzbogacenia tego wybitnie słowiańskiego zeszytu. Chodziło mi o to, aby numer ten był niejako hołdem złożonym wielkiemu poecie, profesorowi literatur słowiańskich w Collčge de France, nie tylko przez Polaków, ale i przez innych Słowian.

Z entuzjazmem do mego pomysłu odniósł się Sergiusz Kułakowski, docent literatury rosyjskiej na Wolnej Wszechnicy w Warszawie i lektor języka rosyjskiego w różnych wyższych uczelniach. Pozostawałem z nim w kontakcie listowym od marca i, jak już wspomniałem, w majowym numerze zamieściłem jego pracę. Przysłał mi więc zamówiony artykuł *Dzieła Adama Mickiewicza w przekładach na język rosyjski* oraz własne tłumaczenie rozdziału XVI *Ksiąg Pielgrzymstwa.* Wydrukowaliśmy je cyrylicą w języku rosyjskim. To właśnie było moją innowacją: w polskim miesięczniku zamieścić teksty mickiewiczowskie w języku tłumaczy. Nie obawiałem się pstrokacizny, a wiedziałem, że taka właśnie publikacja wyraźnie podkreśli słowianofilizm kulturalny "Kameny". Toteż obok tekstów rosyjskich (oprócz Ksiąg *Pielgrzymstwa* jeszcze fragment ks. I *Pana Tadeusza* w przekładzie W. Benediktowa i *Stepy akermańskie* w interpretacji A. Feta) znalazły się i ukraińskie - tłumaczenia Maksyma Rylskiego tychże *Stepów* i fragmentu koncertu Wojskiego zIV ks. *Pana Tadeusza* oraz słowacki przekład Stanisława Mečiara z tej samej księgi od słów: "Gdybyś, głupi niedźwiedziu, w mateczniku siedział" do początku gry Wojskiego na rogu. Mečiar napisał również do tego zeszytu artykulik *Literatura czeska i słowacka wobec Mickiewicza.* Sporo trudności nastręczał druk przekładu słowackiego, ponieważ Bronfeld nie miał odpowiednich czcionek ze znakami diakrytycznymi. Łataliśmy ten mankament posługując się, jak w polskim, podwójnymi literami: sz, cz. Wyglądało to trochę dziwacznie, ale nie było innej rady. Jeszcze jednym wkładem słowiańskim do tego numeru był artykuł W. Doroszenki nadesłany ze Lwowa *A. Mickiewicz w literaturze ukraińskiej*.

Artykuł wstępny O *"nowe śluby" z "Panem Tadeuszem"* napisał Jan Nepomucen Miller, wreszcie oddźwięki Mickiewicza na Zachodzie przedstawił Józef Mondschein w dwóch artykułach: Na *marginesie książki "Adam Mickiewicz et la pensée française"* i *Mickiewicz w Danii.* Numer uzupełniały wiersze na cześć twórcy Pana Tadeusza chełmskiej grupy młodzieży literackiej "Pryzmaty", do której wchodzili moi wychowankowie, oraz wkładka linorytowa Waśniewskiego, przedstawiająca Mickiewicza według współczesnego mu dagerotypu. Zamykaliśmy rocznik artykułem programowym redakcji *Spojrzenie wstecz*.

Jeśli chodzi o poezję zachodnioeuropejską zapoczątkowaną w nrze pierwszym *Ostrokołami* Apollinaire'a, to w ciągu tego roku oprócz przekładów z francuskiego zamieściliśmy również z angielskiego (tłum. F. Arnsztajnowa i S. Helsztyński) i

włoskiego (tłum. J. Kurek i ja).

A w jaki sposób poza treścią niektórych wierszy akcentowaliśmy nasze poglądy lewicowe i sympatie socjalistyczne? W związku z wypadkami w Austrii zamieściliśmy na czele numeru marcowego pod przekładem znanego wiersza Verhaerena *Głowa* (z cyklu *Les Débâcles)* wyraźne oświadczenie w tej sprawie redakcji. Brzmiało ono: "Niezłomnemu bohaterstwu robotników, którzy w obronie wolności ginęli na barykadach Wiednia, Linzu, Stayera i innych miast austriackich - Męczeństwu Münichreitera, Weissla, Wallischa i ich towarzyszy, którzy mężnie śmierć hańbiącą po wieki ich katów przyjęli - niewinnej krwi starców, kobiet i dzieci, ofiar zwierzęcego okrucieństwa, roztrzaskanych przez kule armatnie Heimwehry - hołd składa redakcja «Kameny»". W notach życzliwie omawialiśmy takie pismo, jak "Lewar", które rozpisało ankietę w sprawie procesu o podpalenie Reichstagu.

W dziale *Pro urbe sua* dużo miejsca poświęciliśmy recenzjom teatralnym o występach zespołu amatorskiego i o przedstawieniach regularnie odwiedzającego Chełm Teatru Wołyńskiego pod dyr. Al. Rodziewicza. Każdy numer (z wyjątkiem 6, gdzie znalazła się *Droga na szczyt* Władysława Uklei) zdobiła wkładka linorytowa Waśniewskiego, przedstawiająca różne fragmenty Chełma i jego zabytki. Grafika Zenka, co przyznawano i w recenzjach, i w korespondencji ze mną, z każdym zeszytem stawała się lepsza, a przecież dotychczas był on przede wszystkim malarzem.

Bronfeld dał się przekonać i zakupił trochę czcionek petitowych, dzięki czemu stronice "Kameny" optycznie nie były tak monotonne. Każdy numer miał okładkę innej barwy. Pamiętam, jak w końcu czerwca rozłożyłem na otomanie dziesięć zeszytów mieniących się kolorami tęczy. Pięcioletni malec mój uradowany ich barwnością przekradał numery zmieniając ich kolejność. Czyż wtedy, ciesząc się, że żywot pisma nie okazał się efemeryczny, że nie tylko zamknęliśmy pierwszy rok wydawniczy, ale po wakacjach rozpoczniemy i drugi, mogłem choćby na chwilę przypuścić, że we wznowionej po wojnie "Kamenie" będę drukował także wiersze syna?

X. BILANS ROCZNY

Pod koniec pierwszego roku wydawniczego wymienialiśmy już “Kamenę” z 19 pismami w Polsce, a wydawnictwa i autorzy nadesłali nam ponad 50 książek, w czym kilka w języku rosyjskim i ukraińskim. Liczba współpracowników, która przy naszym, starcie sprowadzała się tylko do poetów lubelskich, powiększyła się już o Warszawę, Łódź, Wilno i Kraków. Z większych ośrodków na razie jeszcze nie były reprezentowane Katowice, Lwów i Poznań. Ukazało się kilkanaście recenzji w gazetach i czasopismach. “Jutro Pracy” nazywało “Kamenę” “bardzo interesującym i pożytecznym miesięcznikiem poświęconym kulturze i literaturze” i przesadnie chwaliło, że pismo “w ciągu niedługiego swego istnienia zdołało przy sobie skupić cały szereg najlepszych piór literackich z całej Polski”. “Dziennik Urzędowy Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego” w przeglądzie czasopism wyliczał nazwiska piszących w “Kamenie”, wspominał o przekładach z poezji zachodnioeuropejskiej i słowiańskiej i dodawał: “Czytam i przecieram oczy. Żeby dziś w epoce zwariowanej sportomanii, pogoni za karierą, bezrobocia i kryzysu, słowem w dobie “życiowego stosunku” do każdego zagadnienia, garstka zapaleńców porwała się na rzecz tak nieżyciową jak wydawnictwo pisma poświęconego pięknu i poezji - i to gdzie? w Chełmie, niewielkim mieście, - to się prawie w głowie pomieścić nie chce”.

Ukazała się recenzja i w tygodniku akademickim “Dekada”, i w “Walce”, i w “Ilustrowanym Kurierze Codziennym” pt. *Kebys'bol, hlúpý med'ved', w mateczniku sedel...* i najpoważniejsza w lwowskich “Sygnałach”, piśmie literackim o dwa miesiące młodszym od “Kameny”, miesięczniku wydawanym w formacie gazetowym a redagowanym żywo i interesująco, które do wad naszego pisma zaliczały “tę część wierszy, które budziły swym poziomem zastrzeżenia [...]”. “«Kamena» - pisał recenzent - zasługuje na lepszy los, niż na to, aby stała się organem bardzo problematycznego artystycznego życia prowincjonalnego i małego bądź co bądź miasta, jakim jest, mówmy jak chcemy - Chełm. To nie jest teren jej działania i zasięgu, który może stać się z pożytkiem - terenem ogólnopolskim. «Kamena» powinna przeto zrezygnować z więcej niż problematycznych ambicji regionalnych i stać się miesięcznikiem poetyckim ogólnopolskim. [...] Zaletą pisma było uwzględnianie twórczości słowiańskiej a często i światowej. Inna rzecz, że przekłady z tych “literatur nie zawsze były na poziomie”. Następnie recenzent omawiał “doskonały numer” mickiewiczowski. “Druk bardzo nieporządny. No ale trudno. Rozumiemy, że w warunkach, w których się znajduje [pismo] ciężko o lepszą szatę graficzną i lepsze maszyny. A szkoda, bo obniża to reprezentacyjną zewnętrzną szatę poważnego i potrzebnego a coraz lepszego pisma”. Artykuł kończył się “z okazji skromnego jubileuszu dziesiątego numeru «Kameny» tradycyjnym zawołaniem - Ad multos annos”.

Z wielu listów związanych z tych okresem przytoczę tu fragmenty paru. Oto autor jednego z nich pisał: “Dość chyba niespodziewanie posyłam «Kamenie» wiersz [...], przychodzi od człowieka mało znanego. «Kamena» stała się teraz poetycką Mekką. W ślad braci starszych wędruję - w ten oto sposób tłumaczę i pomysł posłania wiersza i

tego listu. Pomysł przyszedł dziś, chwaliłem się nim Janowi Kottowi - wyraził obawę, że wiersz pójdzie w kolumnie najmłodszych, jako iż nas wszędzie chętnie za bardzo młodziutkich poczytują i klepią po łopatce". "Nas" - autor listu, Włodzimierz Pietrzak, ma na myśli grupę poetycką przy Klubie Artystycznym "S", do której należał m. in. również Jan Kott i Ryszard Matuszewski. Ich debiut poetycki - wspólny tomik wierszy omawiał -zw- (Waśniewski) w nrze 5 "Kameny". Obawy, że ,.wiersz pójdzie w kolumnie najmłodszych", okazały się niesłuszne: drukowaliśmy bez żadnych zastrzeżeń utwory wszystkich trzech S-istów, ale najwięcej Włodzimierza Pietrzaka, z którym pozostawałem w korespondencji. Któż mógł przewidzieć jego bohaterską śmierć po latach dziesięciu w powstaniu warszawskim!

Kiedy przygotowując numer mickiewiczowski zwróciłem się do Jana Nepomucena Millera, autora przed kilku laty wydanej, rewizjonistycznej książki *Zaraza w Grenadzie,* z prośbą o artykuł do tego zeszytu, związany z *Panem Tadeuszem,* otrzymałem od niego list, w którym m. in. pisał: "Artykuł o Mickiewiczu chętnie napiszę i prześlę Panu przed 10 maja. «Kameną» natomiast pozwolę się sobie zająć w jednym z felietonów krytycznych. Pomimo pewnego przeładowania liryką pismo jest b. ciekawe i godne najgorętszego poparcia. W Warszawie jest mało znane".

A Czernik w czerwcu prosił o "przyjęcie gratulacji z powodu szczęśliwego zakończenia jednorocznej kampanii. Numer mickiewiczowski «Kameny» jest godnym zamknięciem roku i zdaje się jedynym poważnym uczczeniem stulecia w prasie literackiej. Proszę mi wierzyć, że «Kamena» jest już obecnie pierwszą pozycją w «bieżącej» historii literatury, mimo wszystkich jej braków (bo i te są). Jest to faktem, z którym - niestety - długo jeszcze wszystkie nasze oficjalności literackie nie będą mogły się pogodzić - i nie będą mogły zrozumieć, jak nie rozumie tego Chełm. Chełm można by ostatecznie usprawiedliwić, ale paradoksem jest, że nie ma tysiąca złotych na utrwalenie bytu tego pisma. Podobne pismo, wyłącznie poezji oddane, chciałem założyć u siebie, w Ostrzeszowie, niestety nie mogę pokonać pierwszych trudności - po prostu z powodu braku kilkuset złotych. Cieszę się, że Pan umiał to zrealizować. Jeżeli uda się jednak i moje pismo uruchomić, sądzę że będziemy się uzupełniać". Była to zapowiedź mającego się ukazać w niespełna rok później miesięcznika "Okolica Poetów".

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednym liście, który otrzymaliśmy w grudniu 1933 r. po ukazaniu się numeru 4. Było to pierwsze oficjalne pokwitowanie "akcji" słowiańskiej "Kameny" W liście z nadrukiem Vyslanectvi Československé Republiky ve Varšav? poseł (nazwisko nieczytelne) dziękował "za nadesłanie ostatniego numeru czasopisma Sz. Pana, w którym opublikowane jest doskonałe studium p. Antoniego Madeja *Współczesna liryka słowacka.* Poselstwo z zadowoleniem przyjmuje do wiadomości to zainteresowanie czasopisma WPanów literaturą czechosłowacką w ogóle, a słowacką w szczególności i ceni bardzo te dążenia, gdyż właśnie zbliżenie kulturalne jest najlepszym przygotowaniem i drogą do poznania i prawdziwego zbliżenia obu narodów i państw".

XI. LWOWIACY

Wakacje oczywiście spędziłem w Zakopanem. Wracałem przez Lwów, bo zależało mi na tym, aby zetknąć się bezpośrednio z młodymi lwowiakami, wydającymi o dwa miesiące młodsze od “Kameny” - “Sygnały” i nawiązać współpracę z nimi a dzięki ich znajomościom i z literatami ukraińskimi.

Tadeusza Hollendra znałem z korespondencji i miałem jego adres. To dzięki niemu otrzymałem materiały od Ukraińców do numeru mickiewiczowskiego. W jednym z listów zapraszał mnie, abym go odwiedził. “Lwów jest bardzo gościnny i miły. Przyjmiemy Was z otwartymi rękoma”.

Godzina nie była taka wczesna, kiedy zadzwoniłem do mieszkania jego rodziców. Otworzył mi niezbyt urodziwy, ale sympatyczny chudzielec w pidżamie. Ubrał się prędko i poszliśmy na śniadanie do George'a. Tam poznałem prozaika Mariana Promińskiego z wąsikami ŕ la Menjou i jeszcze paru sygnalistów. Nie pamiętam, czy był między nimi Karol Kuryluk. W każdym bądź razie nie było tam najbardziej lirycznego z młodych lwowiaków - Stanisława Rogowskiego, którego wiersze pokazywał mi Hollender i o którym wyrażał się z ogromnym uznaniem. Gawędziliśmy o “Kamenie” i o “Sygnałach”, o mającym się ukazać z okazji Targów Wschodnich powiększonym ich numerze, o projektowanym w pierwszych dniach listopada wielkim zjeździe młodej prozy literackiej i poetów prowincjonalnych (tj. nie z Warszawy), na który i mnie zapraszano. Program Zjazdu był bardzo urozmaicony: projektowano urządzenie dwóch wieczorów autorskich, wspólne obiady, bankiet. Listopadowy numer “Sygnałów” miał być w całości poświęcony tym sprawom.

Starszy od lwowiaków o lat kilka, czułem się jednak w ich towarzystwie dobrze. Mieli chłopcy humor. Żywy, bojowy i dowcipny Hollender zachowywał się w kawiarni prowokacyjnie. Aby szokować gości siedzących przy innych stolikach, zgrywał się na młodzieńca o nienormalnych popędach i głaskał czule rękę jednego z kolegów, patrząc na niego znacząco. Bawił się przy tym doskonale. Wiedziałem, że zachowanie jego nie ma w rzeczywistości żadnego uzasadnienia, nie rozumiałem więc tej dziecinady. Zresztą lwowiacy łączyli właściwy temu miastu humor z powagą, gdy wypowiadali się na temat swoich planów literackich czy uzewnętrzniali swoje zapatrywania społeczne i polityczne. Na ogół poglądy mieli lewicowe, zwłaszcza Hollender, czemu w późniejszej swojej twórczości, zwłaszcza w satyrze, dawał często wyraz, drukując w późniejszych “Sygnałach” swoje antyhitlerowskie filipiki. Ale tymczasem było to jeszcze pismo dość umiarkowane, utrzymujące się dzięki mecenatowi zamożnej Stanisławy Blumenfeldowej, przystojnej pani, którą mi dyskretnie pokazano w kawiarni. Nie byłem oczywiście zorientowany w stosunkach panujących wśród sygnalistów, jednak z pewnych półsłówek i aluzyj, bo hamowali się przy mnie, wyczułem, że nie ma wśród nich absolutnej harmonii, że są jakieś tarcia.

Rzeczywiście. Reprezentacyjny lwowski numer “Sygnałów” zawierał oświadczenie Hollendra, że wystąpił z redakcji i w piśmie nie było żadnego jego utworu. Wkrótce pisał do mnie: “Z «Sygnałami» rozstałem się definitywnie. Nie chciałem odpowiadać

za rzeczy, które robiono tam pod moją firmą, na której zależy mi jednak trochę [...]. Żal mi trochę pisma, w które włożyłem tyle energii, jak planów, które miałem, a które musiałem porzucić, ale z drugiej strony dziś dopiero rozumiem błogosławieństwo zupełnego spokoju, kiedy nie ciąży na mnie żadna odpowiedzialność i obowiązek, kiedy mogę oddać się samemu sobie, nie rozdrabniać czasu, którego nie miałem podczas pracy w «Sygnałach» za wiele nigdy".

I z miesięcznikiem tym, który wychodził jeszcze przez dwa miesiące (ostatni nr 13 - listopadowy). Hollender nie współpracował. Dopiero po roku z górą, w lutym 1936 r., wznowiono "Sygnały", które Karol Kuryluk podpisywał nie tylko jako redaktor, ale i wydawca. Było to już pismo wyraźnie lewicowe, o charakterze ogólnokrajowym, oczywiście nie obeszło się w nim bez Hollendra. Przez te nowe "Sygnały", które później stały się dwutygodnikiem i których ostatni numer poświęcony kulturze białoruskiej ukazał się na krótko przed wybuchem wojny, przewinęły się chyba wszystkie najwybitniejsze pióra postępowe w Polsce.

A z Hollendrem zetknąłem się osobiście raz jeszcze, i to raz ostatni, w Chełmie, w tragicznych dniach wrześniowych.

XII. BURZA W SZKLANCE WODY

Dział *Pro urbe sua,* nadający “Kamenie” w pewnym, bardzo małym zresztą stopniu charakter regionalny, występował tylko w pierwszym roczniku. Usunęliśmy go po wakacjach. Nie dlatego, że sugerowano mi to w listach i recenzjach, ale po prostu ze względu na obojętność, z jaką Chełm odniósł się do naszej imprezy: poza nielicznymi wyjątkami, do których przede wszystkim należeli koledzy - nauczyciele, zdawał się nie wiedzieć zupełnie o istnieniu “Kameny”. Dlatego zamykając pierwszy rok wydawniczy artykułem *Spojrzenie wstecz* zapowiedziałem w nim usunięcie tej rubryki, tłumacząc powód takiej decyzji: “Dział ten przeznaczony jest dla Chełma, a kto tu «Kamenę» prenumeruje i czyta? Bądźmy szczerzy i nie owijajmy sprawy w bawełnę. Kto z miejscowej tzw. inteligencji interesuje się «Kameną» i losem tego pisma? Na liście naszych prenumeratorów nie figuruje ani jeden miejscowy lekarz, ani jeden adwokat, ani jeden farmaceuta, żaden oficer, nikt z inżynierów, rejentów, komorników, geometrów, urzędników Starostwa, Magistratu, banków itd. Garść nauczycielstwa i trochę młodzieży szkolnej - oto nasi czytelnicy. Och, inteligencja nasza jest rozbrajająco szczera. Nie sądzi, by wydawanie pisma literackiego w Chełmie podnosiło to miasto pod względem kulturalnym. Nie stać jej nawet na snobizm. Po prostu stwierdza, że sprawy, poruszane w «Kamenie», są jej absolutnie obce i obojętne. Nawet nie bawi się w «wypada» i nie uważa za swój obowiązek poparcie mizerną kwotą czterozłotową (bo tyle wynosi roczna prenumerata «Kameny») tej placówki. Więc może w przyszłym roku rubrykę *Pro urbe sua* znieść zupełnie wypadnie. Skoro nas więcej poza Chełmem niż w Chełmieczytają...”.

Napisaliśmy “może”, ale dział ten zlikwidowaliśmy. Jak słuszny był nasz krok, przekonaliśmy się o tym wkrótce. W pierwszym numerze powakacyjnym znalazł się artykuł Stanisława Czernika *Poeci Lubelszczyzny.* Po ukazaniu się tego zeszytu w miejscowej “Kronice Nadbużańskiej” zamieszczono anonimową recenzję, której autorem był Kazimierz Czernicki, pt. *Chełm “stolicą” pomylonego grafomaństwa.* Na wstępie recenzent stwierdzał, że “wydawanie pisma, poświęconego wyłącznie poezji, w dzisiejszej dobie zupełnej posuchy na prawdziwą poezję jest zjawiskiem niepoślednim, nie tylko dla Chełma, ale i dla całego kraju [...] jest to nie lada sukces wydawców i redaktorów tego pisma, że nie bacząc na bezmyślność i w ślad za tym idącą zupełną obojętność najbliższego otoczenia, potrafili wydać przez rok dziesięć numerów i posuwać dalej zaczętą pracę”.

A więc na razie wszystko w porządku i opierając się na takim wstępie, logicznie (gdyby nie tytuł) można by było założyć, że recenzja będzie przychylna. Ale oto, co czytamy dalej: “O ile jednak sam fakt rozpoczęcia i prowadzenia w Chełmie pisma poetyckiego jest godnym uznania i poparcia, o tyle znów treść «poezyj», drukowanych w «Kamenie», w każdym umiejącym czytać człowieku budzi bardzo poważne obawy i zastrzeżenia, którym należy publicznie dać wyraz.” Teraz zacytowawszy z artykułu Czernika zdanie: “Obecnie, gdy nad poezją naszą unoszą się pierwsze oznaki odrodzenia idącego od dołu, Jaworski przyjął na siebie ciężar przedstawicielstwa idących przemian - jako redaktor «Kameny» symbolicznie prawie w przedziwnej przypadkowości umiejscowił stolicą odradzającego się państwa poezji

polskiej w prowincjonalnym Chełmie", autor zaczyna ironizować: "A więc Jaworski przyjął ciężar przemian odradzającej się poezji polskiej, czyli innymi słowy został «z bożej łaski» królem poezji polskiej i przypadkowo uczynił Chełm stolicą. Przecież to jest wyraźne. «Kamenę» zatem należy uważać za coś w rodzaju «Monitora», gdzie wszystkie «manifesty» króla i reskrypty ministrów będą ogłaszane".

Z kolei recenzent zaczyna omawiać kilka wierszy. "Poszukajmy najpierw, co pisze król. Mamy szczęście i zaszczyt znaleźć w tym numerze utwór «królewski». Jest to *Itinerarium* (darujcie, że nie mając pod ręką słownika nie będę mógł napisać, co to ma znaczyć)". Tu przytacza in extenso wiersz, który znalazł się później w zbiorku W *połowie drogi,* po czym wyprowadza wniosek: "«Królowi» i jego «ministrom» wydaje się, że to «poezja», a w rzeczywistości jest to zwykła sztubacka grafomania. Posłuchajmy teraz wynurzeń «ministrów»". Zacytowany w całości wiersz Madeja - *Kształty* ocenia za pomocą pytań: "gdzie rytm, gdzie rym, a gdzie właściwie i w czym sens?" Potem ironizuje na temat wiersza Jana Brzękowskiego, przyczepia się do "bardzo soczystego wyrazu" w artykule Czuchnowskiego: "Mówiąc o dzisiejszej bezpośredniości oddzielamy ją od młodopolskiej laksy o całą epokę". Wyraz "laksy" wyróżnił tłustym drukiem, a potem puszcza płaski dowcip: "należy stwierdzić na podstawie dwu ostatnich utworów, że mają oni [tzn. piszący w "Kamenie" - przypis mój] nie laksę, ale ciężkie zatwardzenie i zamroczenie umysłów". I wreszcie ostateczny wniosek: "To nie poezja a choroba umysłowa - mania pisania i mania zostania wielkim. Całe szczęście, że nasza «stolica» posiada odpowiedni zakład, który w razie przybrania niebezpiecznej dla otoczenia i samych pacjentów formy może przyjąć tych nieszczęśliwców chorych na «odrodzenie poezji polskiej»".

Dziś, gdy odczytuję tę recenzję, budzi ona we mnie sprzeczne uczucia: z jednej strony wydaje mi się arcyśmieszna w swym prostactwie, godzącym wbrew zamierzeniom autora nie w nas, ale w niego samego, z drugiej strony napełnia mnie smutkiem, gdy pomyślę o losie recenzenta i jego synów, o tym, że ten wycinek z gazety jest wymownym świadectwem przemijania wszystkich naszych namiętności - myśli, wrażeń, przeżyć. Nie ma już człowieka, który chciał nas ugodzić mściwym piórem, który był małostkowy w życiu codziennym, a okazał się wielki w skali historycznej i w obliczu śmierci. I nie ma Zenka, który jak i ja przejął się tym pierwszym wyrazem opinii rodzinnego miasta o naszych poczynaniach wydawniczych, tą wytworną "laurką" kwitującą pracę w "Kamenie".

Autora poznaliśmy po niewybrednym stylu, choć z jakichś względów (na pewno nie przez tchórzostwo) nie podpisał się pod tą inwektywą. "Kronikę Nadbużańską" wydawało Stowarzyszenie Przyjaciół Kultury Polskiej w Chełmie, a jako redaktor odpowiedzialny podpisywała ją nie znana nam bliżej p. Maria Solska. Cośmy jej zawinili, że puściła tę recenzję? Widocznie podzielała zdanie autora. Ale czyżby solidaryzowali się z nią i "przyjaciele kultury polskiej w Chełmie?" W takim razie uważali nas za wrogów tej kultury. Najprawdopodobniej jednak nic nie wiedzieli o zamierzonym na nas ataku. Tak; mimo to też są odpowiedzialni, skoro ich stowarzyszenie firmuje to wydawnictwo.

Odpowiedzieliśmy listem wystosowanym do Stowarzyszenia Przyjaciół Kultury

Polskiej w Chełmie na ręce prezesa p. Antoniego Pikulskiego, ówczesnego inspektora szkolnego. Uważam, że odpowiedź nasza pisana na gorąco, była utrzymana w zbyt ostrym tonie, ujawniającym nasze oburzenie i sprawiającym przez to satysfakcję autorowi napaści.

Pisaliśmy: “[...] ton i treść artykułu anonimowego autora, kryjącego się za plecami Stowarzyszenia, urąga wszelkim zasadom krytyki i przyzwoitości dziennikarskiej. Uważamy, że brak kultury i głupota ziejąca ze szpalt owego artykułu nie podniosą prestige'u Stowarzyszenia Przyjaciół Kultury Polskiej w Chełmie jako wydawcy «Kroniki Nadbużańskiej». [...] Suponujemy, że umieszczenie tego artykułu stało się za wiedzą i zgodą Komitetu Wydawniczego wymienionego Stowarzyszenia. [...] Wstydzimy się za miasto, którego jesteśmy mieszkańcami i za jego przedstawicieli kultury; obowiązkiem naszym jest reagować na wylewanie kubłów cuchnących słów na cudze podwórka przez ludzi lubujących się w grzebaniu w morzu pomyj. Nadużywają oni w głupocie swojej określeń, o których znaczeniu pojęcia nie mają, wytwarzając przez to atmosferę kloaczną, czyniąc właśnie Chełm stolicą chamstwa i bagnem parafiańskiej ignorancji. [...] Kończąc ten list domagamy się ze strony Stowarzyszenia Przyjaciół Kultury Polskiej w Chełmie wyczerpującego wyjaśnienia w tej sprawie na szpaltach «Kroniki Nadbużańskiej», pełnego zadośćuczynienia i likwidacji niepoczytalnych analfabetów redakcyjnych”.

“Pełne zadośćuczynienie” otrzymaliśmy w dwa tygodnie później na łamach chełmskiego tygodnika w “Oddźwiękach literackich”. To samo pióro (znowu poznaliśmy je po stylu) stwierdzało - nie wiem, czy słusznie - że “felieton [...] napisany na skutek nadesłania do Redakcji egzemplarza recenzyjnego «Kameny» wywołał żywy oddźwięk wśród naszych czytelników zyskując prawie jednomyślne uznanie”.

Autor zacytował nasz list z małymi wyjątkami i pisał dalej: “Zarząd Stowarzyszenia Przyjaciół Kultury Polskiej w Chełmie na jednym ze swych posiedzeń rozpatrzył sprawę. Po gruntownym przestudiowaniu recenzji o «Kamenie» doszedł do wniosku, że zarówno treść jak i forma felietonu, uprawniająca do użycia pewnych przenośni i określeń, nie wykraczały poza ogólnie przyjęte sposoby pisania. Wobec czego Zarząd przekazał list wspomnianej Redakcji do odpowiedniego zużytkowania. Redakcja zaś po dokładnym przestudiowaniu listu pp. «poetów» doszła do wniosku, że to «chamstwo, głupota, brak kultury, pomyje i atmosfera kloaczna», którymi redaktorzy i wydawcy «Kameny», zasłaniając się przed nielitościwym ostrzem sprawiedliwej krytyki, nie mogą jej dosięgnąć. Sprawa zaś «obrażonych» «wielkości» jest tak drobną, a przy tym tak jasną, że wystarczy dla miej zwykły sąd opinii publicznej naszych czytelników. [...] my na poparcie swego sądu przytaczaliśmy całe «poematy», zdania i wyrażenia używane w «Kamenie». A oni jakie dają rzeczowe argumenty? [...] Oni się «wstydzą» (i mają czego) za swoje miasto, w którym mieszkają. My się zaś nie mamy potrzeby wstydzić”. Artykuł kończył się z patosem: “Niech tam sami czytelnicy zwyczajnym ludzkim rozumem rozstrzygną, kto w tej sprawie ma rację. My się tego wyroku nie boimy i apelacji wnosić nie będziemy.

Wierzymy w vox populi". A pod tym oświadczeniem, które zdawało się być ostateczną klamrą zamykającą wywody autora, figurowało charakterystyczne: (c.d.n.). Charakterystyczne, bo znamionujące złośliwość: niech się oni podenerwują jeszcze, że to nie koniec, że jeszcze im zaleję sadła za skórę.

Ale dla nas treść tego oświadczenia była jasna; Stowarzyszenie Przyjaciół Kultury Polskiej nie odżegnało się od treści felietonu. Przeciwnie, uznało, że "nie wykraczał poza ogólnie przyjęte sposoby pisania". Echa tej całej drobnej w gruncie rzeczy sprawy, ale stanowiącej bądź co bądź przyczynek do charakterystyki ówczesnej prowincji - dlatego tu o tym piszę - znalazły się potem w "Kurierze Porannym" i w tygodniku warszawskim "Dekada" (artykuł *Chełm i "Kamena"),* na co znowu replikowała "Kronika Nadbużańska", tłumacząc wykrętnie, że "Chełm posiadający swą historię i tradycję w pracy kulturalno-oświatowej, jako miasto powiatowe liczące 30 000 mieszkańców, nie jest bynajmniej 100 proc. prowincją, choćby dlatego, że ma ludzi ambitnych i wytrwałych, którzy redagują «Kamenę» i «Kronikę Nadbużańską» i zarówno z jednej jak i z drugiej strony wkładają maksimum pracy zupełnie bezinteresownie. O ile «Kamena» jest albumem poetyckim, w którym reprezentowani są wszyscy młodzi poeci z całego kraju, o tyle «Kronika Nadbużańska» jest jedynym tygodnikiem poruszającym zagadnienia polityczne, społeczne i gospodarcze naszego regionu [...]. Towarzystwo Przyjaciół Kultury [...] szanując poglądy jednostek i wolność słowa, w imię pogłębienia prawdy udziela miejsca na łamach swego pisma wszystkim, którzy mają indywidualne poglądy na pewne zagadnienia, aby się podzielić nimi ze społeczeństwem" (oczywiście pisał Czernicki o sobie). I znów patetyczne zakończenie "W obronie kultury miasta musimy zabrać głos, że Chełm nie zasłużył na miano prowincjonalnej dziury zaludnionej kołtunerią, a przeciwnie był i jest osrodkiem promirniującym kulturą i oświatą na okolicę".

A myśmy byli zadowoleni, że uprzedzając niejako napaść chełmskiej abdery, już we wrześniowym numerze usunęliśmy rubrykę *Pro urbe sua*.

XIII. Z LOTU PTAKA



Przecięliśmy więc węzeł łączący pismo z Chełmem, w którym mieszkaliśmy, pracowaliśmy jako nauczyciele i wydawali “Kamenę”. W dalszych latach staraliśmy się w miarę możliwości kontynuować linię wytkniętą w numerze dziesiątym. A więc w drugim roczniku rozwinęliśmy dyskusję zapoczątkowaną artykułem Czernika *Treść i forma.* W publicystyce poetyckiej, poza przyszłym redaktorem “Okolicy Poetów” i Czuchnowskim, zabrał jeszcze głos Brzękowski, a więc wypowiedziała się czołówka awangardy. Zwróciłem się również do redaktora nie wychodzącej już “Zwrotnicy” - Tadeusza Peipera, prosząc o zabranie głosu, ale na razie spotkałem się z rekuzą: “W polemice o treść i formę ujawnili awangardziści tyle złej woli, a nieawangardziści tyle niewiedzy, że udział mój w polemice musiałby być czynem krwawym [...]. Gdy pierwsze etapy roztrząsań nadadzą sprawom dojrzałość, zabiorę głos”. (27 I 1935). Oprócz publicystyki poetyckiej w roczniku drugim, podobnie jak i w pierwszym, tylko w większej liczbie, znalazły się artykuły na określone tematy literackie lub o charakterze informacyjnym, eseje lub po prostu dłuższe noty będące wprowadzeniem do przekładów. Począwszy od trzeciego roku ten rodzaj artykułów zapanuje w “Kamenie” całkowicie, usuwając publicystykę o wyraźnym zabarwieniu polemicznym.

Od drugiego rocznika “Kamena” wprowadza stały dział recenzyjny. Prozę omawia Józef Nikodem Kłosowiski, rzadziej Zenon Waśniewski, poezję - przeważnie redaktor miesięcznika, prócz tego Stefan Napierski, Hieronim Michalski, Zbigniew Bieńkowski i in.

Powiększa się krąg piszących. Przybywają nowe nazwiska, ale i ubywają niektóre dawniejsze. W roczniku drugim np. poetów wileńskich reprezentuje tylko Anatol Mikułko, za to pojawiają się “S-iści”: Jan Kott, Ryszard Matuszewski i Włodzimierz Pietrzak, który najdłużej z tej trójki utrzymywał kontakt z “Kameną”. Zaczynają m. in. drukować Stanisław Bąkowski, Olga Daukszta, Paweł Hertz, Tadeusz Hollender, Czesław Janczarski, Mieczysław Jastrun, Tadeusz Sarnecki, Włodzimierz Słobodnik i Jan Śpiewak. Przyłączy się do nich Stanisław Ryszard Dobrowolski, Jan Bolesław Ożóg, Leon Pasternak, Seweryn Pollak, Ludwik Swieżawski, Jerzy Kamil Weintraub, Juliusz Wit, Stanisław Wygodzki. W ostatnich rocznikach z poetów przybyli: Zbigniew Bieńkowski, Antoni Bogusławski, Jan Nepomucen Miller, Helena Wielowieyska, Tadeusz Zelenay. Niektórzy z nich występowali w “Kamenie” wcześniej w innym charakterze. Drukowaliśmy Tuwima jako tłumacza Puszkina i tatrzańskie wiersze Broniewskiego i Wierzyńskiego. Oczywiście nie wymieniam tu wszystkich nazwisk.

Archiwum Wydawnictwa Literackiego Fundacja z dn. 31 lipca 2008

Chociaż “Kamena” przede wszystkim była poświęcona poezji, jednak już i w pierwszym roczniku zaczęliśmy uwzględniać w mniejszym stopniu prozę. Z opowiadaniami, fragmentami powieści czy prozą poetycką wystąpili m. in. Adam Bielecki, Tadeusz Bocheński, Józef Czechowicz, Marian Czuchnowski, Henryk Domiński, Władysław Dunarowski, Kornel Filipowicz, Aniela Fleszarowa, Lew Gomolicki, Zbigniew Jasiński, K. A. Jaworski, Wit Kasperski, Józef Nikodem Kłosowski, Leo Lipschutz, Antoni Madej, Kornel Makuszyński, Anatol Mikułko, Witold Mileski, Konstanty Jodko Narkiewicz, Włodzimierz Pietrzak, Stanisław Piętak, Seweryn Pollak, Jerzy Mieczysław i Helena Rój, Rytardowie, Bruno Schulz, Maria i Jan Alfred Szczepańscy, Kazimierz Truchanowski, Zenon Waśniewski, Bronisław Krystyn Wierzejski, Jan Wydra, Juliusz Żuławski.

Bogato był reprezentowany dział przekładów. Słowiańszczyzna wszechstronnie, z

wyjątkiem tylko poezji słoweńskiej. Prócz tego, podobnie jak w pierwszym roczniku, uwzględnialiśmy dość szeroko poezję niesłowiańską: angielską, amerykańską, francuską, niemiecką, rumuńską i włoską. Z angielskiej - tłumaczył Stanisław Helsztyński, F. Arnsztajnowa, J. Czechowicz, A. Messing i J. K. Weintraub. Z niemieckiej - głównie P. Hertz, S. J. Lec, L. Lewin, S. Napierski, J. K. Weintraub i Z. Waśniewski, z rumuńskiej - T. Hollender, z włoskiej - S. Bąkowski, Jalu Kurek, J. Wieleżyńska i ja.

Najwięcej uwagi z literatury zachodnio-europejskiej poświęcaliśmy poezji francuskiej, najwięcej też tutaj wystąpiło tłumaczy. O specjalnym numerze poświęconym poezji francuskiej mówię obszerniej w innym rozdziale. Oprócz poetów, którzy tłumaczyli do tego zeszytu, przekładali z francuskiego Franciszka Arnsztajnowa, Tadeusz Bocheński, Józef Czechowicz, Wanda Markiewicz, Artur Sandauer, Jadwiga Ważewska, Julia Wieleżyńska i Alfred Wizner.

Prócz tego w roczniku drugim znalazły się wyjątki eposu fińskiego *Kalevala* (w moim przekładzie z wersji rosyjskiej) i eposu estońskiego *Kalevipoeg* (w tłum. Z Waśniewskiego z wersji niemieckiej). W roczniku trzecim poświęciliśmy dwie kolumny współczesnej poezji łotewskiej. Przekładu dokonałem na podstawie tłumaczenia francuskiego Elsy Sterste *(Poèmes lettons,* Riga 1931). Do tych trzech wyimków z poezji narodów bałtyckich wstęp napisał Sergiusz Kułakowski. W tym samym roczniku - klasyka: cztery wiersze Horacego w przekładzie Tadeusza Bocheńskiego.

Wreszcie trzeba wspomnieć o kilku przekładach prozy z duńskiej literatury J. P. Jacobsena tłumaczył Józef Mondschein, z estońskiej - fragment noweli *Białe noce* Augusta Gailita - Alicja Maciejewska, z francuskiej - M. Prousta (urywek) J. Czechowicz, z angielskiej - G. Mereditha - Ja Wa(żewska).

Pomijam tu na razie literaturę narodów słowiańskich.

XIV. LUDZIE I EPISTOLOGRAFIA

Kiedy w październiku pamiętnego r. 1939 po wycofaniu się za Bug wojsk radzieckich Chełm zajęli hitlerowcy, w obawie przed możliwą rewizją i jej skutkami postanowiłem zniszczyć archiwum “Kameny”, w którym znajdowało się wiele listów mogących skompromitować mnie i ich autorów w oczach gestapo oraz spalić niektóre pisma i książki w mojej bibliotece. Do dziś nie mogę odżałować białego kruka - *Brunatnej księgi,* która pierwsza stała się pastwą ognia. A więc i ja z kolei na małą skalę jakby powtórzyłem autodafé - berlińskie. Gdy jednak przystąpiłem do przeglądania i segregowania nadesłanych materiałów i tego, z grubsza biorąc, tysiąca listów od przyjaciół i współpracowników “Kameny”, taki żal mnie ogarnął na myśl, iż miałbym się pozbyć tych widomych śladów ludzkiej serdeczności, wśród których znajdowały się dowody bezinteresownej przyjaźni osób niezmiernie mi bliskich, choć często osobiście nie znanych, i autografy ludzi z głośnym w literaturze nazwiskiem, że ograniczyłem się jedynie do zniszczenia korespondencji mniej wartościowej, pozostawiając w całości olbrzymią większość archiwum bez względu na niebezpieczeństwo, jakie mogłoby grozić, gdyby te materiały znalazły się w rękach wroga. Wprawdzie rewizji u mnie nie przeprowadzano, nie uchroniło mnie to jednak od znalezienia się w obozie koncentracyjnym. Ale dzięki opiece żony ocalało mnóstwo listów (liczba ich powiększyła się znacznie po wznowieniu pisma w r. 1945), stanowiących w sumie historię “Kameny”, jej “blasków i nędz” i zawierających sporo zwierzeń osobistych, sądów o ówczesnej literaturze i ciekawych przyczynków do życia i poglądów autorów korespondencji, z których wielu już dzisiaj nie żyje. Niektóre fragmenty tych listów przytaczałem w poprzednich rozdziałach, tutaj zajmę się tą korespondencją obszerniej.

Lublin literacki, “żagaryści” wileńscy, lwowskie “Sygnały”, awangarda krakowska, warszawscy “S-iści”, literaci łódzcy, poznańscy “promiści”, Czernikowy Ostrzeszów, taternicy i maryniści, luzem chodzący “dzicy”, nadto Czesi i Słowacy, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini i Bułgarzy - wszystko to przewinęło się na łamach “Kameny”, i mam listy wielu tych ludzi. Spotykałem się czasem z żartobliwym zdaniem: “Jaworski prowadził «Kameną» zza biurka”. Istotnie, prawie się nie ruszałem z prowincjonalnego Chełma, nie wyjeżdżałem w “teren” dla pisania reportaży, moje bezpośrednie kontakty z literatami poza Lublinem były raczej przypadkowe podczas stałych letnich wyjazdów do Zakopanego, rzadko do Warszawy, raz - do Lwowa, - niemniej jednak utrzymywałem łączność z półtora setką ludzi w całej Polsce i za granicą, wymieniałem “Kamenę” z kilkudziesięcioma pismami (nie tylko polskimi) i w miarę swych możliwości gorzej czy lepiej, ale konsekwentnie prowadziłem swoją politykę: Polska lewicowa, anty faszyzm, Słowiańszczyzna, poezja, popieranie młodych talentów.

Teraz grzebiąc się w setkach tych papierów, wśród których wiele stanowi dla mnie drogą pamiątkę, bo kreśliły je ręce, będące już kośćmi w ziemi, a dyktowało ich treść życzliwe i gorące serce, przeżywam jakby na nowo lata “górnej i durnej” młodości.

JÓZEF CZECHOWICZ

Oto paczka listów i kartek od Czechowicza. Jest ich 33, kilka z okresu jeszcze przedkamenowego, kiedy ta grupa literatów w Lublinie myślała o założeniu własnego pisma. “Pertraktujemy *z* Boyem o odczyt - pisze w jednym z nich. - Dochód [...] przeznaczony będzie na własny organ, o którym zresztą zadecyduje walny zjazd jesienny” (16 VI 1932). “Co do pisma własnego, trudno o nim myśleć (z braku funduszów)” - skarży się jesienią tegoż roku. A w kilka miesięcy potem anonsuje: “Forsa na «Strefę» jest. Afisze reklamowe już się drukują” (10 VI 1933). Ale ochrzczone po apollinaireowsku dziecię umarło jeszcze przed połogiem: “Strefa” nie ukazała się w ogóle.

Jaka była opinia Czechowicza o pierwszym numerze “Kameny”, o tym była już mowa. Wspomnę jeszcze o innych listach, choćby się nie zawsze wiązały z chełmskim miesięcznikiem.

W cyklu swych wierszy o prowincji Czechowicz pominął Chełm. Upominałem się niejednokrotnie o uwzględnienie i mego rodzinnego miasta. *“Chełm,* otrzymasz. Cierpliwości” (13 XI 1933). Obietnicy tej jednak nie spełnił: Krasnystaw, Zamość i Kazimierz okazał się pod tym względem uprzywilejowany. W tym samym liście kilka słów o “Kamenie”: “Czy wiesz, że tu, w Warszawie, wszyscy bardzo sobie «Kamenę» chwalą i cenią i żałują, że nie prezentuje się lepiej pod względem graficznym.” W liście z lutego 1934 r.:

“O «Kamenie» myślę, że ma wielkie znaczenie, a może mieć jeszcze większe, ale trzeba zaprzęgnąć do roboty trochę teoretyków, mam na myśli młodych. [...] dobrze by było po wakacjach zmienić szatę graficzną. Nawet sobie to układałem w wyobraźni. W tejże głupiej drukarni chełmskiej można osiągnąć inne efekty przez zmianę układu [...]. Nie zaszkodziłoby także sformułowanie kanonu estetycznego i światopoglądowego «Kameny» - niekoniecznie dla publiki, ale bardziej na użytek własny, bodaj w charakterze miary redakcyjnej, używanej wewnątrz pisma. Formułowanie takie bardzo pomaga nam samym. Polecam ci je gorąco”. (Uczyniliśmy to, jak wspominałem, w numerze 10, zamykającym pierwszy rocznik).

Zanim tu jeszcze przytoczę kilka listów Czechowicza naświetlających tę ciekawą indywidualność, opowiem o naszej znajomości.

O Józiu usłyszałem po raz pierwszy od Wacka Gralewskiego wiosną 1923 r., kiedy przebywałem w Lublinie korzystając z urlopu nauczycielskiego dla ukończenia uniwersytetu. Gralewski opowiadał mi wiele o fenomenalnym młodzieńcu, który mieszkał wtedy gdzieś na dalekiej prowincji, a który wykazywał duże zdolności literackie. Miał jego rękopisy. Pamiętam, że utwór *Megaspileon i morze*, którego zresztą Czechowicz nigdy nie ogłosił drukiem, podobał mi się bardzo: jego proza poetycka uderzała świeżością, nieskazitelną polszczyzną, a obrazy roztaczane w niej pod wyraźnym wpływem Słowackiego i Micińskiego świadczyły o bogatej fantazji nie znanego mi autora. W parę miesięcy później w wydanym przez Gralewskiego

pierwszym, a właściwie wstępnym numerze “Reflektora” - (jeszcze przed powstaniem grupy pod tą nazwą), ukazała się proza poetycka Czechowicza, *opowieść* o *papierowej koronie.* Tak się niefortunnie złożyło, że redaktor pisma przeoczył brak nazwiska pod utworem... W ten sposób Czechowicz miał debiut anonimowy!

Potem poznałem poetę osobiście i wraz z Tadeuszem Bocheńskim współpracowałem w dalszych numerach tego pisma, będącego już organem grupy, z której wystąpiłem w maju 1925 r., czego “Reflektor” w swym ostatnim zeszycie (nr 3) nie ogłosił mimo wystosowanego przeze mnie do redakcji oświadczenia w tej sprawie. Oświadczenie to zamieścił red. Tadeusz Bocheński w numerze 4 “Nowego Życia”. (Ustąpienie moje z grupy Reflektora nie miało nic wspólnego z odmiennym “stosunkiem do sztuki”, jak o tym wspomina Konrad Bielski w swych wspomnieniach *(Most nad czasem,* str. 188). Powodem jego były sprawy osobiste: starając się o paszport ulgowy w związku z wyjazdem do Włoch, prosiłem redakcje “Robotnika” i “Reflektora” - pism, z którymi byłem związany, o zaświadczenie, że współpracuję z nimi jako literat. “Reflektor” moją prośbę zlekceważył. W liście do redakcji, pisząc o swoim ustąpieniu z grupy właśnie z tego powodu, wyraźnie zaznaczyłem: “«Robotnik», którego jestem współpracownikiem, przysłał mi o co prosiłem natychmiast, choć nie wiążą mnie z nim ani węzły koleżeńskie, jak z niektórymi członkami «Reflektora», ani wspólny program estetyczno-poetycki” 23 V 1925).

Kontakty moje z Czechowiczem stały się żywsze, gdy w 1925 r. drukowaliśmy wspólnie swoje wiersze w dodatku literackim “Przeglądu Lubelsko-Kresowego”. Dziwna rzecz: te najwcześniejsze poezje Czechowicza, w których już częściowo uderzał w ton ludowy, a częściowo ulegał wpływom uwielbianego wtedy przez nas wszystkich Błoka, nie zapowiadały jeszcze przyszłego wybitnego poety. Dopiero wydany w r. 1927 w “Bibliotece Reflektora” *Kamień* (uderzająca oryginalnością publikacja: duży format, zwykły papier pakowy, brak interpunkcji), zawierający 13 wierszy, zwrócił na autora powszechną uwagę: tak świeży, nowatorski i samoswój okazał się w nim poeta. To tutaj znalazł się jeden z piękniejszych liryków Czechowicza - “Na wsi”.

Choć z autorem *Kamienia* byłem “na ty”, stosunku naszego nie nazwałbym przyjaźnią, było to raczej bliskie koleżeństwo: łączyło nas wspólne umiłowanie poezji. Zresztą mieszkałem w Chełmie, do Lublina nie zaglądałem zbyt często, toteż bezwzględnie bliżsi Czechowiczowi byli Bielski i Gralewski, z którymi się stykał ustawicznie i którzy mieli możność lepiej ode mnie poznać go w życiu codziennym nie tylko jako poetę, ale i jako człowieka. Mnie ujmowała zawsze jego żywa reakcja na piękno słowa poetyckiego, delikatność uczuć, głęboka miłość do matki i... jego infantylizm. Bo że był infantylny, o tym świadczą wszyscy, którzy bliżej z nim żyli. Ale czyż prawdziwy poeta nie ma w sobie czegoś z dziecka?

W parą lat potem, po założeniu w Lublinie Związku Literatów i rozpoczęciu na szerszą skalę wypadów na prowincję lubelską i dalej - do Białegostoku czy Równego z

wieczorami autorskimi, w których brali udział częściowo niektórzy reflektorzyści, a częściowo młodzi, co się do nich dołączyli, znów stykałem się bliżej z Czechowiczem. Dwukrotnie zaglądał on do Chełma. Z drugim z tych wypadów w r. 1935 kojarzy mi się zabawne wspomnienie. Wtedy to po odbytej imprezie Józio zniknął nagle jak kamfora i znaleźliśmy go po dłuższym poszukiwaniu w jednej z knajp chełmskich (której właścicielem był ex-nauczyciel, kolega Czechowicza) w stanie bardziej niż podochoconym, flirtującego z fordanserką... Zachowywał się przy jak dziecko ucieszone ze spłatanego figla. Z trudem wyciągnęliśmy go stamtąd i odprowadzili do mojego mieszkania, gdzie skutki libacji nie kazały na siebie długo czekać. W październikowym liście z tego roku sumitował się z zażenowaniem: “Bardzo Cię przepraszam, za ów występ w Chełmie. Wierz mi, że wcale nie jestem taki «pijus», na jakiego patrzę. Sam nie wiem, co mi się wówczas stało i dlaczego tak to głupio wyszło...” Wspominam o tym, bo był to jedyny wypadek, kiedy widziałem Czechowicza nietrzeźwego, a przy tym zachowującego się w tym stanie jak niegrzeczne dziecko. No i ten list z przeprosinami: Józio był bardzo uważający na formy towarzyskie, dbał o przestrzeganie konwenansów, przysyłał życzenia noworoczne i wigilijne, wspominając w korespondencji o śmierci dr Arnsztajna, pouczał: “uważam, że wypada, abyś list z kondolencjami wysłał” (- do matki, poetki Arnsztajnowej).

W posiadanych przeze mnie listach Czechowicza jest sporo ciekawych wyznań poety o sobie i ludziach. “Ach, miły, czy wiesz, że nazywają mnie «opętany przez wiersze». Ostatnio tłumaczę Pasternaka, ale to oporna sztuka” (3 XI 1932). “Tłumaczę niespolszezone dotąd poezje Rimbauda i coś wydaje mi się, że to ładnie idzie” (1932). “Ostatnio coraz bardziej odchodzę od spraw społecznych. Chłonę Anglików i Francuzów. Cokolwiek by mówili awangardziści krakowscy, nie wierzę, że wśród starych pisarzy nie ma geniuszów. A są i wielkie talenty [...]. Odkryłem Coleridge'a. W Blake'u kocham się od dawna. I wiesz, Anglicy «biorą mnie» bardziej niż Francuzi - sojusznicy. A potem tak ciężko na duszy, gdy człowiek z Huxley'a lub Blake'a wpadnie w błotną kąpiel spraw literackich u nas”. (18 V 1935). “Mój tomik wyjdzie w listopadzie. Tytuł *Nic więcej* (ze św. Augustyna). Zawartość: zwariowane utwory o dość mocnym kośćcu kompozycyjnym oraz poemacik z zapachem skandalu...” (3 X 1935 - mowa o utworze *hildur i baldur).* “Uświadamiam sobie, że *Berła* nigdy nie napiszę”. (Pracował nad tą powieścią, o czym w prasie literackiej ukazywały się wzmianki i zapowiedzi). “Kto wie, czy pewnych fragmentów *Berła* nie wykorzystam w formie wierszy. Zobaczymy”. (3 X 1935).

I najciekawsze wyznanie: “Rozkoszuję się życzliwymi bajdurkami podawanymi w prasie jako recenzje z mego tomu. Przy okazji dziwię się, że ani zawodowi krytycy, ani poeci nie mogą dojść do sedna rzeczy, nie rozumieją, iż moją ambicją twórczą nie jest pisać wiersze w łańcuchach: Żytomirski - Tuwim (obojętnie, czy gorzej od Żytomirskiego a lepiej od Tuwima i na odwrót). Chodzi mi o to, że jestem poza tym rzędem, wędrując po drodze ku poezji transcedentalnej podczas gdy tamci, gorzej czy lepiej robią poezję immanentną. Ale zdaje mi się, nie doczekam się za życia tego właśnie sformułowania krytycznego, choć gwiazdy wróżą mi 80 lat pobytu na naszej dziwnej “gwieździe” [...]” (6 III 1936 r. - w trzy i pół roku później zginął).

Jak cytuje Wiesław Szymański w *Balladach przed burzą* (str. 173), Czechowicz na miesiąc przedtem w liście do Stanisława Piętaka z dn. 6 II 1936 wyraził się o "Kamenie" i o mnie w ten sposób: "A na «Kamenę» gwiżdżę. Jak się okazuje, Kaj nie ma krztyny taktu, co się wyraźnie okazało w sprawie z Zawodzińskim". Jak ten mój brak "taktu" wyglądał i o co Czechowiczowi chodziło, należy tu wyjaśnić. Ale to dłuższa historia.

W numerze 4/5 "Okolicy Poetów" z r. 1935 w rubryce *Wymiana poglądów* zabrał m. in. głos Czechowicz, który na pytanie: "czy krytyka poetycka odpowiednio spełnia swoje zadania i czego poeta żąda od "krytyki" wypowiedział się bardzo ostro, atakując niedwuznacznie, choć nie wymieniając nazwiska, K. W. Zawodzińskiego, krytyka i recenzenta poetyckiego "Wiadomości Literackich". Oto jak brzmiał ten fragment:

"Krytykę polską oskarżam, oskarżam, oskarżam... Od krytyków należy wymagać bezstronności, odczuwania poezji (tego chyba brak im najwięcej), wreszcie szerokiego światopoglądu filozoficznego, opartego na studiach, nie zaś na poobiedniej lekturze popularyzatorskiej w rodzaju przemiłego skądinąd J. Jeansa. Żądamy analizy, nie kadzidła, towarzyszenia naszym wysiłkom, nie pouczania nas. Żądamy kryteriów, ale nie sztywnych jak drewno trumny - kryteriów, które dawałyby coś żywego w zestawieniu z tworami poetyckimi. Żądamy także uczciwości handlowej - jeżeli entuzjastyczna recenzja z tomu, popełnionego przez ważnego współpracownika jakiegoś tygodnika literackiego, jest w następstwie zapłacona posadą stałego recenzenta w tymże tygodniku, to dlaczego ma o tym wiedzieć tylko 10 osób? Interes jest interesem. Kto będzie chciał czytać interesowne recenzje, weźmie do ręki produkty owego recenzenta. A kto będzie chciał czytać recenzje interesujące, weźmie się do lektury innych pism literackich. To takie proste".

Ale *casus,* który na skutek tej wypowiedzi Czechowicza powstał, wcale nie był taki prosty. Przede wszystkim skąd płynął rankor poety w stosunku do Zawodzińskiego? Z pewnych zastrzeżeń, jakie krytyk wysuwał w stosunku do jego poezji? Ale przecież to wynikało z obiekcyj, jakie Zawodziński miał w ogóle wobec "nowej liryki", tzw. "awangardy". A Czechowiczowi przyznawał "przyrodzony szlachetny patos", "zdolność uchwycenia chwili w tym, co jest w niej wieczne i w treści irracjonalne". Nazywał go "niewątpliwym poetą", tylko przeciwstawiał się jego "szkodliwym dziwactwom" (cytaty wzięte z recenzji *W błyskawicy* w "Roczniku Literackim" (III) za rok 1934). Więc może w ogóle z przewrażliwienia poety, z jego "noli me tangere?". Tak czy inaczej Zawodziński słusznie poczuł się obrażony zarówno na Czechowicza, jak i na Czernika, jako redaktora, który zamieścił w swym piśmie tego rodzaju insynuacje. W numerze 50 "Wiadomości Literackich" (r. 1935) ukazał się duży artykuł zatytułowany *Genus irritabile vatum,* w którym Zawodziński polemizując ze zwolennikami i obrońcami nowej poetyki, walczącymi z nim, jak powiada, "równą i nie zatrutą bronią", pozostając w polemice "w płaszczyźnie sprawy, o którą chodzi, w danym razie poglądów na poezję i uczciwie wedle swego najlepszego rozumienia wymierzających należne przeciwnikom", - w specjalnej części swego artykułu zatytułowanej *Uczciwa walka, a ciosy łotrowskie* występuje przeciwko "metodom walki stosowanej przez łajdaków, od których żaden świat, więc i światek poetycki nie jest wolny".

Oto co pisze w tej sprawie: “Zaczęło wychodzić w Wielkopolsce pisemko poświęcone rzekomo poezji, a właściwie mojej osobie. Bez wzmianki bowiem o mnie lub przejrzystych aluzji nie obszedł się dotąd żaden zeszyt [...]. W tym tedy piśmie, po rozmaitych przyczepkach i wycieczkach polemicznych oraz drobnych insynuacjach, które można było zbyć lekceważącym milczeniem, zjawiła się kalumnia grubszego kalibru. Wypłynęła ona spod pióra p. Józefa Czechowicza, poety skądinąd nie pozbawionego zdolności, zjawiając się jakby potwierdzenie tezy, bronionej przeze mnie w zeszłorocznym «Zecie», że talent artystyczny wcale jeszcze nie gwarantuje moralnej wartości człowieka. Nie wymieniono mego nazwiska, by utrudnić widać drogę sądową, ale żeby przejrzysty adres dla nikogo już nie pozostawiał wątpliwości, uwyraźnił go stawiając kropkę nad «i» sam redaktor na innym miejscu tegoż zeszytu. Samo już bezpodstawne rzucenie komuś w twarz krzywdzącej jego honor supozycji wydaje świadectwo autorowi bajki. Tak jak najłatwiej podnosi ręką na człowieka pijany cham, dla którego policzek mierzy się tylko siłą zadającej go pięści, tak człowiek bez czci, bez instynktu moralnego najłatwiej rani cudzy honor imputując niskie pobudki czynom innego.

Ale w danym wypadku mamy do czynienia więcej niż z lekkomyślnym szarpaniem cudzej czci, bo z wyraźną złą wiarą, świadomym kłamstwem, stojącym w sprzeczności z faktami publicznie znanymi i nie tajonymi nikomu, kto jak ci dwaj pisarze jest au courant życia literackiego, a specjalnie spraw poezji w Polsce”.

W dalszej części artykułu Zawodziński przytacza fakty: swą dziewięcioletnią blisko, “dosyć czynną” współpracę z “Wiadomościami Literackimi” przerwaną w r. 1931 “przez zatarg”, a wznowioną po powrocie z Brukseli (gdzie Zawodziński przez pewien czas prowadził na uniwersytecie katedrę literatur słowiańskich). “Zarówno w poprzedniej fazie współpracownictwa, jak i w roku bieżącym pisałem o poezji zachęcony specjalnie do tego przez redaktora, wkupywać się więc do grona współpracowników nie musiałem. Natomiast «posady stałego recenzenta» w tym tygodniku nie zajmowałem i nie zajmuję [...] za swoje dość rzadkie i zwykle niewielkie artykuły jestem wynagradzany «od wiersza», według stałej normy, która redaktorom pism honorujących «honorowo» i ich współpracownikom może się wydać zawrotna”.

Z kolei Czechowicz poczuł się obrażony i wystosował do “Kameny” pismo następującej treści:

Warszawa 11 grudnia 1935

Szanowny Panie Redaktorze

Proszę Pana uprzejmie o zamieszczenie poniższego oświadczenia:

“W 50 numerze «Wiadomości Literackich», pisma poświęconego także i literaturze, ukazał się artykuł odsądzający mnie od czci i wiary, a podpisany przez zdolnego

skądinąd kawalerzystę i krytyka, pana rotmistrza K. W. Zawodzińskiego. Nie będę się wdawał w polemikę z panem rotmistrzem Zawodzińskim i nie mam też zamiaru pojedynkować się z nim, bo sądzę, iż każdy nieuprzedzony czytelnik, zaznajomiwszy się z treścią i formą jego napaści, przyzna, iż do podobnych enuncjacyj, nie tyle kawaleryjskich, ile po prostu starokawalerskich można się ustosunkować tylko szyderczo.
Pan rotmistrz Zawodziński stara się pogrzebać mnie cywilnie w opinii publicznej. Ponieważ przypuszczam, iż będzie mu bardzo do twarzy w karawaniarskim «pierożku», ułatwię mu to zadanie.
Umrę cywilnie. Wycofam się z życia literackiego. Zastosuję bierny opór. Nie będę publikował swoich prac poetyckich ani też prozatorskich, ani artykułów, ani żadnej rzeczy, która moja jest.
Rad jestem, że możni naszego świata literackiego, serdeczni przyjaciele pana Zawodzińskiego, oszczędzą sobie fatygi ł nie będą musieli mnie «tępić i likwidować». Przez autolikwidację rozpocznę także nową erę w “stosunkach literackich w Polsce, bo, o ile mi wiadomo, nie było jeszcze u nas poety, by zastosował bierny opór...
Zechce Pan, Szanowny Panie Redaktorze, wybaczyć mi wzgardliwą i szyderczą formę niniejszego oświadczenia, ale sam Pan rozumie, że te żarty, to tylko smutna w naszych warunkach konieczność.

Racz Pan przyjąć etc.
Józef Czechowicz”

Ponieważ numer grudniowy (4) pisma był już złożony, pozostawało wolne miejsce tylko na okładce, a przesunięcie tej deklaracji do zeszytu styczniowego mogłoby ją zdezaktualizować. Dla mnie złożyło się to o tyle szczęśliwie, że mogłem, tłumacząc się brakiem miejsca, oświadczenie utrzymane w ironicznym i obraźliwym tonie skrócić, usuwając z niego zwroty dolewające oliwy do ognia. Poza tym stosunki moje z Zawodzińskim układały się jak najlepiej, do “Kameny” i mojej pracy przekładowej był usposobiony bardzo życzliwie, po cóż więc miałem angażować się po stronie Czechowicza, który pierwszy obraził Zawodzińskiego. Prócz tego uważałem, że jego oświadczenie było nie tylko obraźliwe, ale i bardzo niepoważne. Z drugiej strony stosunki łączące mnie z Józiem były takie, że nie mogłem mu odmówić w ogóle zamieszczenia jego deklaracji. Stonowałem więc ją, usuwając wstęp i złośliwie powtarzający się wszędzie przed nazwiskiem Zawodzińskiego jego tytuł wojskowy. Oświadczenie zamieszczone w “Kamenie” brzmiało w ten sposób:

“W ostatniej chwili otrzymaliśmy list od Józefa Czechowicza z datą 11 grudnia 1935 r. z prośbą o ogłoszenie go na łamach «Kameny». Z braku miejsca gdzie indziej, drukujemy tutaj najważniejszą część tego pisma, które pozostaje w związku z artykułem K. W. Zawodzińskiego zamieszczonym w 50 nr «Wiadomości Literackich», a odsądzającym Czechowicza, jak ten pisze, «od czci i wiary». Oświadczywszy z początku, że nie będzie się wdawał w polemikę, ani pojedynkował z K. W. Zawodzińskim, gdyż «każdy nieuprzedzony czytelnik, zaznajomiwszy się z treścią i formą jego napaści przyzna, iż do podobnych enuncjacyj można się ustosunkować tylko szyderczo», Czechowicz oświadcza: tu przytoczyłem in extenso dalszy ciąg deklaracji od zdania: “Pan Zawodziński stara się pogrzebać mnie cywilnie w opinii

publicznej”.

Postanowienie to zamknąłem słowami: “Ze swej strony nie wchodząc w meritum sprawy, uważamy, iż decyzji Czechowicza, powziętej, jak zresztą widać ze stylu oświadczenia, «na gorąco», nie należy brać poważnie. Nie sądzimy, by mający się wkrótce ukazać u F. Hoesicka zbiorek *Nic więcej* miał być łabędzim śpiewem autora *Dnia jak codzień*”.

Po ukazaniu się numeru 4 “Kameny” otrzymałem list otwarty od K. W. Zawodzińskiego, który wyraził żal, iż nie zabrałem głosu co do meritum sprawy, bo “rozejrzenie się w stwierdzeniach mojego artykułu ukazałoby słuszność supozycji Pana Redaktora, iż «decyzji Czechowicza nie należy brać poważnie». Przyłapany na operowaniu brudną insynuacją, udaje on, że jest przedmiotem «tępienia i likwidowania», podczas gdy nawet w tym artykule nie postawiony jest w wątpliwość jego talent poetycki wielokrotnie przeze mnie uwydatniany [...]. Byłoby wskazane, żeby «Kamena», organ poetów, przy tej sposobności z właściwą jego Redaktorowi uczciwością i poczuciem moralnym, zastanowiła się nad całą tą sprawą dla naprawy złych obyczajów w dziedzinie polemik literackich [...]. Decyzja p. Czechowicza niepojedynkowania się ze mną b. upraszcza sprawę, gdyż z jednej strony mundur, który noszę, obowiązuje mnie do dania satysfakcji honorowej, z drugiej strony osoba mego przeciwnika wywołałaby wielkie wątpliwości co do tzw. Satisfactiontatigkeit.

W numerze 5 “Kameny” również na okładce i w streszczeniu zamieściłem część tej wypowiedzi. W tym właśnie (w liście do Piętaka z dn. 6 II 1936) upatrywał Czechowicz brak u mnie taktu. Ale w liście z marca tegoż roku tak pisze do mnie w tej sprawie: “Ubodło mnie bardzo, że wydrukowałeś histeryczny list K. W. Zawodzińskiego. Wydawało mi się, że właśnie ty tego nie wydrukujesz. Ale już nie mam żalu. Postąpiłeś w swoim pojęciu szlachetnie, bo obiektywnie i nie mam żadnej podstawy do pretensji z tego tylko tytułu, że sam uważam za szlachetne postępowanie nieobiektywne”.

Opowiedziałem tu dość szczegółowo casus: Czechowicz - Zawodziński nie dlatego, by mnie obeszło “gwizdanie” Czechowicza na “Kamenę”, gdyż współpracował z pismem nadal, ale gwoli prawdzie, gdyż Szymański ograniczył się do cytaty z listu, a nie znał kulis całej sprawy. Poza tym wydaje mi się, że ta niepoważna decyzja Czechowicza zastosowania “biernego oporu”, której na pewno nie traktował serio, miała w sobie coś z tej infantylności poety, o której wspominałem.

Ale wróćmy jeszcze do korespondencji z Czechowiczem.

O wielkiej miłości do matki świadczy kilka jego pięknych wierszy. Oto wyjątek ze smutnego listu: “Jestem w Lublinie u matki śmiertelnie chorej. [...] nie żyję, lecz wegetuję. Moja biedna matusia ma raka, cierpi, kaprysi i jestem tak wyczerpany, tak wypompowany, że nie będziesz miał ze mnie pociechy czas dłuższy” (kwiecień 1936). Rozumiał i cudze cierpienia i wczuć się w nie potrafił. Franciszkę Arnsztajnową, seniorkę wśród literatów lubelskich, cenił i szanował niezmiernie (wspólnie wydali - Młoda Polska z awangardą - w r. 1934 wiersze o Lublinie *Stare*

kamienie), nazywał ją “staruszką”. “Staruszka to złote serce” pisał o niej w czerwcu 1932 r. A kiedy w zimie 1934 r. straciła syna, lekarza, wspomina o tym: “Jednak Arnsztajn umarł. Staruszka zupełnie złamana i na wpół przytomna. Strasznie mi jej żal” (4 II 1934).

Niektóre wypowiedzi Czechowicza o sobie i ludziach nie są pozbawione humoru, pewnej ironii, czasem złośliwości. Cenił “żagarystów”: “Zagórski i Bujnicki .b. dobrze, młodo i śmiało robią «Piony». [...] warto to czytać” (26 X 1932). A poznawszy osobiście Zagórskiego (1934) tak go charakteryzuje: “Poznałem Jerzego Zagórskiego, który okazał się b. miłym chłopcem mającym niezłe umeblowanie głowy w sprawach poetyckich, bo poza tym psychopata wspaniały, typu epileptoidalnego”. O “Zecie”, dwutygodniku warszawskim, tak się w tym liście wyraża: “Z dwojga złego wolę masonów niż mesjanistów”. W tym samym liście pyta: “Czyś czytał [...] tego chama [...]? Nie przejmuj się tymi epitetami. Zły jestem i w negliżu. Kultura się pierze i dlatego jestem goły psychicznie. Zresztą i chama zrobiła mama”. A na końcu rysuje bat, pod którym pisze: “chciałbym mieć taki bacik na niektórych bliźnich”.

Wspominając o trudnościach finansowych “Kameny” opatruje ją epitetem “poczytna” albo zachęca: “Rób dalej «Kamenę» - podziwia Cię Europa. Europa na Ciebie patrzy” lub oświadcza: “Cenię cię bardzo, Kaziu, i lubię, ale nie rób już tatrzańskich numerów «Kameny»” (3 X 1935), a na kopercie listu dwuwiersz: “Od tatrzańskich Kamen chroń nas, Boże, amen”. Wiersze swoje nazywa “wiekopomnymi”. O sobie pisze: “Sam jakoś wiesz - brak mi uroku osobistego i taktu towarzyskiego. Anarchiści gwiżdżą na wszystko”, albo: “Posyłam ci wiersz. Maniera znana. Czechowicz powtarza się, ale może to i lepiej, niż powtarzać innych”, i podpisuje się: “Twój figlarny sum” (?) a w post scriptum zapytuje: “zdaje się, że lubisz ryby?” Dowcipkuje na temat “pasternaków w “Lewarze” i Parafii Poetów. “Smutno na świecie. Eviva l'arte i w ogóle”. Ukuwa lub powtarza okolicznościowe slogany: “nie chcę robić z tata wariata, a z mamy panoramy”, “Mateusza Bigdy - nie przeczytam nigdy”.

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

Z Franciszką Arnsztajnową osobiście spotkałem się parokrotnie. Byłem też kiedyś w jej mieszkaniu na Starym Mieście, gdzie odbywała się jakaś narada literacka. Mogła być śmiało matką każdego z lubelskich wierszopisów a nawet babką takiego np. beniaminka jak Podstawka. Wszyscy lubiliśmy ją i szanowali, bo mimo podeszłego wieku i stażu literackiego sięgającego początków Młodej Polski (debiutowała w r. 1888) była skromna i traktowała nas wszystkich po koleżeńsku. Ale rozmowa z nią sprawiała trudności: miała przytępiony słuch i odzywać się do niej trzeba było głośno, krzycząc wprost do ucha.

W tym okresie wydała zbiór wierszy dla dzieci (szkoda, że nie ilustrowany) *Duszki,* w którym m. in. znajduje się taki króciutki impresyjny wierszyk, zatytułowany *Żniwa*:

Czerwono,
Zielono
Na żółtym aksamicie
Podnoszą się, schylają,
Słońcu, Ziemi się kłaniają
Chusty w życie.

Była jeszcze w pełni sił twórczych: w tym samym roku wydała zbiorek *Odloty,* a w trzy lata później - *Stare kamienie,* w których 70-letnia Arnsztajnową i 32-letni Czechowicz podali sobie ręce, składając piękny hołd poetycki rodzinnemu Lublinowi.

Żarliwa patriotka i działaczka niepodległościowa została w r. 1942 zamordowana przez hitlerowców z racji swego semickiego pochodzenia. Podobno - blisko osiemdziesięcioletnia staruszka poszła na śmierć z godnością, przypiąwszy do sukni wszystkie wysokie odznaczenia polskie.

Zostały mi po niej dwie książki z dedykacjami i kilka listów. O jednym z nich już wspominałem. Oczywiście nie mają one takiego poufałego charakteru, jak czechowiczowskie, ale są bardzo serdeczne. W listopadzie 1933 r. zahacza również o projektowane przez lubliniaków pismo: “Sprawa «Strefy» wciąż jeszcze w zawieszeniu. Na razie nie mamy jeszcze funduszów, a chcielibyśmy wystąpić jakoś «godnie» i «trwać».”

Kiedy jesienią 1936 r. Lubelski Związek Pracy Kulturalnej miał udzielić nagrody literackiej im. B. Prusa, zaproszono mnie do jury, mającego przysądzić to wyróżnienie. Oprócz prezesa Związku Pracy Kulturalnej dr Feliksa Araszkiewicza, mnie i jeszcze kogoś z Lublina, do jury weszło dwóch zaproszonych krytyków - Karol Irzykowski i Jan Nepomucen Miller. Ktoś wysunął Czechowicza, ja zaś stanąłem na stanowisku, że pierwszą nagrodę lubelską powinna otrzymać seniorka literatury tego regionu - Arnsztajnową, że należy w ten sposób uczcić jej wieloletnią pracę i jej niezmożoność twórczą, której widomym świadectwem są wydane przed rokiem

wiersze wchodzące w skład *Starych kamieni.* Nieoczekiwanie dla mnie obaj krytycy warszawscy wysunęli moją kandydaturę, wobec czego musiałem opuścić salę na czas toczących się w tej sprawie obrad. Gdy wezwano mnie po pół godzinie, byłem przekonany, że przeszła Arnsztajnową albo Czechowicz. Tymczasem autorytet znanych krytyków przeważył szalę na moją korzyść. Nagrodzono mnie nie tylko za całokształt twórczości poetyckiej, ale w szczególności “za redakcję i wydawanie - bez niczyjej pomocy materialnej - miesięcznika poetyckiego «Kamena» w Chełmie”. A więc ta nagroda stanowiła pewnego rodzaju reklamę dla naszego miesięcznika. No a niemały zastrzyk finansowy (1000 zł przedwojennych) m. in. pozwolił redaktorowi nie tylko sprawić sobie futro, ale i zasilić fundusz wydawniczy. Wśród gratulacyj, jakie otrzymałem z powodu przyznania mi tej nagrody, znalazł się serdeczny list od Arnsztajnowej...

TADEUSZ BOCHEŃSKI

Kiedy przystępowałem do kreślenia tych wspomnień, Tadeusz Bocheński żył jeszcze i nic nie zapowiadało nieoczekiwanej dla wszystkich katastrofy. Wiedział, że mam pisać tę książkę i interesował się jej treścią. Niestety, już jej czytać nie będzie.

A rok 1962 był dla mnie bardzo niefortunny. Sam stanąłem na progu tamtej strony, szczęśliwie go nie przekroczywszy, ale straciłem dwóch najbliższych mi, najserdeczniejszych i najstarszych przyjaciół. Na ogół nie szafuję tym nadużywanym wyrazem, ale w stosunku do nich używam go z całą świadomością.

Wacław Bożentowicz, adwokat warszawski (w literaturze nazwisko to nie występuje, a przecież w latach studenckich pisał wiersze, wielbiciel Shawa, sam chciał zostać dramaturgiem), odszedł wtedy, gdy leżałem w szpitalu. Znałem go od r. 1918 z charkowskich czasów uniwersyteckich i kiedyś o naszej czterdziestoczteroletniej przyjaźni chciałbym opowiedzieć w innych wspomnieniach. Tadeusz Bocheński to już nieco późniejsza znajomość - rok 1921 - z Lublina. O dwa lata starszy ode mnie, uczył już w gimnazjum, gdy ja studiowałem jeszcze na uniwersytecie.

Zbliżyła nas poezja: mój pierwszy wieczór autorski, jego pierwsze zbiorki. On napisał o moim występie, ja zrecenzowałem jego *Rzeźbiarza.* Nieraz wpadając z Chełma do Lublina odwiedzałem go w mieszkaniu przy ulicy Przechodniej. Grał mi wtedy na fortepianie (a wcale nie po amatorsku, bo miał za sobą poważne studia muzyczne w Wiedniu) i czytał swoje wiersze. Jeszcze wtedy nie było na świecie Jacka, późniejszego autora *Boskiego Juliusza.* W okresie “Reflektora” i redagowanego przez Tadzia “Nowego Życia” zbliżyliśmy się do siebie jeszcze bardziej.

Ale najsilniej zespoliły nas Tatry, do których odnosiliśmy się fanatycznie, które zdeptaliśmy własnymi stopami i którym obaj zawdzięczaliśmy tyle przeżyć i twórczej inspiracji. W pięknym *Dzienniku tatrzańskim,* którego fragmenty zamieszczałem w “Kamenie”, a który wciąż jeszcze nie doczekał się edycji książkowej, Bocheński pod datą wyjazdu z Zakopanego do pracy szkolnej w Lublinie zamieścił takie wymowne w swej prostocie wyznanie: “Bezradnie, po psiemu kochasz, człowiecze, Tatry i kwita”. To umiłowanie przeniosło go najpierw do Krakowa, skąd już do gór tak blisko, a potem na parę lat przed wojną do Zakopanego, gdzie już pozostał na zawsze. Mieszkał prawie u wylotu Strążysk, w pobliżu Księżego Lasu. W tej willi położonej nieco na uboczu traktu wiodącego do doliny powstało tyle wierszy i przekładów, tyle w niej przygotowano odczytów, tyle się zamknęło szczęścia małżeńskiego. A Tatry tuż przed oczyma. Mógł chłonąć wszystkimi zmysłami ich urodę tak różną w każdej porze roku. Toteż często zaglądał w góry, jeśli nie na wyprawy szczytowe, to choćby na spacery pod regle.

Jeszcze trzy lata temu samotnie bez asekuracji przeszedł nie najłatwiejszą przecież grań od Kościelca do Mylnej. Jeszcze na parę miesięcy przed odejściem w ostatnim liście do mnie opisywał inną odbytą też w pojedynkę wycieczkę: “Z wasalem zimy trzeba postępować chytrze: gdy błyśnie światłem, westchnie ciepłem, nie można

zwlekać, lecz zaraz należy pędzić na połów tego światła i ciepła. I trafił się nawet krótkotrwały upał. Wybiegłem wtedy (sam) do Pańszczycy i na Krzyżne, odwiedziłem wspaniałą płaśnię pod Kosistą, spróbowałem Kosistej. Słońce paliło tak zawzięcie, że aż jakiś udar zdawał się mego łba dosięgać: zrobiło mi się na chwilę nieswojo, niby mdło. Przysiadłem w cieniu i odzyskałem wkrótce pewność myślenia i ruchu".

Czy to osłabienie nie było sygnałem alarmowym organizmu, nie znającego wprawdzie alkoholu i nikotyny i uznanego przez lekarzy za zdrowy, a jednak kryjącego w sobie zarodki jakichś zjadliwych toksyn? A potem w liście ubolewanie nad tym, że ulubiony Stawek Czerwony tak wysechł: "Raczej dwie kałuże, nienaturalne suchoty brzegów i smutek. Ale pocieszam się, że jeszcze nieraz (jak przykro czytać te słowa dzisiaj! - przyp. mój), ujrzę stawek w postaci dawnej, bujnej, arcyżywej, takiej, jaką opisałem 35 lat temu w *Dzienniku Tatrzańskim*".

Tak, w listach Tadzia często jest mowa o Tatrach. I aż dziw bierze, że choć prawie każdego roku wyjeżdżałem w góry, nie odbyłem z nim żadnej wspólnej wycieczki. Bo spacer do Siklawicy w Strążyskach przecież się nie liczy. Ale zawsze spotykaliśmy się w Zakopanem i ucinali dłuższe pogawędki. Zwłaszcza po wojnie, kiedy "nocne rodaków rozmowy", którym towarzyszyła moja żona, przeciągały się u nas nieraz do drugiej godziny. A było o czym rozmawiać. Wspomnienia z trzynastu lat belferki w lubelskim gimnazjum Staszica, a później paru w Krakowie, własne metody nauczania języków starożytnych, metody doprowadzające uczniów do umiłowania kultury antycznej i opanowania przynajmniej łaciny, jeśli i nie greki, w lekturze i nawet w mowie potocznej, wycieczki tatrzańskie, filologia, piątkowe odczyty poświęcone poezji, sprawy bardzo osobiste, a przede wszystkim praca literacka i związane z nią sukcesy i zawody były tematem naszych spotkań.

Bo zawodów w pracy literackiej życie mu nie szczędziło. Właściwie nie w samej pracy, która ,była nieustanna i olbrzymia, a Bocheńskiemu sprawiała tyle radości i zadowolenia: jak nikt przecież żył poezją różnych wieków i narodów, czuł jej piękno i z pasją przekazywał je słuchaczom na odczytach. Rozczarowania dotyczyły zabiegów o publikację. Z fantastycznego wręcz pod względem ilościowym dorobku Bocheńskiego drukiem ukazało się jedynie sześć nierównych zresztą tomików poetyckich, książeczka opowiadań, dwa szkice estetyczne, a przede wszystkim przekład Hezjodowej *Tarczy Heraklesa* i *Gościńce* z doskonałymi tłumaczeniami trzech hymnów Homera, jedenastu sonetów Heredii, dwóch wierszy Owidiusza i czterech - Hillego. Wszystko to wydane własnym sumptem. To do r. 1925. I później dwa specjalne zeszyty "Okolicy Poetów" w r. 1937 i 1938, stanowiące - pierwszy antologią poezji rzymskiej, a drugi - greckiej. Na tym koniec.

A po wojnie? Tylko udział w wyborze poezji Goethego wydanym przez zakład im. Ossolińskich i dwa przekłady z Rylskiego w ozdobnym PIW-owskim tomiku. Bezskutecznie proponował paru wydawnictwom publikację tomu wierszy oryginalnych będących dojrzałym owocem tyloletniej pracy. Niesłusznie przyczepiła się do niego etykietka młodopolskości. Irytowało go to ogromnie. Bo czerpał raczej ze

staropolszczyzny przypominając nieraz zapomniane wyrazy i zwroty, a w składni, w toku frazy ulegając wpływom łaciny. Słusznie twierdził, że pisarz ma prawo do własnego języka i stylu i nikt nie może mu zabronić pisać tak, jak tego wymaga jego indywidualność twórcza. Skoro się drukuje wesołków powtarzających w nibywierszu jedno zdanie kilkanaście razy, skoro się szanuje indywidualność takiego abrakadabrysty, jak Białoszewski, to dlaczego jemu nie wolno pisać z sensem, mową czasami może archaiczną w swej uroczystości, ale samoswoją i poetycką? Dlatego nie godził się na żadne poprawki. Pod tym względem był nieubłagany.

Ale i wydawcy też byli uparci. Nawet w antologii poezji 1914-39 nie znalazły się przynajmniej dwa wiersze Bocheńskiego, choć jej redaktorzy uwzględnili niektórych mniej od niego zasługujących na uwagę; zamieścili tylko jego nazwisko z krótką bibliografią w nietaktownej rubryce "autorów, których wiersze [...] były brane pod uwagę przy układaniu antologii i nie weszły w jej skład". Poeta nie dożył tej przykrości. On, zawsze taki logiczny, zapewne zdziwiłby się, co to może znaczyć: były brane pod uwagę i nie weszły... To wszystko, co z dorobku Bocheńskiego zostało ogłoszone drukiem - w książkach lub czasopismach (najwięcej przed wojną w "Kamenie" i "Okolicy Poetów") nie wiem, czy stanowi jedną dziesiątą jego ogromnej puścizny. Miał prawo powiedzieć w jednym z ostatnich, na krótko przed śmiercią napisanych epigramatów pt. *Testament poety*:

Zostają po mnie tylko te słowa. Tak.
Ale to mój świat.

Bocheński zamierzał swoje rękopisy przekazać Bibliotece Jagiellońskiej. Nie wiem, czy to byłoby słuszne. Zmumifikować je w jakiejś szufladzie pod jakimś numerem i tym samym odłożyć ich wydawnictwo ad calendas graecas. Wiem tylko, że temu typowemu humaniście, postaci renesansowej (filolog, poeta, pedagog, mówca, pianista i muzykolog w jednej osobie) działa się krzywda i że należałoby ją jak najprędzej naprawić.

A na druk czekają nie tylko jego wiersze oryginalne, ale i nowe *Gościńce,* które w czterdziestoletniej pracy rozrosły się do dziesięciu tomów zawierających przekłady a właściwie transkrypcje z poezji indyjskiej, greckiej, rzymskiej, francuskiej, włoskiej i ukraińskiej. A sto sonetów Heredii wraz z szkicem o tym poecie? A nowe tłumaczenie kilku pieśni *Iliady*? A z prozy oryginalnej wspomniany już tutaj *Dziennik tatrzański*? Ale Bocheński nie był pięknoduchem zamkniętym w wieży z kości słoniowej. Był człowiekiem na wskroś uspołecznionym, o czym świadczy jego praca w Towarzystwie Miłośników Ludowej Kultury i Sztuki Góralskiej, a przede wszystkim niezmożona działalność odczytowa.

Stali bywalcy Zakopanego pamiętają kaligrafowane dawniej własnoręcznie przez prelegenta i przytwierdzane przez niego pineskami na tablicach, słupach ulicznych i płotach ogłoszenia zapowiadające tematy jego "piątków literackich". Z żelaznym uporem, konsekwentnie, mimo licznych trudności, braku odpowiedniego lokalu i niedoceniania jego pracy przez miejscowe czynniki Bocheński prowadził swój "uniwersytet poetycki". Dopiero w ostatnich latach praca jego (rozpoczęta

konspiracyjnie podczas okupacji) doczekała się wreszcie uznania zarówno “u góry” w Warszawie, jak i w Zakopanem. Poeta otrzymał wysokie odznaczenie państwowe i odtąd już znalazł stałe miejsce dla swoich cotygodniowych odczytów, zapowiadanych” nareszcie przez normalnie drukowane afisze. Początkowo wygłaszał je za śmiesznie małą, symboliczną opłatą wejściową, a po otrzymaniu, jako pisarz zasłużony, stałej renty - bezpłatnie. Jeździł też z odczytami po różnych miastach polskich. W sumie wygłosił tych prelekcji ponad półtora tysiąca. Fanatyczny miłośnik i znawca poezji a zarazem świetny mówca nie posługujący się nawet konspektem, improwizując niepokalaną polszczyzną, pragnął swoją namiętność zaszczepić słuchaczom i niejeden z nich dzięki tym wykładom odkrył nie znaną sobie przedtem dziedzinę.

A jak się wyżywał przemawiając! Ile żaru i przekonania wkładał w swoje słowa ten bezinteresowny agitator na rzecz piękna, dobra, szlachetności, serca i rozumu, tych wszystkich ideałów, które głosi poezja! Był niezmordowany. Potrafił mówić bez przerwy dwie godziny i więcej. Wykłady swoje o obcych poetach ilustrował własnymi przekładami. Czytał wiersze może z nadmierną afektacją, zbyt dobitnie akcentując potrzebne wyrazy, co niektórym słuchaczom się nie podobało. Podobnie wyżywał się i przed szczupłym audytorium, składającym się tylko ze mnie i mojej żony.

Ale verba volent a scripta manent. Nigdy to przysłowie łacińskie nie wydało mi się tak trafne, jak w odniesieniu do Tadzia. Więc dobrze, że lubił pisać, że przysyłał mi długie epistoły nabrzmiałe treścią przeżyć związanych ze szczęściem rodzinnym, bliskością Tatr i umiłowaną pracą. Pozostała mi z górą setka jego listów pisanych na przestrzeni trzydziestu ośmiu lat. Są one ciekawym przyczynkiem do poznania jego osobowości i wiele można się z nich dowiedzieć o życiu poety.

Jak powitał powstanie “Kameny”, o tym już wspominałem. A w rok później pisał: “[…] radość wyrażam i gratulację, że zwycięsko wchodzisz w rok drugi. Śledząc zeszyty rocznika pierwszego, stwierdziłem z wielką przyjemnością hartowanie się coraz większe i krystalizację pisma coraz poważniejszą. Miło mi było spotkać mnóstwo nazwisk, a piękności niektórych utworów po prostu mnie rozkoszowały. Tobie osobiście gratuluję wiersza o Mickiewiczu. Ten bowiem głęboko sięgnął w serce poezji, a świetnie się i wysoko wzniósł prostotą i szczerością wyrazu. Zresztą trudno mi tu przechodzić wszystkie pomyślne pozycje. Na ogół szła «Kamena» wciąż i wyraźnie w górę, osiągnęła bardzo dużo, tętniła życiem pisarskim, a wcale nie trąciła popiołem” (28 IX 1934).

A w cztery miesiące potem: “[…] powiedzieć Ci muszę, że Twoja «Kamena» imponuje mi coraz bardziej. Że nie stała się jednodniówką, lecz właśnie wychodzi i będzie już chyba wychodziła, cieszy mnie to serdecznie” (2 II 1934).

Gdy Czernik zrealizował wreszcie swój dawny zamysł wydawniczy, Bocheński pytał: “Co myślisz o «Okolicy Poetów»? Powinna się ta nowość powieść. Czernik nosił się długo z zamiarem stworzenia pisma. Pisał mi o tym jeszcze trzy lata temu. To, co

pokazał, wygląda - moim zdaniem - całkiem nieźle. Artykuły o poezji i poezja: ekskluzywnie, ale rasowo. Nie wiem tylko, czy przez wakacje będzie wydawał, czy może przerwie wydawanie jak Ty. Powstała towarzyszka «Kameny» w Ostrzeszowie, lecz za to krakowski «Tygodnik Artystów» gdzieś się zaprzepaścił. [...] od trzech tygodni nie ma numeru [...]. Były tygodniki dwa, żarły się; był jeden, spoważniał nawet, ale nie wytrzymał".

W tym samym liście wspomina jeszcze o "Skamandrze". "A «Skamander»? Sprowokowali go i do zmartwychwstania skłonili młodsi. Lecz dobrze, że zmartwychwstał. Przyda się. Artykuł Zawodzińskiego wcale niegłupi, choć nie ze wszystkim zgodzić się wypada [mowa o artykule *Pegaz to nie samochód bezkołowy* - przyp. mój]. Niektóre wiersze słabe. Dziwi mnie np. wzrastająca niedbałość i niewybredność Pawlikowskiej. Lechoń odżył, lecz gorzej, niż mu się to czasem udawało w *Drodze* [mowa o *Erotykach* Pawlikowskiej i *Don Juanie* Lechonia]". Wreszcie występuje z bliską jego sercu sugestią: "Trzeba by, Kaziu, po wakacjach poświecić ze dwie stronice «Kameny» Horacemu (dwutysiąclecie urodzin dnia 8 XII 1935). Mówię tu «trzeba by», lecz nie oburzaj się: to słowa filologa, miłośnika Horacego i jego tłumacza. W roku 1935 mija też 30 lat od zgonu Heredii. Zamierzam o Heredii napisać większy artykuł dla «I.K.C.». Zrobię to w lecie. O Horacym też" (23 V 1935).

Obie te sugestie uwzględniłem w "Kamenie": sześć sonetów Heredii znalazło się w numerze wrześniowym (21) z r. 1935, a cztery pieśni Horacego - w styczniowym (25) z r. 1936. Obaj poeci w tłumaczeniu Bocheńskiego.

Jeszcze zanim się przeniósł do Zakopanego, zapytany przeze mnie o nowe utwory górskie, odpowiedział: "Ażeby o Tatrach pisać, trzeba w Tatrach bywać. Ja zaś już dość długo od nich jestem oddalony. Tylko co Ci powiem: w każdy np. przekład z greki (ostatnio we «wielki» *Hymn do Hermesa),* gdzie tylko o górach mowa, wkładałem i wkładam całą swą tatrzańską namiętność, «psie» przywiązanie («psim» nazwałem je, jeśli pamiętasz w zakończeniu *Dziennika*). Szkoda, że nie mogłem Ci nigdy tych Tatr moich w... Grecji mojej pokazać" (1935).

Po ukazaniu się już dwu roczników "Kameny" pisał do mnie przed wakacjami: "[...] bardzo bym chciał, żebyś i Ty i «Kamena» i Czernik z «Okolicą», żebyście obaj wyszli bardzo wysoko. Czuję olbrzymią różnicę, która dzieli Was i Wasze pisma od «Wiadomości Literackich» i ich akcydencjów. Czernikowi już napisałem, lecz chcę i Tobie powtórzyć, że piękny ogień, którym płoniecie, przypomina mi piękną powagą «Chimery» [...]. I kto wie, czy wkrótce «Kamena» i «Okolica» nie będą wielką wagą, na której - ze wschodu do zachodu - ważyć się będzie decydująco i niemal prawodawczo uczciwa, dobra literatura polska". (12 VI 1935). Niektóre listy Bocheńskiego są tak interesujące, że przytaczam je w odpowiednim dziale książki.

A ostatnie z r. 1962? Jakże wzruszają troską o moje zdrowie! Dowiedziawszy się o mojej chorobie i pobycie w szpitalu pisał do mej żony: "Takiej wiadomości nie

przeczuwałem. Raczej pewny byłem, że Kaj spotężniał cieleśnie, skoro w prace rzucał się różnorodne, plany szerokie układał, wydania projektował, a nawet o mojej publikacji myśli i z firmą lubelską o tym rozmawiał. Nic dziwnego, że list, który dziś doszedł, wydał się naprawdę nowiną hiobową". A dalej: "Żal, współczucie i nasze osobiste cierpienie (Kaj przecież to wierny i głęboki przyjaciel) nic jednak choremu nie pomogą. On nie powinien nawet widzieć, nawet wiedzieć, że się bliscy o niego niepokoją, że zmartwieni". Oto delikatność uczuć prawdziwego przyjaciela.

Jakże dziwnie mi czytać o tej "nowinie hiobowej", gdy przypomnę sobie, jak mnie poraziła - bez przenośni, jak grom z jasnego nieba - naprawdę "hiobowa" wieść o jego śmierci, wyczytana w "Życiu Literackim". A właśnie na parę dni przedtem wysłałem mu długi, długi list. Pisałem już do nieżyjącego...

I jeszcze jeden dowód serdeczności Tadzia. W maju, już po powrocie ze szpitala, otrzymałem od niego list relacjonujący bardzo szczegółowo przebieg "piątku literackiego", poświęconego mojej ostatniej książce. Informował, co ze *Stóp czasu* czytał i jaka była reakcja publiczności, ale co mnie najbardziej ujęło, to jako dowód pamięci, dołączony do listu arkusz papieru z wypowiedziami słuchaczy na temat tego wieczoru. Ktoś napisał: "Wzruszeni Pańskimi utworami, a zmartwieni chorobą, przesyłamy Panu gorące słowa sympatii i płynące z duszy życzenia rychłego powrotu do zupełnego zdrowia i do dalszej pracy twórczej". Czuję, że te i inne miłe słowa, które znalazłem na tym arkuszu, powstały pod wpływem inspiracji Tadzia. Ale nikt ze słuchaczy temu, co połowę swego życia oddał głoszeniu piękna w poezji, podobnych życzeń nie złożył, bo i nie było kiedy. Koniec był taki niespodziany, jak w tej proroczej *Śmierci,* też jednym z ostatnich wierszy:

Odejdę krokiem bardzo cichym.
Będzie się roztapiał, roztapiał
aż wsiąknie w nicość.
Wtedy wy, co mnie teraz nie widzicie,
ujrzycie, usłyszycie
prawdą i życiem.

Gorycz. Uzasadniona gorycz. Oby rzeczywiście "wtedy", to znaczy dzisiaj, tak się stało.

STEFAN NAPIERSKI

Ze Stefanem Napierskim byliśmy prawie w równym wieku, obaj z fin de siecle'u, debiutowaliśmy książką w tym samym 1924 r. i w lipcowym "Przeglądzie Warszawskim" z tegoż roku kolejno występowaliśmy obok siebie w recenzjach K. W. Z(awodzińskiego). Napierski był już wtedy recenzentem poetyckim w "Wiadomościach Literackich", ferujących wyroki w sprawie posiadania czy nieposiadania tzw. talentu i wydających dyplomy poetyckie. Przed naszym zetknięciem się w drodze korespondencji, do której zresztą ograniczyła się nasza znajomość, wypowiedział się już na łamach popularnego tygodnika o trzech moich zbiorkach, nazwawszy pierwszy "udanym debiutem poetyckim" a jego autora "poetą in spe", zjechawszy drugi z zaznaczeniem "niewątpliwych danych poetyckich" piszącego oraz stwierdziwszy przy recenzowaniu trzeciego, że "tak czy owak Jaworski - to poeta".

Toteż gdy Napierski w marcu 1934 r. przysłał "Redakcji Kameny z koleżeńskim pozdrowieniem" swoją ostatnią książkę *Od Baudelaire'a do nadrealistów,* napisałem do niego z prośbą o współpracę w miesięczniku. Zgodził się chętnie i przysłał materiały ("Jeśli się co z tych utworów spodoba Panu, prawdziwie rad będę, gdy ujrzę je wydrukowane w «Kamenie». Naprawdę z szczerą i rzetelną sympatią odnoszę się do Pańskich wysiłków" – 14 X1 1934); w ten sposób już w drugim roczniku "Kameny" znalazły się jego wiersze oraz przekłady z poezji francuskiej i niemieckiej.

W następnym roku zapytuje (21 IV 1935): "Jakie ma Pan plany «Kameny» w ciągu najbliższych miesięcy? Gdyby Panu odpowiadały jakie moje artykuły lub szkice krytyczne, mógłbym na pewno je pisać za jaki miesiąc. Jeśli zasadniczo reflektuje Pan na coś podobnego, postarałbym się Panu przesłać spis drobniejszych artykułów, dotychczas nie drukowanych, ewentualnie zaprojektować szereg tematów nowych, w których mógłby Pan wybrać".

W parę miesięcy potem pyta o warunki, na jakich mógłby w zakładzie Bronfelda wydrukować antologię poezji niemieckiej: "Gdyby to Panu odpowiadało, można by wydać w serii «Kameny»". *Liryka niemiecka* t. I. ukazała się w Chełmie jako nr 5 "Biblioteki Kameny" w r. 1936, a w rok później *Poeci niemieccy* (t. II), książka drukowana w Warszawie jako nr 11 tejże "Biblioteki".

Tematyka zachowanej korespondencji (przeszło 20 listów i bilecików bardzo niewyraźnie pisanych w przerwach między wyjazdami Napierskiego za granicę) obraca się dokoła spraw tych właśnie książek oraz różnych nadsyłanych materiałów. To od niego otrzymałem pierwsze zamieszczone w "Kamenie" przekłady Seweryna Pollaka ("dobrego mego znajomego - uważam je za ścisłe i kulturalne"), który w tym czasie był sekretarzem Napierskiego i czasami załatwiał za niego korespondencję (mam taki list pisany "w imieniu" z prośbą o zwrot artykułu o Czechowiczu, który "jest p. Napierskiemu nieodzowny jako materiał do pisanej obecnie pracy").

Napierski należał do kolegów bardzo "Kamenie" życzliwych i starających się o

zjednanie pismu prenumeratorów. W jednym z listów (5 X 1935) radzi mi: “Niech Pan napisze do Kozikowskiego, aby przesłał panu pełną listę naszych członków. Niech Pan wybierze - o ile Pan się z tym godzi - literatów mogących interesować się poezją i prześle każdemu z nich numer okazowy z aluzją do ewentualnej prenumeraty. To samo można zrobić z Poznaniem, Wilnem, Lwowem. Jestem przekonany, że rezultaty będą dobre”. W jakiś czas potem sam mi przysłał taką listę i rzeczywiście kilku prenumeratorów przybyło.

Życzliwość Napierskiego przejawiła się i w propozycji, z którą wystąpił w listopadzie 1935 r.: “Czyby nie można podwoić objętości «Kameny»? Co by to kosztowało? Jeśli chodzi o mnie, to jak sądzę, rzecz stałaby się aktualna w ciągu najbliższego półrocza, najpóźniej od jesieni roku nadchodzącego. Gdyby Panu taki pomysł dogadzał, mógłbym w czasie odpowiednim - ten drugi arkusz finansować. Oczywista w niczym nie ograniczając Pańskiej ingerencji i nie mieszając się do Pańskiego arkusza. To by trzeba tylko jako tako tematycznie uzgodnić. Mógłbym Panu nadsyłać materiał «warszawski», a raczej z całego kraju, gdyż jestem w kontakcie z wieloma «ośrodkami». Można by powiększyć dział recenzji, zaktualizować i zaostrzyć - kierując się bezstronnością - dział polemiczny. Słowem, powiększyć objętość i zasięg pisma. Jak się Pan odnosi do tego planu choćby teoretycznie? Ewentualnie mógłbym wraz z Panem pismo podpisywać, ale to pozostawiłbym Pańskiemu uznaniu, bo mnie zależy wyłącznie na samej robocie”.

Gdy na tę miłą, świadczącą o zaufaniu do mojej pracy redaktorskiej, ale skądinąd krępującą, bo wchodziłyby w grę pieniądze, propozycję poety, tłumacza i krytyka odpowiedziałem powściągliwie, powołując się na nieustabilizowaną jeszcze pozycję pisma, odpisał mi w trzy tygodnie potem: “Co się tyczy «Kameny», to wszystkie względy przyjmuję i oceniam w pełni. «Prowizoryczność» pisma nie przeraża mnie. Chodzi przecież o placówkę kultury [...]. Może ustalimy zatem, że od stycznia udziela mi Pan sześć stronic dla tego, co prześlę z Warszawy. Mam sporo”. Ale transakcja ta w ogóle nie doszła do skutku, gdyż wkrótce potem Napierski wypłynął na szerokie wody wydając własne “Ateneum”. Współpracy z “Kameną” jednak nie przerwał, choć zasilał ją w mniejszym stopniu. W styczniu 1938 r. pisał: “Numeru francuskiego szczerze winszuję. Zadziwiający na nasze stosunki rezultat”. A w październiku tegoż roku usprawiedliwiał się: “Kamenę zaniedbuję mimo woli nie przez brak pamięci, lecz przez zaabsorbowanie”.

SERGIUSZ KUŁAKOWSKI

Przedwojenna “Kamena” miała wielu sympatyków, którzy swoją bezinteresowną współpracą przyczynili się do jej rozwoju i dzięki którym pismo wychodziło regularnie aż do wybuchu wojny. Ale wśród nich byli i tacy, których związało z miesięcznikiem coś więcej niż sympatia, którzy jej byli oddani jak prawdziwi przyjaciele. Oprócz współzałożyciela - Zenona Waśniewskiego, co jest zresztą rzeczą zupełnie zrozumiałą, i mego starego druha - Tadeusza Bocheńskiego należał tu Rosjanin prof. Sergiusz Kułakowski.

Syn profesora Uniwersytetu Kijowskiego, studiował filologię słowiańską, romańską i germańską w Kijowie i Petersburgu a później wykładał na Kursach Pedagogicznych w Kijowie, zanim został w tym samym mieście asystentem na Uniwersytecie i Wyższych Kursach. Habilitowany w r. 1921 otrzymał docenturę na Uniwersytecie Moskiewskim. Studia uzupełniające odbywał w Lipsku i Paryżu (Sorbonie), a w r. 1926 został docentem literatury rosyjskiej na Wolnej Wszechnicy w Warszawie i lektorem języka rosyjskiego na Uniwersytecie. W latach następnych objął prócz tego lektoraty w W. S. H., Szkole Nauk Politycznych i Politechnice. Po wojnie był docentem na Uniwersytecie w Łodzi, gdzie zmarł w r. 1949.

Dwie paczki, blisko sto czterdzieści listów, to owoc wieloletniej korespondencji mojej z Sergiuszem Kułakowskim. Z poezją polską na gruncie warszawskim stykał się już dawno, szczególnie bliski grupie “Kwadrygi”. St. R. Dobrowolski poświęcił mu nawet bachiczny wiersz pt. *Wezwanie poety do Sergiusza Kułakowskiego* z wymowną pointą: “Teraz zanim pośniemy, pijmy jeszcze raz z niemi - Sergiuszu! Nie ma jak w maju! Sergiuszu! takiej Warszawy nie znajdziesz na całej ziemi!” a w żartobliwej villonowskiej balladzie przed pójściem do wojska, “żegnając opuszczanych kamratów”, obok Konstantego i Maliszewskiego wymienia też “Siergieya”. Tutaj, w Warszawie, spod pióra Kułakowskiego wyszedł tom *Sowriemiennyje polskije poety,* wydany w Berlinie nakładem “Petropolis” w r. 1929. Jego szkice charakteryzujące poszczególne “szkoły” i poetów, ilustrowane przekładami Michała Choromańskiego (tak, tego od *Białych braci* i *Zazdrości i medycyny),* któremu w tej książce ustąpił miejsca jako tłumacz, świadczy o dużej znajomości współczesnej poezji polskiej. Zresztą nie tylko współczesnej, czego dowodem wydana w r. 1930 przez tenże “Petropolis” i dedykowana prof. Tadeuszowi Zielińskiemu książeczka *Jan Kochanowski,* zawierająca szkic o poecie i kilka przekładów jego wierszy (trzy fraszki i dwa treny, nazwane przez tłumacza “płaczami”).

W “Kamenie” Kułakowski figurował po raz pierwszy w numerze 7, jako autor szkicu o Maksymilianie Wołoszynie, a w nr 10 mickiewiczowskim zamieściłem jego tłumaczenia na język rosyjski fragmentów z *Ksiąg Pielgrzymstwa* i odtąd często zasilał pismo artykułami na tematy poezji rosyjskiej (ostatnio w r. 1946 - *Trzy miłości Aleksandra Błoka).*

Po wielu latach czytałem na nowo listy od niego z prawdziwym wzruszeniem. Zaczęliśmy korespondować po polsku, ale wkrótce na moją prośbę przeszliśmy na

język rosyjski. Było to dla mnie dobre ćwiczenie. Prosiłem o wskazywanie błędów w mej ruszczyźnie, ale zapewniał mnie (chyba przez kurtuazję), że piszę najzupełniej poprawnie. Wiele korzyści wyniosłem z tej korespondencji, gdyż częste i obszerne listy jego (niestety kreślone bardzo nieczytelnie) obfitowały w mnóstwo ciekawych szczegółów dotyczących zarówno osoby autora, jak i literatury. Upłynęło już tyle lat od czasu, gdy je pisał, że nie będzie niedyskrecji, gdy przytoczę tu wiele interesujących fragmentów, a był ze mną wyjątkowo szczery. We wrześniu 1935 r. nie przewidując, by to, o czym wspominał żartobliwie, mogło się - trochę inaczej zresztą - spełnić, pisał: “Liczę na to, że jeśli Pan stanie się przedmiotem badań jakiegoś uczonego w 1970-80 roku, to ten nie wyda moich listów, gdyby się one w archiwum zachowały. Bo i «co ci po mym imieniu, pani»... jak powiedział Puszkin zwracając się w Odessie do hr. K. A. Sobańskiej”.

W związku z projektowanym przeze mnie tatrzańskim numerem “Kameny” wspominał (14 X 1934) swoje dzieciństwo: “Rozumiem Pańską miłość do gór. Pamiętam Kaukaz. Dzikość. Surowość. Niedostępność. W dzikiej dolinie mieliśmy fantastyczną willę z 500-letnimi kasztanami i drzewami orzechowymi, dokąd niedźwiedzie przychodziły w biały dzień, aby otrząsać grusze, zasadzone za Mikołaja I przez Czerkiesów, którzy o Mikołaju I oczywiście nie mieli pojęcia. W tych właśnie stronach walczyli A. I. Odojewski i A. A. Bestużew-Marliński. Wspaniałością tą zachwycał się W. I. Iwanów (wie Pan - poeta i tłumacz, maestro i mag, który uczył wielu i wychował Mich. Kuzmina). Ten spierał się z moim ojcem tłumacząc Ajschylosa przy naszym biurku z jednolitego orzecha, który miał tak samo 200-300 lat. Doprawdy, fantastyczne tam wtedy było otoczenie. [...] Ojciec mój, poważny uczony, znany w całej Europie (a i w Ameryce), odpoczywał tam hodując wśród istnych gąszczy brzoskwinie i grusze (dla winorośli - za wysoko). Wszystko to było pierwotne i nietknięte jak za czasów Aleksego Michałowicza, cara moskiewskiego, który nawiązał racjonalne stosunki z Europą”.

Uwagi Kułakowskiego o poetach są jędrne, lapidarne, nieraz złośliwe (Cwietajewa, Gumilow, Achmatowa, Pasternak, z którym się przyjaźnił, Majakowski, Jesienin, młodzi poeci emigracyjni). Ulubieni twórcy: Annienski, Błok, Mandelsztam, Wołoszyn, Gumilow. O niektórych tak pisze (8 III 1935): “[...] Poeta ten (mowa o Annienskim - przyp. mój) wyraża się po swojemu i mówi swoje. Nie można w takim intymnym i prostym języku, jaki ma zawsze Annienski, odnajdywać prostoty Achmatowej, a w jego patosie - patosu Mandelsztama. Ale intonacyjność mowy potocznej Annienskiego otwarła bez wątpienia przed liryką rosyjską nowe możliwości. I w tym samym czasie Majakowski z towarzyszami wpadł do tego zacisznego kącika i zatupał buciorami-obcasami, aby powstał nowy epos w mowie potocznej. A za nimi zaczął zająkiwać się Pasternak z nadświadomą mądrością muzyka. I gdy inni włożyli na siebie frak Gumilowa, żółty kaftan Majakowskiego, marynarkę Pasternaka, okazało się, że ubiór nie leży zbyt wygodnie. Ktoś tam przerobił ubiór jak Sielwinski i to dość dobrze. Ale «wielka poezja» i «wielka sztuka» tamtej epoki nie wróciły, a pod koszulą, frakiem czy marynarką Jesienina ukazało się ciało żywego człowieka, który od razu odsłonił swą zagubioną duszę. Wtedy zaczęto wrzeszczeć o ideowości, ale poezja nie znosi jej i uważa (nie zupełnie słusznie) za barbarzyństwo. Oto kilka myśli o posymbolicznym okresie poezji rosyjskiej 1910-1925...”

Poetom emigracyjnym zarzuca zacietrzewienie partyjne: “Wśród emigrantów lub, jeśli Pan woli, zarubieżników był rzeczywiście wybitny - Dickson, ale zmarł przed kilku laty”. “Chodasiewicz (l2 IV 1935) to człowiek niezmiernie pedantyczny, patrzy spode łba i dlatego ceni zainteresowanie swoją osobą. Poślę mu egzemplarz z listem; to też reklama dla «Kameny».”

Od Kułakowskiego właśnie dowiedziałem się, że tytuł miesięcznika - “Kamena” nie jest moim wynalazkiem, że pod tą nazwą w r. 1919 ukazał się w Charkowie jeden numer pisma pod redakcją Georgija Szengeli, trzeciorzędnego postsymbolisty. To on przytoczył mi w r. 1935 rozmowę z niejakim Feferbergiem, dostawcą pism i książek, powtarzającym zdanie o “Kamenie” prof. Beneszića: “Można czytać tylko «Wiadomości Literackie» i Waszą (tzn. Kułakowskiego) «ukochaną» «Kamenę»”. A była ona dla Sergiusza Julianowicza naprawdę “ukochana”: “«Kamena» mi jest miła jak mocny stateczek na wzburzonym morzu” (19 XI 1934). “Pańska Kamena to rzecz bohaterska, najważniejsze, że Pan w nią wkłada wiele serca. A bez serca nic się nie porusza. Tak mawiał przed 20 laty pewien profesor filozofii, powtarzałem i ja, a Osip Mandelsztam o wiele później wyraził się pięknie: “I morzem i Homerem - wszystkim porusza miłość” (7 II 1935). “Chcę Pana jeszcze raz zapewnić, że «Kamenę» lubię bardzo (“oczeń liubliu”), a także wolę ją od wielu dostojnych pism (nie cierpię dostojności i snobizmu, który świadczy o “parvenu” - “intrus dans tous les cas” (12 II 1935). “Dziwi Pana, że się tak rwę do pisania w «Kamenie», znowu chcę powiedzieć, że Pan[...] [tu komplementy pod moim adresem, przyp. mój] i «Kamena» Pańska jest utalentowana i skromna. W tym jest taka szlachetność, taki arystokratyzm (nie w zużytym znaczeniu tego wyrazu), że Pan przyciągnął do siebie już wiele osób i wiele jeszcze przyjdzie (...]. «Kamena» poza tym jest kulturalna. A to rzadkość w naszych czasach” (3 III 1935).

Jak się cieszył ten przyjaciel “Kameny”, gdy usłyszał o niej jakieś pochlebne zdanie, zwłaszcza gdy ją chwalił ktoś z poważnych ludzi! Z radością donosił mi wtedy o tym: “Po dwu latach przerwy w korespondencji otrzymałem pocztówkę od bibliografa, znawcy i redaktora wydania zbiorowego pism Błoka (z żoną jego -przez ten czas wymieniałem listy); ten D. M. P. dostał teraz szereg materiałów, które wysłałem jego żonie; dziękuje mi, ale przede wszystkim za mickiewiczowski numer «Kameny»; pocztówka [...] z Archangielska, gdzie przebywa on na zesłaniu. Tak więc “znają Pana nawet w krainie Eskimosów, Łoparów i Czukczów”. (12 II 1935) - kończy tę wiadomość żartobliwie. Albo: “Córka T. F. Zielińskiego, Weronika, jest miłośniczką symbolistów, przeczytała mojego Błoka [mowa o artykule Kułakowskiego, przyp. mój”] i przekłady; bardzo chwaliła; T. F. dowiedziawszy się, że «Kamena» działa (a pamiętał ją z zeszłego roku; zadziwiające, że poznał, on, co ma tyle pracy i takie stosy przysyłanych książek), pochwalił i życzył «temu kulturalnemu pismu» rozkwitu”.

Chcąc by o “Kamenie” jak najwięcej wiedziano, Kułakowski szturmował wciąż w licznych listach o przysłanie kilku a nawet kilkunastu egzemplarzy tego samego numeru, by je rozdawać akademikom literatury (Sieroszewsikiemu i prof. Zielińskiemu), prof. Szoberowi lub wysyłać do Związku Radzieckiego, do muzeum Błoka, do znajomego uczonego w Archangielsku D. M. Pimesa, do Remizowa i na

Zachód. Był naprawdę “ambasadorem” “Kameny” w Warszawie. A jak często szczęśliwie mi doradzał i przy realizacji przeze mnie jego sugestii pomagał przesyłając odpowiednie materiały lub własne artykuły! To jego zasługa, że w drugim roczniku uwzględniłem stulecie pierwszego wydania fińskiej *Kalevali* i 85-lecie śmierci Fahlmanna, zbieracza estońskich pieśni i podań, które złożyły się na epos narodowy *Kalevipoeg*. To, on mi pomógł w trzecim roczniku zilustrować swój artykuł o poezji łotewskiej przekładami, przysławszy mi małą antologię wierszy łotewskich w przekładzie na język francuski.

O bezinteresownym jego oddaniu pismu świadczą takie wzruszające momenty, jak ten na przykład opisany w liście z r. 1935: “Tak jestem przepracowany, że właśnie pisząc artykuł dla Pana poczułem się słabo, wezwałem sąsiadów na pomoc i zemdlałem [...] Napisałem połowę artykułu, którego nie skończyłem. Zapewniam Pana, strasznie mi przykro i czuję się niezręcznie wobec Pana, ale już sił chyba nie starczy [...]” Kiedy indziej znowu, chcąc na czas przysłać inny artykuł, po ukończeniu go o pół do jedenastej wieczorem pojechał taksówką na Dworzec Wschodni, aby wrzucić przesyłkę do wagonu pocztowego na dziesięć minut przed odejściem pociągu do Chełma.

Dowiedziawszy się o kłopotach finansowych wydawnictwa i chcąc jakoś .przyjść z pomocą pisał w marcu 1935 r.: “Niepokoi mnie Pański pesymizm dotyczący przyszłości «Kameny». - Czyżby takie potrzebne i poważne pismo miało zgasnąć? Mam na szczęście jeszcze jeden komplet zeszłoroczny. Gdyby Pan mógł przesłać wszystkie sześć numerów tegorocznych, ja bym to zaniósł osobiście Sieroszewskiemu (prezes Akademii Literatury) i poprosił go o przyjście z pomocą. (Ile potrzeba - 100 zł miesięcznie?). Ponieważ pismo jest znane i ma znaczenie, może by się coś udało. A poza tym jeszcze zainteresowanie «regionalizmem». Prócz tego porozmawiałbym z Kaden-Bandrowskim, z Zielińskim, z Nałkowską - członkami Akademii, a i Staffa warto by «zdobyć». Za powodzenie nie ręczę, ale kupić nie kupić, potargować można. Sprawę przedłożyłbym od siebie osobiście”. W tym czasie otrzymałem zasiłek ze Związku Pracy Kulturalnej w Lublinie i na moją prośbę Kułakowski poniechał swego zamiaru.

Ciężkie życie miał Sergiusz Julianowicz, człowiek tak mi bliski, a z którym widziałem się tylko raz w Warszawie. Osamotniony, zdziwaczały, miał za towarzystwo w swej kawalerskiej pustelni ulubionego kota Pusa, o którym czasami wspominał w listach nazywając go żartobliwie swym “synem z nieprawego łoża”. Wciąż się niepokoił o los brata, zwłaszcza od r. 1938: “W grudniu zniknął on, tj. nie ma go w poprzednim miejscu, wiadomości nie otrzymam ani od niego, ani od nikogo innego. To bardzo dziwny człowiek, ma 44 lata i duszę dziecka, jest bardzo uparty w stosunku do każdej swojej myśli i wyimaginowanych przypuszczeń [...], wyciągnąć go w swoim czasie nie mogłem, gdyż bronił się rękami i nogami. A żadne rozsądne dowody moje i innych osób, które się tani znajdowały, nie mogły pomóc. Stąd moje położenie względem niego było zawsze takie, że nie było wyjścia -- pęknij... umrzyj... nic nie pomożesz. Oto czemu jego zniknięcie, które przewidywał przez całą jesień, doprowadziło mnie do rozpaczy”. A w rok później pisał: “Pyta Pan o mojego brata [...]. Tak cenię pańskie słowa, Pańskie uczucia dla mnie. Dochodziły wieści z grudnia - stycznia, że znajduje

się w domu inwalidów w okręgu archangielskim. Z wszystkich żyjących ten chory od urodzenia człowiek jest mi krwią najbliższy i dlatego jedyny. Za to pytanie ściskam Pana”.

Kułakowski przez kilka lat pracował nad książką *50 lat literatury rosyjskiej (1884-1934),* którą z trudem udało mu się wydać przed samym wybuchem wojny u Hoesicka i to na jakich warunkach! - honorarium żadnego, 400 zł zapłacił za korektę, a egzemplarze (nie otrzymał autorskich) musiał sobie kupować po10 zł... Borykając się z trudnościami finansowymi, wpływem różnych przykrości i osamotnienia, a może i szukania pociechy w kieliszku, wpadał nieraz w krańcowy pesymizm. “A wie Pan - pisał do mnie 15 stycznia 1935 r. - czasami wierzę w to, że są ludzie, którzy (już od urodzenia) noszą jakiś mrok w swej duszy, mrok, którym cisną innych i przygniatają do ziemi. Wtedy życie staje się straszne, a gdy jeszcze dojdzie szereg okropnych okoliczności, to pod nogami otwiera się jakaś przepaść”.

Po wojnie życie Sergiusza Kułakowskiego stało się jeszcze bardziej ciężkie. Całkowicie zrujnowany, pozbawiony księgozbioru, po powstaniu warszawskim, wylądował wreszcie w Łodzi jako docent na Uniwersytecie. Z niczego po prostu tworzył katedrę rusycystyki, zaopatrując ją w bogatą bibliotekę. Zachwycał się młodzieżą. “Miewam audytorium liczące 100 do 200 osób - i wszystko to takie dobre, takie mądre. Czasami ze zbyt przemądrzałych robię durniów. I pomaga”. Pracy miał mnóstwo, bo oprócz wykładów uniwersyteckich - kursy języka rosyjskiego we wszystkich wyższych zakładach naukowych, organizowanie kursów nauczycielskich, udział w komisjach egzaminacyjnych. W Łodzi czuł się bardzo osamotniony. Spotykały go przykrości i to ze strony ludzi, którzy mu wiele zawdzięczali a teraz zachorowali na manię wielkości: “Jak wielu moich byłych przyjaciół stało się teraz wielkimi i zapomniało o dawnej przyjaźni”. O niektórych z nich mówi z dużą goryczą i w swym przewrażliwieniu potępia ich może nie zawsze słusznie. “Pracy miałem, mam i będę miał mnóstwo, ale najbardziej przykre są tutejsze nastroje prowincjonalne i plotki bez końca. Czasem czuję się jakby w epoce Sałtykowa-Szczedrina w Wiatce, którą nazywa Krutogorskiem i gdzie znajdował się na zesłaniu”.

Jedynym człowiekiem, z którym wtedy chętnie obcował, ale spotykał się tylko przy obiedzie, był prof. Ułaszyn - “najlepszy lingwista polski, głuchy, czarujący. Ma 73 lata, w Kijowie był słuchaczem mojego ojca, kiedy miałem jeszcze 4 lata. Jest w położeniu podobnym do mojego: «umieram - i umrzeć nie mogę». Z nim jest o czym porozmawiać”.

A zdrowie nie dopisywało coraz bardziej. Profesor złamał rękę, miał dolegliwości żołądkowe, i fizycznie, i psychicznie czuł się coraz gorzej. “Jeszcze żyję, ale czuję, że śmierć bliska. Powstanie i wszystko po nim zabiło mnie”. “W związku ze śmiercią Błoka [pisał wtedy o nim, przyp. mój] i Gumilowa przypomniały mi się moje dawne lata, tak bogate w przeżycia kulturalne, wspomniałem mnóstwo przyjaciół z różnych kół, stratę swych dóbr kulturalnych - i znowu nierozłączna myśl o śmierci, znowu nie chce się pisać, znowu bezcelowość istnienia. Tak w dzień i w nocy. Zupełny mrok. W duszy chaos. [...] Ze zdrowiem moim coraz gorzej. Życie w norze, która się nazywa nr 43 hotelu Monopol nie jest życiem, tylko noclegiem. Żadnej opieki... Z braku sił i

czasu z nikim nie żyję. Zresztą i nie mam ochoty”.

Ten przygnębiający nastrój uległ pewnej poprawie, gdy profesor odnajął pokój u swej asystentki uniwersyteckiej. Troszczyła się o niego bardzo i czuł się mniej osamotniony. Wyjazd do Polanicy też go nieco pokrzepił.

W styczniu 1949 r. zachorował na zapalenie płuc. Jeszcze w ostatnim liście do mnie znalazł serdeczne słowa dla “Kameny”: “[...] przed wojną była ona Pańską bohaterską inicjatywą, a teraz jest Pańskim bohaterskim dziecięciem”.

W marcu tegoż roku otrzymałem od asystentki profesora wiadomość o jego zgonie. Przebywał dwa miesiące w szpitalu. Lekarze stwierdzili gruźlicę, plewryt i zapalenie woreczka żółciowego. Zgodnie z jego życzeniem zwłoki przewieziono do Warszawy i pochowano na cmentarzu prawosławnym na Woli. W pogrzebie wzięło udział tylko... sześć osób, w ich liczbie rektor prof. Kotarbiński.

Ostatni list Sergiusza Julianowicza do mnie kończył się słowami: “Niech Pan o mnie nie zapomina”. Nie, nie zapominani tego subtelnego, dobrego i nieszczęśliwego człowieka, oddanego przyjaciela “Kameny”. Pozostało po nim sto kilkadziesiąt listów i dwa wiersze:

?????? ???? ? ?????? ? ??? ????????
??? ?????? ?????: ?????? -

- i drugi ex promtu po wznowieniu “Kameny”, po zapoczątkowaniu siódmego jej rocznika:

????? ???, ?????? ???????,
?? ?? ?????? ?? ?????. ?????
???? ????? ??????. ? ?????????
?????????? ???, ??? ??? ?????

?? ????? ???? ?????, ?????
? ??????????? ??????? ????.
? ??? -????? (?????????? ???);
???????? ????? ?????.

A ??, ??? ????, ?????????? ????
? ????? ??????? ??? ???
???????? ?? ??????? ????
? ?? ????,??? ??????,

??????? ???????? ?????????
???????? ???. ??? ????
??????? ? ???? ??? ?????????,

??? ???????? ????? ?????.

Jedyny to wiersz w całości poświęcony “Kamenie” i w rosyjskim języku napisany.

BRUNO SCHULZ

Kiedy w roku 1934 ukazały się *Sklepy cynamonowe* i Bruno Schulz zwycięsko wkroczył do literatury, Zenek po przeczytaniu tej książki wyznał mi, że jej autor był jego kolegą z Politechniki Lwowskiej i że przez dwa lata na wykładach siedzieli przy jednym stole. Zgodnie przyszliśmy do wniosku, że trafia się wyjątkowa okazja, której nie można pominąć: wciągnięcie Schulza do "Kameny" przydałoby naszemu pismu splendoru. Wprawdzie od rozstania kolegów upłynęło kilkanaście lat, ale chyba ex-architekt, a obecnie chwalony powszechnie pisarz przypomni sobie Zenka. Waśniewski zdobył adres Schulza i wysłał mu list sięgający wspomnieniami odległych czasów lwowskich.

Schulz zrazu nie mógł sobie uprzytomnić, kto był autorem tego listu, z którego "powiało nań dawnym czasem, raz na zawsze już - zda się - straconym". Odpisał bardzo uprzejmie tytułując Zenka "szanownym Panem Kolegą" i prosząc o dalsze wiadomości. Ale już w następnym liście wyraz "szanowny" zastąpił "drogim" - jeszcze z "Panem Kolegą", a później stale już bez "pana". Bo przysłane fotografie wyraźnie wywołały w pamięci Schulza obrazy i sytuacje chwilowo zasnute mgłą oddalenia. Okazało się, że obaj niedoszli architekci "wylądowali" w zawodzie nauczycielskim, że ten im obu nie wystarcza, że wyżywają się w literaturze i plastyce.

Tak więc między odnalezionymi kolegami, którzy tyle mieli wspólnego, wywiązała się długa i ożywiona korespondencja. Zenek otrzymał w latach 1934, 1935, 1937 i 1938 - łącznie dwadzieścia pięć listów i kartek, z czego najwięcej, bo czternaście przypada na r. 1934. Odsłania się z nich wyraźnie przewrażliwiona, subtelna natura artysty, intuicyjnie czującego zbliżającą się katastrofę, w której zarówno on - wcześniej - jak i jego kolega - później, już na progu wyzwolenia - mieli zginąć.

Już w czwartym liście Schulz pisze: "Jestem również wzruszony i ucieszony naszym dziwnym spotkaniem [...]. Jeśli nie odpłacam się Wam równą obfitością wynurzeń - to dzieje się to z dziwnego zahamowania, jakiemu podlegam od pewnego czasu, jakiegoś braku radości, depresji, do której nie znajduję dostatecznej przyczyny. Muszę być chyba chory nerwowo. Miałbym teraz dużo powodu do zadowolenia, mógłbym sobie pozwolić na trochę radości, a zamiast tego przeżywam nieokreślony strach, zmartwienie, żałość życia" i dalej stylem *Sklepów cynamonowych*: "A właśnie spadła na świat taka nieprawdopodobna i błyszcząca wiosna z wszystkimi powiewami, blaskami i przeczuciami - dla mnie tylko po to, by mi uświadomić, że jestem już po tamtej stronie wszystkich wiosen". A w następnym liście: "Co Was, u licha, gnębi, pytacie? Nie umiem na to odpowiedzieć: smutek życia, trwoga przed przyszłością, jakieś przeświadczenie niejasne o żałosnym końcu wszystkiego [...]". Przeczucie? Niewątpliwe, choć jeszcze osiem lat dzieliło Schulza od sprawdzenia się tych złych myśli.

Taki nastrój i nudna praca nauczyciela robót ręcznych nie sprzyjały pracy literackiej: "Nic przez całe wakacje nie napisałem - skarży się w liście z końca sierpnia 1934 r. -

co za strata czasu. A myślałem, że stanę do konkursu na powieść “Il. Kuriera Codz.”. I w dwa tygodnie później: “Ach, jakby to dobrze było dostać urlop roczny! Jeślibym go dostał, odwiedziłbym Was na pewno w Chełmie. Już tak dawno nie widziałem «ludzi» [...]. Życie mogłoby być ładne”. W miesiąc później pisze: “Diabelnie to trudna sprawa coś z siebie wydobyć. Czasami zdaje się człowiekowi, że ma ogromny materiał i ugina się aż pod ciężarem nałożonej na siebie misji - to znowu ze zdziwieniem konstatuje pustkę u siebie. Są to perypetie zwykłe - przypływy i odpływy, z którymi trzeba sobie jakoś radzić. Trzeba tkwić ciągle w pracy, nie przerywać jej, - nie uczyć np. w szkole - gdyż ten brak ciągłości zabija natchnienie”. W grudniu tegoż roku wyznaje: “Cały czas nic nie pisałem. Interesuje mnie teraz więcej malarstwo”.

Dwukrotny wyjazd do Warszawy staje się chwilową odtrutką przeciw szarzyźnie życia na prowincji i przygnębiającym nastrojom. Za pierwszej bytności poznaje tam Nałkowską, Tuwima, Wata, Ważyka, Brucza, Gojawiczyńską, za drugiej - w styczniu 1935 r. - Witkacego, Brezę, Wittlina, Czechowicza i Gombrowicza. Lato 1935 r. spędza w Zakopanem, gdzie miał się spotkać z Waśniewskim. W listach .poprzedzających te wakacje znajdują się aluzyjne wzmianki (przed Wielkanocą): “Najchętniej zaprosiłbym Was na święta lub zaraz po świętach, ale muszę wyjechać do pewnej pani, z którą łączą mnie więzy przyjaźni i ona mnie oczekuje”, a w lipcu przed wyjazdem do Zakopanego już wyraźnie: “Narzeczoną moją znam już od 3 lat, zbliżyliśmy się przed 2 laty i od czasu do czasu spędzamy po parę tygodni razem, gdyż nie mieszkamy w tym samym miejscu. Oboje jesteśmy biedni, ona jest zredukowaną nauczycielką gimnazjalną i szuka posady [...]. Oczekuję Was z radością [...]. Będziemy szukali jakiegoś locum poza Zakopanem, w Kościeliskiej, na Cyrhli lub w Jaszczurówce”.

A w trzy tygodnie potem pisze z Zakopanego: “Wbrew oczekiwaniom żyję tu bardzo samotnie. Widuję się tylko niekiedy z Witkiewiczem i krytykiem Płomieńskim [...]. Liczę zatem, że 14 lub 15-go wyjedziecie, ażebyśmy jeszcze kilka dni mogli tu razem spędzić. Ja nie chodzę w góry - cierpię na zawroty głowy i obawę przestrzeni”. Ale Zenek trafił w Zakopanem na bardzo niefortunne chwile. W następnym liście, pisanym prawie i w dwa lata potem (2 VI 1937), Schulz pisał: “Drogi, Stary, Poczciwy Przyjacielu! Ile razy myślałem w tym czasie o Was, czułem, dotkliwy wyrzut sumienia i wstyd, że tak się wówczas wobec Was zachowałem. Dlaczego tak się stało - sami mnie wytłumaczyliście w Waszym poczciwym liście. Nie byłem wówczas panem moich nerwów, mojego zdenerwowania i mojej rozpaczy. Dlaczego potem milczałem, mimo że przypominaliście się mi przysyłając «Kamenę»? Chyba ze wstydu, uważając mój stosunek do Was za zabagniony i zepsuty. Tymczasem sami w swojej poczciwości odezwaliście się do mnie. Trafiliście znowu na ciężką chwilę u mnie. Jestem właśnie po ostatecznym zerwaniu z narzeczoną. Moja znajomość z nią była pasmem cierpień i ciężkich chwil. W końcu odczuwam to, jako ulgę, że zerwała ze mną ostatecznie [...]. Mimo że powinienem być zadowolony z tego zerwania - czuję teraz straszliwą pustkę i nicość życia. Nie mogę nic robić, nie mogę żadnej książki wziąć do ręki, bo mnie mdli i nudzi okropnie. Czy przeżywaliście kiedyś coś takiego? Nie poznaję siebie samego. Ja, który zawsze miałem głowę pełną zagadnień, problemów, podniecony zawsze przez różne idee, teraz wlokę się pusty, bezmyślny i ospały i mam uczucie, że to już koniec wszystkiego. Od miesięcy nic już nie piszę, nie

jestem w stanie najmniejszego artykułu napisać. Nawet napisanie listu kosztuje mnie ogromnego przezwyciężenia. Nie otrzymuję też już od dawna żadnych listów i sam nie piszę do nikogo. Czuję, że to wszystko nie jest tylko skutkiem moich przeżyć sercowych, ale że wszedłem w jakąś nową fazę życia, której dominantą jest wielkie i zasadnicze rozczarowanie - nicość życia".

W dwa miesiące później skarżył się: "Byłem przez 4 tygodnie na wsi koło Turki prawie zupełnie samotny. Nie miałem pociechy z tej samotności i pozbyłem się iluzji starej i zakorzenionej, że jestem stworzony do samotności. Może kiedyś byłem, dziś zieje na mnie pustka i martwota z krajobrazu, nie mogą się już pożywić przy stole Pana Boga [...] coś się we mnie popsuło. Czy Wy znajdujecie jeszcze coś w świecie naprawdę pięknego i porywającego, czy zdolni jesteście do entuzjazmu. Mnie się wydaje, że świat stał się nudny".

Ostatni list z kwietnia 1938 r. był utrzymany w podobnym nastroju: "Przesłaliście mi piękny i smutny wiersz, za który serdecznie dziękuję. Z nutą tego wiersza współdźwięczy mój smutek. Jest to nasz wspólny smutek, starzenie się, rozczarowanie nagiego szkieletu prawdy. Czy sądzicie, że można ten smutek uczynić napadem jakiej twórczości, że można go artystycznie zużytkować, poić własną klęską demona twórczości? Ja nie jestem do tego zdolny. Moja muza pragnie pogody i ciepła. Pod jesień życia staje się ospała i leniwa jak muchy w tej porze roku. Z drugiej strony mógłbym powiedzieć, że treściowo staję się bogatszym, że materiał rośnie, tylko brak podniety, napędu, pasji, by przekuwać w formę. Doszedłem do tego, że jedyną ostoją naszą może być praca, jakakolwiek, choćby niżej naszego poziomu, choćby mechaniczna. Inaczej smutek nas pożera".

Za półtora roku miała wybuchnąć wojna. Trudno wprost sobie wyobrazić, co ten nieśmiały, mimozowaty, zamykający się w smutku przy każdym draśnięciu życia artysta mógł przeżywać, gdy przyszło najstraszniejsze, zaszczuty w okrutnych czasach pogardy.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

A oto wśród korespondencji z klubem literackim “S” i “Dekadą” oprócz kilku listów Jana Kotta i Ryszarda Matuszewskiego - listy Włodzimierza Pietrzaka, a wśród nich jeden - w przeciwieństwie do Czechowicza - przyklaskujący mojej inicjatywie wydawania numerów tatrzańskich i rzucający myśl, zrealizowaną przeze mnie w następnym roku: "A może by «Kamena» zwróciła raz spojrzenie na morze? (3 XI 1936). W zakończeniu - słowa: “A swoją drogą «Kamena» imponuje - tyle lat - i w Chełmie Lubelskim. To właśnie dobrze... trzeba zasypywać przepaść, która dzieli w kraju naszym życie stolicy od życia prowincji”.

A we wcześniejszej kartce (1 IV 1935) interesujące wyznanie rzucające pewne światło na ideologię Pietrzaka: “Pragnę panu załączyć powinszowanie z okazji stanowiska zajętego wobec napaści endeckich. Pełzające po ziemi i przy ziemi endectwo było mi zawsze obce i kto wie, czy nie wstrętne. Niezupełnie antyfaszysta, nie rozumiem potrzeby separacji utworów x-a od y-a z racji jego wyznania czy przekonań. Ale myślę, ataków w tym rodzaju nie można brać zbyt serio, tak są bezdenne w bezmyślności”.

KAROL WIKTOR ZAWODZIŃSKI

Z Karolem Wiktorem Zawodzińskim, o którym już wspominałem w związku z Czechowiczem, zetknąłem się listownie po wysłaniu mu kartki anonsującej wyekspediowanie pod jego adresem kompletu rocznika I "Kameny" i zbiorków Jesienina i Błoka. W kartce z dn. 17 XI 1934 pisał: "Z wielką radością otrzymałem pocztówkę Pana, bowiem od roku już robiłem wielokrotne próby zdobycia «Kameny» zawsze bezskuteczne. A chodziło mi o nią bardzo choćby ze względu na Pańskie tłumaczenia z poetów rosyjskich, które znałem z «Zetu» głównie i o których bardzo wysoko sądzę, jak to zresztą publicznie oświadczyłem w lutowym zeszycie «Drogi» i gdzie indziej. Zbiór przekładów Błoka, jednego z najwyżej cenionych przeze mnie poetów, wyszedł zdaje się jako osobny zeszyt pisma: prawdziwe dla mnie cymelium!" A w tydzień później anonsował: "Otrzymałem komplet «Kameny» oraz cztery tomiki Pańskich utworów oryginalnych i tłumaczeń. Z wielkim zainteresowaniem będę czytał i starał się prześledzić oś Pańskich poglądów na poezję, zdaje się, niezbyt oddalonych od moich z wyjątkiem zbytniej, moim zdaniem, pobłażliwości dla tzw. «awangardy». O piśmie będę mówił w «Roczniku Literackim», o zbiorkach, ze względu na ich datę wydania nie będę tam miał sposobności".

W kartce z dn. 27 III 1935 (przeważnie wysyłał pocztówki - rzadziej - listy) dziękuje za przysłanie czterech nowych zeszytów "Kameny", "której jest (em) uważnym czytelnikiem [...]. Będę o niej mówił w «Roczniku Literackim» [...}. Będę podnosił jej znaczenie jako manifestacji szczerego umiłowania poezji. Może bym wolał jednak, żeby nie było ono tak szerokie, tj. nie obejmowało ze zbytnią pobłażliwością wyraźnych grafomanów ratujących się pozorami radykalizmu artystycznego i innego". Tę "awangardę", której nie rozumiał, nieraz mi Zawodziński wypominał.

W kartkach swych wyrażał się też ironicznie i lekceważąco o "poczciwym" Sergiuszu Kułakowskim: "Jako specjalista trochę od rosyjskiej poezji i znając dość dobrze S. Kułakowskiego chciałem ostrzec Pana przed jego współpracą". A dalej uzasadnienie w stylu niezbyt przyjemnym: "Nie wiem, czy Błok był półobłąkany (nawiązanie. do artykułu S. K. w "Kamenie"); pewny za to jestem że pisał o nim człowiek stojący na granicy skretynienia, niezdolny powiązać trzech myśli do kupy; nie mówiąc już o jego polszczyźnie". Tylko co do polszczyzny Kułakowskiego miał K. W. Zawodziński rację. Korespondowałem z profesorem po rosyjsku, ale gdy mi czasem przysyłał artykuły napisane po polsku, miałem sporo pracy z ich poprawieniem. Kto czytał jego *Pięćdziesiąt lat literatury rosyjskiej,* ten musi, jeśli chodzi o polszczyznę, przyznać Zawodzińskiemu rację.

Kiedy zwróciłem się do K. W. Z. z prośbą o współpracę w "Kamenie", odpowiedział mi bardzo uprzejmie, "na razie" jednak z powodu nawału pracy i złego samopoczucia nic nie obiecując. Współpraca ta ograniczyła się jedynie do zamieszczania marginesowych uwag w związku z niektórymi artykułami *(O wyzwalaniu szatana i wyzwalaniu anioła* G. Timofiejewa w nrze 24, na temat eseju Napierskiego o Słonimskim w nrze 34).

W związku ze wspomnianą już sprawą zarzutów Czechowicza oprócz listu, z którego fragmenty przytoczyłem, przysłał mi kartkę (13 I 1936). “Co do sprawy Czechowicza, to jestem nieco zdziwiony stanowiskiem Pana. Widzi Pan brzydotę jego postępku i śmieszność jego enuncjacji, umieszcza je Pan w świadomym zamiarze oszczędzania go, aby mieć jego utwory. Czy aż tak są cenne, by opłaciło się zatajać naturalny odruch instynktu etycznego? I czyż właśnie cały szereg niedomagań życia publicznego Polski nie wypływa ze słabości, pobłażliwości «opinii». Co do mojej reakcji była ona proporcjonalna do rzuconej mi w twarz obelgi: nazwano mnie «łapownikiem»”. Jak więc widać, nie dogodziłem ani Czechowiczowi, ani Zawodzińskiemu, ale byłem w zgodzie z samym sobą.

TADEUSZ HOLLENDER

Hollender, zanim poznałem się z nim osobiście we Lwowie, zawarł ze mną znajomość w liście z dn. 10 II1934, w którym prosił mnie o przekłady ukraińskie do specjalnego numeru “Sygnałów”. Pomógł mi przy układaniu zeszytu “Kameny” na stulecie Pana Tadeusza, gdy go prosiłem o mickiewicziana ukraińskie. W ogóle był mi pomocny, gdy chodziło o nawiązanie kontaktów z Ukraińcami.

Nosił się z zamiarem wydania w “Bibliotece Kameny” swych przekładów z poezji ukraińskiej, ale sprawa ta jakoś utknęła i nie wydał ich w ogóle.

W jednym z listów z r. 1935 zwierzał mi się: “Marzę o zorganizowaniu wspólnego frontu ideowego z młodych poetów polskich, frontu nie tyle, jeśli chodzi o zagadnienia formalne, tzn. awangardowe, bo z nimi nie umiem się pogodzić we wszystkich punktach, ale frontu ideowego treściowo, czującego rytm dnia idącego, rytm świata pracy, który gwiżdże na zręczną dziennikarkę pp. Bocheńskich i konserwatywne Bunty *młodych czterdziestolatków [...].* Chodzi o to, aby nas i robotnik zrozumiał, inaczej nic z roboty i kabotyństwa i ze snobowania się poczuciem załganej «proletariackości». Ot co.” W tym też liście marzy o zwołaniu we Lwowie na czerwiec w okresie Targów Wschodnich kongresu poetyckiego. Jak wiadomo, kongres ten doszedł później do skutku i miał wyraźny aspekt polityczny: literaci stanęli po lewej stronie barykady.

Tragiczny wrzesień 1939 r. zapędził Hollendra do Chełma, gdzie przebył u mnie kilka dni, aż do wycofania się za Bug wojsk radzieckich. Zarówno jego, jak i Weintrauba i jeszcze paru kolegów, którzy również znaleźli się wówczas w Chełmie, nie było mi już sądzone oglądać.

JERZY KAMIL WEINTRAUB

Jerzy Kamil Weintraub napisał po raz pierwszy do mnie w r. 1936. Zasilał “Kamenę” wierszami oryginalnymi i przekładami z Georga Trakla. W “Bibliotece Kameny” wydał swą pierwszą książkę *Próba powrotu* (1937). O piśmie miał wysokie (zbyt wysokie) mniemanie: “Uważam «Kamenę» za najlepszy miesięcznik literacki, ściślej poetycki, polski. Martwi mnie tylko stosunkowo niewielka popularność w stosunku do tak wysokiego poziomu” (5 X 1936).

Poznałem go osobiście w Zakopanem w czasie przedwojennych wakacyj, a w pamiętnym wrześniu na kilka dni schronił się z żoną u nas i przeżył ze mną pierwszy w Chełmie nalot bombowy, który nas obu zaskoczył na ulicy. Pisałem o tym w jednym z zeszytów powojennej “Kameny”.

ETTINGER, WIERZEJSKI I RZEWNICKI

Trzy kartki od Pawła Ettingera świadczą o tym, że i z daleką Moskwą byłem w kontakcie. Zwracałem się do niego o radę przy przygotowywaniu numeru puszkinowskiego. “Ten zeszyt puszkinowski - pisał - bardzo chciałbym mieć pour le service de la presse”. Od niego też otrzymałem poezje Tichonowa.

Spod błękitnego nieba Italii niespodziewanie przyszły do mnie listy od Bronisława Krystyna Wierzejskiego, który pisał: “Do Włoch, gdzie mieszkam od lat, jestem szalenie przywiązany. Poczciwi to, dobrzy, serdeczni, bez zarozumiałości ludzie. Jeden z niewielu narodów, gdzie Polacy cieszą się prawdziwą sympatią”. I w listach wiersze - te mniej ciekawe od wynurzeń autora, który po powrocie z Cyrenaiki oświadcza: “Całym sercem pokochałem Afrykę, a przede wszystkim Saharę. Czuję się tam jakimś zupełnie innym człowiekiem o odmiennym temperamencie i nowych kategoriach myślenia. Każdy człowiek ma swoją okolicę na mapie, o której śni i marzy na jawie, która wydaje nam się krainą wszystkich szczęśliwości i zadowoleń moralnych. Dla mnie taką jest pustynia nadśródziemnomorska”. Owocem tej wyprawy była książka *Forty na piasku*, wydana nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego w r. 1936. Jak dziwnie mi było wyczytać w kilka lat potem nazwisko jej autora na liście ofiar wojny.

A oto kartki i listy kreślone charakterem kobiecym a podpisane niezdarnie inną ręką i męskim nazwiskiem. Listy pisała żona, gdyż autor miał porażoną rękę. Otrzymałem od niego książkę, do której wracałem kilkakrotnie, a z korespondencji poznałem jego smutny los, tragicznie przypieczętowany śmiercią w powstaniu warszawskim. Jan Rzewnicki. Wyobrazić sobie: miłośnik gór, wprawdzie nie taternik, ale turysta, który je schodził łatwiejszymi drogami wzdłuż i w poprzek, od r. 1936 dotknięty przewlekłą chorobą, która, jak pisał do mnie, “jest dla mnie katastrofą i to podwójną: raz wypędza mnie z Tatr, które tak kocham, po wtóre łamie we mnie talent literacki, ponoć niepośledni. Jest dla mnie też tragiczniejsze, że jestem człowiekiem już starym (67 lat), więc czasu mi już wiele na świecie nie pozostało - późno niestety zacząłem karierę literacką”.

”Czasu mi już wiele na świecie nie pozostało...” Pięć lat z górą jeszcze, ale jakiż koniec! Nie przewidywał go w najstraszniejszych przypuszczeniach.

W pierwszym powojennym (XVII) roczniku wznowionych “Wierchów” z r. 1947 w długiej “liście osób zmarłych”, związanych tak czy inaczej z górami, figuruje też krótka, lecz jak straszliwie wymowna wzmianka: “Rzewnicki Jan Adam ur. w r. 1871, turysta, członek dawnej Sekcji Turystycznej P.T.T., autor wspomnień o Tatrach oraz 8 tomów pamiętników tatrzańskich, zachowanych w Muzeum Tatrzańskim **spalony żywcem przez Niemców** (podkreśl, moje) we wrześniu 1944 r. w powstaniu warszawskim”. Ach, raczej by zginął z wyczerpania w swej ostatniej z wycieczek górskich!

Z zawodu matematyk, inżynier-elektryk, językoznawca polski, członek różnych komisyj językowych, autor dramatów historycznych, z których *Stanisław August* ukazał się na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, przede wszystkim jest twórcą niesłusznie dzisiaj zapomnianych uroczych gawęd *Moje przygody w Tatrach - uśmiechy i dreszcze,* Warszawa 1938, nakładem księgarni F. Hoesicka. Omawiałem tę książkę w ostatnim przedwojennym górskim numerze "Kameny". Pisałem o niej m. in.: ,,[...] z kart książki bije szczere i głębokie umiłowanie Tatr, a wrażenia są skreślone żywo, dowcipnie i choć stylem gawędziarskim, niemniej jednak ładną polszczyzną. Szczególnie udaje się autorowi oddać przygodny nastrój wycieczek, tych wszystkich drobiazgów, które się nań składają (zwłaszcza gdy się w góry idzie we dwoje), tych kłopotów obuwiowych czy gastronomicznych, tych gubień ścieżek i znaków, tych przekomarzań się wzajemnych. Ale prócz "uśmiechów" spotykamy w *Przygodach* i "dreszcze" najżywiej przemawiające z kart dramatycznych wspomnień zatytułowanych *Krew.*

Ówczesne zastrzeżenie moje dotyczące stylu gawędziarskiego było niesłuszne, dziś wiem, że w dużym stopniu temu stylowi książka Rzewnickiego swój urok zawdzięcza. Ale dufny wtedy w swe, pożal się Boże, doświadczenie i zdobycze górskie, miałem w stosunku do autora i inne zastrzeżenia: odnosiłem się z wyższością do "ceperskiego", jak to określiłem, stosunku Rzewnickiego do Tatr.

Dzisiaj tę książkę, wiedząc o tragicznym i jakże nieludzkim końcu jej autora, czyta się z rozrzewnieniem. Czytałem ją czasu wojny po powrocie z obozu, by wywołać wizję nie oglądanych tak długo gór, czytałem i potem jeszcze, i teraz przed miesiącem. I mimo zastrzeżeń co do jej "ceperskości" (wszystko jest względne: dziś Skoczylasom et consortibus "ceperskie" wydać się mogą niejedne "bujdałki" przedwojennego "Taternika"...) patrząc na książkę Rzewnickiego, jako na obraz najszczerszych przeżyć i wzruszeń autora, umiejącego przekazać je czytelnikom, uważam ją za jedną z ciekawszych pozycji literatury tatrzańskiej. A piękna, jędrna polszczyzna jej sprawia prawdziwą rozkosz. Któreś z naszych wydawnictw koniecznie powinno *Przygody* wznowić. I nie tylko wznowić, ale i rozszerzyć, bo jak autor do mnie pisał, pamiętnik jego (który szczęśliwie ocalał i jak wiadomo, znajduje się w Muzeum Tatrzańskim) zawiera z górą 4000 pisanych stron. Jest więc z czego wybierać. A opłaci się. Książka przy dzisiejszym masowym ruchu turystycznym cieszyłaby się ogromnym powodzeniem. A przestrzegając przed lekceważeniem niebezpieczeństw i lekkomyślną beztroską w górach mogłaby także spełnić poważną rolę dydaktyczną.

Te pisma od nieżyjących zamykają listy i pocztówki od Julii Wieleżyńskiej, Stanisława Bąkowskiego i Grzegorza Timofiejewa, siedem - od Juliana Tuwima, po kilka od Antoniego Bogusławskiego, Anatola Mikułki, Tadeusza Stępniewskiego i Adama Szczerbowskiego, po jednym lub dwa od Władysławą Broniewskiego, Kazimierza Czachowskiego, Zdzisława Dąbrowskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, prof. Wiktora Hahna, Karola Irzykowskiego, prof. Juliusza Kleinera, Leona Kruczkowskiego, Kornela Makuszyńskiego, Witolda Mileskiego, Marii Pawlikowskiej Jasnorzewskiej, Lecha Piwowara, Władysława Podstawki, Juliusza Wita i Tadeusza Zelenaya oraz parę - od Artura Rzeczycy. Listów od Ignacego Fika nie mogłem odnaleźć, a korespondowałem z nim również: współpracował przecież z "Kameną".

Może zniszczyłem je nieopatrznie paląc część archiwum we wrześniu 1939 r.

WIELEŻYŃSKA, BĄKOWSKI, TIMOFIEJEW, TUWIM

Julia Wieleżyńska współpracowała z “Kameną” począwszy od drugiego rocznika. Zamieszczała tłumaczenia z poezji włoskiej i francuskiej. W stulecie urodzin Carducciego opublikowała o nim artykuł ilustrowany przekładami jego wierszy (m. in. fragmentu *Hymnu do szatana).* Wydrukowała esej o poezji serbo-łużyckiej z własnymi spolszczeniami poetów tego narodu.

Stanisław Bąkowski z Poznania korespondował ze mną przeważnie w związku z zamieszczanymi kilkakrotnie wierszami i poematem *Drwal i niedźwiedź* wydanym w “Biliotece Kameny”. Po wojnie drukowałem tylko jeden jego utwór. W antologii *Poezja polska 1914-1939* mylnie podano informację, że poeta mieszka za granicą. Okupację przebył częściowo w Lublinie, częściowo w Warszawie, gdzie zaskoczyło go powstanie; po wyzwoleniu wrócił do rodzinnego Poznania, gdzie zmarł w latach pięćdziesiątych. Czuję w stosunku do niego pewne wyrzuty sumienia, bo zwlekałem z odpowiedzią na jego ostatni list i już nie mogłem do niego napisać.

Grzegorz Timofiejew występował w nrze 4 wierszem o zabarwieniu społecznym *Nadmiar* (Piechal - w nrze 9) w r. 1933. W kartce kwitującej odbiór “Kameny” pisał: “Z radością witając pojawienie się «Kameny», cennej zwłaszcza w zakresie kulturalnego zbliżenia różnych narodowości, przesyłam do Waszego użytku wiersz z gruntu łódzkiego, w ten sposób, aby w tym piśmie było reprezentowane również nasze środowisko. Do prasy łódzkiej podałem notatki o «Kamenie» i chętnie służę wszelkimi informacjami i uwagami z Łodzi itd. Rad byłbym, gdybyśmy pozostawali w kontakcie”. To życzenie zostało zrealizowane współpracą Timofiejewa (wiersze i artykuły) nie tylko w przedwojennej, ale i powojennej “Kamenie” i wzajemną wymianą zbiorków z dedykacjami.

W czasie wojny obu nas spotkał podobny los: znaleźliśmy się w niemieckich obozach koncentracyjnych i obaj po szczęśliwym powrocie opisaliśmy w książkach wrażenia z tych niesamowitych przeżyć. Nagły jego zgon, który mnie zaskoczył po moim wyjściu ze szpitala, uniemożliwił mi wysłanie mu mego zbioru wierszy i przekładów; było mi przykro, że nie uczyniłem tego wcześniej, bo sygnalizowałem mu w liście mającą się ukazać książkę i obiecałem mu ją przysłać.

Julian Tuwim napisał pierwszy do mnie (19 XI 1936) prosząc o udzielenie wiadomości: “kto jest pani Olga Daukszta, której utwory czytałem w nr 1 i 2 «Kameny» i czy drukowała już gdzie indziej swe wiersze” (a w nrze 1 tego roku był wybór kilku liryków z *Waleta kierowego,* który ukazał się wkrótce w “Bibliotece Kameny”. W półtora roku później “Skamander” drukował *Ładę* Daukszty). List zamykały uprzejmości: “Przy sposobności - słowa podziwu i tzw. «uznania» dla pisma, które pewno boryka się z nie lada trudnościami”. Podałem Tuwimowi adres Daukszty i prosiłem go o przysłanie do “Kameny” jakiegoś wiersza. Po dziesięciu dniach otrzymałem przekład *W zaraniu życia* Puszkina, który pochopnie zamieściłem w najbliższym nrze (4 - grudniowym) zamiast zatrzymać go do numeru puszkinowskiego.

JÓZEF MONDSCHEIN

Wreszcie Józef Mondschein. Właściwie, gdy to piszę, nie wiem z całą pewnością, czy znajduje się na tym czy na tamtym brzegu. Ostatni list od niego miałem w grudniu 1949 r. z życzeniami świątecznymi i noworocznymi. Pisał ze Strasburga, gdzie przebywał po wojnie. W liście było pisemko do działu gratisów Spółdzielni Wydawniczej "Książka i Wiedza", w którym prosił, jako tłumacz czterotomowej powieści M. A. Nexö *Pelle zwycięzca,* o wydanie mi z przypadających mu egzemplarzy autorskich całości tej powieści. Nigdy z tego pisemka nie skorzystałem. Mondschein już w tym czasie czuł się źle, miał poważne dolegliwości sercowe. Później otrzymałem jeszcze od niego dwie kartki. Ostatnią z St. Maxime, pisaną w lutym 1952 r. Skarżył się w niej na serce i cukrzycę. Odtąd ani słowa. Jedenaście lat milczenia zdaje się przesądzać o jego losach.

Tłumacz znakomitego pisarza duńskiego zasypywał mnie listami. Z tej obfitej korespondencji większą część zniszczyłem na początku okupacji. Mondschein należał do starszej generacji. Z tego tytułu zapewne do "Kameny" i jej redaktora odnosił się protekcjonalnie i z pewną wyższością, co nie przeszkadzało mu wciąż przysyłać słabych przeważnie wierszy, których nie mogłem drukować. W pierwszym roczniku zamieściłem dwa jego wiersze (oryginalny i tłumaczenie) i artykuły *Mickiewicz w Danii* oraz uwagi na marginesie książki Adam *Mickiewicz et la pensee jrancaise,* a w drugim roczniku - przekład fragmentu Doktora Fausta J. P. Jacobsena i wiersz tegoż klasyka duńskiego.

Mondschein lubił pouczać. Przy tym był złośliwy. O Czechowiczu pisał, że to jest "dusza poetycka, ale przewerbalizowana". Jego przekład wiersza Kiplinga z refrenem "cholerną duszę już taką mam" uważał za "skandal". "Skandalem jest też ostatni przekład z Lermontowa Modlitwa [...]. Z Lermontowa w tym przekładzie ani krzyny. Zabity Lermontow. Zamordowany Kipling. Teraz Czesi idą na rzeź". O Polsce pisał jako o "ciemnej jak tabaka naszej miłej ojczyźnie". Ponad wszystko uwielbiał Danię, w której jakiś czas mieszkał. Gdy zirytowany jego apodyktycznością, odpisałem mu kiedyś ostro, ironizując m. in. jego daniofilstwo odpisał mi: "U nas wszystko można, ale w Danii, proszę Pana, to nie! Pan chciał ironizować Danię [nie Danię, ale jego niewidzenie nic poza nią, przyp. mój], otóż powiem Panu tylko to, że gdy się mówi o kulturze Danii i jej stosunkach, to trzeba zdjąć kapelusz z głowy". Po tym liście nasze stosunki ochłodziły się trochę, ale w dwa lata później pisał: "Starliśmy się z sobą o jakieś głupstwo zupełnie niepotrzebnie, uważam, że dziś to powinno pójść w niepamięć".

O sobie ten skądinąd światły człowiek miał zbyt wygórowane pojęcie, skoro potrafił wyrazić się w ten sposób: "W całej Pańskiej Domenie, tj. Kamenie nie ma ani jednego tak dobrego, sumiennego i twórczego przekładu, jak mój przekład *Dra Fausta* J. P. Jacobsena. Ani jednego. Choć nie jestem przez Was tak reklamowany jak Czechowicz".

Poznałem go osobiście w r. 1935 w Zakopanem. Sprawił wrażenie śledziennika i

dziwaka, człowieka zawiedzionego w życiu: tak powinien wyglądać autor pisanych do mnie listów, który potrafił zaopatrzyć swój rękopis w maksymę: “manuscriptum res sacra” i który lubił zrzędzić i pouczać.

Mondschein wciąż miał jakieś plany: na Śląsku “zakładał” Bibliotekę Humoru i Satyry, nosił się z zamiarem ułożenia antologii polskiej poezji antyklerykalnej, ale wszystko to pozostało w sferze projektów. Tak samo jak i zapowiedziany w liście druk utworów Ludwika Stanisława Licińskiego, o czym mi pisał w r. 1937: “Zbiór Licińskiego wyjdzie w lutym, wydaje pewien niezły wydawca pod moją redakcją. Liciński jako unicum zasługuje na taki zbiór”. Wydawnictwo w jednym tomie miało zawierać Z *pamiętników włóczęgi* i *Halucynacje,* nie drukowane inne utwory prozą, wiersze i listy pisarza (“listy do Z. Nałkowskiej - moc tego - i do Korczaka”). Wszystko to zgromadził i wyszperał po pismach i bibliotekach Mondschein, który “posiadał prawa do pism Licińskiego, udzielone mu przez rodzinę zmarłego do wydania i drukowania jego pism”. A ponieważ, jak mi komunikował później, cała jego biblioteka i archiwum spłonęły podczas wojny, los ten musiał spotkać i te materiały. A Liciński wciąż jeszcze, mimo że upłynęło 55 lat od jego śmierci, nie doczekał się reedycji.

OLGA DAUKSZTA

Ciekawa to poetka i z pewnością jedna ze zdolniejszych w okresie dwudziestolecia. Na jej talent zwrócił uwagę bodajże Napierski, który w “Wiadomościach Literackich” zamieścił bardzo pochlebną recenzję jej wydanego na Łotwie pierwszego zbiorku *Dźwina o zmierzchu.* Drugi tomik wierszy miał tytuł *Błękitne inicjały. Walet kierowy* był z kolei trzeci. Mam od niej kilkanaście bardzo interesujących listów, świadczących o jej niepospolitej osobowości. Nie pamiętam już, jak otrzymałem jej adres. Napisałem do niej prosząc o współpracę w “Kamenie” i zapytując, czy nie ma jakichś przekładów z poezji łotewskiej. Nie miała, ale za to do listu dołączyła wiersze oryginalne.

Od r. 1918 do 1923 była studentką w wyższej szkole malarskiej w Moskwie, ale choroba płuc zmusiła ją do zmiany klimatu. Nie ukończyła studiów i wyjechała na Łotwę. Odtąd już trudno jej było wziąć pędzel do ręki, ale za to zaczęła pisać wiersze. Mieszkała w Dyneburgu (po łotewsku Daugavpils) i była nauczycielką języka polskiego i psychologii w łotewskiej szkole średniej. Język polski (dla mniejszości narodowej) był tam traktowany po macoszemu, a jakie w tej szkole panowały stosunki, o tym świadczy fakt, że wyjazdy Daukszty do Wilna w czasie wakacji były przez władze źle widziane. (“Latem do Wilna nie jeździłam, odradził mi dyrektor szkoły, bo gdybym to uczyniła, w jesieni “wylaliby” mnie z posady. To zwykła u nas historia”). A sprzedaż książek polskich wydawanych w Polsce była na Łotwie zabroniona.

Oto co poetka pisze o sobie: “Nie jestem Rosjanką ani prawosławną, jak niektórzy myślą. Jestem katoliczką ochrzczoną w Ryskim kościele [...]. Nazwisko moje jest żmujdzkie, a może tatarskie [...], myślę, że jestem w zgodzie ze swym imieniem i nazwiskiem, tylko mniej tu wikingów i prusów, ale przeważają Żmujdzini, Jadźwingowie, Tatarzy... Wszak i ja mam kosę oczy, szerokie plecy, nieduży wzrost [...]. W rodzinie mojej nie brak przyzwoitych nazwisk polskich i niemieckich [...]. Zresztą ja sama nie wiem, kim jestem. Piszę po polsku i lubię Polaków, bo byli zawsze dla mnie dobrzy, czego nie mogę powiedzieć o innych narodach, z którymi mnie życie zetknęło. Najbliższy mi jest step i las, czuję mocno Ukrainę, którą znam, interesuje Wołyń, choć tam nigdy nie byłam. Pociąga wschód, południe. W czasie mego pobytu w Rosji byłam z krótką wycieczką w Krymie i na Uralu”.

O swych erotykach (po ukazaniu się *Waleta kierowego)* pisze: “Serdecznie dziękuję za pomoc, przychylność, za krzepiące słowa o mych wierszach, banialukach. Chyba innym znawcom nie będą się podobały, no bo Polska zawsze zostanie «sielankową» Polską i moje utwory będą ją raziły”. Zdanie o współczesnych poetkach: “Niedawno przeczytałam wszystkie poezje Iłłakowiczówny. I dziwię się mocno, dlaczego ją tak chwalą [...]. Jedynie *Imiona wróżebne* i *Płaczące ptaki* coś warte. Reszta - ludowe zawodzenie [...]. Wolska jest już ciekawsza od Iłły, a Pawlikowska ze swymi madrygałami buduarowymi i cackami - zabawniejsza. Według mnie - najlepiej pisze Tuwim. Choć brak mu większej kompozycji w pomysłach”.

W liście z maja 1937 r. pisze: “Kończę moją belferkę na Łotwie i przez lat parę lub więcej - muszę trochę odetchnąć innym, nie łotewskim powietrzem. Z wielu względów nie mogę zupełnie zrywać z moją «ukochaną ojczyzną w chodakach», więc będę mieszkała tu i tam... Ażeby się nie nudzić, zacznę jakiekolwiek studia, no np. historii, klasycznych języków lub polskiego. W jakimkolwiek uniwersytecie”. Zapisała się na uniwersytet w Wilnie. Dowcipnie opisuje nowe środowisko. “Z Wilnem już się pogodziłam. Piękne uliczki. Zaułki niebieskawo-szare. Dziedzińce z balkonami odwieczne. Kościoły poczerniałe z pyzatymi aniołkami. «Mekka», do której można tęsknić i modlić się w skupieniu bolesnym. Ludzie swoi [...]. I ziemia pod chmurami też swoja. Nawet literaci sympatyczni. Łopalewski bardzo uprzejmy. Piękny Putrament. Maśliński z fają okropną z popielatą głową. Biały chłopiec z cukru i masła. W Związku Literatów jest sekretarz Szeligowski. Ciekawe monstrum, niby z XVII wieku okazały karzeł z zamku carycy Anny Iwanowny. A potem to podwórze na Ostrobramskiej, przez które przechodził Mickiewicz do swojej Konradowej celi. Wzrusza... Niesamowite w patynie wieków i wspomnień. Architektura to: pierwsza połowa 19-go wieku, car Aleksander I i nieco Arakczejew... a wokoło barok, barok, pękaty, wieżasty z baniastymi otworami na podwórzu”.

A oto trochę ploteczek: “Raz tylko byłam na środzie literackiej w Związku. Czytała Kuncewiczowa swe damskie preludia o strojach, dźwiękach, Warszawiankach, Różach i oficerach. Była ubrana a la wampirzyca. Miała na głowie jakąś czarną wronę, coś niby renesansowy beret, czerwoną różę na czarnej sukni i mocno nakarminowane usta. Sala była nabita publicznością [...]. Literaci siedzieli za swoim stołem. Sekretarz karzeł imponował nad tym wszystkim. Ja siedziałam obok Hanki Nieławickiej trochę dalej od literatów [...]. Naprzeciwko mnie sterczał Łęczycki, bogobojnie ręce miał złożone na żołądku i wprost przed mym nosem tkwił jakiś tłuściutki, króciutki jegomość z halsztukiem 19 wieku lat 30-tych (jak u Gribojedowa). Ten ciekawie spoglądał na nas przymrużonymi kocimi oczkami. Hanka powiedziała, że to poeta wileński, który napisał *Liliowe lśnienia.* Potem kłóciłam się z Maślińskim, bo kiedyś “Kurier Wileński” zepsuł mi wiersze, wiać musiałam postraszyć tego zarozumiałego Bielaska, że zaskarżę go przed sądem [...]. Było to w maju 1938. Od tego czasu nie byłam w Towarzystwie i zamiast literatów mam wciąż przed oczyma profesorów, z którymi ciężka sprawa. Szlagony są to przyczepialskie i o wszystko się obrażają, o każdy mój uśmiech i mocniejsze słowo. Z tego powodu cierpię niesłusznie”.

List z czerwca 1939 r. uderzał w inny ton: “Polska groza - to jest jej małość rzeczywista wobec fantazji i urojonej wielkości o niej jej wieszczów, wodzów, poetów, artystów”. Planowała na lato wyjazd do siostry na wieś, “by trochę odsapnąć i przyszykować się jeszcze do jednego egzaminu. Tak, żeby na trzeci rok została tylko praca magisterska i ostatni egzamin. Ale czy tak będzie? I czy w ogóle wrócę do Polski w jesieni? Ostatecznie nie martwię się z powodu wojny - niech będzie. Najlepiej płynąć z prądem, jak ja to czynię w lata ostatnie. Dlatego nic mi już nie żal [...]. Nie mogę wydać w Polsce ani jednego utworu i nikt mi pomóc w tym nie chce. Trzeba tu za dużo prosić i «odbijać pokłony» przed każdym durniem, żeby coś uzyskać. Nie stać mnie na to”. Był to ostatni list Olgi Daukszty do mnie. Może ktoś z czytelników tej książki będzie mógł mi napisać o jej losach.

ŻYJĄCY

A korespondencja z żyjącymi? Wspomnę tu o wielu listach od Jana Alfreda Szczepańskiego i jego żony - Marii, listach o poezji, “Kamenie”, Tatrach i górach Egzotyku. W dwu ostatnich przedwojennych latach żyliśmy ze sobą blisko. Podczas letnich wakacji mieszkałem u nich w ruderze zakopiańskiej przy Witkiewicza, zwanej “Swobodą”. Poznałem całą jego rodzinę. Chodziliśmy z Jaszczem, czasem z jego żoną i nieżyjącym już bratem, świetnym wspinaczem, po Tatrach słowackich zapuszczając się i do malowniczych miasteczek liptowskich czy spiskich. Sięgaliśmy i poza linię pasa turystycznego, dwukrotnie włócząc się po krasowych formacjach Słowackiego Raju, zahaczając i o renesansową Lewoczę. Zetknąłem się z towarzyszami górskimi Szczepańskiego - Władysławem Krygowskim (obecnym redaktorem “Wierchów”) i Janem Kiełpińskim. Pierwszy z nich występował w ostatniej przedwojennej “Kamenie”.

Bogate były te letnie miesiące we wrażenia górskie i próby poważniejszych dla mnie, a błahych dla Jaszcza wspinaczek. Ba, nawet moje “ambicje” taternickie zostały zaspokojone: “zrobiłem” z Jaszczem nową drogę wschodnią ścianą na Złomiską turnię i z tego powodu nazwisko moje figuruje - a jakże! - w majowym “Taterniku” z r. 1939. Z tego pierwszego i ostatniego debiutu byłem chyba nie mniej dumny niż z ujrzenia swego nazwiska pod pierwszym moim wydrukowanym wierszem.

A sierpień przedwojenny! Niezapomniane dni tuż przed katastrofą. Tydzień wspaniałej pogody spędzony w górach z dala od wieści o nadciągającej burzy. I nocleg w Roztoce, kiedy to w schronisku budzono śpiących oficerów, aby natychmiast wyjechali do swych jednostek. Mobilizacja, na razie cicha. I nazajutrz nasz powrót pieszo szosą morskooką do opustoszałego już zupełnie Zakopanego.

Po wojnie moje stosunki z Jaszczem już nigdy nie przybrały tego przyjacielskiego charakteru, jaki miały w tamtych latach. Wprawdzie widujemy się co parą lat i jeszcze w Krakowie, zanim przeniósł się do Warszawy, otrzymałem od niego egzemplarz maszynopisu jego taternickiej, nigdzie nie ogłoszonej drukiem powieści *Góry śniade jak my*, którą czytałem parokrotnie w okresach nawiedzających mnie paroksyzmów tęsknoty za Tatrami; wprawdzie obdarował mnie *Przygodami ze skałą, dziewczyną i śmiercią z* dedykacją: “na pamiątkę wspólnych pięknych dni tatrzańskich” (o książce tej napisałem recenzję, raczej esej na całą kolumnę gazetową dwutygodnika “Kamena”); wprawdzie nie zapomina o mnie nigdy, będąc za granicą, skąd przysyła “pozdrowienia” na ozdobnych widokówkach, - ale czynne życie w stolicy, praca w redakcji, krytyka teatralna i nieubłaganie płynący czas oddaliły nas od siebie. Zostały tylko piękne wspomnienia i dawne listy. Jeden bardzo serdeczny z czasów okupacji, pisany po moim powrocie *z* obozu.

A inni ludzie? Dwa czy trzy listy rzeczowe Jerzego Mieczysława Rytarda, w r. 1935 pisane w związku z fragmentem jego *Karczmy* zamieszczonym w tatrzańskim

zeszycie “Kameny”, nie zapowiadały w niczym mającego dopiero po wojnie nastąpić zbliżenia między nami i nawiązania częstej i ciekawej korespondencji. Ale to sprawy wybiegające o kilkanaście lat naprzód.

Można by wymienić jeszcze mnóstwo innych nazwisk (o niektórych wspominam w związku ze specjalnymi numerami “Kameny”), nazwisk ludzi, którzy już przed wojną byli znani, i ludzi, którzy dopiero po wojnie dopracowali się uznania. Zarówno przyjaciół “Kameny”, jak i tych, co zapomniawszy o dawnych kontaktach są dzisiaj zupełnie obojętni. Osobną grupę w korespondencji “Kameny” stanowią listy od pobratymców (Ukraińców, Czechów, Słowaków, Rosjan, Białorusinów, Bułgarów).

Wspomnę tu tylko o kilkunastu listach, które się zachowały z korespondencji z młodym poetą rosyjskim - Lwem Gomolickim, autorem paru poematów, jak *Warszawa, czy Oda do śmierci.* To jemu zawdzięczam orientację w rozwoju poezji rosyjskiej na emigracji, on mi pożyczył *Ciężką lirę* W. Chodasiewicza, z której przełożyłem kilka wierszy, on posunął swoją uprzejmość i gotowość przyjścia mi z pomocą do tego stopnia, że bądź przepisywał mi odręcznie bardzo kapryśnym i trudnym do odczytania charakterem pisma, bądź przedrukowywał dla mnie na maszynie liczne utwory takich pisarzy, jak Maria Cwietajewa, Dowid Knut, Antoni Ładinski, Borys Popławski i in., a przede wszystkim Mikołaj Gronski, świetnie zapowiadający się młody poeta, który zginął w wypadku pod pociągiem metra. Dzięki Gomolickiemu poznałem bohaterski poemat Gronskiego *Belladonna,* który specjalnie zainteresował mnie swą treścią alpinistyczną i który przetłumaczyłem. Otrzymałem później z Paryża bilecik od jego matki, dziękującej mi za przekład, i wydany pośmiertnie poemat syna. W “Kamenie” zamieściłem parę artykułów Gomolickiego (o Pasternaku, Cwietajewej, poezji w diasporze i Puszkinie) oraz dwa jego wiersze w tłumaczeniu Czechowicza i moim.

XV. SŁOWIAŃSZCZYZNA

Politykę słowiańską, mającą na celu zaznajomienie czytelników “Kameny” z literaturą piękną, a głównie poezją narodów pobratymczych, zapoczątkowaliśmy już w numerze inauguracyjnym miesięcznika. O tym, jak się ona rozwijała w pierwszym roku wydawniczym, kto brał w niej udział i jak zamknęliśmy rocznik “ukoronowaniem” tej “akcji” przez wciągnięcie do zeszytu mickiewiczowskiego pisarzy rosyjskich, słowackich i ukraińskich, już wspominałem. Przypomnę tylko, że uwzględniliśmy w tym czasie poezję rosyjską, ukraińską, czeską, słowacką, bułgarską, macedońską i serbo-łużycką. Najbogaciej reprezentowana była poezja rosyjska, zarówno klasyczna, jak i współczesna i najwięcej tu było moich tłumaczeń. Mówiłem już o tym, że zacząłem próbować sił również w polszczeniu poetów ukraińskich. W numerze 7 zamieściłem dwie stronice poezji ukraińskiej w swoich przekładach (od Szewczenki, Fedkowicza i O. Ołesia do Rylskiego, Tyczyny i in. współczesnych). Nie miałem słownika, ale dzięki znajomości rosyjskiego rozumiałem prawie wszystko, czasami domyślałem się znaczenia wyrazów w kontekście. Ale kiedyś trafiłem kulą w płot. Nie zapomnę nigdy gafy, jaką popełniłem w wierszu Bohdana Krawciwa tłumacząc wyraz “tenditnyj” (delikatny, kruchy), jako... “tandetny”. Uśmiałem się, kiedy lwowskie czasopismo literackie “Nazustricz” dowcipnie i nie bez złośliwości nazwało mój przekład “tenditnym”.

W drugim roczniku dzięki przekładom Stanisława Papierkowskiego przybyło kilka wierszy z poezji chorwackiej. Będąc w Warszawie i przeglądając u Gebethnera książki radzieckie natrafiłem na wydaną przez OGIZ w języku rosyjskim antologię literatury białoruskiej. Przełożone utwory poprzedzał m. in. szkic Brunona Jasieńskiego o poetach białoruskich. Tego właśnie było mi trzeba: mogłem wypełnić w “Kamenie” i tę lukę. W ten sposób w numerze 17 liczbę naszych współpracowników, nie wiedząc o tym, powiększył Jasieński. Zamieściłem w skrócie jego artykuł i przekłady trzech poetów. Tym razem żadne potknięcie mi nie groziło: polszczyłem z tłumaczenia rosyjskiego.

W specjalnym zeszycie tatrzańskim (18-19) konsekwentnie uwzględniłem poetów z południowej strony Tatr. Stanisław Mečiar, który występował już w mickiewiczowskim numerze, późniejszy autor esejów o literaturze polskiej *Poezia a život*, dostarczył mi napisany do tego numeru artykuł *Tatry w literaturze słowackiej* oraz wiersze tatrzańskie klasyków słowackich Svetozara Vajanskiego i Petra Hostinskiego tudzież współczesnego poety L'uda Ondrejova z dosłownym przekładem ich treści prozą, co ułatwiło mi transkrypcją tych utworów na język polski. Kontynuując tradycję

numeru mickiewiczowskiego zamieściliśmy też słowacki wiersz Mečiara *Nadhera Tatier,* w dalszym ciągu z braku odpowiednich czcionek używając polskich.



W trzecim roczniku obok wierszy chorwackich znalazły się także serbskie w tłumaczeniu Stanisława Papierkowskiego i szerzej niż dotychczas uwzględniliśmy poezję rosyjską i czeską. W zeszycie 21 ukazały się obok siebie na sąsiadujących kolumnach wiersze B. Pasternaka i M. Cwietajewej w moich przekładach. W numerze 25 zamieściłem poemat nie znanego zupełnie u nas młodego poety emigracyjnego Mikołaja Gronskiego *Belladonna.* Utwór ten, który, jak już o tym była mowa, otrzymałem w odpisie dzięki uprzejmości Lwa Gomolickiego, tłumaczyłem con amore ze względu na jego treść alpinistyczną. Poemat ukazał się potem z linorytami Waśniewskiego w "Bibliotece Kameny" i dotarł do rąk p. Niny Gronskiej, matki poety. Wkrótce otrzymałem od niej wydaną w Paryżu książkę jej tragicznie zmarłego syna z dedykacją: "W znak głubokoj błagodarnosti za tałantliwyj, wdumcziwyj i tszczatielnyj pieriewod poemy mojego syna - N. P. Gronskaja".

W zeszycie 28/29 znalazł się artykuł S. Pollaka o Mikołaju Asiejewie *(Wyrobnik formy),* zilustrowany moim przekładem jego wiersza, utwór I. Sielwinskiego *Czytelnik wierszy* - także przełożony przeze mnie oraz tłumaczenia Mieczysława Jastruna i S. Pollaka dwóch liryków Pasternaka. Numer ten szeroko uwzględniający młodą poezję radziecką uzupełniało w dziale rosyjskim moje spolszczenie fragmentu *Kolchidy* Konstantego Paustowskiego. Nie wiedziałem wtedy, że tę powieść po wojnie przełożę w całości, że osiągnie ona siedem czy osiem nakładów i że poznam jej sympatycznego autora osobiście. W tym samym zeszycie zamieściliśmy bogaty przegląd współczesnej poezji czeskiej w tłumaczeniach moich i Antoniego Madeja, który dołączył do nich artykuł o przełożonych poetach.

W roczniku czwartym - notuję tylko pozycje ciekawsze - ukazał się w nrze 31 obszerny artykuł Julii Wieleżyńskiej *Poezja serbo-łużycka* uzupełniony jej przekładami z J. Ciszyńskiego, J. Skali i H. Zejlera. Ten najmniejszy naród słowiański teraz już po raz trzeci zaprezentował w "Kamenie" swoich poetów (przedtem w nrze 5 i 17). W specjalnym zeszycie tatrzańskim (35/36) znalazły się wiersze słowackie i ukraińskie o tematyce górskiej w tłumaczeniach Antoniego Brosza i Tadeusza Bocheńskiego. Tu też zamieściłem swój przekład *Kaukazu* Puszkina.

O specjalnym numerze puszkinowskim (37) w stulecie śmierci poety i podwójnym (39/40) poświęconym współczesnej poezji słowackiej powiem szczegółowo w następnym rozdziale. Tak samo o zeszycie bułgarskim (49/50) w roczniku piątym.

W r. 1938 zainteresowałem się bliżej poezją białoruską. Zaczęło się od Maksyma Tanka, o którego wierszach przeczytałem entuzjastyczny artykuł J. Putramenta w "Sygnałach". W tym właśnie czasie nadesłano do "Kameny" egzemplarze wymienne wileńskich czasopism białoruskich - "Kałośsie" i "Maładaja Biełaruś" oraz zbiorki poetów: M. Maszary, M. Tanka, N. Arsienniewej i in. Dzięki temu mogłem z kolei zabrać się do nowej pracy. Ponieważ nie miałem słownika, a bałem się popełnienia jakichś błędów (język białoruski wydał mi się trudniejszy od ukraińskiego) zwróciłem się bezpośrednio do M. Tanka i red. Szutowicza z prośbą o podanie mi znaczenia niezrozumiałych wyrazów. Nosiłem się z zamiarem wydania w roczniku siódmym specjalnego zeszytu poświęconego poezji białoruskiej, lecz wybuch wojny pokrzyżował plany. Ale udało mi się jeszcze zamieścić niektóre wiersze Tanka i Maszary w "Kamenie", a lwowskie "Sygnały" zdążyły tuż przed katastrofą wrześniową wydać specjalny numer poświęcony kulturze i literaturze białoruskiej (był to ostatni numer tego pisma), gdzie było i kilka moich tłumaczeń.

Tak więc w sześciu przedwojennych rocznikach "Kameny" znalazła się poezja wszystkich narodów słowiańskich (z wyjątkiem słoweńskiej), przy czym najbogaciej zaprezentowała się poezja rosyjska, czeska i słowacka.

Realizacja tego punktu programu "Kameny" sprawiała mi szczególne zadowolenie i stawała się bodźcem do przyswajania lepiej czy gorzej nie znanych mi przedtem języków naszych pobratymców. Był nawet okres, kiedy kiełkowała we mnie zuchwała myśl stworzenia przy "Kamenie" kwartalnika poświęconego wyłącznie sprawom kulturalnym Słowiańszczyzny. Współpracowników by nie zabrakło. Tego rodzaju "akcję słowiańską" jeszcze przed "Kameną" prowadził dwutygodnik warszawski "Zet" redagowany przez Jerzego Brauna, który w pewnym okresie rozwoju swego pisma (w latach 1932-1934) poświęcił wiele uwagi literaturze narodów słowiańskich, ale później dwutygodnik ten całkowicie zajął się propagowaniem filozofii Hoene-Wrońskiego. W mniejszym stopniu sprawy kultury słowiańskiej brały pod uwagę inne pisma, np. lwowskie "Sygnały". Gdyby więc tych wszystkich ludzi sympatyzujących z narodami słowiańskimi a rozproszonych po czasopismach (większość z nich zresztą współpracowała już z nami) skupić przy kwartalniku specjalnie poświęconym sprawom kulturalnym Słowiańszczyzny, można by stworzyć poważny organ. Tak, ale skąd wziąć na to potrzebne środki? Z trudem pchało się "Kamenę". Na pomoc innych "słowianofilów" liczyć nie mogłem. Czechowicz mi oświadczył, że lubliniacy odnoszą

się do tego projektu negatywnie. Pomysł więc pozostał w sferze marzeń, ale z tym większym uporem realizowałem swą politykę słowiańską w miesięczniku, poświęcając jej kilka specjalnych numerów.

Oczywiście pomagali mi w tym wydatnie różni koledzy. Najwięcej, ma się rozumieć, było "specjalistów" od literatury rosyjskiej: Sergiusz Kułakowski, Lew Gomolicki, Jurij Iwask, poeci: Bogusławski, Czechowicz, Jastrun, Łobodowski, Pollak, Słobodnik i in. Ukraińcami zajmował się przede wszystkim Tadeusz Hollender, a prócz niego Aleksander Baumgardten, Tadeusz Bocheński, Czechowicz i ja, starając się, by moje przekłady nie były już "tenditne". Poezję czeską tłumaczył i pisał artykuły z nią związane Antoni Madej, trochę przełożył Czechowicz, coś niecoś - Julia Wieleżyńska i Ludomir Kubach. Wreszcie coraz śmielej i ja zacząłem się do nich przyłączać. Myślałem o specjalnym numerze czeskim, ale wydałem go dopiero po wojnie. Za to ukazał się zeszyt słowacki. W ogóle Słowacja była w "Kamenie" reprezentowana dość poważnie. Zasługa to przede wszystkim Antoniego Brosza, Stanisława Mečiara i Jana Reychmana. Tłumaczyli wiersze słowackie Brosz, Madej, Zdzisław Kempf i redaktor "Kameny".

Ciekawa jest droga, jaka mię wiodła do poezji czeskiej i słowackiej, a w konsekwencji z Chełma do Pragi i Bratislavy. Kiedyś wyraziłem się, że prowadziła ona przez wysokie szczyty radości i głębokie doliny smutku i cierpienia. Przez Tatry - przed katastrofą wrześniową; przez obóz koncentracyjny - w czasie okupacji. W obozie bowiem poznałem współwięźniów Czechów, zbliżyłem się do paru, a z jednym z nich zawarłem przyjaźń. Ich konspiracyjna z pamięci napisana antologia poezji była dla mnie przeżyciem. Pisałem o tym w swych wspomnieniach z pobytu w Sachsenhausen, w książce *Serca za drutem*.

Ale najpierw każdych prawie wakacji były Tatry i wypady moje do słowackich miasteczek w obrąbie pasa turystycznego. Rużomberk, św. Mikulasz, Poprad, Kieżmark, Nowa Spiska Wieś. Nie pamiętam już, w którym z tych miasteczek latem 1935 r. ujrzałem na wystawie zbiorek wierszy Jana Smreka z pięknym tytułem *Cwałujące dni* i winietą przedstawiającą ten cwał w postaci profilów trzech głów ludzkich o rozwichrzonych włosach i z na pół otwartymi ustami, chwytającymi z wysiłkiem powietrze. O książce tej czytałem przed paroma laty w "Wiadomościach Literackich". Pisała Kazimiera Alberti, która przeprowadziła z tym poetą wywiad. Natychmiast więc wstąpiłem do księgarni i za kilkanaście koron stałem się posiadaczem tego zbiorku. Przeglądając go jeszcze na wycieczce w schroniskach z radością stwierdziłem, że rozumiem prawie wszystko, że język słowacki jest bardzo zbliżony do polskiego. A wiersze ujęły mnie swą siłą witalną, umiłowaniem przyrody i kobiety. Toteż po powrocie do domu przełożyłem kilka z nich, pomagając sobie w kilku trudniejszych miejscach słownikiem czesko-rosyjskim. Dzięki temu już w listopadowym zeszycie trzeciego rocznika zamieściłem dwa swoje spolszczenia wierszy słowackiego poety. Nie po raz pierwszy zresztą występował on w "Kamenie", bo już w roczniku pierwszym znalazły się dwa inne jego utwory w tłumaczeniu Madeja.

Tak więc w r. 1935 odkryłem nową kopalnię poetycką i przystąpiłem do jej

eksploatacji. W numerze morskim trzeciego rocznika zamieściłem jeszcze jeden swój przekład ze Smreka. W końcu 1936 r. nawiązałem kontakt z miesięcznikiem słowackim “Elan” redagowanym właśnie przez tego poetę. Znalazłem tam wiele wierszy innych poetów słowackich, a kiedy jeszcze zaczęły napływać egzemplarze wymienne pism: “Slovenske Pohl'ady” i ,,Slovenske Smery” i zdobyłem antologię poetycką *Oblicze młodej Słowacji (Tvař mladeho Slovenska),* rozporządzając tak olbrzymim materiałem, pomyślałem o wydaniu specjalnego numeru, poświęconego współczesnej literaturze słowackiej. Tym podwójnym zeszytem (39/40) zamknęliśmy rocznik czwarty.

Rok 1937. I znowu wakacje tatrzańskie. I znów miasteczka słowackie. W Nowej Spiskiej Wsi nabyłem w księgarni czeską antologię poetycką *Basnicky Kalendař - 1918-1938 oraz* zbiorki Vitezslava Nezvala *Most* i *Basne noci,* zawierające m. in słynny poemat *Edison*, którego fragmenty w przekładzie Ludomira Rubacha drukowaliśmy przed trzema laty w roczniku pierwszym “Kameny”.

Język czeski okazał się trudniejszy od słowackiego, ale miałem *Praktyczną metodę* prof. Fr. Hory i słownik. Urzekło mię piękno poezji Nezyala, jej motywy ludowe i wielkomiejskie w *Moście,* rozmach nieokiełzanej fantazji w *Wierszach nocy*. W dwu ostatnich przedwojennych rocznikach ukazały się moje przekłady trzech jego utworów z *Mostu* i poematu *Nieznajoma z Sekwany.* A Edisona tłumaczyłem w czasie okupacji, kiedy pracą literacką oryginalną i przekładową leczyłem urazy poobozowe.

Ci dwaj wybitni poeci: Smrek i Nezval, tak bliscy mi w swej poezji, okazali się nie mniej bliscy, gdy po wojnie zetknąłem się z nimi osobiście. Ale wtedy, gdy zamieszczałem ich utwory w przedwojennej “Kamenie”, przez myśl mi nigdy nie przeszło, że ich kiedyś poznam, że długie wieczory spędzą z nimi na pogawędce przy winie. Pamiętam, jakim wstrząsem była dla mnie śmierć Nezvala. Pozostały mi po nim liczne książki z dedykacjami i wisząca w moim pokoju “Martwa natura” w jego wykonaniu, którą mi w swym atelier ofiarował. A od Smreka, z którym pół nocy przegadałem w jego gabinecie - o poezji, przedwojennej “Kamenie”, naszych przejściach okupacyjnych i planach literackich, otrzymałem przed rokiem dwa pięknie wydane ostatnie jego zbiorki: *Obraz świata i Struny* ze słowami “Drahemu priatelowi za jeho *Stopy czasu*” (w których m. in. zamieściłem tłumaczenia dziewięciu jego wierszy).

Tak więc i Smrek, i nieodżałowani nieżyjący już Hałas i Nezval, i wielu innych poetów z Pragi, Brna i Bratislavy - poprzez moje przekłady zostali powiązani z “Kameną”. I dzięki niej właśnie mogłem nie tylko obcować z ich piękną twórczością i lepiej czy gorzej, zawsze jednak z pietyzmem przyswajać ich utwory naszej literaturze przekładowej, ale i uścisnąć im dłonie, spojrzeć w oczy i wyrazić wdzięczność za przeżycia, jakich mi swą poezją dostarczyli.

XVI. NUMERY SPECJALNE

Wspominałem tu nieraz o numerach specjalnych. Pierwszym zeszytem tego rodzaju wydanym z okazji 100-lecia Pana Tadeusza był numer mickiewiczowski zamykający pierwszy rocznik “Kameny”. O tym, jaki miał on charakter, była już mowa. Rocznik drugi w podwójnym zeszycie 9/10 zapoczątkował serię numerów górskich. Nie pomógł apel Czechowicza wykaligrafowany na kopercie listu do mnie: “Od tatrzańskich Kamen chroń nas, Boże, amen”. Drugi zeszyt tego rodzaju, tak samo podwójny (5/6), znalazł się w roczniku czwartym. Wreszcie obszerny potrójny numer górski (8/10) był ostatnim, który ukazał się przed wojną.

Tak się złożyło, że z lubliniaków prócz Tadeusza Bocheńskiego nikt Tatr nie znał, nie uprawiał wycieczek górskich i nie rozumiał mojej pasji, która na polu kamenowym wyładowała się w wydaniu aż trzech zeszytów specjalnych o podobnej treści. Numerów o takiej tematyce nie opracowała dotąd redakcja żadnego z pism literackich w Polsce. FIS-owski numer “Wiadomości Literackich” miał inny charakter. Bocheński podzielał całkowicie moje upodobania i pod tym względem (nie tylko zresztą) był mi z kolegów lubelskich najbliższy. Inni zapewne aprobowali modlitewne wezwanie Czechowicza. Ale ciekawa rzecz, że Zenek Waśniewski, który mi tak pięknie sekundował w wydaniu tych zeszytów, ozdabiając je linorytami o tematyce górskiej, Tatry znał bardzo mało. Wakacje spędzał przeważnie na Podolu,: w tarnopolskim, wciąż obiecywał, że odwiedzi mnie w Zakopanem i wyruszy wraz ze mną w góry na wycieczkę, ale jakoś nigdy nie doszło to do skutku. A jednak z linorytów jego widać, że “czuł” góry.

Włodzimierz Pietrzak zachęcał mnie w jednym z listów do wydania numeru poświęconego morzu. Sam zresztą już o tym myślałem. I oto w roczniku trzecim ostatni zeszyt zawierał wyłącznie tematykę morską.

Trzy numery miały charakter słowiański i nawiązywały do tradycji zapoczątkowanych zeszytem mickiewiczowskim: w czwartym roczniku zeszyt 7 był puszkinowski (w związku ze stuleciem śmierci poety rosyjskiego), a numer 9/10 całkowicie poświęcony współczesnej literaturze słowackiej, tak jak w piątym roczniku zeszyt 9/10 - poezji bułgarskiej.

W tym samym piątym roczniku znalazł się również jeden z ciekawszych przedwojennych numerów “Kameny”', zawierający przegląd współczesnej poezji francuskiej.

Wreszcie na 20-lecie odzyskania niepodległości ukazał się w roczniku szóstym podwójny numer 3/4 poświęcony poezji lubelskiej.

Tak więc w sześcioleciu przedwojennym ukazało się łącznie 10 zeszytów specjalnych miesięcznika.

Numery tatrzańskie zawierały artykuły i utwory, zarówno prozę jak i wiersze,

związane z tematyką górską. Znalazło się sporo poetów, którzy podobnie jak ja pasjonowali się tym tematem, w mniejszym lub większym stopniu wędrując po bezdrożach tatrzańskich, że użyję tu anachronicznego już dzisiaj określenia M. Zaruskiego. Więc przede wszystkim Tadeusz Bocheński, który jak i ja rokrocznie zjeżdżał latem do Zakopanego, aż w końcu osiadł w nim na stałe. Oprócz wierszy i fragmentów *z Dziennika tatrzańskiego* zamieścił on w tych numerach szkice: *Tatry w polskiej poezji powojennej* i *Poetyckie aspekty gór*. Hanna Marczewska opublikowała artykuł *Asnyk i Kasprowicz jako poeci Tatr.* Wiersze górskie drukowali poeci: Stanisław Bąkowski, Janina Brzostowska, Stanisław Czernik, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Ignacy Igoń, Mieczysław Jastrun, Jan Kott, Władysław Krygowski, Jalu Kurek, Leopold Lewin, Włodzimierz Pietrzak, Mirosław Stefan Radecki, Jan Szczepański, Ludwik Świeżawski, Jerzy Kamil Weintraub i Bronisław Krystyn Wierzejski. Do ostatniego przedwojennego numeru górskiego udało mi się pozyskać wiersze Władysława Broniewskiego, który mi też przysłał szkic Mieczysława Szczuki Z *zapisek taternickich,* Kazimierza Wierzyńskiego i opowiadanie Kornela Makuszyńskiego - *Czarnooki opryszek*. W zeszycie 18/19 zamieściłem fragment dramatyczny Heleny i Jerzego Mieczysława Rytardów *Karczma*. Wtedy właśnie zawarłem znajomość z autorem *Wniebowstąpienia* i *Koleby na Hliniku.* Na razie korespondencyjną. Nie wiedziałem wtedy, że po wojnie zetknę się z nim. osobiście w Zakopanem i że zwiążą nas nici sympatii, której wyrazem staną się nie tylko długie nasze rozmowy na temat gór i poezji, ale i obszerna korespondencja. Spośród wymienionych poetów chyba on i Bocheński najlepiej znali i czuli góry.

Ale przewyższał pod tym względem wszystkich Jan Alfred Szczepański, który występował w trzech górskich numerach i walnie się przyczynił do podniesienia ich poziomu, wprowadzając czynnik alpinistyczny i sportowy. Jaszcz zamieścił w “Kamenie” utwory: *Przepaść* (o pierwszym wejściu na Świstówkę eksponowaną drogą wprost z doliny Roztoki), urywek swojej nie wydanej dotąd powieści *Góry śniade jak my,* fragmenty książki o wyprawie w Andy argentyńskie, esej *Tragedia Pawlikowskich* oraz recenzje i noty dotyczące literatury górskiej. Towarzyszka jego włóczęgi po Tatrach i żona - Maria Szczepańska też drukowała w tych numerach prozę. Prócz niej wymienić jeszcze należy Konstantego Narkiewicza-Jodkę *(Zamarła)* i Witolda Mileskiego (*Z włóczęg górskich*).

Nie zabrakło w tych zeszytach i utworów o tematyce górskiej pisarzy obcych. O klasykach słowackich i współczesnych poetach Ondrejovie i Smreku już wspominałem. Wiersze karpackie Ukraińców (Osipa Makoweja i Mirosława Kapija) tłumaczył Bocheński. On też zamieścił przekłady sonetów Heredii na tematy górskie. Poezje alpejskie A. Musseta, Sainte-Beuve'a i T. Gautier spolszczyła Jadwiga Ważewska. Niemców (Schillera, Greifa i Meyera) przetłumaczył Z. Waśniewski. Z moich przekładów w ostatnim zeszycie znalazł się wiersz o zdobywcy Mont Blanc *Balma* W. Hugo, liryki M. Gronskiego i fragment książki M. Romma *Szturm do Pik Stalina.* Tam też zamieściliśmy urywek z *The Adventures of Henry Richmond* G. Mereditha w transkrypcji Ja(dwigi) Wa(żewskiej).



Ze wszystkich numerów poświęconych tej tematyce najwyżej stawiam - najobszerniejszy, ostatni przedwojenny zeszyt poświęcony nie tylko Tatrom, ale górom w ogóle. Zdawałem sobie sprawę, że wydawanie tego rodzaju numeru w okresie nastrojów przedwojennych mogło się niejednemu wydawać całkowitym oderwaniem od rzeczywistości, którym istotnie w pewnym stopniu było. Ratowałem się przed tym zarzutem słowem wstępnym, które tu przytaczam w całości:

“Poświęcamy niniejszy zeszyt “Kameny” wyłącznie górom. Zapewne wpłynęły na to m. in. upodobania osobiste redaktora i grupy bliskich mu ludzi. Ale sądzimy, iż nie oddalamy się przez to wcale od rzeczywistości dnia dzisiejszego. Góry - źródło energii. Góry - symbol wielkości, niezłomności, potęgi - tych ideałów, które Polska dzisiaj godnie reprezentuje. Góry - niezwyciężona strażnica naszych granic. A czyny polskich alpinistów - dowód bohaterstwa i zdobywczości współczesnego pokolenia. Chyba dość, aby nie narazić się na zarzut oderwania od życia, marzycielstwa czy klerkizmu”.

Naiwne wydają mi się te słowa na tle tego wszystkiego, co się miało w trzy miesiące później w Polsce rozegrać. A jednak wiem, że pisałem je szczerze: to wielkość gór przesłoniła mi małość ludzi, którzy się do klęski przyczynili.

Pozostało mi z tego okresu sporo korespondencji, nie mówiąc o licznych listach Jaszcza, okolicznościowych pismach Wierzyńskiego, W. Goetla, W. Krygowskiego, W. Mileskiego, J. Orenburga, K. Narkiewicza-Jodki i in. ludzi bardzo blisko z Tatrami związanych. Ale najbardziej cenną pamiątką dla mnie jest serdeczny list Kornela Makuszyńskiego, który na moją prośbę wzięcia udziału w numerze górskim przysłał mi swą humoreskę, i pismo redaktora “Taternika” Zdzisława Dąbrowskiego, który usprawiedliwiał się, dlaczego nic nie przysłał do zeszytu góskiego “Kameny”. List

ten, w którym znalazły się szczere, nie zdawkowo uprzejme słowa napisał człowiek, który w trzy miesiące później, podobnie jak Witkacy i Gałuszka, nie mogąc przeżyć klaski wrześniowej, popełnił samobójstwo.

Ukazanie się numeru morskiego w czerwcu 1936 r. (rocznik trzeci, nr 30) było w dużym stopniu dziełem poety marynisty, Zbigniewa Jasińskiego, który okazał mi pomoc w zredagowaniu tego zeszytu, co z wdzięcznością podkreśliłem w końcowym słowie od wydawnictwa. Jasiński, autor zbiorków o tematyce morskiej *(Rejs do Rygi* i *Papierowym* okrętem) oraz pięknie wydanej antologii: *Morze w poezji polskiej,* zamieścił w numerze 25 “Kameny” wiersz *Akwarium.* Pozostawaliśmy już od półtora roku w kontakcie, korespondował ze mną i przysłał mi swój drugi zbiorek wierszy, w którym z przyjemnością znalazłem drzeworyty swego byłego ucznia (rówieśnika Mrozowskiego i Popowskiego), dziś znanego plastyka abstrakcjonisty - Kajetana Sosnowskiego. Kiedy więc jeszcze w styczniu 1935 r. powstała myśl wydania morskiego zeszytu, napisałem o tym do Jasińskiego. “Cieszę się bardzo - odpowiedział - że “Kamena” zamierza wydać specjalny nr morski, gdyż sprawa marynistyki w literaturze jest u nas horrendalnie zaniedbana: wszędzie pytluje się o wszelkich przejawach życia, związanych z posiadaniem morza, i tylko o tym jednym odcinku zapomina się notorycznie. Proszą więc dowolnie rozporządzać moją osobą - w czym będę umiał Panom pomóc, w tym pomogę z miłą chęcią”.



A w marcu następnego roku pisał: “Palę się do zmontowania “Kamenie” owego nru morskiego i [...] zabiorę się do tego z całą sumiennością. Trochę materiału już mam. Może by jednak Pan napisał mi, jak Pan wyobraża sobie ów przyszły nr i co Pan chciałby w nim mieć”. W liście tym jest wiadomość, która powinna zainteresować lubliniaków: “W Lublinie byłem na zaproszenie Ligi Morskiej i Koi., która w tym dniu (9 III 1936 r.) urządziła “Wieczór Poezji Morskiej” pod protektoratem gen. M. Zaruskiego, połączony z turniejem poetyckim, w którym udział wzięli poeci: Wł. Jankowski, Tad. Jaszowski, Kaz. Kokosiński, Krz. Lipeżyński, Hel. Plattówna, Wł. Podstawka, Zdz. Popowski, Jerzy Szczepowski [...]. Wieczór ten powiedział mi dużo o poetyckim Lublinie miłego”. Pisząc o wyniku turnieju wspomniał: “Chciano przeforsować grafomana i musiałem stoczyć półgodzinną batalią o Popowskiego,

który wreszcie dostał I nagrodę". W późniejszym liście (brak daty) pisze: "Dla «Kameny» posyłam materiał [...]. Mój artykuł O *poezji marynistycznej* niech Pan potnie i spreparuje, jak Panu się żywnie podoba [...] nie znalazłem bowiem czasu, aby zeń wypompować wodą. O sobie w tym artykule nie pisałem, gdyż ocenę mej działalności literackiej pozostawiam innym [...]. Nadesłane przeze mnie wiersze są trochę lepsze od przesłanych poprzednio. Zwracam uwagę na Lisiewicza, no i bardzo byłoby miło, gdyby *rzeczy* Karczewskiej uznał Pan za odpowiednie".

Numer morski "Kameny" zawierał oprócz wspomnianego artykułu Jasińskiego wiersze Aleksandra Baumgardtena, Haliny Brodowskiej, Olgi Daukszty, Edwina Herberta, Wandy Karczewskiej, Mieczysława Lisiewicza, Wacława Mrozowskiego, Jerzego Pietrkiewicza, Zdzisława Popowskiego i Włodzimierza Słobodnika, moje przekłady marynistycznych wierszy Jana Smreka, Światosława Hordyńskiego, O. Włyźki i O. Wyszni oraz fragmenty prozy Jasińskiego (z powieści *Biczmeri)* i Juliusza Żuławskiego (z *Wyprawy o zmierzchu),* wreszcie noty pióra Jasińskiego.

"Kamena", jedyne z polskich pism literackich, poświęciła cały numer (37, marzec 1937 r.) stuleciu śmierci Aleksandra Puszkina. Pomoc Sergiusza Kułakowskiego i Lwa Gomolickiego tudzież kilku poetów-tłumaczy miałem w tym wypadku zapewnioną. Chodziło mi jeszcze o pozyskanie specjalisty naukowca, zwróciłem się więc do Wacława Lednickiego, prof. rusycystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, z prośbą o zasilenie "Kameny" odpowiednim materiałem. Przyznam się, iż nie bardzo liczyłem na to, że profesor znajdzie czas na zadośćuczynienie mojej prośbie. W styczniu otrzymałem bardzo uprzejmą odpowiedź: "Jestem bezgranicznie zapracowany. W końcu "spuszkinieję". Mam wygłosić w Warszawie, w Krakowie, we Lwowie i w Brukseli sześć albo i więcej odczytów. Redaguję tom puszkinowski. Piszę artykuły polskie, francuskie i rosyjskie. Wobec tego doprawdy nie wiem, czy wydołam, czy będę mógł sobie pozwolić na przyjemność i zaszczyt napisania również czegoś i dla "Kameny". Bardzo bym pragnął - jeśli zdążę, przyślę. Ale nadzieja niewielka, bo 28 lutego muszę już być w Brukseli". A jednak w dziesięć dni potem otrzymałem tekst lutowego przemówienia Lednickiego w Polskim Radiu. Było to wprowadzenie do recytacji *Mozarta i Salieriego* w przekładzie Słobodnika. "Sądzę, że ze względu na problem czysto poetycki poruszony w tym przemówieniu (siłą rzeczy musiałem dbać o popularność wykładu) może się nada do «Kameny»".

Tak więc to przemówienie Lednickiego znalazło się na wstępie numeru tuż po otwierającym go fragmencie artykułu Mickiewicza o śmierci Puszkina. Prócz tego znalazł się tu szkic L. Gomolickiego: Puszkin i *poezja rosyjska* oraz *Przełomowa epoka w życiu Aleksandra Puszkina* i *Julian Tuwim jako tłumacz Puszkina* Sergiusza Kułakowskiego. Jako przekładowcy utworów poety rosyjskiego oprócz redaktora wystąpili tu: Antoni Bogusławski, Seweryn Pollak i Włodzimierz Słobodnik. Kronika słowiańska w tym numerze była związana z uroczystościami puszkinowskimi.

O ile przy przygotowaniu zeszytów górskich wielką pomocą służył mi J. A. Szczepański, a morski - zawdzięczam Zb. Jasińskiemu, o tyle przy wszelkich sprawach łączących się z poezją słowacką i w specjalnym numerze poświęconym współczesnej literaturze słowackiej nieoceniony był Antoni Brosz. Odezwał się do

mnie pierwszy we wrześniu 1936 r. w związku z projektowaną przeze mnie antologią poezji słowackiej. “Jestem slawistą - pisał - i specjalnie interesuję się literaturami słowiańskimi, a spośród nich słowacką, z której przełożyłem M. Urbana *Żywy bicz*, poza tym przełożyłem szereg nowel, które złożą się na jeden z późniejszych tomów Biblioteki Słow., no i mam trochę wierszy słowackich w swoim i kol. Zdz. Kempfa przekładzie (Kempf drukował w “Kamenie” serbo-chorwackie rzeczy)”. Brosz proponował mi zredagowanie wspólne takiej antologii, do której wydania zresztą w ogóle nie doszło. Część nadesłanych mi materiałów przydała się w słowackim zeszycie, a jedyną książkową pozycją słowacką wydaną w “Małej Bibliotece Kameny” stał się *Wybór poezji* Jana Smreka w moim tłumaczeniu.

Gdy powstał projekt wydania specjalnego numeru słowackiego, Brosz przyjął tę wiadomość, jak się wyraził “z krzykiem radości”. ,,Bardzo chętnie pomogę w montowaniu nru i przełożę wszystkie artykuły słowackie, które po otrzymaniu proszę mi zaraz przesłać do tłumaczenia”. On też wystąpił w tym liście (17 III 1937) z inicjatywą: “Do T. Przyj. Słów. można by się zwrócić nie tyle o pomoc w dostarczeniu materiałów do nru, bo to zrobimy sobie we własnym zakresie, ile może dałoby się od nich wydębić jaką forsę na wydanie nru zwiększonego [...]. Gdyby coś dali, można by dać większy wybór wierszy i więcej prozy”.

Chciałem, aby w zeszycie słowackim Słowacy sami o swej literaturze mówili. Zwróciłem się więc do Jana Smreka z prośbą, by napisał o poezji słowackiej, ale odpowiedział mi, że “ten článek o slovenskej poézii nie mi je l'ahko napisat'”, ponieważ “nie chcę być krytykiem, a zwłaszcza nie mogę pisać obiektywnie o naszej poetyckiej współczesności”. Odesłał mnie do krytyka Ruda Brtaňa, do redaktora miesięcznika “Slovenské Pohl'ady” i do znanego mi już St. Mečiara. Przy okazji przysłał mi swoją nową książkę *Poeta i kobieta,* opatrzywszy ją miłą dedykacją.

Kilka miesięcy trwała ożywiona korespondencja między Broszem a mną przed ukazaniem się numeru słowackiego. Brosz dostarczył mi wiele przekładów własnych i Kempfa. We trójkę tłumaczyliśmy poetów, którzy występowali w tym zeszycie, a więc Valentina Beniaka, Rudolfa Dilonga, Maszę Hal'amovą, Pawła Hlbinę, Janka Jesenskyego, Frania Kral'a, Emila Lukača, Joża Niżnanskyego, Laca Novomeskyego, L'uda Ondrejova, Jana Roba Poničana, Martina Razusa, Vladimira Rolkę, Jana Smreka i Andreja Żarnova. 15 poetów, 27 wierszy - liczba niebagatelna. Właściwie ten zeszyt stanowił jakby antologią współczesnej poezji słowackiej. Prócz tego znalazł się tu artykuł A. Mraza Drogi *współczesnej powieści słowackiej,* fragment powieści M. Urbana *Żywy bicz* w przekładzie Brosza, artykuł jego *Słowackie czasopisma literackie* i sporządzone przez niego bardzo obszerne noty o każdym z reprezentowanych w tym numerze poetów. Jak z tego widać, Brosz włożył wiele pracy w wydanie tego zeszytu, za co mu złożyłem podziękowanie w “Kamenie”. Numer zdobiły trzy linoryty Waśniewskiego - portrety poetów: Jana Smreka, Laca Novomeskyego i Rudolfa Dilonga. Wystarano się nam w Słowacji o klisze kilku fotografii przedstawiających autorów słowackich. Niestety, nie przypuszczałem, że wypadnie zapłacić za nie cło i to nie byle jakie, bo aż 88 zł, do czego miały jeszcze dojść koszty manipulacyjne. I tu Brosz wykazał wiele dobrej woli i sympatii dla naszego pisma. Interweniował w urzędzie celnym w Krakowie, ale droga biurokratyczna do uzyskania niewielkiej zresztą zniżki była tak długa i skomplikowana, że zrezygnowaliśmy z tych fotografii, które zastąpiły linoryty Waśniewskiego.

Słowacki zeszyt “Kameny” był swego rodzaju rara avis w Polsce. Zdawałem sobie z tego sprawę pisząc na wstępie: “Sąsiadujemy o miedzę. Dzieli nas wał gór - wspólna ojczyzna. Gdy w pogodny dzień lipcowy ze szczytu tatrzańskiego zwrócimy oczy w południową stronę, wzrok nasz minąwszy piłą postrzępionych wierchów spocznie na słonecznej równinie, usianej dziesiątkiem zabawkowych miasteczek, a w dalszej perspektywie zgubi się w niejasno rysujących się wysoczyznach. Piękna ziemia Słowaków.

Cóż jednak o naszych sąsiadach wiemy? Mijamy się na perciach tatrzańskich, pozdrawiamy się wzajemnie, każdy swoją słowiańską mową. Czasem za przepustką lub bez niej schodzimy na niziną. Odwiedzamy malownicze miasteczka, zapuszczamy się w labirynty olśniewających swą urodą jaskiń, podziwiamy stroje ludowe, wsłuchujemy się w smętek pieśni pastuszych lub prozaicznie delektujemy się liptowską bryndzą. Wiemy, że ten mały naród stoczył zwycięską walką z nawałą madziarską, niejeden z nas słyszał o Szturze, Hurbanie i Hodży, ktoś tam czytał w przedwojennym wydaniu przekłady nowel Kukuczina.

Ale dzisiejsza Słowacja? Kto z nas wie, że ten trzymilionowy naród ma pięknie rozwijającą się powieść? Że ma bogatą prasę literacką, ukazującą się z wzorową regularnością? Że zbiorki poetyckie, wydawane bynajmniej nie przez samych autorów, pojawiają się nieraz w paru wydaniach w zawrotnej dla nas liczbie 1000-1500 egzemplarzy każdy? Niestety, nie wiemy o tym prawie nic.

Pragnąc choć częściowo zapoznać czytelnika polskiego z kulturą współczesnej Słowacji “Kamena”, od czterech lat propagująca wzajemne zbliżenie narodów słowiańskich i już nieraz zamieszczająca utwory Słowaków, poświęca ostatni podwójny numer tego rocznika w całości literaturze słowackiej”.

Zeszyt ten spotkał się z żywym oddźwiękiem po tamtej stronie Tatr, o czym świadczyły pochlebne recenzje w kilku czasopismach słowackich.

Skromniejszy był numer poświęcony współczesnej literaturze bułgarskiej, który się ukazał dokładnie w rok później w ostatnim pdwójnym zeszycie rocznika piątego. W słowie od redakcji zamykającym ten numer wspominając o pięcioletniej już pracy “Kameny” nad zbliżeniem kulturalnym narodów słowiańskich zaznaczyłem, że dotychczas z wielu względów miesięcznik nie mógł się zająć literaturą bułgarską, która poza nielicznymi wyjątkami jest w Polsce prawie nie znana. “Tę lukę - pisałem - staramy się obecnie wypełnić i poświęcamy numer niniejszy «Kameny» w całości współczesnej literaturze bułgarskiej”. A zakończyłem nawiązując do niedawnej naszej katastrofy lotniczej: “Przy pracy naszej przyświecała nam również myśl odwdzięczenia się w ten sposób choć w znikomym stopniu, szlachetnemu narodowi bułgarskiemu za tyle dowodów życzliwości, sympatii i bezinteresownego poświęcenia, jakie nam okazał w ciężkich dniach żałoby po katastrofie naszego samolotu pasażerskiego w górach Pirynu. Odczuliśmy wtedy gorące serce bułgarskie, poczujmy więc teraz, jak bije ono w utworach najlepszych pisarzy tego bliskiego nam narodu”.

Obszerny artykuł o współczesnej poezji bułgarskiej pióra Atanasa Rusew-Sama wyjęty został z nru 9 “Elanu” (1937 r.). Przedruku dokonałem z upoważnienia redaktora Jana Smreka.

Poselstwo bułgarskie, do którego wystosowałem list zawiadamiający o moim zamiarze z prośbą o dostarczenie materiału graficznego do tego zeszytu, ograniczyło się do podziękowania: (“ [...] ma zaszczyt wyrazić swą wdzięczność za tę piękną inicjatywę”) i przysłania czasopisma angielskiego “Studio”, w którym mogliśmy znaleźć potrzebne nam wzory. Zdaje mi się, że Waśniewski swój motyw bułgarski na okładce do tego numeru zaczerpnął jednak z innego źródła.

Z polecenia Julii Wieleżyńskiej, która już od dawna współpracowała z “Kameną” i wiedziała o moim nowym projekcie wydawniczym, zwróciła się do redakcji p. Zofia Wolnikówna: “Ponieważ pracuję od kilku lat nad antologią liryki bułgarskiej, pozwalam sobie przesłać Panu trochę materiału”. Tłumaczka drukowała już w “Kurierze Porannym”, “I.K.C.”, “Kurierze Warszawskim” i czasopiśmie “Świat Słowiański”. Zgłosiła się też “po porozumieniu się z, Panem prof. Słońskim i prezesem Koła Slawistów S.U.J.P. w Warszawie” - p. Eugenia Sasinówna, przysyłając przekłady zmarłego studenta slawistyki Władysława Simonberga, który pracował nad antologią poezji słowiańskiej. Wybrałem więc z przekładów obojga tłumaczy to, co brzmiało mi najlepiej po polsku (nie miałem możności i nie potrafiłbym porównywać z oryginałami), inne utwory przetłumaczyli Brosz i Kempf. W ten sposób w “Kamenie” znaleźli się: Christo Botew, Iwan Wazow, Penczo Sławejkow, Peju Kraczołow Jaworów, Stojan Michajłowski, Kiril Christow, Dimczo Debeljanow, Trifon Kunew, Wenko Tintorow, Teodor Trą j ano w, Emanuił Dimitrow, Jordan Stubeł, Christo Smirneński, Nikoła Wasilew Rakitin, Elżbieta Bagriana, Dora Gabe i Sławczo Krasinski - 17 poetów i 28 wierszy. Prócz tego prozę reprezentowało opowiadanie “Skarb” Jordana Jowkowa w moim przekładzie z rosyjskiego i nowela Angeła Karalijczewa *Orły* w tłumaczeniu A. Brosza.

Numer 43/44 rocznika piątego za listopad-grudzień 1937 r. był w całości poświęcony nowej poezji francuskiej. Uwzględniłem już w poprzednich rocznikach takich poetów, jak Baudelaire, Nerval, Gros, Rimbaud, Apollinaire, Cocteau, Gide, Valery, Eluard i wielu innych (nie mówiąc już o Heredii, Jammes'ie czy Claudelu). W każdym roku Francuzi byli reprezentowani. Przyczynili się do tego: F. Arnsztajnowa, T. Bocheński, J. Czechowicz, A. Sandauer (przełożył fragment *Narcyza* Valery'ego), J. Ważewska, redaktor “Kameny”, a najbardziej Stefan Napierski.

Toteż, gdy w czerwcu 1937 r. Jan Brzękowski przysyłając mi w liście z Paryża wiersz dla “Kameny”, m. in. napisał: “Korzystam ze sposobności, by poruszyć z Panem pewną sprawę: czy nie zamierza Pan poświęcić numeru **najmłodszej** [ten wyraz podkreślony, przyp. mój] poezji francuskiej, tj. tym poetom, którzy mają już za sobą pewien dorobek poetycki, ale nie są jeszcze znani w Polsce” - zapaliłem się do tego pomysłu tym bardziej, że Brzękowski obiecywał, iż napisze krótki szkic informacyjny o młodej poezji francuskiej i postara się o przekłady. “Wielu poetów przełożył bawiący obecnie w Paryżu Przyboś, poza tym wiem, iż w kraju niektórzy młodzi poeci zaczynają się interesować i przekładać Jouve'a, Marca, Lannesa i in.”

Niepokoiło mnie tylko jedno: najmłodsza poezja francuska. A przecież nie tylko tej młodej, ale i jej prekursorów wśród starszej generacji nie znaliśmy w Polsce zbyt dobrze. Wprawdzie Napierski wydał już swe eseje Od *Baudelaire'a do nadrealistów* i dwa tomy liryków francuskich, ale większość sympatyków tej poezji nie sięgała poza autorów uwzględnionych w kończącej się na r. 1914 książce Jana Szaroty. Wydawało mi się, że specjalnego numeru poświęconego poezji francuskiej nie należałoby zawężać jedynie do - najmłodszej. W tym sensie odpisałem Brzękowskiemu, w zasadzie przyjmując jego projekt i z góry dziękując mu za obiecaną pomoc. Po wakacjach otrzymałem od niego odpowiedź: “Cieszę się bardzo z zaaprobowania przez Pana mojej propozycji, - spodziewam się, że można będzie zrobić dobry i ciekawy numer. Chciałbym jednak pokazać z nowej poezji francuskiej to, co jeszcze jest nie znane u nas, dlatego właśnie chciałbym dać ze starszego pokolenia tylko tych, których wpływy dziś jeszcze można dostrzec wśród młodych poetów”. Do takich zaliczał Brzękowski Apollinaire'a, Superyielle'a, Fargue'a, Jouve'a i surrealistów. “Poza tym - pisał - chodziłoby i o pokazanie tych młodych, którzy przezwyciężają nadrealizm”. Jeśli chodzi o tłumaczy, to Brzękowski wymienił mi do Apollinaire'a Ważyka, “który to zrobi świetnie”. Wspomniał też o Kołonieckim, Napierskim, “młodych poetów francuskich zna Przyboś”. Wymienił też nazwisko znanego mi Zb. Bieńkowskiego (,,Supervielle'a przełożył doskonale, mógłbym się porozumieć jeszcze co do innych przekładów np. Eluarda, Tzary”) i J. Rogozińskiego. Brzękowski obiecywał jeszcze dostarczyć klisze do tego numeru z “Kilometrage” i “L'art contemporain” (Picasso i in.), “gdyż były one prawie nie znane w Polsce”. Kończył list wyrażeniem nadziei, że zeszyt mógłby się ukazać w listopadzie lub grudniu.

Ze Zbigniewem Bieńkowskim znałem się (listownie) już od roku. Przysłał mi “prawie że ostatnie wiersze z prośbą o życzliwe przeczytanie i odpowiedź”, czy mógłbym go “wprowadzić do Kameny”. “Jest to moim już dość dawnym (ale ciągle świeżym) marzeniem”. Miał już za sobą debiut w “Okolicy Poetów”. Od tego czasu zamieściłem dwa jego wiersze. Teraz w liście z września 1937 r. pisał mi, nic jeszcze nie wiedząc o projektowanym zeszycie francuskim: “Przygotowywałem dla “Okolicy Poetów” antologię współczesnej poezji francuskiej. Miała ona wyjść w postaci specjalnego numeru “Okolicy” w październiku lub listopadzie. Ze względu na zwinięcie pisma przez Red. St. Czernika zwracam się do Pana z propozycją, czy nie zechciałby Pan wykorzystać części moich przekładów? [...]. Posiadam już całkowicie przygotowane do druku większe wybory ciekawych fragmentów z Cocteau'a, Supervielle'a, Eluarda, Jouve'a, Pereta, kilka ciekawych fragmentów pisanych wspólnie Breton - Eluard. Pracuję nad Jacobem. Nawiązuję również kontakt za pośrednictwem świetnego poety Jana Brzękowskiego z młodym pokoleniem poetyckim Francji”.
List ten był jak najbardziej a propos, bo właśnie zamierzałem w tej sprawie do Bieńkowskiego napisać, a ten mnie uprzedził.

Teraz już szybko ruszyło się z miejsca. Za pośrednictwem Bieńkowskiego skontaktowałem się z Julianem Rogozińskim, ten podsunął mi jeszcze jednego Francuza: “Nie wspomina Pan nic o Reverdym - pisał - to wielkiej miary poeta.

Wywarł i wywiera ciągle wpływ ogromny na równych sobie wiekiem Aragona i Soupaulta i na najmłodszych poetów. Uważają tego na zapadłej prowincji mieszkającego człowieka za swego mistrza, kogoś, kto grywa tylko na bardzo wysokich skrzypcach. Soupault i Breton pisali kiedyś o nim: “nous ne sommes pres de lui que des petits enfants”. Ogromnie zależałoby mi na wydrukowaniu we francuskim numerze chociaż 2-3 fragmentów z *La balie au bond. Płomienie, Pod ciemnym ptakiem, Spoza powiek, Powietrze drga* są arcydziełami. W tym rodzaju równie silne rzeczy znajdujemy tylko u Rimbauda”.

Bieńkowski i Rogoziński przysłali mi mnóstwo materiałów. Bieńkowski nawet pisał: “Mam wrażenie, że wskutek ilościowego nagromadzenia się materiału niełatwo będzie na zdecydowanie się, co, wziąć, a co odrzucić. Dlatego zostawiani Panu całkowitą carte blanche co do moich przekładów”. W liście tym ciekawa uwaga o młodych Francuzach i Przybosiu: “Często przychodzi mi na myśl porównanie z Przybosiem. W porównaniu takim jak najkorzystniej przedstawia się nasz poeta i w moich oczach porównanie z nim np. Le Loueta czy Follaina przynosi tylko zaszczyt francuskim poetom”. W ogóle stosunek Bieńkowskiego do Przybosia był pełen uznaniu i podziwu. Chyba nie popełnię niedyskrecji, gdy przytoczę tu jego dziecinną “specjalną, prywatną radość”, że. jego przekłady w tym numerze znalazły się “kilkakrotnie w sąsiedztwie Przybosia [...], przekłady jego są wprost świetne” - pisze w styczniu następnego roku, a w trzy miesiące później: “Nie uwierzy Pan, jak ucieszyłem się z powodu nawiązania ścisłej współpracy między Panem i Przybosiem. Dla mnie możliwość współpracy z Nim jest największą radością, jaką w ogóle mogę spotkać na tej drodze i proszę nie brać mi tego za zdawkowość, jeśli powiem, że cieszę się podwójnie - z powodu Przybosia i «Kameny»”. W ogóle sympatyczne listy Bieńkowskiego do mnie odznaczały się wyjątkową szczerością. Wspomina np. w kilka miesięcy później: “Noszę się z myślą o wydaniu tomu wierszy *(Kwitnące oczy).* Mam zrozumiałą dużą tremę, ale myślę, że czas już ją przezwyciężyć i przygotować się na pranie [...]. Tak często trudno jest mi ustalić hierarchię wartości i rzeczy małe przeżywam z nieproporcjonalnym wysiłkiem [...]”. Z jaką radością w parę jeszcze miesięcy potem komunikuje mi o otrzymaniu stypendium na wyjazd do Francji: “Wierzę w Paryż, własny rozwój i bliżej nie określone nowe warunki. Chciałbym, o ile możności, utrzymać stały kontakt z Panem i «Kameną» [...]. Tymczasem przysyłam Panu dwa wiersze z prośbą o zatrzymanie ich i łaskawe wykorzystanie w numerach, w których J. Przyboś będzie współpracował. Naturalnie proszę się tym zastrzeżeniem nie krępować w wypadku, gdyby to okazało się niemożliwym z jakichś względów [...]. Przestałem wierzyć w konieczność i wartość popularyzacji, a naiwną chęć pójścia «pod strzechę» mam szczęśliwie poza sobą. Wierzę w trudną sztukę i trudne życie artystyczne bez tanich efektów w oddaniu się na nieodwołalny wyrok własnego sumienia. Myślę, że dojrzałem lub dojrzewam do postawy, która przecież nie jest wynikiem niepowodzeń czy załamań, lecz przeciwnie przemyśleń”.

Nie zapomniał o mnie i w Paryżu, skąd już w r. 1939 przysyłał mi kartki. Bawili tam wtedy Kott i Przyboś, a Brzękowski mieszkał stale, Bieńkowski więc nie czuł się osamotniony. A jednak skarżył się: “Ten pierwszy okres w Paryżu to morska choroba. Różne szczegóły (tak mi się wydaje) zajmują czas i pochłaniają niestety całkowicie. Tak często nie jestem zdolny do niczego i obawiam się, czy «wykorzystuję» ten Paryż jak należy. Ciągłe szastanie się między entuzjazmem a najczarniejszą rozpaczą”. Ale wracam do “Kameny”. Napierski przysłał mi również trochę swych

tłumaczeń, a Ważyk, nie mając nic z nie opublikowanych przekładów z Apollinaire'a, zgodził się na moją propozycję przedrukowania *Winogrodnika szampańskiego* z "Reflektora": "Nie mam ani egzemplarza, ani odpisu i dzięki przedrukowi niejako odzyskam ten zaginiony przekład". Dałem też do tego numeru kilka własnych tłumaczeń (z Apollinaire'a, Salmona, Jacoba i Jouve'a). Tak więc jako przekładowcy wystąpili: Bieńkowski, Brzękowski, Napierski, Przyboś, Rogoziński, Ważyk i ja. Przetłumaczyliśmy 25 poetów. Oto ich nazwiska: Lautreamont, Apollinaire, Salmon, Jacob, Cocteau, Reverdy, Fargue, Supervieile, Tzara, Jouve, Gide, Soupault, Desnos, Breton, Eluard, Arp, Pśret, Hugnet i najmłodsi: Marc, Le Louet, Follain, Lannes, Lacóte, Fraysse i Manoll. Nie pamiętam, dlaczego nie znalazł się w "Kamenie" Aragon. Brzękowski zamieścił obiecany artykuł *Młoda poezja francuska.* Recenzję *Liryków francuskich* Napierskiego i *Spectacle metallique* Brzękowskiego napisał Bieńkowski. Numer uzupełniały noty: Wśród *francuskich czasopism poetyckich i publikacji periodycznych* i zdobiły fotograficzne reprodukcje plastyki: Braque'a, Dufy'ego, Legera, Matisse'a, Mira i Picassa. Jako podwójny, zeszyt ten liczył 40 stron i stanowił - mogę to powiedzieć bez fałszywej skromności, bo zresztą najmniej w tym było mojej zasługi - prawdziwe vademecum współczesnej poezji francuskiej. Sam inicjator tej imprezy Brzękowski pisał (12 II 1938 r.):

"Numer francuski «Kameny» uważam za bardzo dobry. Oczywiście są jeszcze niedociągnięcia, można było jeszcze dać przekłady kilku poetów, których pominięto, np. artykuł o nadrealizmie, ale mimo to - mogę Panu złożyć tylko jak najserdeczniejsze gratulacje [...]. Francuski numer «Kameny» wywołał tu [w Paryżu, przyp. mój] duże zainteresowanie - byłbym Panu wdzięczny za nadesłanie mi jeszcze kilku egzemplarzy dla autorów i czasopism".

Do listu Brzękowski załączył wzmiankę o "Kamenie" zamieszczoną w biuletynie kult. artystycznym PAT-a z dn. 31 1938 r.: "Miesięcznik literacki «Kamena» wychodzący już od kilku lat w Chełmie Lubelskim pod redakcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, poety i krytyka, zeszłorocznego laureata nagrody literackiej m. Lublina, wydał obecnie numer specjalny, poświęcony współczesnej poezji francuskiej. Na treść tego bogatego numeru składają się przekłady najwybitniejszych poetów francuskich epoki powojennej, począwszy od Apollinaire'a, Maxa Jacoba, Cocteau i in. poprzez nadrealistów z Bretonem i Eluardem na czele, aż do najnowszej poezji reprezentowanej przez Fernanda Marca, Rogera Lannes, Jean Le Loueta, Renś Lacóte i in. Szkic o ostatnim pokoleniu literackim Francji zamieszcza w numerze Jan Brzękowski, znany poeta i krytyk literacki, b. redaktor polsko-francuskiego miesięcznika "L'Art Moderne". Numer otwiera w dziale przekładów proza Lautreamonta, jednego z prekursorów nadrealizmu, poza tym przekłady pióra (tu nazwiska tłumaczy). Poza tym numer zawiera szereg reprodukcji dzieł czołowych malarzy francuskich z Picassem i Braque'iem na czele. Francuski zeszyt «Kameny» zasługuje na uwagę zwłaszcza z tego powodu, iż zawiera on po raz pierwszy przekłady utworów młodej generacji poetyckiej Francji, poetów, którzy zaczęli swą działalność już po nadrealistach. Utwory tych poetów nie były dotychczas tłumaczone na język polski".

Kiedy startowaliśmy z "Kameną", pierwsze jej numery opierały się w dużym stopniu

na literatach lubelskich, którzy wtedy jeszcze trzymali się swego miasta. Ale wkrótce gromadka ta się rozpierzchła, przenosząc się głównie do Warszawy. Na miejscu pozostał tylko Wacław Gralewski, który w tym czasie pochłonięty pracą redakcyjną i dziennikarską odsunął się od poezji. A “Kamena” w miarę swego rozwoju przyciągała pióra z całej Polski i rzadziej już występowały w niej nazwiska związane z Lubelszczyzną.

Toteż na dwudziestolecie odzyskania przez Polskę niepodległości chciałem skrzyknąć całą rodzinkę w specjalnym zeszycie poświęconym właśnie literaturze lubelskiej. Numer ten podwójny za listopad i grudzień 1938 r. liczył, podobnie jak i francuski, 40 stronic. Prozę w nim reprezentowali Tadeusz Bocheński (fragment *Dziennika tatrzańskiego),* Witold Kasperski (urywek powieści *Nauczyciel),* i Józef Nikodem Kłosowski (wyjątek z *Głodnej ziemi),* poezję - Franciszka Arnsztajnowa, Konrad Bielski, Tadeusz Bocheński, Józef Czechowicz, Henryk Domiński, Józef Łobodowski, Antoni Madej, Jerzy Pleśniarowicz, Władysław Podstawka, Adam Szczerbowski (Zamość) i ja. Domiński napisał wspomnienie o tragicznie zmarłym Bronisławie Michalskim, a Wiktor Matyszczuk (mój dawny uczeń) szkic *Przysposobienie poetyckie* poprzedzający wiersze grupy chełmskiej: Ignacego Igonia, Wacława Iwaniuka, Wiktora Matyszczuka, Wacława Mrozowskiego i Zdzisława Popowskiego. Niektórzy poeci wystąpili również jako tłumacze: Czechowicz - z poezji angielskiej, Arnsztajnowa i Bocheński - z francuskiej, Waśniewski - z niemieckiej i ja - z francuskiej i włoskiej. Nie zabrakło i wierszy Słowian: przekłady z rosyjskiego Czechowicza, Łobodowskiego i moje, z czeskiego - Madeja. W zeszycie znalazło się zestawienie: *Trochę, ważniejszych dat* odnoszących się do ruchu literackiego w Lubelszczyźnie, które rozpoczynał r. 1919 - debiut Tadeusza Bocheńskiego i kończył r. 1938 - publikacja Adama Szczerbowskiego *Bolesław Leśmian* i *Pięćdziesiąty numer “Kameny”.* Zeszyt zdobiły dwie dwubarwne wkładki linorytowe Waśniewskiego przedstawiające stary Lublin.

Po wznowieniu “Kameny” w r. 1945 kontynuowałem tradycje numerów specjalnych, o czym będzie mowa w innym rozdziale.

XVII. NOTY

W deklaracji programowej *Spojrzenie wstecz*, zamieszczonej w numerze 10 po zamknięciu pierwszego rocznika, “Kamena” zachowując całkowitą niezależność ideową” i “nie wiążąc się z żadnym obozem politycznym” stanęła “bezwzględnie po lewej stronie barykady”.

W treści pisma przejawiało się to w różny sposób. Już w numerze pierwszym zamieściliśmy impresję *Słup dymu* (pseud. Flamen), w której napiętnowałem autodafe hitlerowców dokonane na arcydziełach literatury niemieckiej i światowej w maju 1933 r. Entuzjastyczna recenzja dramatu Ewy Szelburg Zarembiny *Ecce homo* w numerze 3 (pseud. Flamen) też wyraźnie określała stanowisko społeczne “Kameny”. Takie artykuły, jak Czuchnowskiego Od *estetyzmu* do *proletariatu, Poezja chłopska a poezja wiejska* (nr 11 i 16), O *poezji białoruskiej* Br. Jasieńskiego (nr 17), *Z rodziny Judymów* Timofiejewa (o *Sidłach* Kruczkowskiego, nr 42), *Niepokój na Fifth Avenue* T. Sarneckiego (nr 46), *Oblicze Struga* J. N. Millera (nr 47) też były wymowne. Aczkolwiek “Kamena” miała szeroki - jak to się mówi dzisiaj - wachlarz współpracujących z nią poetów, to jednak ogromną ich większość stanowili autorzy o obliczu zdecydowanie lewicowym lub sympatyzującym z lewicą: Marian Czuchnowski, St. R. Dobrowolski, Ignacy Fik, Tadeusz Hollender, Leon Pasternak, Marian Piechal, Lech Piwowar, Grzegorz Timofiejew, Tadeusz Sarnecki, Jan Śpiewak, Juliusz Wit, Stanisław Wygodzki, żagaryści wileńscy - że wymienię tu choćby te nazwiska. To się nieraz wiązało z radykalną treścią ich wierszy. A poeci radzieccy drukowani w przekładach?

Był też i inny sposób, krótki, ze względu na brak miejsca, ale deklaratywny, w którym można było manifestować swoje stanowisko wobec różnych wypadków politycznych i społecznych, - odpowiednie oświadczenie na froncie numeru. W numerze 7 rocznika pierwszego określiliśmy tak swoje stanowisko wobec wypadków w Wiedniu. W drugim roczniku na początku numeru 13 uczciliśmy wkroczenie w setny rok żywota “bojownika o Niepodległość polską i Sprawiedliwość społeczną czcigodnego Bolesława Limanowskiego”. A już w numerze 17 składaliśmy hołd jego “Cieniom”. W zeszycie 26 też na froncie numeru, nad celowo wybranym fragmentem z *Johna Browna* Norwida, znalazły się słowa czci dla proletariatczyków: Waryńskiego, Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego “w pięćdziesiątą rocznicę wyroku”. W numerze 28/29 w czarnej ramce hołd: “Ofiarom Krakowa, Częstochowy, Lwowa i Chrzanowa - krwi robotniczej”. W zeszycie 33 uczciliśmy zgon Ignacego Daszyńskiego, “wielkiego bojownika o Polskę i sprawiedliwość społeczną”. W numerze 51/52 abstrahując od strony politycznej zagadnienia złożyliśmy hołd “krwi bohaterskiej ludu śląskiego przelanej w walce o wolność Zaolzia”.

Po zajęciu przez Hitlera Czech i stworzeniu “Protektoratu” znalazł się na pierwszej stronie numeru 37 mój przekład patriotycznego wiersza Fr. Halasa Do Progi. W tym samym zeszycie zamiast not fragmenty wypowiedzi różnych pism (od prawicy do lewicy) w związku z widmem grożącej wojny (“Kultura”, “Pion”, “Wiadomości Literackie”, “Prosto z mostu”, “Tygodnik Ilustrowany”, “Sygnały”, “Fantana” i

“Czarno na białem”).

Nie zawsze aktualne posunięcia moje w “Kamenie”, gdy patrzeć na nie z perspektywy trzydziestu lat, były słuszne. W numerze 20 po śmierci Józefa Piłsudskiego zamieściłem na pierwszej stronie poetyckie *Epitaphium* własnego pióra, kończące się słowami: “Umarł? Nieprawda! Przecież Polska żyje. Do pracy!”. A wszak do przewrotu majowego sympatyk Piłsudskiego, odsunąłem się od niego wyraźnie, zwłaszcza po Brześciu i Berezie Kartuskiej i zamieściłem nawet w styczniu 1931 r. deklarację w “Robotniku”, solidaryzując się “ze słusznym oburzeniem tych literatów, którzy już wyrazili swój protest przeciw hańbiącym godność człowieka i kulturę polską zajściom brzeskim”. A jednak taka silna była wówczas magia Piłsudskiego, działająca zresztą na wielu pisarzy i to nawet o lewicowym zabarwieniu, że napisałem wtedy ów wiersz żałobny i to bynajmniej nie z jakichś względów koniunkturalnych.

Najwygodniejsza, bo szybka i bezpośrednia, była reakcja na aktualne wydarzenia czy głosy prawicowej prasy w krótkich notach przy końcu każdego numeru, w których polemizowało się *z* wstecznikami lub przygważdżało ich kłamstwa. Oczywiście noty nie zawsze miały taki charakter, często wiązały się ze sprawami czysto literackimi. W miarę tego, jak prawica w Polsce coraz bardziej zaczynała faszyzować, noty stawały się bojowe. Cóż z tego, że nakład “Kameny” był śmiesznie niski, cięcia trafiały tam, gdzie trzeba, dzięki egzemplarzom wymiennym.

Tak więc nota w numerze 5 mówiła o rozpisaniu przez “Lewar” ankiety w sprawie procesu o podpalenie Reichstagu, w numerze 12 - o *Trudnym życiorysie* M. Czuchnowskiego, w numerze 17 - o konfiskacie zbiorku wierszy poety chłopskiego Antoniego Olchy *(Przed świtem - z* przedmową M. Czuchnowskiego), tamże - o aktualności kanonizowanego Tomasza Morusa (cytaty: “Przy dzisiejszym porządku rzeczy, kiedy wszyscy służą złotemu cielcowi, niemożliwa jest żadna sprawiedliwość, żadna moralność. A kult złotego cielca nie ustanie, dopóki się nie zniesie samego prawa własności”. W numerze 21 nota o “Po prostu”, “Nowej Wsi” i “Lewarze” aprobująca inicjatywę tych pism utworzenia wspólnego frontu, ale wyrażająca wątpliwość, czy uda go się w całej pełni zrealizować. W tym samym zeszycie wzmianka o znalezieniu się na indeksie hitlerowskim dzieł Rudyarda Kiplinga i o specjalnym numerze “Litieraturnoj Gaziety” poświęconym literaturze i kulturze polskiej.

W numerze 22 - fragment listu Romain Rollanda wystosowanego do obradującej we wrześniu 1935 r. w Paryżu Międzynarodowej Konferencji w obronie Narodu Abisyńskiego (tekst z “Lewara”) i potępienie stanowiska w sprawie wojny włosko-abisyńskiej “Prosto z mostu” (nr 43), gdzie wyśmiewa się “humanitarne roztkliwiania i pojękiwania pacyfistów”, których “przeraża skala poczynań faszyzmu”.

W numerze 25 piętnuję Knuta Hamsuna. Przytaczam tę notę, zatytułowaną G*dy się człowiek robi starszy,* w całości: “Rokrocznie otrzymują władze niemieckie podania z

całego świata, domagające się uwolnienia Ossietzky'ego z obozu koncentracyjnego w Oldenburgu. Rokrocznie nadchodzą z całego świata pod adresem komitetu Nobla w Oslo podania, domagające się wyróżnienia Ossietzky'ego nagrodą pokojową Nobla. Nagrodzonego tak zaszczytnym wyróżnieniem można by wyrwać z obozu koncentracyjnego. Pan Ossietzky miał sposobność opuszczenia Niemiec przed i po przyjściu do władzy Hitlera. Jeżeli tego nie uczynił, to tylko w nadziei, że w razie uwięzienia go świat się za nim ujmie. Nie omylił się. Świat zaczął krzyczeć i najrozmaitsi pisarze światowi zaczęli się za nim ujmować i to bardzo skwapliwie. Pan ten, który służy swej idei tym, że szkodzi własnemu krajowi, chce otrzymać nagrodą Nobla. Lepiej by uczynił, gdyby sam pomógł w tej ciężkiej chwili swemu krajowi... Albo może byłby ten pan bardziej zadowolony, widząc Niemcy powalone i na uwięzi uzbrojonych od stóp do głów Francji i Anglii?" - Słowa te nie należą do jakiegoś tam pismaka hitlerowskiego, jak można by sądzić z ich treści i stylu. Niestety, autorem ich jest świetny pisarz, uznany i ceniony na całym świecie, sam laureat Nobla (Nobleesse oblige!) - słowem - Knut Hamsun. Cynizm czy starcze zamroczenie umysłu?" Pisząc te słowa nie przewidziałem, że autor *Głodu* będzie w przyszłości konsekwentny i w okupowanej przez Niemców Norwegii stanie się zwolennikiem Quislinga.

A w dwa i pół roku później, gdy Ossietzky rzeczywiście otrzymał pokojową nagrodę Nobla, musiałem zaatakować (nr 51/52 1938) Marię Jehanne Wielopolską. Nota miała tytuł *Nobliwie* i brzmiała: "Któż nie zna pięknych «Kryjaków» Wielopolskiej, kto się nie wzruszył czytając wstrząsający opis stracenia Traugutta i jego towarzyszy lub patrząc oczyma zakutego w kajdany i bitego co chwila «w mordę» p. Majewskiego - na taniec jego żony z Moskalem. Widocznie z latami serce kobiece stwardniało, skoro taż sama pisarka, świeżo kreowana współpracowniczka «Merkuriusza Polskiego Ordynaryjnego» tak oto potrafi pisać (w nrze 42 tego pisma) o nieżyjącym już Ossietzkym: "Zastanówmy się nad skandalem, jakim było zagraniczne odznaczenie najwyższym wyróżnieniem moralnym p. Ossietzky'ego, który od lat pokutował w swoim kraju za zbrodnią natury politycznej państwowej". Tak kilkakrotnie przez «pan» z soczystym podtytułem «odznaczenie zdrajcy». I tak o człowieku, który mogąc opuścić Niemcy hitlerowskie dobrowolnie w nich pozostał, aby umrzeć jako ofiara obozu koncentracyjnego. O człowieku nieżyjącym, który zginął za swe przekonanie, który nie był wcale wywrotowcem, komunistą, nawet Żydem. Który tylko miał odwagę potępiać wojnę. Artykuł nosi tytuł *Nobel a nobliwość.* Istotnie bardzo nobliwy artykuł pani Marii Jehanne hr. Wielopolskiej".

W notach zamieszczało się również wiadomości o konfiskatach książek i o represjach w stosunku do poetów lewicowych, np. o aresztowaniu Leona Pasternaka (numer 28/29 r. 1936) czy o zakuciu w kajdany Mariana Czuchnowskiego, "oskarżonego o jakieś przemówienie i o... wydanie tomu wierszy, który uległ konfiskacie (cyt. z "Wiadomości Literackich"). "Dlaczego Akademia Literatury, dlaczego żadne stowarzyszenie nie zabrało dotąd w tej sprawie głosu? - zapytuje "Kamena" (numer 33 r. 1936) - tylko Liga Obrony Praw Człowieka z Andrzejem Strugiem na czele".

Kiedy antysemityzm hitlerowski zaczynał przyjmować się i na naszym gruncie, zwłaszcza wśród części młodzieży uniwersyteckiej, kiedy w niektórych pismach

publicyści wyraźnie aprobowali ekscesy antyżydowskie i wyżywali się w odpowiednich artykułach, w notach “Kameny” niejednokrotnie trzeba było bronić wartości humanistycznych i humanitaryzmu, jako środek walki stosując przyłapywanie na kłamstwie i ośmieszanie przeciwnika. To lata 1937- 1939 - trzy ostatnie przedwojenne roczniki.
Stąd wynikały noty o tygodniku “Prostu z mostu”. Redaktora St. Piaseckiego, z którym walczyłem przed wojną, a przed którego zmianą poglądów w obozie koncentracyjnym i męczeńską śmiercią musiałem skłonić głowę, zaatakowałem w numerze 39/40 i to pro domo sua. Oto nota:

“W N. 25 «Prosto z mostu» p. Stanisław Piasecki w kulturalny sposób napadł na poznańską «Kulturę». Nie podobał mu się przegląd kwartalny poezji w prasie literackiej - *Dyliżans poetycki* H. Michalskiego. Jak to? Katolicka «Kultura» chwali «czerwoną “Kamenę”», «organ poetycki frontu ludowego» - «Nową Kwadrygę», uznaje talent współpracownika b. «Dziennika Popularnego» L. Szenwalda, poczytuje St. Napierskiego za wybitnego krytyka i poetę?»”. I tak dalej w tym smacznym, denuncjatorskim tonie. Pan Piasecki chce być «plus catholique que le pape». I poucza «Kulturę», że «momenty ideowe powinny także grać na łamach pisma katolickiego jakąś rolę». Ten niesłychanie brzydki nawet na endeckie stosunki wybryk p. Piaseckiego spotkał się z zasłużoną odpowiedzią ze strony red. «Kultury»”.

I inna nota w tym samym numerze: “Gdy ktoś nas zaczepi, nie pozostaniemy dłużni w odpowiedzi, nie robiąc jednak z igieł wideł” - cytata z «wycinanek» «Prosto z mostu» (nr 28). Czemuż to pan Piasecki jeszcze raz (nr 28) «zaczepia “Kamenę”» wciąż ją darząc epitetem «czerwona». Wprawdzie nie mamy idiosynkrazji do tego koloru, ale rozumiemy szlachetne intencje i wiemy, co w żargonie poniektórych brukowców ten kolor oznacza. Tylko że uważaliśmy dotąd «Prosto z mostu» za pismo poważne, nie imające się podobnych chwytów. Trudno. Errare humanum est [...]”.

W numerze 45 inna nota: “[...] atmosfera [...] w «Prosto z mostu» i innych merkuriuszach sprzyja powstawaniu takich incydentów, jak ostatnia «rycerska» napaść p. Z. Ipohorskiego (redaktora!) z trzema towarzyszami (sic!) na podstępnie zwabionego do kawiarni A. Słonimskiego. Za piękny i patriotyczny wiersz *Dwie ojczyzny.* Panowie napastnicy dali najlepszy dowód, do której z tych dwu ojczyzn należą. Lecz skoro nawet w stosunkach literackich ma zapanować dżungla, nie pozostaje nic innego, jak nosić stale przy sobie rewolwer”.

W związku z .nastrojami panującymi wśród nacjonalistów słowackich przed proklamowaniem “niepodległości” tego kraju w numerze 49/50 (za maj-czerwiec 1938) ukazała się następująca nota: “Słowacja spotyka się u nas obecnie z dużym zainteresowaniem i sympatią: owacyjne powitanie Słowaków z Ameryki (ach, te niepolityczne, a polityczne okrzyki!), numery specjalne poświęcone kulturze słowackiej, liczne artykuły w prasie i korespondenci pism polskich w Słowacji... Sentyment bezwzględnie jest szczery i przeważnie bezinteresowny, czasem tylko koniunkturalnie polityczny. Ale wesoło i smutno się robi zarazem, gdy w takim «Prosto z mostu» np. (nr 25 br.) czytamy: «Słowacy nie są narodem to pewne», a w nrze 28 , p. Wojciech Wasiutyński w swoich wrażeniach z Brartislavy pisze: «Widziałem w dniu manifestacji centralistów Hodży taką scenę: po jednej stronie ulicy stoi grupa młodzieży słowackiej i krzyczy przeciw pochodowi ku czci Hlinki i

autonomiii, po drugiej na balkonie kawiarni tłumek żydów wznosi okrzyki prowokacyjne w rodzaju: “Hlinkę na cmentarz!” (ks. Hlinka ma 75 lat). Młodzi ludzie odpowiadają okrzykami antysemickimi i **nic więcej** (podkreślenie nasze). Kiedy nazajutrz **dziwiłem się** (podkr. nasze) wobec Słowaków tak małemu temperamentowi ich młodzieży, wyjaśnili mi, że przecież zdemolowanie kawiarni lub bójka grozi surową odpowiedzialnością do paru miesięcy więzienia». P. Wasiutyński dziwił się, że tylko okrzyki antysemickie, że nic więcej. Że mały temperament. Już zapomniał, jak sam stał się ofiarą większego temperamentu. Nie, panowie - jeśli w ten sposób macie manifestować swą sympatię dla Słowaków: przez kwestionowanie ich narodowości i podżeganie ich do ekscesów antysemickich, lepiej już dajcie spokój Słowacji i piszcie dalej panegiryki na cześć p. Degrelle'a i Codreanu” [ówcześni kierownicy ruchu faszystowskiego w Belgii i Rumunii, przyp. mój]. A w zeszycie 51/52: “Ofensywa Nowaczyńskiego w nrze 43 «Prosto z mostu» świadczy o tym, że niedawny współpracownik «Wiadomości Literackich» jest kiepskim strategiem.

Przecież Neuwert wbrew swym intencjom stwierdza czarno na białym, że «Żydowie» - «wydawcy» położyli dla kultury polskiej wielkie zasługi. Bo nawet jeśli się zgodzić z przekonaniem Nowaczyńskiego, że «pacyfikowali» Niemcewicza, Kraszewskiego, Anczyca, ba - «kontrolowali» produkcję Lelewela i Mickiewicza, to sam fakt, że pierwsze wydanie Mickiewicza zawdzięczamy «izraelicie» poznańskiemu J. A. Munckowi, że Wawelberg, “wysoce zasłużony filantrop i społecznik, fundator wielu instytucji, wydaje pierwsze popularne wydanie (wydaje wydanie sic! przyp. “Kameny”) Mickiewicza”, “wydaje Orzeszkową i Trylogię, wprost bajecznie i po królewsku opłacając swoich autorów” (widocznie lepiej byłoby, gdyby umierali z głodu - przyp. “Kameny”), że Żeromskiego, Daniłowskiego, Struga i Berenta wydawali “Gabriel Centnerszwer i J. Mortkowicz, obaj jako kupcy - przedsiębiorcy ludzie nie już bez zarzutu, ale wzorowi (podkreślenie “Kameny''), przy czym Piękna i Języka Polskiego entuzjaści, z. geszefciarstwem nic nie mający wspólnego”: - sam fakt ten charakteryzuje chlubnie tych wydawców, tym bardziej, że Nowaczyński stwierdza dalej, iż wydawnicze «domy aryjskie nie ryzykowały przeważnie z obiecującymi debiutantami, a zawsze brały autorów już skądinąd renomowanych, pewnych, patentowych». Czyli, że gdyby nie ci «Żydowie» - «wydławcy», Żeromski, Daniłowski, Strug -i Berent nie mogliby w ogóle swych pierwszych kroków w literaturze postawić. Jak to powiedział Krasicki: «Czyń, co możesz i dziełmi sąsiadów zadziwiaj... nie masz chrztu, co by zmazał twój grzech pierworodny»”.

Wrogi stosunek niektórych pism do wszystkiego, co . się działo w ZSRR, a więc i do bezsprzecznych jego j osiągnięć, też znajdował odbicie w notach. Głośna konfiskata numeru “Płomyka” poświęconego Związkowi Radzieckiemu (ukazywały się od czasu do czasu takie monograficzne zeszyty tego tygodnika dla dzieci) spotkała się w numerze 27 “Kameny” (1936 r.) z takim “rezonansem: “Po konfiskacie nr 25 «Płomyka» należałoby zabrać się z kolei do *Pieśni o ziemi naszej,* wypisów na kl. piątą szkoły powszechnej J. Balickiego i S. Majkowskiego. Figuruje tam m. in. czytanka pt. *Handel z Sowietami* pióra J. Bandrowskiego. Znajdujemy tam tak wysoce niebezpieczne zdania: «[...] jeśli się pracuje na wielką skalę, jak teraz w Rosji, dążącej szybkim krokiem do uprzemysłowienia», »[...] masz znowu inną wielką sprawę: elektryfikację Rosji. Jest to przedsięwzięcie olbrzymie», «Oni owoce mają

wspaniałe... gruszki przepiękne i jabłka, jakich świat nie widział». Nie żartujemy, tylko rozumujemy logicznie”.

Kiedy w zeszycie 66 “Skamandra” ukazał się artykuł Franciszka Siedleckiego O *wielkiej literaturze dla małych,* informujący o zupełnie nie znanych u nas autorach radzieckich, współpracownik “Myśli Polskiej” podpisujący się pseudonimem Spec wyśmiał ich wartość. Zabraliśmy głos w tej sprawie w numerze 27 (luty 1936): “Lepszego Speca powinna wyszukać sobie «Myśl Polska». I piszącego nie po rosyjsku («pod tą nazwą należy rozumieć» nr 1) i bardziej orientującego się w sprawach, o których pisze. Zarzucając (nr 2) Bąkowi «pensjonarską naiwność» za stanowisko zajęte w «Pio nie» w związku ze wspomnianym wyżej [w notach tego numeru - przyp. obecny] artykułem. Fr. Siedleckiego («Skamander» zesz. 66) Spec bezapelacyjnie stwierdza, że «istotnych arcydzieł» (ani dla dzieci, ani dla dorosłych) w Rosji Sowieckiej nie ma i wątpi o możliwości drukowania tam Kiplinga bez «retuszu ideologicznego». Oczywiście Spec o wszystkim, wie lepiej od Siedleckiego, który omawiane przez siebie książki czytał. Spec nie uwierzyłby, gdyby mu oświadczyć, że w Rosji przekłada się masowo klasyków, tłumaczy się nie tylko Kiplinga, ale i Wellsa, Conrada, Gide'a, Romains'a, Dreisera, Dos Passosa i innych, a nawet Prousta, którego się w Polsce nie możemy doczekać. Nie uwierzyłby, choćby mu pokazać katalog. Powiedziałby - blaga. A może by się przeszedł do Gebethnera i Wolffa i przejrzał znajdujące się tam na składzie wydawnictwa rosyjskie. Może by zrozumiał, że wolno nie zgadzać się z komunizmem, wolno go zwalczać, ale należy uznać pracę kulturalną sąsiada”.

Ale podkreślając dodatnie strony w życiu i rozwoju Związku Radzieckiego “Kamena” nie zamykała oczu i na ujemne przejawy rozwijającego się wtedy coraz bardziej - mówiąc językiem dzisiejszym - kultu jednostki.

Pismo tego rodzaju, co “Kamena”, poświęcone wyłącznie literaturze, a ściślej poezji, mogło nie mieć wydźwięku społeczno-politycznego, jak nie miały go “Okolica Poetów” czy poznański “Prom”. Nasz miesięcznik jednak już w swojej pierwszej deklaracji programowej zaznaczył, że stoi “po lewej stronie barykady”. Uważaliśmy, że w tych czasach przełomowych nie wolno nam było zamykać się w wieży z kości słoniowej. Zresztą, co tu ukrywać, wchodził w grę również temperament redaktora, który za pomocą zjadliwych ukłuć w notach wyżywał się w bezkrwawej ale szczerej walce z tym wszystkim, co go mierziło w obozie prawicowym.

Wychowany przez rodziców w duchu postępowym, znalazłszy się podczas pierwszej wojny światowej w charkowskim środowisku akademickim i przeżywszy rewolucję lutową i październikową, przechodziłem w swych poglądach różne fluktuacje - od Związku Demokratycznego Akademickiej Młodzieży Polskiej (ZDAMP) poprzez przelotne sympatie do... anarchizmu (tak! recytowałem na studenckim wieczorze artystycznym podczas rewolucji swój młodzieńczy wiersz *Buntownicy ze* zdaniem: “z sztandarem czarnym idziem w bój”) aż do Związku Akademickiej Młodzieży Socjalistycznej, który powstał z dawnej Unii Postępowo-Niepodległościowej. A po powrocie do Kraju znalazłem się, nigdy nie należąc do partii, w gronie sympatyków PPS. Stały czytelnik i współpracownik literacki “Robotnika”, przeżywałem kolejno

różne wydarzenia w Polsce, kształtujące moją świadomość ideową: zabójstwo prezydenta Narutowicza, przewrót majowy, proces brzeski, Berezę Kartuską - że wymienię tu najważniejsze.

Nie wystarczały mi dysputy z kolegami, udział w wiecach i pochodach pierwszomajowych, niektóre wiersze "wydźwiękowe" zamieszczane w "Robotniku". Toteż zakładając "Kamenę" myślałem i o tym, żeby z tego miesięcznika .poetyckiego zrobić choćby w minimalnym stopniu trybunę, z której mógłbym określać swoje poglądy ideowe i stosunek do spraw społeczno-politycznych w Polsce i za granicą. Niewiele w notach można było zrobić, ale i te utarczki polemiczne, o których tu wspomniałem, dawały mi pewną satysfakcję. Bawił mnie kalambur: Kamena - komuna, tym bardziej, że nie był słuszny, z czego widocznie zdawało sobie sprawę Starostwo, nie konfiskując żadnego numeru pisma. Nieraz mówiłem do Zenka, że taka konfiskata mogłaby zrobić nam reklamą i powiększyć liczbę prenumeratorów.

A jednak mimo to, jak się dowiedziałem już po wyzwoleniu, byłem inwigilowany. Jeden z ówczesnych policjantów, nic wspólnego dzisiaj nie mający z swym dawnym rodzajem pracy, zwierzał się kiedyś, jak mnie śledził wieczorem i jak wyprowadziłem go na łąkę, gdzie zamiast spodziewanej zbiórki konspiratorów ku swemu zdumieniu zobaczył, jak wyjąłem z kieszeni lornetę i oddałem się... obserwacji gwiazd. Ktoś inny (z ówczesnych pracowników Starostwa) opowiadał, że w roku wybuchu wojny przed l maja naradzano się, czyby nie warto Jaworskiego profilaktycznie na dwa dni "przymknąć", ale zdecydowano, że nie miałoby to sensu.

Ale pamiętani pewną wizytę w "redakcji", tj. we własnym mieszkaniu. Było to w r. 1935 czy 1936. Zjawił się znany mi z widzenia tajniak. Po wymianie ukłonów, zapytany przeze mnie, czego sobie życzy, zapytał:
- Pan jest redaktorem "Kameny"?
- Tak. A o co chodzi?
- Pan zamieszcza w swoim piśmie wiersze niejakiego Śpiewaka?
- Jeśli pan czytuje "Kamenę", to po co pan pyta?
- A czy pan wie, że to komunista?
- Nie wiem, ale mnie to nic nie obchodzi.
- Jak to?
- Zwyczajnie. Interesuje mnie tylko, czy wiersz jest dobry. Jeśli tak, to go drukuję bez względu na poglądy autora.
- Ach, to tak wygląda! Bardzo przepraszam, chciałem tylko ostrzec.
- Dziękuję, ale całkiem zbytecznie.

Kiedy do "Kameny" przyczepiały się w ten czy inny sposób pisma endeckie czy oenerowskie, nie przejmowałem się tym zbytnio, rozumiejąc, że stały na stanowisku partyjnym, Ale zdziwiło mnie bardzo, kiedy Napierski w marcowym numerze "Ateneum" z r. 1938 przychylną na ogół recenzję zaczął w ten sposób: "«Kamena» dobrze służy sprawom literatury polskiej, lecz z niezrozumiałych przyczyn bez łączności z ogólnym tonem i treścią pisma ukazuje się tu i ówdzie inteligencko-marksistowski ogonek, doprawdy nie wiadomo - po co. Może to prowincjonalizm tak właśnie się ujawnia?" Odgryzłem się redaktorowi "Ateneum" w najbliższym numerze, zarzucając Napierskiemu w jego recenzji "ton wyższości" i "protekcjonalność stołeczną".

Te wspomnienia związane z lewicowym zabarwieniem “Kameny” muszę zamknąć bardzo brzydkim i niechlubnym wystąpieniem przeciw naszemu miesięcznikowi lubelskiego organu endecji.

W nrze 79 “Głosu Lubelskiego” z dn. 21 marca 1935 r. ukazał się nie podpisany, a więc pochodzący od redakcji artykuł *Dwie kultury.* Zanotowano w nim “dwa fakty”:

“1) W Łodzi większość narodowa Rady Miejskiej uchwala, że odtąd nagroda literacka miasta Łodzi w wysokości 10000 złotych przyznana być może wyłącznie Polakowi - chrześcijaninowi, mogącemu wykazać swoje pochodzenie polskie i stanowi, że do jury, które ową nagrodę będzie przyznawało, zamiast delegata z żydowskiej i zmasonizowanej Wolnej Wszechnicy Łódzkiej, wejdzie delegat Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. 2) W Lublinie okazuje się, że komunizujące pisemko literackie wychodzące w Chełmie «Kamena» jest subsydiowane, a przynajmniej popierane moralnie przez Lubelski Związek Pracy Kulturalnej, instytucję niemal półurzędową, subwencjonowaną przez samorządy [...].

Zestawienie tych dwóch faktów w dwóch dość od siebie odległych miastach polskich prowadzi nas do pewnych ustaleń. Mianowicie: staje się w ich świetle jasnym, że istnieją co najmniej dwa poglądy na pracę kulturalną. Jeden - to ten, który uważa, że literatura może być nie tylko artystycznie dobra lub zła, ale może być dobra lub zła w znaczeniu moralnym i narodowym. Że zbiorowość narodowa, o ile jest winna w interesie kultury udzielać poparcia tym, którzy tworzą ową zdrową i narodowo-twórczą kulturę, o tyle nie ma prawa popierać kultury rozkładowej, literatury złej, zatruwającej ducha narodu [...].

Nie znamy literatów, wydających «Kamenę», znamy za to ich oblicze ideowe, wiemy, jaki dorobek wnoszą do ogólnego dorobku kulturalnego. Ta cała literatura «proletariacka» pachnie z daleka wschodem i zalatuje prądem ideowym, wylewającym się na Polskę z Nalewek [...]. Przed literaturą tego typu już nie tylko społeczeństwo, ale państwo broni się jak może. “Kamena” jest oczywiście cenzurowana i cenzuralna. Ale jej kierunek ideowy i rodzaj wartości, jakie tworzy, nie kwalifikuje jej bynajmniej do subwencji, czy tylko poparcia moralnego Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej [...]”. Artykuł kończy się proroctwem: “Idą bowiem bodaj czasy, gdy badać się będzie skrupulatnie nie tylko fizyczną, ale przede wszystkim moralną rasę tych, którzy przewodzić chcą społeczeństwu”.

Ta niesłychana prowokacja musiała się spotkać z należytym odporem. Ostra odpowiedź napisana przeze mnie con amore znalazła się w numerze 18/19 “Kameny” celowo lekceważąco na... okładce. Przytaczam ją prawie w całości:

“Właściwie na ten «artykuł» można by wcale nie odpowiadać *(Dwie kultury* Nr 79 z dn. 21 marca 1935 r.). Trudno polemizować z ludźmi, których ideologia dawno zbankrutowała, a którzy wciąż jeszcze próbują się odegrać, jadąc zawsze na tym samym «żydowskim», «masońskim» czy «komunistycznym» koniku. Ale że w

wymienionym elaboracie poza nieszkodliwym endeckim maniactwem występuje pewien bardzo niekulturalny i niemoralny passus, trzeba choć na tej ostatniej stronie okładki obnażyć istotne oblicze tych, którzy w sprawach kultury i moralności chcą rolę nauczycieli odgrywać.

Pomijamy wstęp «artykułu», w którym autor rozpływa się nad uchwałą endeckiej większości łódzkiej Rady Miejskiej: “mocą tej uchwały nagrodę literacką miasta Łodzi może otrzymać «wyłącznie» Polak-chrześcijanin, mogący wykazać swoje pochodzenie polskie”. Postanowienie to, naszym zdaniem, przynosi tylko ujmę polskiej kulturze. Wystarczy powiedzieć, że wobec tego nagrody m. Łodzi nie mógłby otrzymać ani świetny krytyk «Żyd» Julian Klaczko, ani doskonały powieściopisarz Sadyk-pasza Czajkowski.

Nie obrażamy się również za przypięcie naszemu pismu epitetu «komunizujące», gdyż wyraz ten dla nas nie jest obelżywy, choć w stosunku do «Kameny» niewłaściwie użyty. Dziwimy się tylko mentalności «Głosu Lubelskiego», ubolewającego nad tym, że «Kamena» jest «subsydiowana» (owszem, troszeczkę) przez Lubelski Związek Pracy Kulturalnej, który «nie ma prawa popierać kultury rozkładowej, literatury złej, zatruwającej ducha narodu».

Doprawdy, nie wiedzieliśmy, że zakrojona przez nas na szeroką skalę akcja zbliżenia słowiańskiego, przejawiająca się w zamieszczaniu artykułów i licznych przekładów z poezji wszystkich narodów słowiańskich (nawet tak małych, jak Serbo-Łużyczanie) jest działalnością «zatruwającą ducha narodu». Nie wiedzieliśmy również, że nasz zeszłoroczny numer mickiewiczowski, w którym oprócz literatów polskich współpracowali przedstawiciele Rosjan, Słowaków i Ukraińców, to objaw «kultury rozkładowe j». Może się «Głosowi Lubelskiemu» nie podobać antyfaszystowskie nastawienie naszego pisma i jego sympatie dla wyzwoleńczego ruchu proletariatu, ale zamykanie oczu na pewne odcinki naszej działalności i wysnuwanie fałszywych wniosków dla załatwiania swych porachunków partyjnych nie wydaje nam się rzeczą -właściwą. Ale to wszystko jeszcze nie jest tak brzydkie, jak pewien prowokacyjny «szczególik». Autor «artykułu» w jednym miejscu pisze: «",Kamena” jest oczywiście cenzurowana i cenzuralna». «Oczywiście», rozumiecie?

Przy końcu elaboratu czytamy: «Nie znamy literatów, wydających “Kamenę”, znamy za to ich oblicze ideowe, wiemy jaki dorobek wnoszą do ogólnego dorobku kulturalnego. Ta cała literatura “proletariacka” pachnie z daleka prądem ideowym, wylewającym się na Polskę z Nalewek». Otóż, zacny «Głosie Lubelski»: wydają «Kamenę» malarz Zenon Waśniewski i literat Kazimierz Andrzej Jaworski, obaj nieobrzezani aryjczycy, ale do pisma naszego ma prawo wstępu każdy rzetelny talent bez względu na wyznanie polityczne i pochodzenie rasowe [...]. Bo w tym wypadku nie będziemy, jak łódzka Rada Miejska badali personaliów ani genitaliów literatów. I to jest, zdaje się, tą kulturą, której «Głos Lubelski» nigdy się nie nauczy”.

XVIII. ODPOWIEDZI REDAKCJI - NAJMŁODSI

Dla zaoszczędzenia miejsca na stronicach “Kameny” korzystaliśmy również z czterech kolumn okładki. Na pierwszej widniał zawsze tytuł pisma opracowany graficznie przez Z. Waśniewskiego, podtytuł - “miesięcznik literacki”, rok wydania i numer. Na drugiej - spis rzeczy danego zeszytu. Trzecią i czwartą wypełniały odpowiedzi redakcji, wyszczególnienie przysłanych książek i pism oraz różne komunikaty. Czasami na którąś z tych kolumn trafiała część not, jeśli się nie mieściły na ostatniej stronicy. Albo niektóre umyślnie się tam umieszczało dla zlekceważenia przeciwnika.

Odpowiedzi od redakcji. (Dziś raczej opuściłbym ten przyimek “od”). Kiedy je przeglądam, pisząc tę książkę, uprzytamniani sobie, jacy byliśmy biedni, jak oszczędzaliśmy na korespondencji, nieraz porozumiewając się w tej rubryce ze znanymi już mniej lub więcej autorami współpracującymi z “Kameną”. Oczywiście nazwiska ukrywało się za inicjałami, ale czyż trudno się było wtedy a i teraz domyśleć, do kogo były adresowane już w pierwszym roczniku takie zdania: “J. B. w Paryżu: Dziękujemy”; “S. H. w Warszawie: Dziękujemy bardzo za przekład z Belloca [...]. Chętnie zamieścilibyśmy krótsze utwory z najnowszej liryki angielskiej i amerykańskiej”; lub wręcz: ,,Żagaryści w Wilnie: Dziękujemy za pamięć. Dalszy ciąg drukujemy w następnym numerze. Prosimy o utwory pozostałych”. A w dalszych latach? Często powtarzają się inicjały lub skróty: p. Paw. H. w Warszawie, lub p. P. H. w Warszawie, p. W. Pięt. w Warszawie, p. R. M. w Warszawie, p. J. K. w Warszawie, p. L. L. w Warszawie, p. M. J. w Łodzi, p. S. P. albo p. Sew. P. w Warszawie, p. L. Past. albo p. Leon P. w Warszawie, p. J. S. albo p. J. Śp. w Warszawie, p. St. J. L. w Warszawie. Po takim niby zakamuflowanym adresie następowało albo podziękowanie za przysłany utwór, albo informacja dotycząca wyboru dokonanego z nadesłanych materiałów lub terminu druku. I nikt się za taki sposób prowadzenia korespondencji nie obrażał. Tylko Mondschein tego nie lubił. Oczywiście w wypadkach ważniejszych trzeba było pisać listy i pisało się ich sporo.

Ale większość odpowiedzi skierowana była do początkujących autorów, debiutantów lub po prostu grafomanów. Z zasady odpowiadało się wszystkim, ale z braku miejsca bardzo zwięźle. Z tego powodu rzadko można się było wdawać w szczegóły, dotyczące oceny utworu. Żadnych złośliwości. W razie odmowy przeważała formułka: “Nie skorzystamy”. Czasem dodawało się łagodzący odprawę wyraz: niestety. Gdy wiersze (bo i wtedy przeważały wiersze) nie były beznadziejne, mówiło się o “pewnych możliwościach”, o znamionach “talentu”, o tym, że “pracować warto”, cytowało się nawet jakąś świeżą, oryginalną przenośnię i prosiło się “o nas w przyszłości nie zapominać”. I rzeczywiście, bywały wypadki, że ktoś zachęcony tymi słowami przysyłał nowe próbki swojego pióra i za trzecim, czwartym razem bywał drukowany.

W pierwszym roczniku patronowałem swoim uczniom - chełmianom, wprowadzając tzw. “kolumnę najmłodszych”, na której figurowali Wacław Mrozowski, Wacław Iwaniuk, Zdzisław Popowski i Czesław Morawski. W numerze mickiewiczowskim do

“grupy młodzieży literackiej “Pryzmaty”, bo tak się nazwali, doszedł Wiktor Matyszczuk. W trzecim roczniku wystąpili jako początkujący jeszcze dwaj moi byli uczniowie: Ignacy Gąsior (obecnie Gąsiorowski), piszący pod pseudonimem Igoń, i Stanisław Turczyn. Niektórzy z nich drukowali później w “Okolicy Poetów”, w “Miesięczniku Literatury i Sztuki” i w “Pionie”.

Co się tyczy najmłodszych spoza Chełma, zamieściłem w “Kamenie” utwory Stefana Bardczaka, Henryka Czerkiesa, Witolda Deglera, Adolfa Dickera, Jerzego Gieysztora, Piotra Korzucha, Aleksandra Messinga, Felicji Nadrzeckiej, Jerzego Pleśniarowicza, Mirosława Stefana Radeckiego, Artura Rzeczycy, Marcina Seweryna, Mieczysława Stryjewskiego, Stefana Szajdaka, Stanisława Kazimiery .Trawkowskiego, Bronisława Wieczorkowskiego (robotnika samouka), Alfreda Wiznera, i Jana Wolffa. Wymieniam tu najmłodszych, którzy przeważnie debiutowali w “Kamenie”; Radecki, Rzeczyca, Szajdak i Wieczorkowski występowali również w “Okolicy Poetów”, Szajdak poza tym w czechowiczowskim “Miesięczniku Literatury i Sztuki”, a Rzedzyca, najbardziej z nich znany, i w “Miesięczniku” i w “Pionie”.

To “najmłodsi”, bo jeśli chodzi o “młodych”, to wielu ich drukowało w “Kamenie”, którą nawet “Rocznik Literacki” za r. 1933 recenzował w rubryce Czasopisma jako organ młodych (podobnie jak “Żagary”, “Linię”, “Prom” i “Sygnały”).

XIX. “BIBLIOTEKA KAMENY”

Przy “Kamenie” w r. 1934 powstała tzw. “Biblioteka Kameny”, obejmująca zbiorki poetyckie wydawane pod tą “firmą”. A właściwie biblioteka ta powstała wcześniej niż samo pismo. Brzmi to jak paradoks, ale w r. 1931 drukowałem w Chełmie u tegoż Bronfelda *Wybór poezyj* Sergiusza Jesienina we własnym przekładzie ze znakiem “Biblioteka Kameny” nr 1 i listą “przewidzianych tomików poetyckich «Biblioteki Kameny»” od nr 2 do 8 włącznie. Wspominałem już o tym, że stąd właśnie powstała nazwa naszego miesięcznika. Kiedy więc w r. 1934 ukazało się moje tłumaczenie *Ogrodu słowiczego* i innych poezyj Aleksandra Błoka, książkę tę oznaczyłem jako “Biblioteki Kameny” nr 2.

Tego rodzaju “biblioteki” (którym początek chyba dała “Biblioteka Boya”) ukazujące się przy pismach w okresie dwudziestolecia nie były zjawiskiem rzadkim. Miała ją później i “Okolica Poetów” i “Orka”. Oczywiście książki finansowali autorzy, ale to samo przeważnie musieli robić i u Hoesicka (Sztajnsberga). Ukrywając wstydliwie określenie “nakładem własnym” za parawanem “Biblioteki Kameny” mieli podwójną korzyść: i “firmę” stanowiącą dla czytelnika pewną gwarancję, że “towar” nie jest grafomański, i znacznie niższe niż gdzie indziej koszty druku. Niektórzy autorzy mający już znane nazwiska tylko z tego względu drukowali w Chełmie. A dla “Kameny” tak czy inaczej była to reklama: widocznie pismo się rozwija, skoro wydaje książki; widocznie ma dobry poziom, skoro x czy y pod jego sztandar się zaciąga. W ten sposób do wybuchu wojny “wydaliśmy” 14 pozycyj: były to i przekłady, i utwory oryginalne.

Z tłumaczeń oprócz już wspomnianych tytułów ukazał się tu w moim spolszczeniu drugi wybór wierszy Jesienina pt. *Spowiedź chuligana* jako nr 3 (1935), *Wiersze włoskie* Błoka w przekładzie Józefa Łobodowskiego i moim jako nr 4 (1935), *Liryka niemiecka* w tłumaczeniu Stefana Napierskiego jako nr 5 (1936) i tegoż tłumacza *Poeci niemieccy* jako nr 11 (1938), oraz mój przekład poematu alpinistycznego Mikołaja Gronskiego *Belladonna* jako nr 6 (1936). Z wierszy oryginalnych wyszły *Pieśni uroczyste* Zdzisława Popowskiego jako nr 7 (1936), *Walet kierowy* Olgi Daukszty jako nr 8 (1837), moje *W połowie drogi* jako nr 9 (1937), *Próba powrotu* debiut Jerzego Kamila Weintrauba jako nr 10 (1937), *Pieśni buntownicze* Mieczysława Lurczyńskiego jako nr 12 (1938), *Drwal i niedźwiedź* Stanisława Bąkowskiego jako nr 13 (1938) i *Definicje* Anny Nieławickiej jako nr 14 (1938). Niektóre z tych książek (pozycje 2, 3, 4 i 6) ozdobione były linorytami Waśniewskiego.

Wszyscy autorzy, których zbiorki ukazały się w Bibliotece Kameny, drukowali i w miesięczniku. Popowski był jednym z moich uczniów, wspominałem o nim w poprzednim rozdziale i na początku książki.

O jego *Pieśniach uroczystych* pisał raczej powściągliwie K. W. Zawodziński w “Roczniku Literackim” (r. 1936), że “jest w tym sporo młodzieńczej wierzyńszczyzny, pogoni za ozdobą i oryginalną metaforą, tendencji do «imaginizmu» z naśladowaniem Jesienina, ale nade wszystko patetyczny warbalizm, niekiedy

zbliżający go z Łobodowskim, niekiedy wprost już z J. Zagórskim w osiąganym tą drogą niezrozumialstwie [...]. Ale jeśli nie utonie w zalewie słów, może się rozwinąć w przyszłości wyczuwany intuicyjnie dar poety". Za to Kazimierz Czachowski w *Najnowszej polskiej twórczości literackiej 1935-1937* odezwał się o tym zbiorku bardzo dodatnio: "Dźwięcznością i łatwością formy poetyckiej zaleca się debiut Zdzisława Popowskiego: *Pieśni uroczyste,* zapowiadający wybitny talent, na razie krążący jeszcze manowcami, ale już zmierzający do opanowania swej spontaniczności. Bogata treść duchowa zyskałaby na pogłębieniu przez ćwiczenia w "szkole" Iwaszkiewicza,, do której Popowski się skłania charakterem upodobań formalnych, aczkolwiek uczuciowo lepiej mu zapewne odpowiada klimat poezji Wierzyńskiego".

Weintraub współpracował z nami od rocznika trzeciego, wiersz Lurczyńskiego zamieściłem w 1936 r. Bąkowski z Poznania od r. 1934 pozostawał w kontakcie z "Kameną", bądź jako autor wierszy oryginalnych, bądź jako tłumacz, z Olgą Dauksztą korespondowałem od r. 1934; bardzo ceniłem tę dziś już prawie zapomnianą poetkę (przypomniała ją antologia *Poezja polska 1914-1939* r.), ona też poleciła mi swoją koleżankę Annę Nieławicką. Różnie się potoczyły losy tych ludzi. Napierski, subtelny tłumacz poezji niemieckiej, zginął z rąk niemieckich w czasie okupacji, Łobodowski i Lurczyński przebywają za granicą, Weintraub w czasach pogardy skończył na zakażenie krwi zaciąwszy się brzytwą. Bąkowski zmarł przed paru laty, o poetkach nie mam wiadomości. Dauksztę mieszkającą stale na Łotwie wojna zaskoczyła chyba w Polsce. Później nie miałem już od niej żadnych wieści, ani nie spotkałem się z jej nazwiskiem w żadnym z pism literackich. Może nie przetrwała tych lat okrutnych, a może żyje gdzieś w głębi Rosji.

Walet kierowy to według określenia K. W. Zawodzińskiego, który "zjechał" tę książkę w "Roczniku Literackim" 1936 r., "pamiętnik miłości 32-letniej kobiety do 23-letniego chłopca wątpliwej konduity". Nie zgodzę się ze zdaniem krytyka, że te "niedbałe wiersze, genre "romans cygański" "stoją na poziomie artystycznym A. Własta" ani z jego zdaniem, że "trudno zrozumieć, dlaczego [ten zbiorek, przyp. mój] został wydany nie "nakładem autora", lecz pod wysoką bądź co bądź egidą «Kameny»". Ale książka jest nierówna: obok doskonałych, czasem śmiałych, zbyt ekshibicjonistycznych erotyków znajdują się w niej wiersze słabe i zbiorek zyskałby bardzo, gdyby go zredukować do połowy. Nie udało mi się przekonać autorki, że taka operacja byłaby pożyteczna. Myślę, że warto by dzisiaj pomyśleć o wyborze wierszy tej interesującej poetki. Wśród jej trzech wydanych książek i wierszy rozrzuconych w "Kamenie", "Pionie" i "Skamandrze" znalazłoby się wiele utworów wartych przypomnienia. Poza tym - może to zainteresuje wydawców - mam maszynopis jej trylogii lirycznej: *Alojzy - Gryf - Paulucci.* Fragmenty jej zamieściłem w "Kamenie". Całość zawiera sto kilkadziesiąt stronic.

W "Bibliotece Kameny" zamierzał wydać swe przekłady Czechowicz; Antoni Brosz i Zdzisław Kempf - tłumaczenia z poezji chorwackiej (Ante Cettineo), Zb. Bieńkowski - przekłady z Eluarda, a tuż przed wybuchem wojny w sierpniu pisał do mnie St. J. Lec: "Nie zrezygnowałem z wydania wierszy lirycznych w «Bibliotece Kameny»". J. K. Weintraub też w tym czasie myślał o tej "Bibliotece" dla swych przekładów z G.

Trakla.

Obok “Biblioteki Kameny” w r. 1938 zaczęła się ukazywać tzw. “Mała Biblioteka Kameny”. Były to właściwie arkusze poetyckie, ale nie takie, jak w wyd. Hoesicka, gdzie sprowadzały się one w rzeczywistości do 8 stronic, a wiać do połowy arkusza. Nasz arkusz był rzetelny - dokładnie szesnastostronicowy i miał estetyczną okładkę z grubszego papieru. MBK - takie litery w secesyjnym ornamencie widniały na ostatniej stronie okładki, jako signum tego wydawnictwa, gdy inicjały BK na książce otwieranej przez stylizowaną postać kobiecą na tle pęku promieni słonecznych były znakiem umieszczonym na okładce “Biblioteki Kameny” - wykonanie oczywiście Waśniewskiego, Prócz tego wewnątrz na stronie 2 obok trzeciej - tytułowej znajdowały się też trzy litery ze znakiem A lub B i kolejnym numerem książeczki. W bibliotece tej miały ukazywać się dwie serie: A - utwory oryginalne i B - przekłady.

W “Małej Bibliotece Kameny” w serii A ukazała się tylko jedna pozycja - liryki debiutanta Stanisława Kazimiery Trawkowskiego pt. *Młodość niespokojna,* a w serii B jako nr 1 - wybór poezji Jana Smreka w moim tłumaczeniu i jako nr 2 - *Uwagi o poezji* Andre Bretona i Paula Eluarda w przekładzie Alfreda Wiznera.
Tomiki prezentowały się estetycznie i kosztowały autora tylko 20 zł, za co otrzymywał 100 egzemplarzy ze 115 - nakładu.

W sumie więc zbiorków wydanych w obu “bibliotekach” ukazało się pod “firmą” Kameny - 17.

XX. SPRAWY FINANSOWE

Wspominałem tu o liście Czernika, który pragnąc założyć czasopismo literackie w Ostrzeszowie skarżył się: “Nie mogę pokonać pewnych trudności - po prostu z powodu braku kilkuset złotych. Cieszę się, że Pan umiał to zrealizować”. Z wydanej przed rokiem książki jego o “Okolicy Poetów” dowiadujemy się, że te “trudności” wreszcie “pokonał” dzięki znalezieniu mecenasa w osobie notariusza Jana Iwańskiego, który przez rok pokrywał koszty związane z wydawnictwem. Ale później Czernik został zdany wyłącznie na swoje siły i “przez dwadzieścia jeden miesięcy od stycznia 1936 r. do października 1937 r.” utrzymywał swoje pismo z własnej skromnej pensji nauczycielskiej.

Zasiłek Funduszu Kultury Narodowej pozwolił mu wznowić pismo po pół roku, ale już w marcu 1939 r. wydał ostatni numer “Okolicy Poetów”. Zadecydowały o tym, jak pisze, niefortunne złudzenia “powstawania trzeciej siły, jakiejś wypadkowej ze starcia świata kapitalistycznego z ideologią marksizmu” i dotknięty “tą skazą” szkic *Dwadzieścia lat poezji polskiej 1918-1938* zamieszczony w numerze 1/2 z 1939 r. (Szkic ten z przykrością - ze względu na życzliwy stosunek do mnie i “Kameny” autora - musiałem ostro skrytykować w zeszycie 56 (luty 1939 r.) naszego miesięcznika).

“Kamena” startowała bez żadnego mecenasa. Pisałem już o tym, jak powstał fundusz początkowy z dobrowolnych składek paru kolegów-nauczycieli, którzy poparli naszą inicjatywę. Ale ta “spółdzielnia wydawnicza” z biegiem lat ubożała coraz bardziej, aż zredukowała się prawie wyłącznie do źródeł płynących z kieszeni redaktora i “wydawcy”, którzy pokrywali deficyty.

Jak w tych warunkach pismo nasze mogło przetrwać sześć lat aż do wybuchu wojny, rozwijając się, a nawet doskonaląc swoją szatę zewnętrzną? Jak powstawała nasza “baza” finansowa, bez której przecież nie mogłaby istnieć “nadbudowa”? Jakie były koszty wydawnictwa?

Przede wszystkim odpadały honoraria i to zarówno redakcji i administracji, jak i wszystkich drukujących w “Kamenie”. Zapraszając autorów do współpracy uprzedzałem ich zawsze, że publikowaliby swe materiały honorowo. Zwyczaj ten stosowały zresztą w tych latach chyba wszystkie pisma bez zaplecza finansowego” w postaci jakiegoś wydawcy czy koncernu. I nigdy nie cierpieliśmy z tego powodu na brak współpracowników. Przez pewien czas, zanim powstała “Okolica Poetów” i zanim wznowiono “Skamander”, “Kamena” była jedynym pismem w Polsce poświęconym poezji. Niejeden z dzisiejszych znanych stawiał wtedy pierwsze kroki i nie miał nic przeciwko temu, by ujrzeć swoje utwory w druku choćby i bezpłatnie. Poza tym nie wszędzie mogli drukować i nie wszędzie chcieli. A więc koszty naszego wydawnictwa redukowały się do wydatków związanych z papierem, drukarnią i ekspedycją.

Z ciekawością porównywałem kalkulację kosztów jednego numeru “Okolicy Poetów”

(w relacji jej redaktora) z naszymi wydatkami. Bo Czernik również pracował bezinteresownie i nie płacąc honorariów znajdował się w identycznej sytuacji. Według jego obliczeń “koszty drukarskie jednego numeru wraz z papierem wynosiły 150 zł, do tej sumki dochodziły jeszcze opłaty pocztowe, koperty, korespondencja, ozdoby graficzne, ekspedycja itp. razem około trzydzieści złotych”. A więc 180 zł.

Zachowały się prawie wszystkie rachunki “Kameny” - za druk, papier, okładki, linoleum do grafiki, ekspedycję itd. Według obliczenia, którego jak zawsze skrupulatnie dokonał Waśniewski, wydatki związane z jednym numerem wynosiły średnio 97 zł (w czym poczta - wysyłka pism, kancelaria, korespondencja - 10 zł, opakowanie - 5 zł, druk - 62 zł, papier - 20 zł). Jeśli zaokrąglić tę sumę do 100 zł (3 zł - za linoleum i różne), okaże się, że zeszyt “Kameny” był w produkcji o 80 % tańszy od numeru “Okolicy Poetów”. Widocznie koszt druku w Polsce zachodniej był znacznie większy niż w Chełmie.

W tym samym zestawieniu z marca 1936 r. dochody nasze w stosunku do jednego numeru kształtowały się w ten sposób: prenumeraty - 25 zł, kolportaż - 7 zł, subsydium Związku Pracy Kulturalnej w Lublinie - 30 zł, a niedobór regulowany z funduszów prywatnych (czyli naszych kieszeni) - 35 zł, razem 97 zł.

Wspomniany tu Związek Pracy Kulturalnej, jednoczący w sobie wszystkie lubelskie instytucje kulturalne, pomagał nam na j wydatnie j, ale dopiero począwszy od drugiego roku wydawniczego (w pierwszym - otrzymaliśmy tylko 20 zł ze Związku Literatów Lubelskich na numer mickiewiczowski) przyznając nam subwencję trzystuzłotową, utrzymaną w tej samej wysokości w trzecim i czwartym roku. W piątym - subsydium wynosiło 200 zł a w szóstym - 100 zł. Łącznie w latach 1934-1939 otrzymaliśmy z tego źródła 1200 zł. Poza tym w r. 1936 dostaliśmy subwencję Wydziału Kultury przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wynoszącą 450 zł. Wszystko to, razem z naszym pokryciem deficytów, pozwalało jedynie na utrzymanie “Kameny” w dotychczasowej objętości. Marzeniem moim było zwiększenie jej objętości do 32 stronic, ale nie osiągnęliśmy tego nigdy. Większe numery, przekraczające znacznie tę liczbę stron, miały podwójną numerację a ostatni - potrójną.

A w ogóle byliśmy bardzo ubodzy: liczba prenumeratorów wahała się od 50 do 70, osobiście sprzedawaliśmy 10-15 numerów, w kiosku chełmskim nie zawsze - tę samą liczbę, kolportaż pozamiejscowy obejmował do 40 egzemplarzy. W sumie w najlepszym razie mogliśmy dociągnąć do 150 zeszytów czyli połowy nakładu. Resztę wysyłaliśmy jako egzemplarze okazowe, autorskie, recenzyjne i wymienne.

Przeglądając roczniki przedwojenne nieraz napotykamy wezwania tego rodzaju, jak: “Prawdziwy sympatyk «Kameny» jest jej prenumeratorem”, “Komu zależy na rozwoju pisma, ten regularnie uiszcza za nie opłatę”, “«Kamena» jest najtańszym miesięcznikiem literackim w Polsce”, “Czytajcie i rozpowszechniajcie «Kamenę»”, “Jednajcie pismu nowych prenumeratorów”, “Prawdziwy przyjaciel «Kameny» nie tylko ją czyta, ale i prenumeruje” itd., a w ostatnim numerze prawie każdego rocznika utyskiwania: “Od dalszego poparcia nie tylko moralnego, lecz i materialnego

«Kameny» będzie zależał jej przyszły rozwój. Czy potrafi utrzymać się w dalszym ciągu jako miesięcznik, czy też wypadnie przekształcić ją na dwumiesięcznik lub kwartalnik" (nr 10) lub "Pragniemy nie tylko «Kamenę» utrzymać, ale i pismo rozszerzyć, a to będzie możliwe tylko przez powiększenie liczby jej prenumeratorów do trzystu [...]" (nr 20); i łabędzi śpiew przedwojennej "Kameny" (nr 60): "Szósty rok istnienia «Kameny» dobiegł końca. Wskutek podniesienia się kosztów wydawniczych borykaliśmy się ostatnio z wielkimi trudnościami finansowymi [...]. Dalsza egzystencja «Kameny» jest pod znakiem zapytania. Zwracaliśmy się trzykrotnie do «Funduszu Kultury Narodowej» z prośbą o subwencję na wydawanie pisma, ale mimo iż nie szło tu o tysiące, ale tylko o setki, stale spotykaliśmy się z odmowną odpowiedzią. Nie zachwiało to jednak naszego mniemania - opartego zresztą na przychylnych głosach krytyki, że «Kamena» na skromnym odcinku swej pracy do kultury narodowej pewien fundusz wnosi [...]."

A z Funduszem Kultury Narodowej przy Radzie Ministrów, którym kierował prof. St. Michalski, sprawa wyglądała w ten sposób, że po raz pierwszy zwróciłem się do niego w r. 1934 za radą A. Madeja, który namawiał: "Po otrzymaniu tego listu weźcie pióro do ręki i napiszcie do Zarządu Funduszu Kultury Narodowej w Warszawie o subsydium na «Kamenę». Dostaniecie na pewno. Z funduszu tego czerpią wszyscy. Nie ma chyba literata, który by nie dostał. 500 zł, 600 zł - murowane. Jeśli napiszecie zaraz, pieniądze będziecie mieli z końcem kwietnia lub w maju, trwa to 3-4 miesiące [...]. Ostatecznie robicie robotę kulturalną, nie widzę więc racji, dlaczego byście nie mieli korzystać ze źródeł, które z natury rzeczy na te cele są przeznaczone. A więc nie myślcie: wypada, nie wypada, tylko z miejsca walcie i już!"

"Walnąłem", ale Madej okazał się złym prorokiem. "Kamena", jako pismo wyraźnie lewicowe, nie zyskała aprobaty w oczach Dyrektora-Profesora. Odmówiono mi subwencji dwukrotnie i jeszcze raz w czerwcu 1939 r. Zachowała się ostatnia odpowiedź o szablonowej treści: "Fundusz Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego zawiadamia, że ze względu na szczupłość kredytów, którymi rozporządza, nie może w bieżącym roku uwzględnić podania o zasiłek na dalsze wydawanie «Kameny»." "Nie może", jak "nie mógł" i nie chciał dwukrotnie przedtem. (A z książki Wacława Mrozowskiego *Cyganeria* dowiedziałem się teraz, że istotnie nie tak trudno było otrzymać z tego źródła subwencję, a jeszcze łatwiej ją przepić).

Nie szukaliśmy prywatnych mecenasów, dlatego, jak już o tym wspomniałem, wstrzemięźliwie odniosłem się w r. 1935 do propozycji Napierskiego dofinansowywania "Kameny" w celu powiększenia jej objętości o arkusz. Pomoc tego rodzaju byłaby krępująca. Chętnie podzieliłbym z kimś odpowiedzialnym "zaszczyt" redagowania pisma, ale nie po to, by ten do niego dopłacał. Chodziło mi o co innego. Zdawałem sobie sprawę, że Chełm to prowincja. Współredaktor mógłby stworzyć oddział "Kameny" w dużym mieście, występować z niejedną nieuświadamianą z chełmskiego podwórka inicjatywą, jednać nowe pióra, słowem podnieść poziom miesięcznika i przez to przyciągnąć nowych prenumeratorów. Nie obawiałem się koni trojańskich będąc pewny, że ludzie, których miałem na myśli, kierowaliby się wyłącznie dobrem sprawy. A poza tym - wtedy praca redakcyjna była honorowa.

Zwróciłem się więc do J. Brzękowskiego i St. R. Dobrowolskiego - obaj z braku- czasu odmówili. Natomiast J. Przyboś, dowiedziawszy się od Brzękowskiego o mojej propozycji, przysłał mi list świadczący o koleżeńskości i zrozumieniu mego położenia. Pisał w nim (15 III 1938): “[...] chętnie pomógłbym Panu ja. Chodziłoby o ustalenie spraw zasadniczych, jak 1) kierunek artystyczny miesięcznika, 2) dobór współpracowników, 3) program kilku najbliższych numerów, 4) jak ustalać materiał i rozstrzygać co do nru «pójdzie», a co nie [...]. Myśląc o sprawie «Kameny» nawiązałem kontakt z młodymi z Krakowa: H. Wielowieyską (zdolna poetka i nowelistka) i K. Filipowiczem (prozaik) z «Naszego Wyrazu». Zapalili się do uczestnictwa w «Kamenie» i chętnie by Panu wraz ze mną pomogli w pracy redakcyjnej. A dobrze by było, żeby «Kamena» stała się organem młodych, zdecydowanych ideowo-artystycznie, walczących”.

I rzeczywiście dzięki Przybosiowi w naszym piśmie wkrótce znalazły się nazwiska wspomnianych w liście literatów krakowskich i Ignacego Fika.

Ale do ustalenia wymienionych “spraw zasadniczych” przed wakacjami nie doszło, a potem już stosunki polityczne i nastroje wojenne nie sprzyjały wprowadzaniu jakichkolwiek innowacyj.

Wspomnę tu jeszcze o pomocy udzielonej “Kamenie” przez dwie organizacje: Towarzystwo Przyjaciół Słowaków im. Ludowita Stura w Warszawie zakupiło 200 egzemplarzy numeru poświęconego współczesnej literaturze słowackiej, a Polskie Towarzystwo Tatrzańskie udzieliło 200 zł zasiłku na specjalny górski zeszyt “Kameny”. Dzięki temu można było zamknąć ostatni rok wydawniczy długiem w drukarni wynoszącym tylko 50 zł. Wierzyciel, który nieraz nam borgował i dotychczas wszystko miał solidnie regulowane, tym razem należności swej nie mógł już otrzymać...

XXI. GŁOSY PRASY

Wspominałem już o tym, jak oceniały różne pisma rocznik pierwszy “Kameny”. Głosów tych było sporo. Przystępując do naszej imprezy nie spodziewaliśmy się, że o skromnym miesięczniku chełmskim będą pisać nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Zrazu nie każda recenzja docierała do nas: trudno było przeglądać wszystkie gazety, tygodniki czy miesięczniki, ale oprócz tego, co zauważyliśmy sami, znajomi i koledzy, znalazłszy gdzieś ocenę naszego pisma, informowali nas o niej lub przysyłali odpowiedni wycinek. Dopiero w drugiej połowie 1936 r. zwróciła się do nas Informacja Prasowa Polska z bardzo wygodną propozycją: za stałe przysyłanie jej kilku (nie pamiętam ilu - czy nie sześciu?) egzemplarzy kolejnych numerów “Kameny” mieliśmy otrzymywać wszystkie recenzje, noty i wzmianki o niej, które się ukazywały w pismach krajowych i zagranicznych.

Mam to wszystko ułożone w teczkach według lat. Wycinków wraz z tym, co uprzednio zgromadziliśmy sami, jest 137. Oczywiście, liczba ta w istocie powinna być większa: to i owo przecież uszło naszej uwagi, poza tym niektórych recenzyj nie wycinałem, aby nie niszczyć poważniejszych publikacji (“Rocznik Literacki”). Na r. 1933 (pierwsze cztery numery) przypada tylko jeden wycinek, na r. 1939 (właściwie pół roku - ostatnie sześć numerów) - 42.

Ogłaszając prenumeratę na trzeci rok wydawniczy wydrukowaliśmy reklamową ulotkę zawierającą wykaz niektórych autorów współpracujących z “Kameną” w pierwszych dwu rocznikach oraz wyciąg z głosów prasy. Kilka tych “głosów” już przytoczyłem wcześniej. Z innych (a ulotka obejmuje r. 1933/1934 i 1934/1935) do ciekawszych należy opinia Stefana Napierskiego zamieszczona w nrze 9 “Drogi” w r. 1934 (jeszcze wtedy nie współpracował z nami):

“Poetów, którzy drukowali w zeszytach «Kameny», wyliczyć wszystkich niepodobna, ani też nie ma potrzeby. Wystarczy ich ugrupować «regionalnie», a wtedy przekonamy się, jak znaczny jest zasięg tej owocnej inicjatywy, jak wielka i coraz pilniejsza zachodzi potrzeba zjednoczenia tych wszystkich sił świeżych, często jeszcze surowych, stworzenia placówki szerszej i na trwalszej zbudowanej bazie, a nie podtrzymywanej wyłącznie groszową, a zatem heroiczną niemal ofiarnością samopas błądzących jednostek, przekopania pojemniejszego koryta, gdzie zlać by się mogły i w bezstronnym współzawodnictwie wyklarować rozliczne, nadto rozwijające się prądy. Jeśli strugi te nie uchodzą w posuchę, jeśli na przekór niesprzyjającym warunkom tu i ówdzie tętni źródełko, to w znacznej mierze jest to zasługa wydawnictw takich jak «Kamena» [...]. Żywe poczucie całości przebija z zamiarów «Kameny»; nie zapominajmy, że obowiązkiem naszym jest podtrzymać ten wysiłek, kiedy w oczach naszych iści się - w szczupłym choćby zakresie - jeden z zasadniczych postulatów Żeromskiego, budowniczego kultury polskiej”.

A K. W. Zawodziński w “Roczniku Literackim” 1934 (w rubryce: *Liryka)* pisał:
“[...] w r. 1933 zaczęła wychodzić w Chełmie «Kamena», miesięcznik poetycki pod każdym względem typowy, z wyjątkiem regularności wzorowej dzięki ofiarnym

redaktorowi i wydawcy [...]. [Redaktor] w piśmie swym stara się skupić wszystkich młodych poetów Polski; oczywiście przeważa awangardzizm, całkowity, a zwłaszcza połowiczny, któremu i sam redaktor teoretycznie hołduje [...]. Absolutnie cennym działem jest obfity dział przekładów poetyckich z literatur, słowiańskich głównie, ale i z zachodnich, z francuską na czele. I wybór i tłumaczenia są wysokiego gatunku".

Stanisław Czernik w bratnim organie ("Okolica Poetów" nr 4/5 1935) podsumowywał dwa lata naszej pracy:
"Czerwcowy numer «Kameny» kończy dwuletni okres działania tego pisma, które pierwsze budziło u nas poezję po długiej śpiączce i halucynacjach w zamkniętych ogródkach wybrańców. «Kamena» pierwsza zerwała w 1933 roku ze sztucznym elitaryzmem grupek poetyckich, które przy pomocy nieodpowiedzialnych krytyków przez długie lata monopolizowały i kompromitowały poezję polską".

W "Miesięczniku Literatury i Sztuki" (nr 5) odezwał się Czechowicz:
"Zainicjowane przed rokiem w Chełmie Lub. czasopismo literackie pt. «Kamena» wytrzymało próbę czasu i rozpoczęło już czterema numerami drugi rok swego żywota. Liczne głosy pochlebne, jakie pod adresem «Kameny» ukazywały się i ukazują, świadczą dobitnie o tym, że «Kamena» mimo niektórych wyraźnych wad spełnia dobrze podjęte przez siebie obowiązki. W «Kamenie» spotykamy nazwiska autorów nie tylko lubelskich, ale i z całej Polski".

Jan Piechocki w "Wiciach Wielkopolskich" (nr 42) zwrócił uwagę na lewicowość pisma:
"Dwie cechy charakteryzują poetów zgrupowanych w «Kamenie»: akcenty radykalizmu społecznego o sympatiach socjalistycznych oraz intensywne kultywowanie problematyki estetycznej, np. roztrząsanie zagadnień treści i formy [...]. Rządcy dziś lubownicy wierszy, miłośnicy piękna i poetyckiego kunsztu znajdą na łamach chełmskiego miesięcznika poważną kolekcję klejnocików, rzezanych w polskim słowie".

Z r. 1937 przytaczam trzy głosy. Poznańska "Kultura" (2V) pisała:
"Czwarty rok już z godną podziwu regularnością ukazuje się w Chełmie Lub. pod redakcją K. A. Jaworskiego miesięcznik «Kamena». Pismo to jest trochę mało znane, chociaż zasługuje w zupełności na jak najszerszą popularność. Oprócz poezji znajdujemy tu prozą, artykuły teoretyczne czy sprawozdania. Szeroki zakrój ma dział przekładów poetyckich z chorwackiego, łużyckiego, rosyjskiego, czeskiego, słowackiego, francuskiego i niemieckiego. Prowadzona jest stała kolumna słowiańska [...]".

Krakowski "Nasz Wyraz" w numerze kwietniowym zaczyna podobnie: "Już czwarty rok na głuchej prowincji wychodzi pismo poświęcone poezji, ostatnio również prozie. Żadnej kapliczkowatości, żadnej kliki: wszyscy drukują, a zwłaszcza młodzi stawiają tam pierwsze kroki. Ażeby w obecnych warunkach wydawać tak długo pismo literackie, nie służące żadnej partii politycznej, żadnym ubocznym celom, jak tylko sztuce, podczas gdy tylko garstka ludzi interesuje się poruszonymi na łamach pism literackich zagadnieniami - trzeba być prometejem- trzeba mieć w sercu ogrom

miłości dla sztuki. Należy pochylić głowę z szacunkiem przed wytrwałym redaktorem. Ponad wszystkie przeszkody - silniejsze jest prawdziwe ukochanie sztuki".

Zgodnie z obietnicą odezwał się i J. N. Miller w obszernej recenzji pt. *Kamena* zamieszczonej w jednym z listopadowych numerów "Robotnika" z tego roku.
Autor *Zarazy w Grenadzie* na wstępie zaznacza, że na gruncie warszawskim pismo jest na ogół mało znane, a "zasługuje na to, by zasięg wpływów jego wykroczył poza teren lokalno-regionalny", podkreśla rzeczowość i przedmiotowość informacji - o "różnych nastawieniach teraźniejszego oblicza literatury zarówno polskiej, jak i obcej", stwierdza, że ,,kulturalny i umiarkowany eklektyzm na gruncie prowincjonalnym jest chyba najwłaściwszą postawą wobec zróżniczkowania teraźniejszego życia literackiego i świadczy chlubnie o rzetelnej próbie możliwie pełnego ogarnięcia mnogości zjawisk literackich ze strony redakcji". Następnie Miller wylicza głównych współpracowników "Kameny", podkreśla, że "największą i bezsporną zasługą «Kameny» jest olbrzymi dział przekładów z zakresu wszystkich literatur europejskich, a nade wszystko literatur słowiańskich [...]". "Wszystko to świadczy chlubnie o wysiłku redakcji przedstawienia czytelnikowi możliwie pełnego obrazu współczesnego życia literackiego na terenie Słowiańszczyzny i Europy". Za stronę ujemną "Kameny" Miller uważa "słabiej postawiony dział krytyki, która na ogół poza ogólnikowe informacje o literaturze nie wychodzi" i sądzi, że "ten dział powinien niewątpliwie ulec rozszerzeniu i pogłębieniu".

Mówiłem tu o pismach zagranicznych, które również o "Kamenie" pisały. Pozostawało to w związku z działem przekładowym. Już w r. 1935 estońskie pismo "Waba Maa", drukowane gotykiem, wspomina o artykule Sergiusza Kułakowskiego pt. *Estoński epos ludowy,* zamieszczonym w numerze 16 i o fragmentach poematu *Kalevipoeg* przełożonych z wersji niemieckiej przez Z. Waśniewskiego. W sprawie tłumaczeń z czeskiego czy słowackiego zabierały głos takie pisma, jak: "Prager Presse", "Slavische Rundschau", "Prażske Noviny" i in., a specjalny numer poświęcony literaturze słowackiej omawiały "Elan", "Prameń", "Slovensky Hlas", "Narodne Noviny".

"Slovak" wychodzący w Bratislavie poświęca temu numerowi dłuższą recenzję (8 VII 1937), kończącą się słowami: "Naszym polskim przyjaciołom, którzy tak pięknie przyczynili się do zaznajomienia polskiej publiczności ze współczesną słowacką twórczością literacką, należy się nasze uznanie i nasza podzięka. Jest to nowy krok na drodze do wzajemnego zbliżenia i poznania się".

W rok później sofijska "La Parole Bulgare" dała wzmiankę o numerze bułgarskim.
Tak samo wychodzące w Polsce pisma słowiańskie: rosyjski "Miecz", ukraińskie "Nazustricz" i in. wspominały o "Kamenie".

Ale wróćmy jeszcze do głosów polskich. Ukazanie się 50 numeru dało powód do okolicznościowych wzmianek.

"Pięćdziesiąty numer «Kameny» - cytuję z "Czasu" (27 XI 1938) - niepodobna czytać tego prostego stwierdzenia faktów bez zdumienia i uznania. W Chełmie Lubelskim,

na tzw. «głuchej prowincji», wychodzi pismo poetyckie tak poważne, tak śmiałe, tak ciekawe. Wychodzi tak wytrwale, pracuje tak bezkompromisowo, tak kulturalnie!”

A “Pion” (15 I 1939) w artykule pt. *Placówka* m. im. pisał: “Ikarowy trud - to określenie nie jest w stosunku do redaktora «Kameny» pochwałą, jedynie kwalifikacją rzeczy, jej scharakteryzowaniem. Pismo walczące z trudnościami . technicznymi, ubogie, nie płacące honorariów, a mimo to posiadające wyraźny charakter - to nie byle co. Dodajmy jeszcze, że z numeru na numer «Kamena» stara się utrzymać kontakt z «wielkimi parkietami Europy» poświęcając sporo miejsca twórczości obcej, w pierwszym rzędzie twórczości sąsiedzkich narodów słowiańskich, że jest wolną trybuną, i to naprawdę wolną, wszelkich wypowiedzi artystycznych, a obraz będzie zupełny”.

Najobszerniej numer pięćdziesiąty omówił “Tygodnik Ilustrowany” (15 I 1939). Autor recenzji na wstępie cytuje słowa redakcji “Kameny” z numeru 51/52 (wrzesień - październik 1938): “Rozpoczynamy szósty rok wydawniczy. Nie będziemy tego nazywali małym jubileuszem, choć w życiu pisma literackiego w Polsce pięć lat to szmat drogi. Oglądając się za siebie widzimy pewne osiągnięcia i liczne niedomagania. Zdajemy sobie dobrze z nich sprawę. Dążeniem naszym jest coraz większe doskonalenie wydawnictwa i usuwanie braków”, a potem pisze: “Przytaczając początek apelu wydawnictwa «Kameny» do świata kulturalnego w Polsce, chcielibyśmy, nie po raz pierwszy zresztą, zwrócić uwagę na wielki wysiłek [...] z racji skromnego, ale jakże wymownego jubileuszu 50 numerów «Kameny». Jeśli weźmiemy pod uwagę, że czasopismo to ukazuje się na prowincji, z dala od centrów ruchu umysłowego, że wychodzi jedynie dzięki trosce jednego człowieka, który potrafi zgromadzić wystarczające fundusze, który musi być wszystkim w wydawnictwie - to uświadomimy sobie nie tylko doniosłość tego wysiłku, ale wzbudzimy w sobie podziw dla wytrwałości i uporu [...]. «Kamena» była zresztą redagowana nieprzypadkowo. Szereg specjalnych numerów, szczególnie z zakresu literatur słowiańskich, dowodził planowego wysiłku redakcji. Podobnie rzecz się ma ze sprawą przekładów, w których zakres wiele włożono pracy. Przez pięć lat istnienia czasopisma przewinęło się niemal wszystko, co w tym okresie czasu w Polsce miało coś do powiedzenia w dziedzinie poezji. Być może wiele tam rzeczy drukowano zbyt liberalnie, zbyt wyrozumiale, ale niewątpliwie z wielką zawsze przychylnością i ludzkim szacunkiem. Noty redakcji zawsze nosiły wszelkie cechy szlachetności i poczucia godności pisarza oraz człowieka”.

“Myśl Polska”, z którą nieraz miałem na pieńku i z którą polemizowałem w notach, stwierdziła:
“[...] «Kamena», wydawana w warunkach zupełnie prymitywnych, oparta na pracy i poświęceniu dwóch ludzi, nie płacąca honorarium, wychodzi uparcie już szósty rok, nie odstępując ani na krok od swoich założeń i wytyczonego kierunku. A jeśli nie jest bezsporną pozycją literacką w ogólnopolskiej skali, spełnia doniosłą rolę na ważnym odcinku, jest tym skromnym kijem, który coraz to wygrzebuje jakieś wartości z sennego, prowincjonalnego kopca termitów. Ze społecznego punktu widzenia jest to zjawisko wobec którego wytarte, nadużywane i deprecjonowane słowo - placówka - odzyskuje swój właściwy pełnobrzmiący wydźwięk i sens”.

Zamykając rocznik szósty ostatnim przed wojną górskim numerem zwróciliśmy się "do czytelników i przyjaciół pisma" z dość dramatycznym apelem: "Dalsza egzystencja «Kameny» jest pod znakiem zapytania. Zwracaliśmy się do Funduszu Kultury Narodowej z prośbą o subwencję na wydawanie pisma, ale mimo to, iż nie szło tu o tysiące, ale tylko o setki, stale spotykaliśmy się z odmowną odpowiedzią [...]. Mimo wszystko jednak nie chcemy ustępować. Sądzimy, że warto utrzymać pismo choćby dla garstki jego przyjaciół. Wierzymy w to, że oni właśnie - którzy podczas ostatniej trzymiesięcznej przerwy w swych listach dawali wyraz niepokojowi o losy «Kameny» - przyjdą nam z pomocą. A przecież nic łatwiejszego. Niech regularnie uiszczają należność za prenumeratę, niech rozpowszechniają nasze pismo i jednają mu nowych prenumeratorów".

Wkrótce potem w "Czasie" (nr 187) ukazał się artykulik zatytułowany *Sprawa Kultury Narodowej* Nie podpisany autor przytoczywszy fragmenty naszej odezwy, mówiące o bezowocnych próbach uzyskania zasiłku pisał:
"[...] Stanowisko co najmniej dziwne. Rola «Kameny» w życiu kulturalnym nie tylko Lubelszczyzny jest znaczna [...]. Odmawianie setek na kontynuowanie wydawnictwa przy jednoczesnej hojności, wyrażonej tysiącami złotych osobom często na to nie zasługującym, mówi samo za siebie. Reforma Funduszu Kultury Narodowej, który nie może podlegać decyzji jednostki (prof. Stanisława Michalskiego, przypis mój), powinna być przeprowadzona jak najprędzej".

A wstrzemięźliwe na ogół w wydawaniu pochwał "Wiadomości Literackie" tuż przed wybuchem wojny zacytowały urywki z tego artykuliku w notatce pt. *O uznanie dla zasługi* kończąc ją słowami:
"Trudno odmówić słuszności tym uwagom. Jesteśmy przeciwnikami tworzenia pism za pieniądze państwowe, ale obowiązkiem powołanych do tego instytucyj państwowych jest popieranie pism, które już zdały egzamin, które wykazały swoją żywotność. Do nich należy właśnie «Kamena», sympatyczny miesięcznik regionalny, wydawany w najtrudniejszych warunkach z podziwu godnym uporem, przepojony szlachetnym i czystym umiłowaniem poezji".

Uzupełnię jeszcze ten rozdział przytoczeniem bardzo różnych ocen "Kameny" w "Rocznikach Literackich". O zdaniu K. W. Zawodzińskiego w dziale liryki (1934 r.) już wspominałem. W "Roczniku Literackim" za r. 1933 w dziale: Czasopisma czytamy:
"«Kamena». Od września w Chełmie Lubelskim wydawany miesięcznik (red. K. A. Jaworski). Dużo, dużo wierszy, trochę notat i odrobina spraw regionu i Chełma, ładne wkładki linorytowe Z. Waśniewskiego - oto treść każdego numeru. Wiele miejsca poświęca się tłumaczeniom, zwłaszcza systematycznie z języków słowiańskich" (Wacław Kubacki).

W tomie III za r. 1934:
"Do wierszy i tłumaczeń słowiańskich przybyły w tym roku próby dyskusyj literackich, co podniosło ten sympatyczny miesięcznik na nieco wyższy poziom (treść - forma, społeczne zagadnienia a literatura). Pocieszające, że wreszcie sami twórcy zaczęli się zastanawiać nad sprawami, które do niedawna wcale dla nich nie istniały i którymi parali się «nudziarze» (styl pp. twórców) czyli krytycy. Do podniesienia «Kameny» przyczynił się jeszcze więcej niż te dyskusje smutny fakt upadku «Linii» i «Zagarów». «Bezrobotni» i «bezdomni» poeci przenosili się do «Kameny» [...]. Pretensję miałbym

do «Kameny» za zbyt dobrotliwą i pobłażliwą krytykę [...]” (Wacław Kubacki).

W tomie IV za rok 1935:
«Kamena», praktycznie rzecz rozważając, była raczej szkołą przygotowawczą poetów, którzy po przeterminowaniu w niej odchodzili do innych pism. Oczywiście poziom pisma także (jak i “Okolica Poetów” - omówiona przedtem, przyp. mój) bardzo nierówny. Największą zaletą pisma były tłumaczenia z obcych poetów - i w tych przekładach jednak nieraz nie udało się redakcji utrzymać równego poziomu. W każdym razie wydawnictwo było sympatyczne; niektóre zaś oryginalne utwory i przekłady przedstawiały wybitną wartość literacką. Oprócz działu tłumaczeń na podkreślenie zasługują obiektywne recenzje i noty” (Wojciech Bąk).

W tomie V za r. 1936:
“Zestawienie (“Skamandra”, przyp. mój) z pokrewną «Okolicą Poetów» czy wreszcie lubelską «Kameną» wykazuje, że te dwa prowincjonalne, szlachetne i pożyteczne w swoich zamierzeniach pisma w dalszym ciągu idą raczej w kierunku ilości niż jakości materiału” (Wojciech Bąk).

W tomie VI za r. 1937:
“Staw skamandrytów uzupełniają dwa skromne prowincjonalne strumienie, które - mimo wąskości nurtów, mimo nieporadności wielu bełkotów - płyną przecież uparcie naprzód. Bijący w Chełmie zdrój «Kameny» o tak wątłym toku własnych oryginalnych nurtów, żłobi jednakże od kilku lat drogę ku poznaniu twórczości słowiańskiej dzięki przekładom dziesiątków wierszy serbskich, czeskich, ukraińskich itp. Przekłady są raczej tylko poprawne niż dobre, ale spełniają swoje zadanie informacyjne. W ostatnim roku «Kamena» poświęciła jeden z zeszytów poezji słowackiej, drugi - rocznicy Puszkina” (Tadeusz Makowiecki).

W tomie VII za r. 1938:
“Egzotyczną i potrzebną *Antologią poezji bułgarskiej* czytaliśmy w «Kamenie». Oprócz bogatego zeszytu poświęconego poetom lubelskim był to bodaj jedyny żywszy moment w roczniku «Kameny» (a numeru poświęconego współczesnej poezji francuskiej recenzent nie zauważył, przyp. mój), spełniającej tą samą co «Okolica Poetów» rolę filtra dla liryki, roczniku zresztą nieregularnie wychodzącym i dużo słabszym niż w innych latach” (Kazimierz Wyka).

Tyle o stosunku prasy i krytyki do “Kameny”. Chcąc dać możliwie cały, wszechstronny obraz rozwoju miesięcznika, nie mogłem pominąć i tej sprawy.

XXII. TROCHĘ LICZB

Z okładek “Kameny” można się również dowiedzieć, ile nadesłano do redakcji książek. Tylko ważniejsze omawialiśmy w notach lub specjalnych recenzjach, ale tytuły wszystkich wyszczególnialiśmy zawsze w rubryce: Książki *nadesłane*.

A więc od września 1933 r. do września 1939 r. otrzymaliśmy ich 379, w czym pewną część stanowiły książki w języku francuskim, rosyjskim, białoruskim, ukraińskim i słowackim.

Nieprawdopodobna wprost wydaje się liczba pism, które przysyłano nam w drodze wymiany - 137! Oto ich tytuły w porządku alfabetycznym:

Akcja Literacka, Albo-Albo, Ateneum, Archa (czesk.), Biełaruski Letopis, Biuletyn Polsko-Ukraiński, Budowa, Chłopskie Jutro, Comoedia, Czarno na białem, Czas, Czerwona Róża, Czerwone Tarcze, Dażboh (ukr.), Dekada, Depesza, Der Friedensbote (niem.), Droga, Dziennik Urzędowy Kur. Okr. Szk. Lub., Elan (słów.), Epoka, Fantana, Front Literacki, Front Polski Zbudzonej, Front Świata Pracy, Front Teatralny, Gazeta Młodych, Glossy, Głos Powiatu Radzyńskiego, Gong, Juni Druzi (ukr.), Jutro, Kałośsie (białorus.), Karta, Krakowski Kurier Wieczorny, Kronika Nadbużańska, Kultura, Kurier Bibliofilski, Kuźnica, Lewar, Lewy Tor, Lwów Literacki, Marchołt, Merkuriusz Polski, Miecz (ros.), Miesięcznik Literatury i Sztuki, Miesięcznik Nauczycielski, Młoda Awangarda, Młodzież Katolicka, My (ukr.), Myśl Polska, Myśl Wolna, Naród i Państwo, Nasz Świt (ukr.), Nasza Świetlica, Nasz Wyraz, Nazustricz (ukr.), Nowa Kwadryga, Nowa Wieś, Nowe Czasy, Nowy Ustrój, Now' (ros.), Nurty, Oblicze dnia, Obrii (ukr.), Odskocznia, Okolica Poetów, Orka, Orka na ugorze, Pamiętnik Lubelski, Państwo Pracy, Pion, Płoń, Polonista, Polska Ludowa, Polska Odrodzona, Polska Współczesna, Po prostu, Praca Oświatowa, Prager Presse (niem.), Prameń (słów.), Prasa, Prąd, Problemy Europy Wschodniej, Prom, Prosto z mostu, Próby, Przemiany, Reduta - Tydzień Polski, Rozhl'ady (słów.), Ruch Kulturalny, Ruch Literacki, Ruch Pracowniczy, Siła, Skamandar, Skawa, Slawische Rundschau (niem.), Slovenske Pohl’ady (słow.), Slovenske Smery (słow.), Smuga, Sprawy Otwarte, Studio, Sygnały, Szkwał, Szlach Mołodi (ukr.), Sztegn (żyd.), Sztorcem, Świat Kolorowy, Świat Naopak, Taternik, Tempo, Tęcza, Trybuna Literacka i Artystyczna, Trzecia Strona Barykady, Tygodnik Ilustrowany, Tygodnik Śląski, Ugory, Wiadomości Hrubieszowskie, Wici Wielkopolskie, Wieś (Wielkopolska, Wieś jej pieśń, Wiry, Wisty Muzeju Wyzwolonoj Borot’by Ukrainy (ukr.), Wolność Sumienia, Wymiary, Zespół, Zet, Ziemia Podhalańska, Znicz, Zwierciadło, Żagary, Żagwie, Życie Akademickie, Życie Literackie, Życie Lubelskie, Życie Rezerwistów, Życie Sztuki.

Oczywiście z tego nie wynika, że z naszego niskiego nakładu “Kameny” - z 300 egzemplarzy - prawie połowę wysyłaliśmy tym pismom jako egzemplarze wymienne. Z taką gospodarką nie wytrzymalibyśmy długo. Lista powyższa obejmuje pisma, które wpłynęły w ciągu sześciu lat, ale przecież jedne z nich przestawały wychodzić, na ich miejsce pojawiały się inne, sporo było efemeryd, czasami przysyłano nam tylko kilka numerów i przerywano wysyłanie lub myśmy przerywali. W każdym bądź

razie zaledwie połowa tych pism miała charakter kulturalno-literacki a niektóre tylko niepotrzebnie nas obciążały, tak że w ostatnim przedwojennym numerze trzeba się było zastrzec: “wymieniać «Kamenę» będziemy tylko z pismami ściśle literackimi lub bliżej z literaturą związanymi”.

137 pism! Po wojnie wznowiona przeze mnie “Kamena” w ciągu czterech lat osiągnęła tylko 50 tytułów. Uzupełnijmy ten rozdział dalszymi liczbami. Sześć przedwojennych roczników składa się z 60 numerów w 50 zeszytach i zawiera 1232 stronice. W latach 1933-1939 w “Kamenie” zamieszczono utwory oryginalne lub przekłady 160 autorów. Oto ich nazwiska:

Franciszka Arnsztajnowa, Aleksander Baumgardten, Stefan Bardczak, Stanisław Bąkowski, Emil Biedrzycki, Adam Bielecki, Konrad Bielski, Zbigniew Bieńkowski, Tadeusz Bocheński, Antoni Bogusławski, Halina Brodowska, Władysław Broniewski, Antoni Brosz, Jan Brzękowski, Janina Brzostowska, Teodor Bujnicki, Anna Chromińska, Józef Czechowicz, Wawrzyniec Czereśniewski, Henryk Czerkies, Stanisław Czernik, Marian Czuchnowski, Olga Daukszta, Witold Degler, Adolf Dicker, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Henryk Domiński, Wołodymyr Doroszenko, Władysław Dunarowski, Ignacy Fik, Kornel Filipowicz, Aniela Fleszarowa, Józef Andrzej Frasik, Ignacy Gąsior (Ignacy Igoń), Jerzy Gieysztor, Lew Gomolicki, Antoni Gronowicz, Wiktor Gwoździewski, Stanisław Helsztyński, Edwin Herbert, Paweł Hertz, Tadeusz Hollender, Wacław Iwaniuk, Alicja Iwańska, Jan Iwański, Juryj Iwask, Czesław Janczarski, Bruno Jasieński, Zbigniew Jasiński, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Andrzej Jaworski, Wanda Karczewska, Światopełk Karpiński, Witold Kasperski, Zdzisław Kempf, Józef Nikodem Kłosowski, Jadwiga Korczakowska, Piotr Korzuch, Jan Kott, Władysław Krygowski, Sergiusz Kułakowski, Jalu Kurek, Stanisław Lec, Wacław Lednicki, Leopold Lewin, Leo Lipschutz, Mieczysław Lisiewicz, Mieczysław Lurczyński, Alfred Łaszowski, Józef Łobodowski, Antoni Madej, Ludwik Maj, Kornel Makuszyński, Hanna Marczewska, Józef Maśliński, Ryszard Matuszewski, Wiktor Matyszczuk, Stanisław Mečiar, Wanda Melcer, Aleksander Messing, Bronisław Ludwik Michalski, Hieronim Michalski, Anatol Mikułko, Witold Mileski, Jan Nepomucen Miller, Czesław Miłosz, Józef Mondschein, Czesław Morawski, Wacław Mrozowski, Felicja Nadrzecka, Kazimierz Namysłowski, Stefan Napierski, Konstanty Narkiewicz-Jodko, Anna Nieławicka, Nora Odlanicka, Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Papierkowski, Leon Pasternak, Marian Piechal, Jerzy Pietrkiewicz, Włodzimierz Pietrzak, Stanisław Piętak, Lech Piwowar, Jerzy Pleśniarowicz, Władysław Podstawka, Seweryn Pollak, Zdzisław Popowski, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Mirosław Stefan Radecki, Julian Rogoziński, Atanas Rusew-Sam, Aleksander Rymkiewicz, Jerzy Mieczysław Rytard, Ludomir Rubach, Artur Rzeczyca, Roman Sadowski, Artur Sandauer, Tadeusz Sarnecki, Bruno Schulz, Marcin Seweryn, Władysław Simonberg, Włodzimierz Słobodnik, Józef Sroga, Mieczysław Stryjewski, Franciszek Surówka-Brzegowski, Stefan Szajdak, Jan Szczepański, Jan Alfred Szczepański, Maria Szczepańska, Adam Szczerbowski, Mieczysław Szczuka, Lola Szereszewska, Jan Śpiewak, Ludwik Swieżewski, Antna Świrszczyńska, Grzegorz Timofiejew, Stanisław Ton, Stanisław Kazimiera Trawkowski, Kazimierz Truchanowski, Stanisław Turczyn, Julian Tuwim, Zenon Waśniewski, Jadwiga Ważewska, Adam Ważyk, Jerzy Kamil Weintraub, Bronisław Wieczór kowski, Julia Wieleżyńska, Helena Wielowieyska, Kazimierz

Wierzyński, Bronisław Krystian Wierzejski, Juliusz Wit, Alfred Wizner, Jan Wolff, Zofia Wolnik, Jan Wydra, Stanisław Wygodzki, K. W. Zawodziński, Tadeusz Zelenay, Juliusz Żuławski.

W okresie tym zamieściliśmy w “Kamenie” 53 linoryty Zenona Waśniewskiego, 1 Władysława Uklei, 1 - Eugeniusza Bednarczuka i 6 reprodukcji z współczesnego malarstwa francuskiego.

XXIII. TRAGICZNY WRZESIEŃ

Wspomnienia te pośrednio wiążą się z przedwojenną “Kameną”. Zamieściłem je w nrze 71/73 wznowionego miesięcznika w r. 1946 (pt. *Przed siedmiu laty)* i w nieco zmienionej redakcji w dwutygodniku lubelskim “Kamena” (nr 17, 1959 r.) pt. Z *notatnika wrześniowego.* Tekst niniejszy według drugiej wersji:

“Poranna ablucja w Białce. Rozkosz zetknięcia się lodowatej wody z rozgrzanym ciałem. Ostatnie pożegnalne spojrzenie na granitowe niebotyki. Kiedy, kiedy zobaczę je znowu?
Powrót szosą do Zakopanego. Pieszo. Wisielczy humor Jaszcza i mój, spazmatyczny śmiech Marysi i Zochy. Tak zstępowaliśmy z Tatr w otchłań krwi, łez i męki. Nie stanęło ci, Zocho, w poprzek drogi upiorne widmo Ravensbruoku, nie zamajaczył mi w oczach koszmar Oranienburga. Ale szliśmy na spotkanie wojny.

Zakopane wyludnione. Gdyśmy tych kilka dni grzali się niefrasobliwie nad Zielonym w Kaczej, gdy pięliśmy się na Zasłonistą i z Żelaznych Wrót polerowali wzrokiem wspaniały pion spływającej ku przełęczy ściany, - tam, na dworcu, brano pociągi szturmem.
Teraz tu pustki, wyłącznie prawie autochtoni. Jakieś eleganckie maruderki mijają mnie na Krupówkach, lustrują ciekawym spojrzeniem i orzekają: to zakopianin.
Wracam do domu bez mała próżnym pociągiem. Wygodnie i z komfortem.

Pierwszy września. Egzamin piśmienny do liceum właśnie dobiega końca. Dyrektor wchodzi do sali i szepce mi do ucha: - Zaczęło się! - Uczniowie jeszcze nie wiedzą.
Gdy wychodzę ze szkoły, nad miastem przelatuje kilka samolotów. Obserwują, robią zdjęcia. Krwawy chrzest dopiero za tydzień.
W domu nastawiam, radio. Denerwujące: “Uwaga, uwaga! Nadchodzi!” Tajemnicze liczby i: “Przeszedł!” I tak bez końca. Wyłączam aparat.

Ósmy września. Prześliczny, rozsłoneczniony dzień. Teraz być nad jeziorem w Tatrach! A tu trzeba kopać schron w ogrodzie.
Jakaś taksówka zatrzymuje się przed domem. Wysiada czarnowłosy dryblas z miniaturową kobietą. Jerzy Kamil z żoną. Pierwsza jaskółka tej falangi literackiej, która w owych dniach wrześniowych przewinie się przez Chełm z oparciem o redakcję “Kameny”. Weintrauba pożegnałem tak niedawno przed księgarnią Gebethnera w Zakopanem, gdy robiłem zakupy na ostatnią wycieczkę. Rozmawialiśmy wtedy w pośpiechu. Iwaszkiewicz stał z nami i opowiadał, jak oprowadza teraz swoje pannice - córki po górach. I nagle ni stąd ni zowąd wyrósł mi Kamil w Chełmie, przed okalającym ganek ogródkiem. Takie się to wydało dziwne.

- Ależ tu u was sielanka! - trąbił ściskając rękę. - Zupełnie wojny nie czuć. Te kwiaty. Ta cisza. A w Warszawie piekło. Nie byliśmy zdecydowani, gdzie ukryć się będzie bezpieczniej - u was czy u Tanka, który mnie zapraszał. Sielanka!

No i była sielanka. Zaproponowałem mu przechadzkę po mieście. I nalot, pierwszy

nalot na Chełm zastał nas z dala od domu i naszego schronu. Syrena spóźniła się oczywiście i alarmowała, gdy już padły pierwsze bomby. Kamil wpadł do jakiejś bramy. Ja położyłem się na chodniku przy rynsztoku. Jak wojna, to wojna! Ogłuszające huki wstrząsały powietrzem, samoloty opuszczały się bezczelnie nisko i waliły w dworzec, w dyrekcję kolejową. Emocja pierwszorzędna. Przecież nigdy dotąd takiego koncertu nie słyszałem.

- No jak wam się podoba sielanka chełmska? - pytałem Weintrauba, gdyśmy po nalocie wracali do domu.
- Do diabła! W małym mieście to straszniejsze niż w Warszawie.
Kopaliśmy więc i ulepszali nasz schron w ogródku. Kamil był długi, więc dobrze mu się pracowało.

Nazajutrz Lublin przeżył pierwszy poważny nalot. Jeszcze nie wiedziałem, że pod gruzami zginął wówczas nieodżałowany Józio Czechowicz - pierwsza ofiara wojny wśród poetów polskich.

Weintraubowie jadą dalej. Front się zbliża, jeśli w ogóle w tyni bałaganie można mówić o jakimś froncie. Przed naszym domem defilują samochody warszawskich placówek dyplomatycznych. Dziesięcioletni syn mój po chorągiewkach aut określa ich przynależność państwową.

Przez radio nadano rozporządzenie, żeby urzędnicy państwowi opuszczali zagrożone miasta i kierowali się do województw wschodnich. Zaczynam tedy tygodniową odyseję wołyńską. Oczywiście pieszo. Jest nas gromadka nauczycieli. Idziemy na Luboml. Tajemnicza przeprawa nocna. W bród przez Bug - do Huszczy.

W szkole powszechnej podgazowani oficerowie. Jeden z nich podochoconym głosem przekonywa dyrektora:
- Żołnierz polski nie ucieka nigdy, cofa się najwyżej. Ze względów strategicznych.

Nocleg pokotem w klasie. Nazajutrz długi marsz przez piaski i lasy sosnowe. Słońce praży nielitościwie, sprzymierzone z wrogiem, który praży bombami. Czasem chronimy się pod mostem, czasem pod drzewami, ale kaemy sieką z samolotów, łamią gałęzie i otrząsają liście. Zapach żywicy przypomina smreki tatrzańskie, niedawne, a tak odległe czasy przedwojenne. I gdzieś, w jakiejś leśniczówce, człowiek gór – Młodziejowski - taternik poznański, współpracownik “Wierchów”, z którym znowu tak niedawno, w tych odległych czasach przedwojennych, zapoznał mnie Jaszcz w Jaworzynie. Gdzież to się teraz ludzie nie spotykają! Wymowny uścisk dłoni, krótka wymiana zdań dwóch braci w zakonie rozumiejących się zawsze. Ale “swobody ołtarze”, bezczeszczone przez wroga - daleko, tylko w sercach pozostał ich kult niewygasły.

Maszerujemy dalej. Nocleg w stodole. Walka ciupagą tatrzańską ze szczurami. I znowu bezobłoczne niebo, strugi patoki słonecznej, piaski i laski. I ciągły akompaniament eksplodujących na zachodzie bomb. Jeszcze jedna noc w jakiejś wiosce ukraińskiej, niezbyt życzliwej dla emigrujących “paniw”. I dalsza droga. Aż na

skrzyżowaniu dwóch traktów sensacyjna wieść od jakiegoś wracającego już ze swego exodus ziomka: wojska radzieckie przekroczyły granicę polską. Tym się więc tłumaczy ten dziwny spokój w atmosferze, to zaprzestanie bombardowania od rana. Wiadomość najpewniejsza: sam słyszał w szkole przez radio. W tych warunkach zajęcie Chełma przez Armię Czerwoną jest kwestią dni najbliższych. Do domu zatem i to jak najprędzej, by zdążyć przed nią.

W powrotnej drodze rozprzężenie i grabieże. W jakimś lesie pada z ukrycia strzał w stronę dwóch naszych towarzyszy, co wysforowali się naprzód. Jednemu z nich rabuś porywa rower.

W domu goście. Druga fala uchodźców literackich. Tadeusz Hollender z dziennikarzem Krukowskim, bratem Lopka, Stanisław Wasylewski z żoną. Jest i Jalu Kurek, który zatrzymał się w ekspozyturze “Kameny” u Zenka Waśniewskiego. Wstrząsająca wieść o śmierci Czechowicza. Informacje o Warszawie, o bezładnym odwrocie naszych wojsk, o szpiegostwie i zdradach. Domysły, kto zajmie Chełm: Niemcy czy Rosjanie. Gwar, hałas, plotki literackie, krzyżowanie się najróżnorodniejszych wiadomości, złośliwe dowcipy Hollendra. Zmęczony podróżą i nadmiarem wrażeń zasypiam snem kamiennym.

W Chełmie mrowie ludzi. Uchodźcy przelewają się przez miasto autami, wozami, pieszo. Dalszy ciąg literatury: dawny futurysta Gacki, Polewka z Krakowa, Czereśniewski i Żytomirski. Dwaj ostatni zatrzymują się również w redakcji “Kameny”. Krakowski z Hollendrem przygotowują “dodatek nadzwyczajny” “Kuriera Porannego” z ostatnimi wiadomościami zaczerpniętymi z radia. Bo głód gazet, które nie nadchodzą. Można zarobić. Spieszą się, by zdążyć przed nadejściem nowej władzy. Nie zdążyli.

Czołgi radzieckie wjechały do miasta. Przyglądamy się z zaciekawieniem żołnierzom z pięcioramienną gwiazdą na kołpakach. Egzotyzm. Wasylewski, który już nie mógł wytrzymać z braku papierosów, przymówił się jednemu z “sowietów”, aby go poczęstował machorkowym. Na koncercie Czerwonej Armii, jako “pisarze ludowi”, siedzimy w drugim czy trzecim rzędzie. Chóry, orkiestra bałałajkowa, tańce - pierwszorzędne. Krasnoarmiejcy czy poprzebierani artyści?

Hollender zdobył wódkę. Czereśniewski przytaszczył głowę cielęcą, której oczu ani rusz nie dało się wydłubać. Samogon obrzydliwy, trąci wyraźnie denaturatem. Ale bractwo pije. Jak wojna to wojna.

Hollender choruje na żołądek. Coś jakby czerwonka. Może zaszkodził mu rosół na tych oczach cielęcych. Leży nieborak na moim łóżku i czyta *Wyspę tajemniczą.* Kurek pożycza od mojego malca brukowe zeszyty Buffalo Billa. Lektura odprężająca - jedyna, jaką można jeszcze w tej gorączce nerwów strawić.

Późnym wieczorem gwałtowne stukanie do ganku. Przez oszklone drzwi dostrzegam kilku ludzi. Co u licha? Rewizja? Aresztowanie? Nie poczuwam się do żadnej winy, ale otwieram zaniepokojony. Ale to niegroźni brodaci cywile w powłóczystych szatach.

Delegacja. Proponują mi objęcie prezydentury miasta. Dziękuję za zaufanie i zaszczyt, ale stanowczo odmawiam, tłumacząc się brakiem doświadczenia i zainteresowania w tej dziedzinie życia. Odchodzą zawiedzeni.

Konferencja w sprawie otwarcia szkół. Po porozumieniu się z wybitniejszymi działaczami Związku Nauczycielskiego reprezentuję na niej szkolnictwo polskie. Są jeszcze przedstawiciele Ukraińców i Żydów. Zebranie prowadzi Okręt, typ starego królewiackiego esdeka. Mają być szkoły narodowościowe z trzema językami wykładowymi. Dalszy ciąg konferencji odłożony na dzień następny. W czasie mojej nieobecności była w domu Wanda Wasilewska z Pilichowską.

Wieczorem słucham radia. Piorunująca wieść. Linia demarkacyjna między wojskami niemieckimi a radzieckimi ulegnie przesunięciu na wschód. Chełmszczyzna będzie okupowana przez Niemców.

Wśród literatów popłoch i rozbieżność zdań. Co czynić? Wycofać się z Czerwoną Armią za Bug, czy zostać w Chełmie? Większość postanawia wyjechać i kierować się później na Lwów. Namawiają i mnie na wyjazd. Nie, mani już dosyć tamtej wędrówki wołyńskiej. Zresztą nie chcę rozstawać się z rodziną. Oni i tak już są uchodźcami, zostawili wszystko w Warszawie czy Krakowie. Mój dom jest tutaj.

Zbieram pamiątkowe autografy na książkach kolegów. Wzruszająca chwila pożegnania. Mocny uścisk dłoni. Czy zobaczymy się jeszcze kiedy?

Dziś wiem, że niestety, nie wszyscy”.

XXIV. CAMENA REDIVIVA

Narzekałem na małą popularność “Kameny” w Chełmie. A przysłowie “Nemo propheta...” obróciło się na moją korzyść w czasie okupacji, gdy hitlerowcy wszczęli akcję przeciwko inteligencji. Konfident, któremu “zawdzięczałem” swe aresztowanie, bo wskazał na mnie gestapowcom podczas łapanki na ulicy, znał mnie jedynie jako nauczyciela. Był to miejscowy gimnazjalista, Niemiec, którego zresztą nigdy nie uczyłem. Gdyby czytywał “Kamenę” i antyfaszystowskie wypady jej redaktora w notach, zapewne inaczej potoczyłyby się moje losy obozowe. W personaliach spisywanych przez chełmskie gestapo figurowałem jako “Lehrer”, czego nie dało się ukryć. Ale było to mniej niebezpieczne od “Redakteur”. W Sachsenhausen “na co dzień” najlepiej było podszywać się pod “Kaufmanna”. A zwolniony po dziewiętnastomiesięcznym pobycie w “konclagrze” (o czym pisałem w książce *Serca za drutem)* stałem się z kolei dla Arbeitsamtu “Buchhalterem” w aptece wujostwa w Sawinie, de facto zajmując się tajnym nauczaniem i intensywną pisaniną. Niejeden z powstałych wówczas wierszy i przekładów miał się za parę lat znaleźć na łamach pism w Polsce Ludowej.

Gdy po wyzwoleniu ruch artystyczny jął stopniowo odżywać i prasę literacką oprócz “Odrodzenia” zaczęła już reprezentować “Kuźnica”, poznańskie “Życie Literackie” i “Odra”, pomyślałem o wznowieniu “Kameny”. Ministerstwo Kultury i Sztuki okazało swą życzliwość przyznając subwencję na razie w wysokości 8 tysięcy złotych miesięcznie, którą później podwyższono do 10 tysięcy.

Ale trudności w wydawaniu “Kameny” po wojnie były ogromne. Nie miałem już z kim dzielić pracy, jak to było dawniej. Zenon Waśniewski nie wracał z obozu i nie dawał o sobie znaku życia. Należało przypuszczać najgorsze i obawy jego bliskich, jak się potem okazało, niestety były słuszne. We wznowionym piśmie trzeba więc było zrezygnować z wkładek linorytowych tak charakterystycznych dla przedwojennej “Kameny”. W Chełmie, z którym mnie nadal wiązała praca szkolna, nie było gdzie tłoczyć pisma. Bronfeld podzielił tragiczny los Żydów i po jego zakładzie nie zostało ani śladu. “Zwierciadło” zamordowanego przez okupantów Czernickiego, mocno zdemolowane, na razie nie nadawało się do tego celu. Trzeba się było przenieść do Lublina. Ale kto tam dopilnuje wszystkiego? Kto będzie załatwiał sprawy związane z drukiem, korektą, kolportażem? Przecież ani praca w szkole, ani warunki materialne nie pozwalały mi na ciągłe wyjazdy z Chełma.

Szczęściem wyjechał do Lublina syn Tadeusza Bocheńskiego - Jacek. Poznałem go kiedyś w Zakopanem, jeszcze jako dziecko; teraz zbliżyłem się z utalentowanym młodzieńcem, gdy w ostatnim roku okupacji ukrywał się u matki swojej w Chełmie, dokąd przybył z Zakopanego, gdzie groziły mu łapanki do robót w Niemczech. Jacek już wtedy zaczynał flirtować z Muzą, na razie pisząc niebanalne wiersze.
Znał doskonale języki starożytne i niemiecki i żywo interesował się poezją - znać było na nim dobrą szkołę ojca. Po wyzwoleniu wraz z Jackiem Bocheńskim i przebywającym wtedy w Chełmie Janem Szczawiejem urządziłem wieczór autorski, na którym czytaliśmy swoje wiersze okupacyjne. Jacek nie miał jeszcze matury - tak

trzy pokolenia podały sobie wtedy dłonie.

W tym czasie spotkałem się przelotnie z Leonem Pasternakiem (w mundurze WP), który mi pożyczył na jeden dzień, bo nazajutrz jechał dalej, wydane w Moskwie przedruki poezji Stanisława Balińskiego i Antoniego Słonimskiego. Dla spragnionego po latach okupacji aktualnej poezji współczesnej była to ożywcza kąpiel. Do późnej nocy czytałem i przepisywałem sobie niektóre wiersze. Z Putramentem, który mnie szukał w Chełmie, jak o tym wspomina w *Pół wieku,* nie zetknąłem się, gdyż w tym czasie wyjechałem do Sawina - po powrocie zastałem jego kartkę do mnie. Za to nieraz spotykałem się z przebywającym wówczas w Chełmie (też w mundurze WP) Arturem Sandauerem, który mi opowiadał o swych przeżyciach okupacyjnych i recytował dokonany z pamięci w najbardziej niesprzyjających warunkach przekład poematu Majakowskiego *Dobrze.* Stykałem się też w tym okresie z Czesławem Janczarskim, Kiedyś z nim i z Jackiem Bocheńskim przegadało się u mnie całą noc do rana. Ale wracam do “Kameny”. Korzystając z obecności w Lublinie Jacka, nie chcąc być samowładcą, ukonstytuowałem tzw. zespół “Kameny”, który odtąd bezimiennie zresztą, figurował w stopce pisma jako wydawca. Oprócz nas dwóch wszedł tu jeszcze Jerzy Pleśniarowicz. W tym triumwiracie Jacek Bocheński miał się zająć administracją pisma i wraz z Pleśniarowiczem dostarczać do not wiadomości z lubelskiego życia kulturalnego, ja - jak i przed wojną - objąłem redakcję.

Ale “zespół” w rzeczywistości był fikcją. Bocheński pomagał przy drukowaniu trzech pierwszych zeszytów, potem zajął się redakcją lubelskiego “Światła”, nie miał więc już czasu na “Kamenę”, wreszcie przeniósł się do Warszawy. Cała pomoc Pleśniarowicza ograniczyła się do zamieszczenia krótkiej notatki w jednym tylko numerze. Bocheńskiego zastąpiła Anna Kamieńska, ale zajęła się tylko jednym zeszytem (kolejno - czwartym, z numeracją: 6/7), po czym aż do końca tego okresu “Kameny” (do r. 1950) stanowisko administratorki pełniła moja przyszła żona.

Pierwszy numer wznowionej “Kameny” ukazał się w listopadzie 1945 r. Format - przedwojennej. Na niebieskiej okładce widniały nazwy dwu miast związanych z wydawnictwem: Lublin, gdzie się pismo drukowało, i tradycyjnie - Chełm, w którym mieszkał redaktor. Podtytuł: miesięcznik literacki, rok VII, nr 1/61. Stron - 32. Papier bardzo lichy. “Kamenę” otwierało słowo *Od Redakcji.* Przytaczam je w całości:

“Po sześciu krwawych latach - nie, wiekach! - milczenia wznawiamy «Kamenę». Wchodzimy nie tylko w nowy okres wydawniczy, ale i w nową epokę Polski. Stając w obliczu dzisiejszej rzeczywistości z radością i dumą stwierdzamy, że w jej budowie i naszej skromnej cegiełki nie zabrakło. Wszak w ciągu sześcioletniego istnienia «Kamena» na swym odcinku pracy antycypowała poniekąd te ideały i hasła, które się dzisiaj w naszych oczach ucieleśniają. Już w pierwszym roku wydawniczym redakcja zastrzegając swoją zupełną niezależność ideową oświadczyła, że w «epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie staje bezwzględnie po lewej

stronie barykady». Stwierdziła dalej w tymże artykule *Spojrzenie wstecz,* iż zwracała i zwracać będzie «specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie, a w równej mierze zagrożonych przez apetyty faszystowsko-hitlerowskich rekinów». I dzisiaj podejmując znowu naszą pracę nie potrzebujemy się legitymować. Program nasz jest znany i wciąż aktualny. Lecz rzeczywistość powojenna stawia przed nami i inne zadania. Do poetów należy moralna i kulturalna odbudowa Polski. Walka z tym zniszczeniem, jakiego dokonała wojna w naszych duszach. Podniesienie poniewieranej przez lata okupacyjne godności ludzkiej. Przywrócenie wartości przykazaniu Żeromskiego: «Czcij człowieka». Obrona imponderabiliów. Ale pamiętamy, że poezja jest nie tylko «matką zbawienia», ale i «piękności». Inaczej, czym by się różniła od modlitwy i dobrych uczynków? Niech piękno słowa polskiego dławione przez niemieckiego zbrodniarza zabrzmi znowu pełnym i czystym głosem wyzwolonej Ojczyzny".

Do ostatnich słów tego oświadczenia nawiązywał następujący bezpośrednio po nim przedruk pięknego wiersza Stanisława Balińskiego z tomu *Wielka podróż* 1941 - Do *poezji polskiej*.

Zamieściłem w tym numerze listę strat, obejmującą bliższych lub dalszych współpracowników "Kameny". Zawierała 13 nazwisk, a musiałem ją później uzupełnić jeszcze paroma. Z tych ofiar wojny najboleśniejsza dla Lubelszczyzny była tragiczna śmierć "bombą rażonego w stallach". Toteż znalazły się w tym numerze dwa wiersze Pamięci *Józefa Czechowicza* - pióra Czesława Janczarskiego i Pawła Hertza oraz pierwsza część studium Kazimierza Wyki O *Józefie Czechowiczu* (dokończenie w następnym zeszycie), drukowanego po raz pierwszy w listopadzie 1942 r. w konspiracyjnym "Miesięczniku Literackim" redagowanym przez T. Kwiatkowskiego. Tematyka wierszy Jacka Bocheńskiego, Ignacego Fika, K. A. Jaworskiego, Wacława Mrozowskiego, Mariana Piechala, Igora Sikiryckiego i Jana Szczawieja wiązała się z "czasami pogardy" w Polsce, a prozę reprezentowały bolesne przeżycia okupacyjne Marii Szczepańskiej. Tyle - jeśli chodziło o aktualność współczesną.

W słowie wstępnym napisałem: "Program nasz jest znany i wciąż aktualny". Dlatego na dalszych stronicach wznowionej "Kameny" kontynuując szerokie uwzględnianie w przedwojennym miesięczniku poezji słowiańskiej zamieściłem własne przekłady utworów Tiutczewa, Błoka i Majakowskiego, oraz artykuł *75-lecie śmierci Hercena* nawiązujący do współpracy wielkiego demokraty rosyjskiego z Polakami na emigracji. Prócz tego pisałem o *Prasie literackiej w Polsce Odrodzonej* i tradycyjnie zamieściłem kronikę słowiańską i noty.

Z dawnych współpracowników we wznowionej "Kamenie" drukowali mniej lub więcej wierszy: Aleksander Baumgardten, Stanisław Bąkowski, Tadeusz Bocheński, Janina Brzostowska, Stanisław Czernik, Paweł Hertz, Czesław Janczarski, Jadwiga Korczakowska, Wacław Mrozowski, Jan Bolesław Ożóg, Marian Piechal, Grzegorz Timofiejew, Stanisław Turczyn, Roman Sadowski, Adam Szczerbowski i Stanisław Wygodzki. Z prozaików - Władysław Dunarowski, Jan Reychman i Maria Szczepańska. Z nieżyjących zamieściłem utwory Czechowicza, Fika, Hollendra, Pietrzaka, Podstawki i Weintrauba.

Z literatów związanych z Lubelszczyzną oprócz Mrozowskiego i Szczerbowskiego występowali w “Kamenie” nowi, którzy przed wojną do niej nie pisali: Feliks Araszkiewicz, Wacław Gralewski i Jan Szczawiej. Prócz tego należy wymienić Helenę Plattę i Eugeniusza Gołębiowskiego oraz najmłodszych: Julię Hartwig, Annę Kamieńską, Zygmunta Mikulskiego, Jana Nagrabieckiego i Zbigniewa Piotrowskiego.

A w ogóle “Kamena” .odmłodniała. Spoza Lubelszczyzny oprócz zakopianina Jacka Bocheńskiego z poetów, którzy występowali po wojnie, znalazły się wiersze Andrzeja Brauna, W. L. Brudzińskiego, Jana Marii Gisgesa, Tadeusza Kubiaka, Jerzego Laua, Stanisława Ostrowskiego, Tadeusza Różewicza, Igora Sikiryckiego i Tadeusza Sokoła oraz wiersze lub proza grupy związanej z powstaniem warszawskim: poległego Tadeusza Gajcy oraz Romana Bratnego, Zbigniewa Stolarka, Józefy Radzymińskiej, Witolda Zalewskiego i Joanny Żwirskiej. Z Żwirską, którą poznałem osobiście, nie tylko dobrą pisarką (świetna *Jutro operacja!),* ale i wspaniałym człowiekiem, do dzisiejszego dnia utrzymuję przyjacielską korespondencję.

Wśród nowych autorów drukowanych teraz w “Kamenie” byli i tacy wybitni, jak Jan Parandowski (Kto *jest pisarzem?* - fragment z. *Alchemii słowa), czy* Juliusz Kleiner (*W sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin Mickiewicza).* K. W. Zawodziński zamieścił pracę *Pomiędzy poetyką a krytyką,* a Wojciech Natanson - *Nowoczesny teatr poetycki.* Listę nowych poetów należałoby jeszcze uzupełnić znanymi już przed wojną Janem Huszczą, Wilhelmem Szewczykiem, Aleksandrem Widerą i Witoldem Zechenterem. Poza tym wymienię jeszcze Janinę Izdebską, Hannę Kawę (przysłała mi wiersze z Belgii), Marię Krzetuską i Jadwigę Radlińską (fragment dramatu) oraz Stefana Balickiego, Stefana Grassa (proza), Bohdana Kamodzińskiego, Bronisława Kamińskiego, Jana Koprowskiego, Władysława Machejka, Klemensa Oleksika, Walerego Osmenidę, Ernesta Petrajtisa, Józefa Sarotę, Janusza Skoszkiewicza, Zbigniewa Siedleckiego, Tadeusza Stępniewskiego, Roberta Stillera i Andrzeja Wirtha. Niektóre z tych nazwisk są dzisiaj dobrze znane, inne - uległy całkowitemu zapomnieniu. Wspomnę tu o nieżyjącym już Tadeuszu Stępniewskim.

Po raz pierwszy zwróciłem uwagę na tego poetę i świetnego tłumacza przeczytawszy w poznańskim “Życiu Literackim” jego spolszczenia z Tiutczewa. Pisałem o nich w notach “Kameny”. Później odwiedziłem go w Warszawie. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że doskonały przekładowca jest bardzo sympatycznym, ale już mocno starszawym przygłuchym panem, z którym rozmowa nastręczała mi podobne trudności, jak swego czasu .porozumiewanie się z Arnsztajnową, - i że z zawodu jest lekarzem skórnikiem. Mówiliśmy o Lechoniu, którego nową książkę wydaną na emigracji czytał właśnie doktor, i o przekładach z poezji rosyjskiej. Tłumaczenia Stępniewskiego znalazły się później w wydanych przez Wł. Bąka pod redakcją K. W. Zawodzińskiego i moją *Wierszach wybranych* Tiutczewa obok przekładów J. Tuwima i piszącego te słowa. Z tych czasów pozostało mi parę listów Stępniewskiego i obfita korespondencja z Zawodzińskim, który poprzedził wspomnianą książkę obszernym studium.

Treść zarówno wierszy oryginalnych jak i prozy wiązała się przeważnie (choć nie wyłącznie) z przeżyciami wojennymi, powstaniem warszawskim i martyrologią

okupacyjną. Wstrząsające były opowiadania Marii Szczepańskiej, którą straszliwa rzeczywistość odsunęła prawie zupełnie od tematyki tatrzańskiej, każąc pisać o zagładzie Żydów. Ale jakże by się obeszło bez gór we wznowionej “Kamenie”, skoro tak często była o nich mowa przed wojną. Już w drugim zeszycie (1945) zamieściłem relację wzruszających dla mnie przeżyć związanych z powrotem po sześciu latach w tak bliskie mi stropy *(I znowu Tatry).* Wycieczkę odbyłem w towarzystwie syna, który po raz pierwszy “zdobywał” ze mną Zawrat. Tatry były bezludne, a słońce, mgły i halny urozmaicały drogę.

Przeglądając numery powojennej “Kameny” konstatuję brak nazwisk, które powtarzałyby się częściej i stanowiły jakby trzon współpracowników. Jedni autorzy odchodzą, inni przychodzą i poza paroma wyjątkami nikt nie utrzymywał się na dłuższą metę. Wynikało to z nie ustabilizowanej pozycji pisma, ukazującego się bardzo nieregularnie, niskich honorariów i rzecz zrozumiała, większej atrakcyjności pism wychodzących w Łodzi, Krakowie czy później w Warszawie.

Kiedy przypuszczenia rodziny i kolegów Zenona Waśniewskiego co do jego śmierci okazały się bolesną prawdą, tak pożegnałem przyjaciela i współtwórcę “Kameny” *Ostatnim listem,* który otwierał rocznik ósmy miesięcznika:

“Więc do tego przyszło. Łudziliśmy się do ostatniej chwili, czekali na powrót, na list przynajmniej. Dziś wiemy, że już nie wrócisz nigdy.
I oto piszę Ci ten list w zaświaty, list do dymu, który się rozwiał, do popiołów, które użyźniły ziemię śmiertelnego wroga, a może do kości, jeśli uniknąłeś krematorium. Zresztą, czy to nie wszystko jedno, dość, że nikt Ci kwiatów na grobie nie złoży, nie ma go bowiem.
A piszę Ci ten list na kartce «Kameny», naszej «Kameny» wznowionej w odrodzonej Polsce, dla której się męczyłeś, dla której życie oddałeś.
Pamiętasz początki naszego pisma? Które powstało z niczego, ze skromnych naszych i koleżeńskich składek, z naszego entuzjazmu, z bezinteresownej życzliwości współpracowników - literatów? To wystawanie godzinami w prymitywnej drukarence i mustrowanie zecerów - Żyda i Rosjanina, którzy dobrze języka polskiego nie znali? Te żmudne korekty i walkę o każdy przecinek? I radość naszą, że «Kamena» nie będzie efemerydą, że się rozwija, że jej wygląd graficzny jest coraz lepszy? A te Twoje linoryty, początkowo jeszcze skromne, boś dopiero terminował w tym kunszcie, a potem wciąż doskonalsze? Czy wiesz, że było ich 54? Pamiętam, jak niektóre z nich podobały się Czechowiczowi. Dziś jesteście razem, a nowej «Kamenie» brak Twoich wkładek, mimo iż nakład jej wzrósł dziesięciokrotnie.
A wrzesień, tragiczny wrzesień 1939 r.? Ból serc naszych, że wszystko się wali, niebo zieje ogniem słońca i pocisków wroga, ziemia rozstępuje się pod nogami, a państwa nie ma. A potem moje uwięzienie, obóz koncentracyjny i lakoniczne listy do rodziny, w których nie omieszkiwałem załączać pozdrowień dla Ciebie. Oranienburg. To była dla Ciebie nazwa egzotyczna. Czyś przypuszczał kiedy, że i dla Ciebie stanie się on tragiczną rzeczywistością i że zwiedzisz tych obozów więcej ode mnie?

Mój powrót i Twoja radość, że jestem znowu w Polsce, że żyję. Czyś myślał choć przez chwilę wtedy, że role wkrótce się zmienią, a mnie nie będzie sądzone cieszyć się Twoim ocaleniem?
Widzę Cię dobrze tam za drutami. Stoisz na apelu w jednej z piątek, głód skręca Ci

kiszki, prężysz się na baczność przed smarkaczem esmańskim i na komendą posłusznie ściągasz czapkę z ogolonej głowy... A potem śpiewasz z tysiącami towarzyszy idiotyczną piosenkę w języku Rilkego, którego tak pięknie tłumaczyłeś. W oczach Twych pogarda, w sercu nabój nienawiści, ale z ust spływają słowa głupiej pieśni, bo wiesz, że śpiewać trzeba, bo przetrzymają Cię dłużej na apelu, a tam w bloku stygnie upragniona brukwianka... Dziś oni są górą, ale jutro wiesz, co ich czeka. Byle tylko przetrwać i wrócić do Polski, do ukochanej żony, do bliskich, do swoich książek, do stalugi. Ach, przetrwać, przetrwać...
Piszę te słowa, Zenku, a cień Twój chyli się nad kartką papieru. Patrzysz na mnie ze swych obrazów wiszących na ścianie, z czarnych kresek linorytów, z liter wiersza swego. To nieprawda, że Ciebie nie ma. Jesteś przy mnie w tej chwili, uśmiechasz się pobłażliwie i słyszę, jak szepczesz słowa Błoka z książeczki, którą ozdobiłeś pięknymi wkładkami: «...wszak wynik jest wiadomy: wszyscy umierają»”.





Przekłady z poezji obcych, a przede wszystkim słowiańskich, były szeroko uwzględniane prawie w każdym zeszycie. Najwięcej z rosyjskiego i czeskiego.

Z Rosjan: Achmatowa, Adalis, Annienski, Apuchtin, Błok, Chodasiewicz, Dobrolubow, Fet, Gumilow, W. Inber, W. Iwanów, Jesienin, Kirsanow, Łochwicka, Majakowski, Majkow, Mereżkowski, Nikitin, Ogariow, Pasternak, Połonski, Puszkin, Sielwinski, Simonow, Szczipaczow, Tichonow, Tiutczew i Wołoszyn. Tłumaczenia prawie wyłącznie moje. Tylko dwa - Gabriela Karskiego, z którym zbyt późno nawiązałem kontakt, i jeden - przysłany przez M. Bechczyc-Rudnicką.

Z Czechów jeszcze przed ukazaniem się zeszytu specjalnego: Nezval, Orten, Sramek, Toman i Wolker, a po wyjściu numeru czeskiego: J. Bednaf, Cassius, Hałas, Holan, Hora, Kfićka, Mikulaśek, Necłwatal, Nezval, St. K. Neumann, Orten, Pilaf, Pujmanova, Seifert, Salda, Sramek, Toman, Wolker i Zavada. Ze Słowaków: Dilong, Hećko, Novomesky i Smrek. Wszystko w moim spolszczeniu. Parę przekładów zakamuflowanych pseudonimami: Stefan Orczyk i Helena Lutycka.
Specjalistą od poezji serbskiej był Stanisław Papierkowski, który zamieścił (nr 66/67) artykuł *Liryka serbska w okresie romantyzmu* ilustrowany własnymi tłumaczeniami z D. Jakszića, Jovanovića Zmaja i Radiczevića.

Korzystałem też z zachowanych przekładów Czechowicza i Hollendra z poezji ukraińskiej (Bażan, Rylski i Tyczyna) oraz Weintrauba z białoruskiej (Tank, którego fragment *Kalinowskiego* w swoim, tłumaczeniu wydrukowałem również).
Jeśli chodzi o materiały słowiańskie, to oprócz tego, co się znalazło w specjalnym zeszycie czeskim, zamieściłem artykuł Jana Reychmana o poecie słowackim - Janku Kral'u oraz swój przekład noweli V. Dyka *Fatalny pomysł Jana Bukszpana.* W wielu numerach znajdowała się kronika słowiańska.

Z literatury zachodnioeuropejskiej górowała poezja francuska, bogato reprezentowana w trzech zeszytach - tłumaczenia Bieńkowskiego, T. Bocheńskiego, Izdebskiej, Korzucha, Rogozińskiego, Sandauera, Słobodnika, Stolarka, Ważewskiej i moje. Rozpiętość w czasie bardzo duża: Voltaire, Gros, Heredia, Verlaine, Moreas, Fort, Verhaeren, Jamrnes, de Noailles, Dereme, Supervielle, Odilon-Jean Perier, Soupault, Aragon, Eluard. Przekłady Bieńkowskiego i Rogozińskiego to przedwojenne remanenty nie zużytkowane w specjalnym numerze francuskim.
Z innych pozycji: Carl Sandburg w tłumaczeniu Czechowicza, *Giermek* Goethego i fragmenty *Rigvedy* w spolszczeniu T. Bocheńskiego i klejnocik Goethego *Mroczne gór wyżyny* w interpretacji T. Stępniewskiego.

Niezależnie od zamieszczania wielu wierszy młodych poetów, którzy już gdzie indziej drukowali wcześniej, wprowadziłem w paru numerach kolumny debiutów. Znaleźli się w nich Aleksander Kulisiewicz, towarzysz z obozu koncentracyjnego, mój były, powojenny już uczeń - Marian Narcyz Listowski, Tomasz Andrzej Listkiewicz, Mirosław Ochocki, pełen samokrytycyzmu, już wtedy bardzo uzdolniony poeta, lublinianka Maria Szczepowska, dziś pisząca opowiadania, i mój syn. Z radosnym zdumieniem oglądałem jego nazwisko pod wierszem w tej “Kamenie”, która powstała w jego dzieciństwie. Zamieściłem mu później; jeszcze w tym okresie, trzy utwory. Wówczas drukował już i w innych pismach, w “Odrodzeniu” i “Nowinach Literackich”. Niestety, jego zainteresowania poetyckie- okazały się przejściowe i przetrwały jedynie kilka lat: pochłonęła go całkowicie praca dziennikarska. Jako wspomnienie o tamtych latach pozostał wydany w r. 1959 w “Bibliotece Kameny” zbiorek *Wisła w Kazimierzu*.

Jeszcze dwie nowe rubryki zapoczątkowałem w “Kamenie”. Pierwszą poprzedził mój artykuł O *rzeczach nie dostrzeganych* (nr 62/63, a więc drugi zeszyt po wznowieniu). Chodziło o błędy językowe, .popełniane w prasie literackiej. Przytaczałem je i w notach, wreszcie wprowadziłem kolumnę walki o czystość języka (nr 71/73). Wzywałem w niej “inne redakcje, by poszły za naszym przykładem i udzielały tej ważnej sprawie jakiegoś miejsca na łaniach swych pism”. Niestety, apel ten do dzisiaj pozostał głosem wołającego na puszczy, a błędy językowe w dalszym ciągu mnożą się w zastraszający sposób. Szczupłość “Kameny” nie pozwoliła mi na kontynuowanie tej rubryki, ale nie przestałem prowadzić tej walki w notach. Podobny los spotkał i kolumnę zapomnianych poetów, która znalazła się tylko w jednym (tym samym zresztą) numerze i przypomniała Wacława Rolicz-Liedera i Edwarda Leszczyńskiego.

Zgodnie z przedwojenną tradycją wznowiłem zeszyty specjalne: ukazały się trzy, z których dwa łączyły się z literaturą słowiańską.

Pierwszy z nich poświęciłem “Aleksandrowi II poezji rosyjskiej” - ulubionemu Blokowi w związku z 25-leciem jego śmierci. Był to gruby 96-stronicowy zeszyt z potrójną numeracją (68/70). Zamykał rocznik VII.

Już na parę miesięcy przedtem napisałem do ambasady radzieckiej w Warszawie o zamiarze wydania takiego monograficznego zeszytu prosząc o pomoc przez nadesłanie odpowiednich artykułów napisanych przez autorów rosyjskich. Otrzymałem dwie prace charakteryzujące twórczość poety: N. Kalitina i Eug. Tagera. Skorzystałem z obu przełożywszy je uprzednio na język polski. Sergiusz Kułakowski napisał interesujący esej *Trzy miłości Aleksandra Błoka.* Pracę tę protekcjonalnie pochwalił w liście do mnie nawet K. W. Zawodziński, który, jak o tym już pisałem, odnosił się do Kułakowskiego niechętnie. Wreszcie, jeśli chodzi o naświetlenie osobowości poety, zamieściłem też przedruk esejów Franciszka Siedleckiego publikowanych w 1937 r. w “Sygnałach” i “Skamandrze”. Były to *Dwa fragmenty, Dwudziesty piąty* i *Obrachunki*.

W wyborze wierszy do tego zeszytu starałem się dać możliwie wszechstronny przekrój twórczości Błoka - od najwcześniejszego cyklu *Ante lucern* aż do *Dwunastu* - łącznie 74 utwory, a wśród nich rzeczy większe, jak *Ogród słowiczy, Taniec śmierci, Na polu Kulikowym* czy *Dwunastu.* Dopiero w jedenaście lat potem miały się ukazać przeszło dwukrotnie obszerniejsze PIW-owskie *Poezje wybrane* Błoka w opracowaniu Pollaka. Do tego czasu jednak ten zeszyt “Kameny” stanowił jedyną dość pokaźną antologię utworów świetnego poety. Wiersze przełożyli Józef Czechowicz, Wacław Denhoff-Czarnocki, Mieczysław Jastrun, K. A. Jaworski, Jan Lechoń, Jerzy Liebert, Józef Łobodowski, Leonard Podhorski-Okołów, Seweryn Pollak, Włodzimierz Słobodnik i Kazimierz Wierzyński. Najwięcej było moich tłumaczeń (w tym wiele spolszczonych wtedy po raz pierwszy), Seweryna Pollaka i Józefa Czechowicza. Poemat *Dwunastu* zamieściłem, w najlepszym wówczas przekładzie Denhoffa-Czarnockiego. Okładkę zdobił drzeworyt N. P. Dmitrijewskiego z piękną głową poety na tle jasnych promieni oświetlających *“Priekrasną Damą”.*

Drugi zeszyt specjalny (75/77) był w całości poświęcony współczesnej poezji czeskiej i stanowił owoc mojej pierwszej podróży do Pragi i Brna w lutym 1948 r. Zaprosiło mnie tam czesko słowackie Ministerstwo Informacji znające moją skromną jeszcze wtedy pracę przekładową (tłumaczenia z czeskiego i nr słowacki w przedwojennej “Kamenie” oraz powojenne spolszczenia z poezji czeskiej i słowackiej zamieszczane we wznowionym miesięczniku i w innych pismach). Ale upłynął prawie rok, zanim uzyskałem paszport zagraniczny. Tymczasem układałem materiał, który uzupełniłem po powrocie z Czechosłowacji, gdzie zarówno w Pradze jak i w Brnie poznałem nie tylko poetów z Nezvalem i Hałasem na czele, ale i ludzi nie związanych z literaturą a prawdziwych naszych przyjaciół, jak prof. Kolaja czy Krhoun z Brna.
Pisałem o tym wszystkim w reportażu *Spotkania czeskie* (“Odrodzenie” nr 27, 1948 r.).

Specjalny numer poprzedziłem następującym słowem wstępnym:
“Układałem ten zeszyt «Kameny» projektowany jeszcze przed wybuchem wojny (na wzór wydanego w r. 1937 numeru słowackiego), a dopiero obecnie przyoblekający kształty realne w warunkach specjalnych. Świeżo jeszcze miałem w pamięci piękne doznania z miesięcznego pobytu w Pradze i Brnie, w oczach jeszcze odbijały się postacie żywych ludzi, których wiersze tłumaczyłem już dawno, nie znając ich twórców, w uszach dźwięczały strzępy długo w noc nieraz prowadzonych rozmów o życiu, poezji i Słowiańszczyźnie. Urok i prawda utworów, których wartość odczuwałem już przedtem, odsłoniły mi się w całej pełni dopiero po bezpośrednim, zetknięciu się z wąskimi uliczkami Małej Strony, z majestatem kościołów hradczańskich, z wieczorną urodą Wełtawy, migocącej setkami świateł złowionych w jej nurty. Nowej barwy nabrały teraz dla mnie wiersze Halasa, Nezvala, Seiferta czy Zavady, których motywem tak często jest przepiękna Praga zarówno w dzisiejszym rytmie milionowego miasta, jak i w swej bogatej przeszłości. Rozumiem teraz, czemu nezvalowy poemat o Edisonie ma tyle rekwizytów praskich, czemu Seifert szedł drogą ku Opyszy (nie będącej już teraz dla mnie pustym dźwiękiem) z cieniem Vrchlickiego, który “palec miał splamiony nikotyną”.

Niezwykła serdeczność i gościnność, z jaką spotykali mnie koledzy czescy, żenowała mnie często. Przyjmowałem je jako wyraz uczuć skierowanych pod adresem narodu, który reprezentowałem, a nie bezpośrednio swoim, zbyt mało bowiem dotąd dla zbliżenia kulturalnego polsko-czechosłowackiego zdołałem uczynić. Tym numerem «Kameny» poświęconym moim przyjaciołom praskim i brneńskim pragnę choć w części wyrazić wdzięczność za niezapomniane chwilej które spędziłem w ich gronie”.

40-stronicowy zeszyt zawierał fragment *Szczurołapa* Wiktora Dyka (tę piękną opowieść osnutą na tle średniowiecznej legendy saskiej przełożyłem później w całości i ukazała się ona nakładem “Książki i Wiedzy” w r. 1949; nikt nie myśli o wznowieniu tego arcydziełka, które już dawno jest wyczerpane), urywek z *Kartek włoskich* K. Čapka, scenę z przełożonej w całości i dotychczas nie wydanej rewolucyjnej sztuki J. Wolkra *Najwyższa ofiara,* nowelę Jerzego Weila *Brązowe i białe* (z książki *Barwy)* i wspomnienie z obozu J. Strnadla *Salwy honorowe.* Prócz tego znajdowały się tam wiersze poetów zarówno starszej generacji, jak i najmłodszych. Byli to: Ivo Fleischman, Fr. Hałas, J. Haukova, Vl. Holan, J. Hora, Fr. Hrubin, Fr. Necłwatal, V. Nezval, J. Pilaf, Ol. Schempflugoya, J. Seifert, Fr. Sramek, K. Toman, M. Vaćik, J. Wolker i V. Zavada. O każdym pisarzu noty biobibliograficzne. Polonica czeskie zamykały ten zeszyt. Ale najbardziej cenny w nim był artykuł Fr. Halasa pt. O *polsko-czeską współpracę kulturalną* napisany specjalnie dla “Kameny”. Niestety, poeta wskutek choroby nie zdążył przysłać materiału w odpowiednim czasie. Otrzymany w ostatniej chwili już po złamaniu numeru znalazł się on w końcowej części zeszytu, a nie na początku, jak należało oczekiwać ze względu na osobę autora i zagadnienie, jakie poruszał.

Numer czeski “Kameny” był w całości dziełem jednego człowieka: wszystkie zamieszczone w nim przekłady wyszły spod mojego pióra. Bo w tym czasie ostro zabrałem się do poezji czeskiej. Tłumaczenia zamieszczałem w “Twórczości” i wielu tygodnikach jak “Odrodzenie”, “Odra”, “Tygodnik Powszechny” i in. Zresztą i później

w wolnych od innych zajęć chwilach przekładałem poetów czeskich i słowackich, a spolszczenia te zawarte w mojej książce *Stopy czasu* i ostrawskiej antologii H. Jasiczka *Poetyckie pozdrowienia* stanowią tylko część tych tłumaczeń.

Zamknąłem ten okres “Kameny” wydaniem jeszcze jednego zeszytu specjalnego, tym razem par excellence antologii, ponieważ poza krótkim słowem wstępnym zawierał on wyłącznie wiersze i to jednego poety. Otwierałem wznowiony miesięcznik m. in. studium K. Wyki o Józefie Czechowiczu i wierszami poświęconymi jego pamięci, teraz uważałem za stosowne przeznaczyć ostatni numer pisma najwybitniejszemu piewcy Lubelszczyzny i jednemu z czołowych poetów Polski Dwudziestolecia.

Jakby dla zaznaczenia książkowego charakteru tej publikacji umieściłem na okładce “Kameny” nad winietą dużymi czerwonymi literami imię i nazwisko autora *nuty człowieczej.* Na 42 stronicach znalazły się wiersze z każdego zbiorku, łącznie w liczbie 37. Wszystkie książki Czechowicza były całkowicie wyczerpane, toteż ta antologia była wtedy jedynym źródłem poznania, choćby częściowego, twórczości poety. Szkoda tylko, że wiersz do *tereski z lisieux* nie z mojej winy został skurtyzowany. Nie znalazło się w nim zakończenie: “nie chcę błogosławić /z wieków i chwili wydzieram krzyk/ o świecie /nim cię kto zbawi/ zgiń przemiń”. W kilka lat później ukazały się nakładem “Czytelnika” *Wiersze wybrane* Józefa Czechowicza pod redakcją Seweryna Pollaka i Jana Śpiewaka. W słowie wstępnym redaktorów znajduje się przy końcu m. in. takie zdanie: “Czechowicz marzył za życia o wydaniu swoich wierszy wybranych. Warunki ówczesne nie pozwoliły mu doczekać ich wydania. Obszerny wybór twórczości poetyckiej Czechowicza po raz pierwszy ukazuje się dopiero teraz”. A mały wybór? Wydaje mi się, że wypadało tutaj wspomnieć o czechowiczowskim numerze “Kameny”, który obaj redaktorzy z pewnością znali.

W trudnych powojennych warunkach wydawniczych te trzy zeszyty specjalne były jednak pewnym osiągnięciem.

Noty we wznowionej “Kamenie” przestały już być areną wypadów politycznych, bo historia wprowadziwszy odpowiednie korektury utrąciła przeciwnika. Nie było już pism prawicowych sympatyzujących z faszyzmem, z którymi można było walczyć złośliwością i szyderstwem. Ba, na tle lewicowości prasy powojennej “Kamena”, która dawniej raziła niektórych swą czerwonością i stawała się przedmiotem skojarzeniowych kalamburów, teraz nie wyróżniała się swą barwą, a pewnym neofitom mogła się nawet wydawać różowa. Nie przejmowałem się tym zbytnio, choć dziwiłem nieraz, jak to ludzie w ciągu kilku lat potrafią zmienić swój stosunek do miesięcznika, z którym sympatyzowali. W notach omawiałem sprawy kulturalne, wydawnicze, wypowiadałem się o nowych pismach i książkach, wytykałem błędy językowe, polemizowałem z lekceważeniem współczesnej poezji czeskiej, zabierałem głos w sprawie rocznic i zgonów znakomitych pisarzy itp. M. in. już w r. 1946 wystąpiłem z projektem wydania zbiorowego pism Czechowicza, proponując edycję czterotomową, w której tom I obejmowałby wiersze oryginalne, II - przekłady poetyckie, III - prozę i utwory dramatyczne, IV - listy poety. Upłynęło 15 lat, zanim Wydawnictwo Lubelskie podjęło moją ówczesną inicjatywę. W rok później

upomniałem się o wznowienie dzieł Struga i Żeromskiego.

Czasami trzeba było wystąpić pro domo sua, jak w numerze 71/73, gdzie pisałem: "Wstąpiliśmy w drugi, a licząc sześć lat przedwojennych, w ósmy rok wydawniczy. Wolno więc nam teraz obejrzeć się za siebie i przypomnieć, co o nas pisano. Wznowienie «Kameny» spotkało się na ogół z życzliwym przyjęciem prasy i koleżeńskich organów. «Kuźnica» np. już w lipcowym nrze 1945 r., a więc na cztery miesiące przed ukazaniem się nr 1 «Kameny» anonsowała, bynajmniej nie inspirowana przez nas, że miesięcznik będzie wznowiony. I początkowe uwagi zarówno «Kuźnicy», jak i «Odrodzenia» były rzeczowe, a w «Odrodzeniu» (zb) nawet żenująco ciepłe. Ale potem się coś zmieniło. Najpierw ph z «Kuźnicy» uderzył w ton niemiłej wyższości i protekcjonalizmu w stosunku do «prowincjonalnego» miesięcznika stwierdzając, że wznowiona «Kamena», «różni się, niestety, wielce od tej "Kameny", jaką pamiętamy sprzed wojny». My tej różnicy nie widzimy. Pozostaliśmy wierni dawnemu programowi, który realizujemy w zmienionych, bardziej sprzyjających naszym zamierzeniom warunkach. Za sobą mamy legitymację sześciu lat przedwojennych, nie musimy «przystosowywać się», przemalowywać chorągiewki, podróżować do Canossy, bić się w piersi z racji dawnego antysemityzmu czy inklinacji totalistycznych. «Kamena» pozostała «Kameną» i kroczy dalej swoją drogą dla wszystkich chętnych i nie zrażających się niskim honorarium poetów gościnnie otwartą, propaguje zbliżenie narodów słowiańskich, wyławia z całą życzliwością młode talenty, nie szkodzi, że może czasem zbyt tolerancyjnie. Przecież niejeden autor słabych wierszy w przedwojennej «Kamenie» zajmuje dziś niepoślednie miejsce na Parnasie naszej literatury.

Ale przejdźmy do zarzutów konkretnych. Posłuchajmy, co pisze ph o przekładach z poezji czeskiej i słowackiej: «nie sądzimy, by obecny stan poezji w Polsce i wiedza o tym co zrobiono i co robi się obecnie na odcinku poezji poza granicami Polski, upoważniały nas do tak obszernego zajmowania się poezją bądź co bądź z punktu widzenia historii literatury, - drugoplanową». Pominąwszy już trochę niedyskretne wkraczanie w program i kompetencje redakcji, jakiż brak orientacji! Literatura czeska drugoplanowa?! Czy ph nie słyszał o niejakim Zeyerze, Brzezinie, Wolkrze, Nezvalu, Horze i tylu, tylu innych (nie mówiąc już o K. Čapku), których do pisarzy drugoplanowych w żaden sposób zaliczyć nie można? Czy nic mu nie wiadomo o plejadzie zdolnych młodych powojennych poetów? Odsyłamy go więc do następnego nru «Kameny». A może zapomniał o Manifeście Pekawuenu i ustępie jego dotyczącym naszego stosunku do narodów słowiańskich? My właśnie tę ideę braterstwa słowiańskiego głoszoną jeszcze przez Mickiewicza na odcinku pracy kulturalnej realizujemy. I będziemy zamieszczać utwory nawet trzecio- czy czwartoplanowej literatury (jeśli kto chce tak określić) serbskiej, chorwackiej, bułgarskiej czy łużyckiej. Bo takiśmy program sobie wytknęli. W kilka tygodni potem znów pisząc o «Kamenie» ph wspomina o «nie bardzo przodującej w rozwoju poezji europejskiej liryce serbskiej». Wiadomo. Ale ktoś przecież, o niej pisać musi, skoro ph nie chce i nie potrafi.

Dalej czytamy, że «Kamena» «stała się przytułkiem miernego stylu poetyckiego». Chyba nie ma na myśli wierszy ś.p. Fika, Ożoga, Bratnego, Kamieńskiej, ś.p.

Gajcego, których nazwiska można spotkać w wielu innych pismach literackich? Ani Piechala, Słobodnika, Timofiejewa, Janezarskiego i Hartwig, ani chyba Hertza? Więc chodzi o młodych poetów lubelskich? Ale samemu się też kiedyś było młodym... Przejdźmy teraz do «Odrodzenia». Po wyjeździe zb przegląd prasy objął w nim jaszcz. W nr 28 omawiając «Kamenę» (nr 6/7) zaczyna od kilku serdecznych słów o «Kamenie» i jej redaktorze. Dalej charakteryzuje na ogół dodatnio przedwojenną «Kamenę». Potem przechodzi do omawianego numeru. Że mu się nie podoba większość «spolszczeń» z liryk zachodnich lub rosyjskich (czyich - Bieńkowskiego, Słobodnika, Stolarka, Ważewskiej czy Jaworskiego?) to w porządku, choć o ile mi wiadomo, jaszcz języka rosyjskiego nie zna, skąd więc ta łatwość przekreślenia czyjejś długoletniej pracy? Ale gdy pisze w ten sposób: «jako schron mętniactwa usiłuje «Kamena» chwalebnie przewietrzyć okna, ale stare grzechy raz po raz przeszkadzają» - wypada tylko załamać ręce i powiedzieć: «medice, cura te ipsum» , bo trudno o większe mętniactwo niż to zdanie... Przewietrzyć okna, stare grzechy? O co właściwie chodzi?”

A kiedy indziej znów trzeba się było upominać o swoje. Kiedy autorka zamieszczonego w numerze 6 “Warszawy” artykułu *Lublin przed festiwalem sztuki* wspomniawszy o lubelskim “Zdroju” nie zająknęła się ani słowem o “Kamenie”, wyraziłem w nocie (nr 71/73, wrzesień - listopad 1946) zdziwienie, że “przeoczyła istnienie od r. 1933 na terenie Lubelszczyzny, a ostatnio Lublina, takiej bądź co bądź zasługującej nieco na wzmianką placówki literackiej jak “Kamena” (Ta sama autorka zresztą i w dwa lata później przemilczała działalność tego pisma w artykule *Dorobek kulturalny Lublina* (Twórczość nr 10, 1948).

Jak już wspominałem, początkowa subwencja Ministerstwa Kultury i Sztuki, z którą przystąpiłem do wznowienia “Kameny” wynosiła 8 000 zł miesięcznie. Przyznano mi ją w lipcu 1945 r.
Od września powiększono ją o dwa tysiące, tak że przystępując do druku pierwszego powojennego zeszytu rozporządzałem w listopadzie 26 000 zł. Tak, ale zebrało się tyle w ciągu czterech miesięcy. Starczyło na wydanie numeru, na papier, druk oraz skromniutkie wynagrodzenie dla administracji, redakcji i autorów. Bo w Polsce Ludowej nie uchodziło korzystać z pracy bezpłatnej. Zresztą skończyła się przedwojenna darmocha i już wszystkie pisma honorowały swoich współpracowników. “Kamena” nie mogła pod tym względem stanowić wyjątku.

Ale po ukazaniu się numeru listopadowego od razu Wyłoniło się pytanie: co dalej? Przecież teraz już wpływy dotacyjne ograniczają się jedynie do tych dziesięciu tysięcy, do czego dojdzie tylko kwota z prenumeraty i kolportażu. Lecz nim się to wszystko rozkręci... A przecież “Kamena” (jak i przed wojną) miała być miesięcznikiem. Nie rezygnując więc z tego, a jednocześnie chcąc rozporządzać większą sumą, musiałem czynić dłuższe przerwy w ukazywaniu się poszczególnych zeszytów, wydając je z numeracją podwójną a nawet potrójną. Dość powiedzieć, że w ciągu tego drugiego okresu wydawniczego ukazało się tylko jedenaście zeszytów, a odpowiadały one dwudziestu czterem numerom. W rozdziale *Trochę liczb* przedstawiłem jak to wyglądało przed wojną. A tymczasem subwencji nie otrzymywałem regularnie: były miesiące (w r. 1946 - trzy, w r. 1947 - aż osiem), kiedy zasiłek nie nadchodził. I nic dziwnego, przecież to były trudne czasy początków Polski Ludowej, odbudowy doszczętnie zrujnowanego państwa, a Ministerstwo

Kultury i Sztuki miało wielu podobnych “Kamenie” podopiecznych.

Na szczęście zrazu udawało się jakoś wiązać koniec z końcem dzięki dochodowi z prenumerat i kolportażu. Nakład pisma był pięciokrotnie, a niektórych numerów i siedmiokrotnie wyższy niż przed wojną, a rozchodziło się do tysiąca egzemplarzy.
Ale z biegiem czasu stawało się coraz trudniej, zwłaszcza gdy koszty druku wzrosły bardziej niż dwukrotnie, a należność za kolportaż powiększyła się z początkowych 35% ceny sprzedażnej do 45%. Nie pomogło podniesienie zasiłku na r. 1948 do 20 000 miesięcznie, zresztą na pierwsze miesiące r. 1949 zmniejszono go do 18 000 (ostatnia dotacja wpłynęła w maju). Już skapitulowałem z podtytułu “miesięcznik” i ostatnie zeszyty określałem jako “kwartalnik”, co również nie odpowiadało rzeczywistości. Liczby stronic czterech powojennych roczników też są wymowne: I(VII) - 252, II(VIII) - 72, III(IX) - 88, IV(X) - 118.

O katastrofalnej sytuacji finansowej pisałem w numerze 4/6 (78/80) na 15-lecie “Kameny” W artykule *Mały jubileusz*:
“Podstawy finansowe pisma po jego wznowieniu były kruche. Wprawdzie Ministerstwo Kultury i Sztuki od samego początku okazało mu wiele życzliwości, dopomagało mu w pewnych miesiącach i dopomaga ostatnio przez udzielanie subwencji, przy dzisiejszej jednak drożyźnie ta pomoc jest niewystarczająca. Koszty druku w porównaniu z przedwojennymi olbrzymie. Za druk np. czterdziestostronicowego numeru czeskiego «Kameny» zapłaciliśmy 50 000 zł, gdy przed wojną kosztowałoby to nas najwyżej 200 zł. A papier, administracja, poczta? Już nie mówię o honorariach. Prace autorów w ostatnich numerach nie mogły już być honorowane nawet tak skromnie, jak to było na samym początku. Dochód z rozprzedaży jest nikły, gdyż za kolportaż trzeba płacić 45% od ceny numeru i określoną stawkę za zwrócone egzemplarze. Pismo ukazuje się bardzo nieregularnie, co nie zachęca do prenumerowania go. Słowem wegetacja.

W takich warunkach trudno o współpracowników. Zwracałem się do wielu dawnych sympatyków «Kameny», każdy coś obiecywał, ale na tym się kończyło. I ostatecznie “trudno się dziwić: tygodniki literackie płacą przecież dzisiaj i płacą dobrze, każdy więc woli utwór swój spieniężyć tak, by jak najwięcej za niego otrzymać. Przedwojenna bezinteresowność współpracowników tłumaczyła się tym, że wielu z dzisiejszych znanych stawiało dopiero pierwsze kroki i zależało im na tym, by ujrzeć swe utwory w druku nawet bez honorariów. Poza tym nie wszędzie mogli drukować i nie wszędzie chcieli. Dziś to wszystko wygląda inaczej.

Powstaje więc pytanie: czy wydawać w dalszym ciągu «Kamenę»? W takich warunkach, jak obecnie, raczej nie. Dopóki pismo nie stanie na mocnych podstawach finansowych - i nie będzie mogło należycie honorować współpracowników, dopóty zdane będzie na korzystanie z przypadkowego materiału nadesłanego przez «uprzejmość». Dopóki nie pozyska najlepszych piór poetyckich, dopóty będzie miało niewielu odbiorców, a więc mało dochodu. Trudno liczyć na wydajniejszą pomoc ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki, które i tak czyni w tym kierunku wiele. Pismo w zasadzie powinno być samowystarczalne, jakim prawie że było w okresie przedwojennym.”

W zakończeniu tych rozważań wysunąłem myśl:
“Często słyszy się utyskiwania, że tygodniki literackie traktują poezję po macoszemu, że zbyt mało poświęcają jej miejsca, nie zamieszczają recenzyj z ukazujących się zbiorków itd. «Twórczość», choć uwzględnia na swych łamach poezję, nie jest pismem poetyckim. Czesi mają «Kytice» i «Kvart», myśmy mieli przed wojną kilka pism poetyckich wychodzących jednocześnie, dlaczego dziś nie może utrzymać się jedno? I utrzymałoby się z pewnością oparte na innych podstawach finansowych. Jakich? Trudno to powiedzieć. Jeden człowiek nie poradzi. Gdyby grono miłośników poezji i poetów pragnących, by w Polsce ukazywało się jedyne pismo poetyckie, choćby kwartalnik, mogło zorganizować spółdzielnię poetycką, która z czasem mogłaby również wydawać zbiorki wierszy... Nie wydaje się to takie nierealne, trzeba tylko znaleźć ludzi dobrej woli i przedsiębiorczych. Albo mogłoby być ambicją którejś ze spółdzielni wydawniczych - «Czytelnika», «Książki» czy «Wiedzy», aby tego rodzaju kwartalnik, a może i miesięcznik wydawać... To również nie jest pomysł fantastyczny. Zamiast tworzyć nowy, po prostu przejąć «Kamenę», która choć na to zachowanie tytułu za swą długoletnią pracę i «piękne jej» jak mówi Włodek, «tradycje», zasłużyła (cyt. z artykułu A. Włodka w numerze 78 «Dziennika Literackiego» gdzie autor sugeruje myśl, że «Kamena» «winna stać się ośrodkiem poezjotwórstwa polskiego»). Stworzyć prawdziwy, nie fikcyjny zespół «Kameny» z redaktorem naczelnym - poetą. Niżej podpisany nie rości sobie bynajmniej pretensyj do tego, by objąć to stanowisko, zadowoliłby się chętnie miejscem w zespole i kierownictwem działu poezji słowiańskiej. Chodzi mu bowiem tylko o jedno: uratować «Kamenę»”.

Tak, uratować, ale konkretnie tutaj mówiłem: jaką.
Po trzech latach znaleźli się “ludzie dobrej woli i przedsiębiorczy”, którzy ją “uratowali” i po raz drugi wznowili już jako organ Lubelskiego Oddziału ZLP. Tylko że z każdym rokiem tytuł “Kamena” coraz mniej znajdował uzasadnienia w treści pisma, aż wreszcie stał się typowym przykładem na contradictio in adiecto.

POSŁOWIE

“Oto jest romans” (z Kameną) “nie skłamany w niczym”. Niełatwo przyszło mi pisać tę książkę balansując między wspomnieniami, osnutymi mgłą wzruszenia i żalu za utraconymi ludźmi, za niepowrotną młodością, a suchą relacją opartą na dokumentach. Bogactwo mojego archiwum, choć może to brzmi paradoksalnie, utrudniało mi pracę. Ile czasu zajęła już choćby sama selekcja obfitego materiału! Ale nie chciałem się puszczać jedynie na fale zwodniczej pamięci. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli ja nie napiszę o owych sit venia verbo latach “burzy i naporu”, nikt tego tematu nie podejmie. A wydaje mi się, że warto było to wszystko uchronić przed zapomnieniem.

Mam na myśli sześcioletni przedwojenny okres “Kameny”. Wskrzeszając go na kartkach papieru posługiwałem się wieloma cytatami zarówno z miesięcznika, jak i korespondencji, przytaczałem różne opinie o piśmie zaczerpnięte z listów i recenzyj. Liczne przedruki z niego były konieczne. Wątpię, czy w którejkolwiek bibliotece znajduje się komplet “Kameny” z tego okresu. Nakład jej był przecież niski i nie rozchodził się w całości, a zniszczenia wojenne z pewnością także .dokonały swego.

Starałem się pisać szczerze i w miarę możności obiektywnie, niczego nie ukrywając. Zwalczałem też fałszywą skromność, która krępowała człowieka tak mocno tkwiącego w centrum spraw poruszanych w książce. Chodziło przecież o prawdę. Dlatego relacje moje są zawsze w ten czy inny sposób udokumentowane.

Okres powojenny wznowionej “Kameny” zamknąłem w jednym tylko - ostatnim rozdziale. Uważałem, że pisanie o nim tak szczegółowe, jak o czasach chełmskich, jest zbyteczne i powiększyłoby znacznie objętość publikacji. A komplet pisma z tego okresu jest stosunkowo łatwo dostępny.

Tym bardziej, jeśli chodzi o okres 1952-1962, kiedy początkowy (przez trzy lata) “kwartalnik społeczno-kulturalny”, a przez następne dwa - “miesięcznik” z tym samym epitetem, przekształcił się od r. 1957 na “dwutygodnik literacki” o formacie gazetowym, by od r. 1961 zmienić podtytuł na “dwutygodnik społeczno-kulturalny” i stać się organem kulturalnym czterech wschodnich województw. To jedenastolecie pisma wydawanego przez Lubelski Oddział ZLP, oczywiście dzięki stałej subwencji państwowej, miało swoje wzloty i upadki, ale o tych czasach napiszą już inni. Zbyt często zajmowałem w redakcji stanowisko krytyczne, a po całkowitym ustąpieniu z niej na początku tego roku trudno byłoby mi się zdobyć na beznamiętną opowieść.

Maj 1963 r.

TREŚĆ I FORMA

1

Tradycyjne rozróżnianie w utworze poetyckim tzw. treści i formy jest rodzajem dość uproszczonej i może nieco prymitywnej metody. Niemniej jednak metoda ta - aczkolwiek nacechowana, zdaje się, konstytucyjną usterką - posiada niemałe zalety, a niejednokrotnie staje się konieczna przy rozpatrywaniu utworów. Przede wszystkim doskonale nadaje się do wartościowania utworów współczesnych w zakresie liryki. Zaznaczam to wyraźnie - "współczesnych", - gdyż odczuwam wątpliwość, czy dzisiejszymi potocznymi pojęciami treści i formy można by mierzyć utwory dawniejsze, kiedy te pojęcia były zupełnie odmienne i zapewne nie dałyby się nawet zrekonstruować. W naszych warunkach, powiedzmy nawet w warunkach dzisiejszego dnia - bo jutro może już być inaczej - można by z niemałą ścisłością zaryzykować następującą formułę wartościowania: im wyraźniej utwór liryczny rozpada się na tzw. treść i tzw. formę, tym mniej zbliża się do dzieła sztuki, tym więcej spada do poziomu wypracowania literackiego.

Tutaj wysuwają się główniejsze stopnie możliwego wartościowania: a) szablon treści i szablon formy, b) szablon treści i forma, c) treść i szablon formy, d) treść i forma. Ostatni stopień może przynieść dopiero dzieło sztuki i to w takiej postaci, że treść i forma zostają organicznie, w sposób jednolity i niemal niepodzielny zespolone. W tym wypadku rozróżnianie treści i formy, wyodrębnianie obydwu składników staje się do pewnego stopnia zadaniem bezcelowym, o ile nie zostaje przeprowadzone z myślą o rekonstrukcji procesu twórczego.

Teza o nierozwikłalności treści i formy w wierszu o pełni artystycznej posiada znaczenie raczej teoretyczne, kierunkowe, które należy uzupełnić następującymi uwagami.
Każdy wiersz, nawet najgorszego wierszoroba, może i powinien zawierać w sobie jakiś pierwiastek sztuki, co nie znaczy oczywiście, by mógł być od razu zaliczany do prawdziwych prac artystycznych, jeżeli za sztukę uważamy tworzenie rzeczy, których doskonałością jest przede wszystkim ich wyjątkowa jedyność, nieznana przedtem.
Normalnie, wśród tzw. gorszych i lepszych wierszy spotykamy większą lub mniejszą ilość pierwiastków sztuki, - wiersz, będący w całości dziełem sztuki, jest niepospolitą rzadkością, może tylko ideałem.

Dziełem sztuki będzie wiersz pod każdym względem jedyny - zjawisko niepowtarzalne w swoim rodzaju, nie przypominające ani całością, ani zasadniczymi częściami nic z przeszłości. Wszystkie inne wiersze, które nie odpowiadają tej zasadzie, mogą być uważane za próby stworzenia dzieła sztuki. Nieraz może te próby są bardzo wartościowe, - zawsze potrzebne, jeżeli ich celem jest dążenie do tej właśnie doskonałości, poszukiwanie jej na drodze doświadczeń.

I właściwie wobec rzadkości doskonałych dzieł człowieka, można określić, że poezja jest szeregiem mniej lub więcej udanych prób w dążeniu do doskonałego wiersza,

który posiada właściwość oddalania się od nas w miarę rozwoju sztuki pisania wierszy. To, co tego dążenia nie zawiera, chociażby było obwarowane programami, do poezji należeć nie może.
Wobec tej tezy możemy śmiało operować terminami “treść” i “forma” na terenie współczesnej poezji, bez obawy, że natkniemy się na utwór, przy którym tego rodzaju rozróżnienie okazałoby się bezcelowym.

2

Dzisiejszy stan poezji polskiej więcej niż kiedykolwiek wywołuje potrzebę rewizji stosunku poety zarówno do treści jak i do formy, nie tyle może oddzielnie do każdego pojęcia, ile z myślą o ich funkcjonalnej wspólności.

Poezja polska po rozlicznych perypetiach od 1918 r. znalazła się w dosyć dziwacznym położeniu. Rozbita zasadniczo na dwa odłamy - stary i nowy, - przedstawia smutne bankructwo starego porządku, którego nie zastąpiła jednak udająca zwycięstwo rewolucja. Trzeba to powiedzieć otwarcie: dzisiejsza prawa strona - staffizm czy skamandryzm - w swych najpospolitszych objawach należą do poezji wczorajszej, która swój sens i znaczenie wyczerpała przed dziesięcioma laty. Niewątpliwie jest to dramat grupy uzdolnionych poetów i wielka szkoda dla poezji polskiej, że minimalistyczny ich program, nie odświeżany i nie rewidowany, szybko minął się z rytmem życia. W przeciągu dziesięciu lat rytm przemian społecznych, politycznych i gospodarczych przejawił się w takim następstwie nieprzewidzianych wstrząsów, że każda niemal dziedzina kultury kilkakrotnie drżała w posadach. Poezja warszawska jedynie nie uległa zmianom, toteż pozostała w swej dostojnej niewzruszoności anachronizmem, niemal prowincjonalnym. Odwróciły się role w sposób paradoksalny - poezja polska dziś bez stolicy, bez kapłanów, bez wodzów ratuje się w jakichś mieścinach prowincjonalnych - osiedla się to w Cieszynie, to w Lublinie, to w Chełmie, to pod Krakowem. I tu może leży szczęście w tej dziwnie zagmatwanej historii.

Front lewy odegrał historyczną rolę - zburzył Bastylię, wydał deklarację nowych praw poetyckich, ułożył konstytucję o idealnych niemal przepisach. Wynik tej rewolucji można streścić w ten sposób, że powrót do starego porządku jest już niemożliwy, byłoby to swego rodzaju wstecznictwo. Doceniając znaczenie awangardy krakowskiej, nie chcemy jej bynajmniej przeceniać. Okres jej prac należy uważać za zamknięty po dziesięcioletnich co najmniej doświadczeniach i wysiłkach. Jej historyczna rola nosi charakter wstępu bardzo jednostronnego, jest to raczej historia doktryn poetyckich, które czasowo zastąpiły poezję. Piękne te doktryny przy konfrontacji z człowiekiem-poetą idealnie zawodzą. To nie jest przypadek, że u jednych poetów awangardy osobną drogą idzie teoria a osobną praktyka, i trzeba w notatkach wstępnych do zbiorów wierszy usprawiedliwiać się z tej rozbieżności. I nie przypadek, że poeci-teoretycy, najściślej honorujący własne kanony, dali dotychczas nie poezję lecz martwe wzorce wierszy.

Błąd awangardy leżał w programowym niejako zamknięciu zagadnień poetyckich w granicach problemów formy, w postawieniu kultu przepisu poetyckiego, który swymi

paragrafami miał ująć wysiłki poetów w biurokratyczne niemal karby. W ten sposób ta skrajna doktryna, zapewne koniecznościami rewolucyjnymi wywołana, usuwała z poezji najbardziej zasadniczą jej właściwość - pierwiastek ludzki, społeczny, ten nie dający się określić ekstrakt indywidualny, który sprawia, że poetą może być tylko człowiek, a nigdy nie będzie nim maszyna. Zresztą awangarda krakowska doskonale dziś ten jednostronny maszynizm swej i szkoły odczuwa, wchodząc na wyraźną drogę odstępstw, nawołując do zaprzestania wynalazków dla samej idei wynalazków, słowem - do wprowadzenia wyraźnej treści do zdobytych form. Hasło "uspołecznienia" eksperymentów poetyckich awangardy, przepojenia ich treścią, budzi pewne wątpliwości. Sądzę, że byłyby to zabiegi bezskuteczne, które doprowadziłyby rychło do szablonów bez znaczenia i upodobniłyby awangardę do starych szkół. Nie można najpierw stwarzać przepisów dla nie istniejącego poety i nie można apelować do poetów, by swą działalnością dowiedli, że przepis był słuszny. Jest to odwrócenie procesu twórczego, które stosowane ściśle nie może przynieść pożądanych rezultatów: wierszy o pełni artystycznej.

Dlatego wszechstronna dyskusja nad tymi sprawami staje się w danej chwili koniecznością. I nie jest też rzeczą przypadku, że inicjatywa tej dyskusji wyszła z prowincji, która zbyt długo i bezskutecznie czekała na głos obojętnej, w uwiędłych laurach drzemiącej stolicy.

3

Rozszczepienie współczesnej poezji polskiej w dwóch kierunkach w dużej mierze wynika z jednostronnego pojmowania treści i formy w wierszu. Hasła "walka o treść" lub i "walka o formę" oparte są na złudzeniu istnienia obydwóch właściwości w wierszu artystycznym niejako w postaci luźnie związanych warstw. Owszem - to jest, ale w zjawiskach, wyrażanych pismem lub słowem, które z poezją nie mają nic wspólnego, a w każdym razie z poezją liryczną. Liryka w swoim rozwoju odskoczyła zbyt daleko od innych zjawisk literackich. Na tych wysokościach prymitywne kryteria oceny według treści i formy, pojmowanych w rozłączeniu, może właściwe dawniej, a i dziś w stosunku do innych rodzajów literackich, stają się nieporozumieniem. W dzisiejszym stanie rzeczy można jedynie przy pomocy tych kryteriów stwierdzić, czy dany wiersz jest pracą artystyczną, tzn. czy osiągnął organiczne zespolenie obydwu pierwiastków, tak że jeden bez drugiego nic nie oznacza. Z chwilą, gdy mamy do czynienia z kilku utworami o takiej pełni artystycznej, sprawdzian nasz przestaje działać i musi być zastąpiony przez inny. Dlatego tzw. walka o treść lub walka o formę są raczej hasłami cofania się, które powinny być zastąpione przez hasło walki o lirykę, jako sztukę wysokiej rangi, - hasło genetycznej jedności treści i formy.

Spróbujmy naświetlić to zagadnienie przykładami. Poeta był świadkiem śmierci ubogiej praczki. Fakt ten poruszył go. Wrażenia zmysłowe, połączone z przypomnieniem innych pokrewnych przeżytych już wrażeń i podświadoma lub świadoma praca myśli stwarzają wartościową legitymację działania poetyckiego. Poeta odczuwa potrzebę wyładowania materiału w formie wiersza. Następuje moment ujarzmienia treści i poeta uskutecznił to w formie zwrotek czterowierszowych. Postawa poety wobec wiersza, jako dzieła sztuki, załamała się z

chwilą, gdy postanowił zastosować lub mechanicznie zastosował czterowiersz, - i chociażby te czterowiersze posiadały wszystkie pozory potocznego artyzmu, całość przestaje być czystym dziełem sztuki, zniża się do poziomu prac pół-artystycznych. Może dawniej, gdy rozwój liryki szedł jeszcze dosyć pierwotnymi drogami, i taka praca posiadała charakter artystyczny. Dziś tego charakteru musimy jej odmówić, gdyż poeta poszedł po linii najmniejszego oporu, decydując się z góry na wprowadzenie treści do szablonu, odrzucając wszystkie inne możliwości ujęcia formalnego, jako trudniejsze, które trzeba dopiero wywalczyć. Poeta posiadał więc koncepcję treściową, natomiast pozbawił się koncepcji artystycznej, pakując mechanicznie treść w najzwyczajniejsze, przez wszystkich używane foremki prostokącików czterowierszowych. Oczywiście o jakiejkolwiek próbie zespolenia treści z formą w takich okolicznościach nie może być mowy - powstają dwie warstwy pozostające ze sobą w przygodnym stosunku. Tym też tłumaczy się wczorajszość staffizmu lub skamandryzmu.

Weźmy teraz pod uwagę inną okoliczność. Nasz poeta jest nowatorem. Przystępuje do pisania wiersza w chwalebnym poczuciu ważności spraw formalnych. Tematyka staje się dla niego raczej obojętnym punktem zaczepienia przy układaniu mniej lub więcej oryginalnych kombinacji, dopuszczalnych w obrębie wyznaniowej doktryny. Koncepcja treściowa, o ile istniała, podlega nieustannym deformacjom w poszczególnych cząstkach, przy czym zniekształcenia wobec zlekceważenia koncepcji treściowej nabierają cech dowolności! i dając efekt formalny, pozostają pustymi dźwiękami. Powstaje wiersz o nagromadzeniu właściwości formalnych, które nie pozostają w żadnym związku z pierwotną koncepcją treściową, - technika z zamiłowania do techniki. Pozornie metoda ta wydaje się jednak bardziej właściwą od omówionej poprzednio. Ale to również złudzenie. Jest to jakby odwrócenie procesu twórczego, próba przeniesienia na początek tych wartości, które powinny uwidocznić się dopiero na końcu. Jeżeli postawimy sobie nprz. założenie, że w wierszu nie powinno być ani jednego przymiotnika, ani jednego porównania jesieninowskiego, a natomiast metafory o treści technicznej, zdublowane rzeczowniki i wyłącznie bezokoliczniki, z góry przesądzamy rozwój wiersza, który jest przecież wielką niewiadomą na początku, i decydujemy się mimo woli na użycie szablonu. Nie posiada to żadnego związku z rzekomą konstrukcją lub planowością. Planować można jedynie wzorce, które zawsze mają tylko znaczenie nijakie. Można np. postanowić, że wiersz o lokomotywie będzie się składał z samych czasowników. Można taki wiersz napisać, ale będzie to ostatecznie curiosum, jak sonet jednozgłoskowy. W ten sposób powstają wiersze zwichnięte, nie gorsze, może lepsze od wierszy starego stylu, ale również połowiczne w stosunku do postulatu pełni artystycznej.

4

Rekonstrukcja procesu twórczego prowadzi nas do punktu, z którego wyrasta artystyczny wiersz, jako organiczne zespolenie treści i formy.

Wiersz nie napisany jest oczywiście rzeczą najzupełniej niewiadomą. Poeta, stawiający sobie z góry temat i dyspozycję, pisze wypracowanie. Poeta, wybierający

z góry jedną ze znanych form, wybiera szablon. Wiersz nie leży bowiem zamknięty w duszy czy umyśle poety, jak jeszcze nie urodzone, ale już ukonturowane dziecko, - kwestia jego napisania nie jest sprawą wydobycia rzeczy już istniejącej. Wiersz przed powstaniem zasadniczo nie istnieje w jakiejkolwiek postaci. Istnieje tylko materiał na wiersz - w postaci najzupełniej surowej: piasek, glina, kamień, wapno. Jeżeli coś najsłuszniej można by nazwać treścią - to właśnie ten pierwotny materiał. Z chwilą uporządkowania, wyeliminowania jednego lub kilku szczegółów spośród masy innych - materiał powoli przestaje być treścią w czystym znaczeniu, gdyż oznacza równocześnie jakiś układ albo formę. Oczywiście nie oznacza to zmniejszania się zawartości treściowej, raczej przeciwnie - przez powstanie formy zawartość treściowa doznaje podkreślenia, i tu właśnie leży sprawa artystyczna - wyboru takiego najidealniejszego układu, w którym zawartość treściowa materiału zostaje najdoskonalej przedstawiona. Wtedy następuje zrośnięcie treści z formą w nierozerwalność.

To, co oznaczyliśmy jako pierwotną czystą treść - jeszcze w chaosie - jest zagadnieniem pierwszorzędnego znaczenia, może jednym z najbardziej zasadniczych problemów w liryce; Od razu musimy przeprowadzić rozgraniczenie tego materiału. Rozróżniamy materiał istotny i surogat. Materiał istotny - to oczywiście wszystkie prawdziwe przeżycia w całej ich różnorodności zmysłowej i umysłowej. Są one bogactwem poety i jego materiałem podstawowym. Surogat - to materiał zdobyty pośrednio, nie przeżyty lecz jako tako przyswojony lub wyimaginowany. Materiałem istotnym jest np. wiedza poety o zjawiskach głodu, jeżeli powstała z prawdziwych niedojedzeń i nędzy, surogatem - wiedza nabyta z relacji innych ludzi, uzupełniona wytworami własnych przemyśleń.

Mam wrażenie, że w ten sposób postawione rozróżnienie chwyta zagadnienie treści w liryce wprost u korzenia. Jeżeli w wierszu ma być ciało, krew, życie - musi jego materiał pierwotny być autentyczny, - w przeciwnym razie pozostaje zbiorowiskiem pustych słów, igraszką, której z punktu dzisiejszych kryteriów trzeba odmówić tytułu sztuki. Nie możemy oczywiście tutaj mówić za “wczoraj” i za “jutro”. Kryteria sztuki są zmienne. Dziś żądamy prawdy w sztuce. Być może czas wczorajszy nachylał się właśnie ku surogatowi, może ówczesne sprawdziany pozę, zmyślenie i zgrabne zakłamanie poety uważały za odpowiednią postawę wobec poezji. Może te sprawy mierzą się nawet sprawdzianami klasowymi. Może istnieje poezja proletariacka i nieproletariacka, poezja prawdy i poezja nieprawdy.

Kwestia pierwotnej treści istotnej, posiadanej przez poetę, staje się postulatem zasadniczym, który w najwyższym stopniu decyduje o całości procesu twórczego, nie tylko jako punkt wyjścia i wektor kierunkowy.
Pomijając zagmatwaną sprawę psychologii poety w czasie powstawania wiersza, cały nie dający się opisać irracjonalizm tej chwili, a więc momenty w ogromnej mierze niezależne od poety, nie pozwalające nawet ująć się w jakąś zbliżoną do prawdy tezę, - pozostaje jednak zawsze do dyskusji sprawa ustosunkowania się poety do jego powstającego wiersza. Jest to sprawa dyscypliny artystycznej, sprawa świadomego przyjmowania lub odrzucania tego, co mu nasuwa szybki film wizji dostarczanych przez podświadomość w czasie tworzenia wiersza. Poeci wiedzą z doświadczenia, ile tych nasuwających się możliwości odrzuca się, wybierając tylko niektóre. Ile jest pokus, zwłaszcza tych kuszeń przez widma bezcielesne i bezkrwiste,

które chcą wtargnąć do wiersza, nie posiadając do tego jakiejkolwiek legitymacji. Poeta, który poddaje się terrorowi tych widm, schodzi z drogi artystycznej. Tylko najściślejsza selekcja nasuwających się możliwości może przynieść w rezultacie wiersz, będący dziełem sztuki. Nie trzeba dodawać,. że kardynalnym sprawdzianem tej selekcji staje się autentyczność lub papierowość materiału szczegółowego. Tu tkwi ten pierwiastek genetyczny, który łączy się z wszystkimi zagadnieniami, potocznie nazywanymi formą. Upadek, czy niedokrwistość, czy anachronizm - obojętne, jak to nazwiemy - współczesnej poezji polskiej wynika z oderwania tych zagadnień od pnia genetycznego. Poezja nie jest kwestią rymów, metafor, elipsy, aliteracji. Są to zagadnienia o pobocznym znaczeniu - dobrze użyte mogą wierszowi w czymś przysłużyć się, ale ani oddzielnie, ani razem wzięte nie decydują wyłącznie o wartości wiersza.

Układanie wiersza jest więc porządkowaniem, układaniem splataniem wyrazów, będących całkowitymi odpowiednikami autentycznej treści poety. Wchodzi tu w zagadnienie oś główna, dokoła której odbywa się porządkowanie. Jest to drugi czynnik procesu twórczego. To sprawa koncepcji treściowej. Oś główna to rodzaj wyczuwalnego kręgosłupa, skupiającego szczegóły. Można określić, że taką osią główną może być jeden wyraz lub grupa wyrazów w znaczeniu symbolizacyjnym, wizja, dźwięk, dotyk, idea przenosząca się, kostniejąca w wierszu. Oczywiście nie jest to temat, bo tematykę wiersza poznajemy najczęściej (mogą być wyjątki) z chwilą jego ukończenia. Oś główna - koncepcja treściowa – przedstawia się dla poety, jak nie poznana osoba w ciemnym pokoju. Poznajemy ją bądź przez zbliżenie się i stopniowe badanie jej kształtów w ciemności, bądź przez nagłe zapalenie światła, bądź w innych okolicznościach.

Ta wyczuwalna, lecz jeszcze dokładnie nie ukształtowana w naszej świadomości koncepcja treściowa, posiada jakiś swój kształt - i rzeczą poety jest ten kształt rozpoznać, wyczuć, wymierzyć i przenieść do wiersza w postaci najbardziej wiarygodnej. Tu właśnie występuje zagadnienie formy i sprawa techniki poetyckiej. Poeta nie może z góry przesądzać tych spraw i dokonywać wyboru formy w oderwaniu od koncepcji treściowej, bo wtedy zrywa z tym, co również stanowi o sztuce, - z czynnikiem tzw. irracjonalizmu, który z reguły nie zgadza się na jakiekolwiek formy obmyślone przedtem. Trudno usprawiedliwić jakąś koniecznością artystyczną wlewanie koncepcji treściowej w czterowiersz, gdyż oznacza to wpychanie istoty rzeczy poetyckiej w jakąś foremkę przy nieustannym kompromisie z materiałem nieistotnym na rzecz rymu, metafory lub rytmu. Rzeczą poety jest właśnie nie dopuścić do tego i czuwać, by tkwiący w jego koncepcji treściowej naturalny zarys formy ułożył się sam i stężał w pewnego rodzaju jedyność. Oczywiście, działa tutaj intuicja, bez której nie może być prawdziwego poety, odporność wobec wzorów, które stają się szablonami i zdecydowany stosunek do prawdy poetyckiej. Nie potrzebuję dodawać, że tego rodzaju metoda nie doprowadzi do sonetów lub oktaw, które wydają się w tym oświetleniu igraszką raczej, niż przejawami sztuki. Nie doprowadzi również do wierszy w stylu peiperowskim, które posiadają wszystkie zalety pięknych sztucznych kwiatów i ani jednej wady żywej roślinki.

W przytoczonych warunkach nie każdy, kto posiada tajniki rymowania i zdolność do składania metafor, może być prawdziwym poetą, - nie każdy wiersz nawet najgenialniejszego poety może być prawdziwym wierszem.

W ten sposób rozważania niniejsze doprowadzamy do końca - bardzo prostego: materiał-surowiec, będący autentyczną treścią poety, materiał istotny, poeta wyzwala we właściwy sobie i swej koncepcji treściowej sposób. Jeżeli materiał ten został wyzwolony całkowicie w największym napięciu dobrej woli, czujności, ostrożności, intuicji, - ułożony w taką formę, jaką sam sobie w swej irracjonalności wyznacza, - otrzymamy wiersz o pełnych znamionach sztuki, - o takim zrośnięciu treści z formą, że treść jego będzie oznaczała formę, a forma treść - bez reszty. I to będzie styl. Wszystko inne jest półpoezją, poezją szablonową lub poezją stosowaną. Jeden taki wiersz prawdziwy wystarczy za tomy dzisiejszych wierszydeł, które wszyscy piszemy w poszukiwaniu tego idealnego utworu.

5

Wśród poetów dzisiejszych ten rodzaj ustosunkowania się do pracy poetyckiej jest rzadki, ale od czasu do czasu zdarza się. Prądy nowatorskie, które zagalopowały się w przeciwną stronę, przynosząc naręcza sztucznych dziwacznych kwiatów bez życia, torują jednak drogę wśród ciężkich, bolesnych dla siebie doświadczeń. Niektórzy z nowatorów, zdecydowawszy się na odstępstwa od sztucznych doktryn, zbliżają się ku temu stanowisku. Ostatnie lata coś o tym mówią. Przodują w tym zapewne najprawdziwszym dla czasów dzisiejszych kierunku odrodzeńczym poeci, którzy wyszli z tzw. nizin społecznych. Nie pozostaje to zapewne bez powodu. Zawiera to sens o znaczeniu społecznym, którego tutaj nie możemy rozpatrywać,- zresztą jest tak widoczny, że niemal namacalny.

Z poetów, którym wymieniony kierunek najbardziej jest bliski, wymienić trzeba przede wszystkim Przybosia. Jego *W głąb las* mógłby być może ilustracją omawianego zagadnienia, gdyby nie resztki dawnych nawyków i niewygasły jeszcze respekt do dogmatyki Peipera. Młodożeniec w *Gamach i pejzażach* stanął wyraźnie i zdecydowanie na tym stanowisku. W tym kierunku zdąża, wikłając się jeszcze mocno, plącząc papierowe programy proletariackie z własną żywą treścią proletariacką, Marian Czuchnowski. Jego tom *Tak* wyraża przejściowość. Nie wątpimy, że poeta naładowany tak niepospolicie wyrazistą aż do przejaskrawienia własną treścią autentyczną rychło upora się z okresem przejściowym, i "uspołecznionym eksperymentem" jego stanie się nie rymowany *Manifest,* lecz liryka, utkana z tych przeżyć i spostrzeżeń, którymi poeta dławi się wśród korzeni wiejskich.

Już te przykłady wskazują, że liryka nowatorska po zawiłych krążeniach wśród krętych ścieżynek zagadnień formalnych, zbliża się chcąc nie chcąc ku tej jedynej drodze, Którą można by nazwać "autentyzmem", ale to obojętne.

Niewątpliwie poeci tzw. starej daty pewnie do tej sprawy się nie przychylą,. Musieliby zerwać uczuciowo z dotychczasowym swym dorobkiem i zacząć pisać na nowo.

Trudno. To ich dramat - smutny, ale nie bohaterski.

R. I nr 7 i 8

NA MARGINESIE ARTYKUŁU CZERNIKA

Przed dwoma miesiącami przyobiecałem redaktorowi “Kameny” artykuł na temat: *Tematowość a treść w liryce.* Zaciekawiony rozprawką Stanisława Czernika *Treść i forma*, której część pierwszą przyniósł nr 7, postanowiłem ze swoimi uwagami zaczekać na jej dokończenie. Oczekiwanie nie tylko mnie nie zawiodło, ale rzecz niezwykła, przywiodło do własnego zamiaru. Druga część artykułu o treści i formie ubiegła trafnymi spostrzeżeniami niektóre moje myśli, tak, że pozostaje mi jedynie głośno przyklasnąć wnikliwym odkryciom Czernika. Kapitalne zwłaszcza dla zrozumienia nowej poezji jest jego stwierdzenie, że temat poematu jest czymś, co da się ująć dopiero po ostatecznym skrzepnięciu treści lirycznej w formę, oraz określenie treści jako zespołu przedkształtnych, najgłębszych doznań poety. Koncepcja ta jest bardzo bliska ujęciu Irzykowskiego, który elementy treściowe, “aktualności” określił jako “absolutne wartości chwil”, dążących ustawicznie do hierarchizacji.

Ale rozprawką Czernika ma ostrze rewizjonistyczne. Stwierdziwszy **bankructwo staffizmu** i **skamandryzmu** zwraca się autor artykułu **przeciw przerostom “formizmu”** w nowej poezji, mówiąc: “Poezja nie jest kwestią rymów, metafor, elipsy, aliteracji. Są to zagadnienia o pobocznym znaczeniu”...

Ten sprzeciw Czernika wiąże się z podobnymi głosami krytyków, zniechęconych do nadmiernego, ich zdaniem, teoretyzowania nowatorów, którzy rzekomo zapominają., że przecież “Grau ist jede Theorie”... Sprawa ta poruszona na nowo argumentami Czernika, wymaga ostatecznego wyświetlenia.

Aby zrozumieć i ocenić właściwie rozrost poetyki formalnej w ruchu awangardowym, trzeba uwzględnić sytuację poetyckę w początkach ruchu. Futuryści znaleźli się wobec równie ruchliwego, a lepiej zorganizowanego i umiejscowionego (stolica) frontu postimpresjonistów Skamandra. Skamandryzm chlubił się programofobią i łatwo zdobywał dla tego swojego stanowiska uznanie młodopolsko nastrojonych czytelników. Tej “programowej” bezprogramowości, kultowi **nie - wiedzenia** i **bezmyślenia** w sprawach poezji przeciwstawili formiści teorię czystej formy **Witkiewicza** i wielościową estetykę **Chwistka**. Na grunt tak przygotowany przyszedł Peiper ze swoją pasją odkrywacza ameryk i ostatecznie, na swój sposób, w swojej poetyckiej doktrynie zdefiniował wszystko. Sugestia tej najświetniejszej głowy teoretyczno-estetycznej w Polsce była tak potężna, że poeci Zwrotnicy i Linii, realizujący każdy inaczej swoją własną poezję - w wypowiedziach teoretycznych powtarzali sformułowania Peipera, **najczęściej właśnie niezgodne z ich praktyką poetycką**. Jaskrawym i dość przykrym przykładem tego był casus Czuchnowskiego, który wbrew najsilniejszym własnym popędom upierał się kiedyś teoretycznie przy “pośredniości”... Z sugestii tej nie otrząsnął się nawet Brzękowski w swojej książce O *poezji integralnej*, mimo, iż dopiero on usiłuje wywnioskować nową poetykę z praktyki poetyckiej **wszystkich nowatorów**.

Pozorny więc przerost zainteresowań wyłącznie formą w nowej poezji tłumaczy się:

1) reakcją przeciw “natchnieniowej” programofobii epigonów symbolizmu, 2) sugestią doktryny Peipera.

Płodna walka Irzykowskiego o treść - teraz, po doświadczeniach lat mogę to przyznać bez skruchy - i nacisk okrutnej rzeczywistości społecznej na świadomość literacką w Polsce - stworzyły porę dojrzałą do rewizji nowej poezji w **imię treści**, rewizji, którą tak zajmująco podjął Czernik.

Wywody Czernika znajdą niewątpliwie uzupełnienie i ciąg dalszy w dyskusji. Głosy Czuchnowskiego i Czechowicza, choć brzmiące sprzecznie i **obok** jego myśli, układają się równolegle do tego centralnego zagadnienia. Ja chciałbym zwrócić uwagę na jedno w tym sporze.

Wyszedłszy z trafnej analizy procesu twórczego, upatruje Czernik ideał wiersza w tak “dorównanym” zroście treści lirycznej z formą, że te pojęcia tracą już potem sens, zrósłszy się w nierozerwalną jednię. Każdy odbłysk wzruszenia, każdy fałd najgłębszych doznań ukrytych w podświadomości - otrzymuje wyraz w **każdym** zestawieniu słów, w **każdym** zwarciu składni. **Każde** więc zestawienie składniowe, **każdy** zwrot musi być żywy, **musi być wynalazkiem. Maksymalna gęstość i ciężar gatunkowy poezji** - jest również jego ideałem. Nie widzę tutaj zasadniczej sprzeczności między poglądem Czernika a teorią integralizmu Brzękowskiego. **Zachodzi tu jedynie różnica dwu punktów widzenia** na widziane **to samo**. Brzękowski **celowo i świadomie** pominął kwestię odpowiedników treściowych tych wszystkich formalnych “elementów poezjotwórczych”, które w swej rozprawie zestawia i klasyfikuje. Czernik zaś swoją rozprawką podkreśla **znaczenie treści**, zawartej w najlepszych zdobyczach formalnych nowej poezji. Występuje jedynie - zupełnie słusznie - przeciwko **pustej retoryce** nie naładowanej wzruszeniami - i w tym zgadzam się z nim zupełnie. Szkoda, że Czernik nie czytał mojego omówienia książki Brzękowskiego w nr 1 miesięcznika “Droga” z br.; nie pomawiałby mnie o respekt dla dogmatyki Peipera.

Na koniec muszę nie zgodzić się, a może tylko sprostować sąd Czernika o tych, którzy, jego zdaniem, zbliżają się do ideału poezji “**autentycznej**” czy “**integralnej** ”. Jest to oczywiście sprawa osobistego upodobania i poglądu, ale obecnie, w okresie natężonego ruchu awangardowego, rozszerzonego na cały kraj i wzmożonego zainteresowania nową poezją, jasne rozróżnienie i ograniczenie poetów jest sprawą nader ważną. Niewątpliwie zgodzą się ze mną chyba wszyscy koledzy z b. Linii czy Żagarów, gdy odgraniczę wiersze Młodożeńca od tych dążeń do integralizmu i autentyzmu, o których mówią (innymi słowy) Brzękowski i Czernik. Marnotrawstwo słowa, wodnisty “dadanaizm”, kataryniarstwo i naiwny onomatopeizm - wszystko to zbliża Młodożeńca do **najgorszego** we współczesnej poezji polskiej: do zegadłowiczyzny. Natomiast Czernik nie dostrzegł, rzecz dziwna, poezji, stojącej najbliżej jego ideału: Brzękowskiego, Czechowicza i Ważyka.

POECI LUBELSZCZYZNY

1

Gdy myślę o właściwościach “klimatu poetyckiego” Lubelszczyzny, przypominają mi się utyskiwania “szlachetnie urodzonego, zacnego i uczonego rycerza Imć Pana Filipa Sidney'a”, który na krótko przed Miltonem i Szekspirem zastanawiał się, czemu Anglia “stała się tak surową macochą dla poetów, którzy z pewnością geniuszem swoim przewyższają wszystkich innych, albowiem wszyscy inni z nich biorą początek”. Podobny okres nieprzychylności społecznej dla poetów, zresztą powszechnej dziś w Polsce, przejawia się w Lubelszczyźnie w specjalnie ostrej pod niektórymi względami postaci. Sprzyja temu brak poważniejszej tradycji poetyckiej, koniecznej dla powstania atmosfery zrozumienia, czym jest i jaką funkcję wypełnia poeta. W przeciwnym wypadku współżycie poety ze społeczeństwem nabierze charakteru nieporozumień, i łatwo może się zdarzyć, że społeczeństwo, jak niegdyś w Anglii Sidney'a, okaże się dla poety naprawdę “surową macochą”. Współcześni poeci Lublina zapoczątkowują dopiero przyszłą tradycję nie bez bolesnych dla siebie doświadczeń. Może w innych okolicznościach doświadczenia te byłyby mniej dramatyczne. Ale lubelski świat poetycki pozostaje pod wpływem ducha szlachetnej żeromszczyzny, prowadzącej do nieuniknionego konfliktu z otyłym płazowatością społeczeństwem.

Mówiąc o braku tradycji poetyckiej w Lublinie, nie zapominajmy jednak o długoletniej, niemal jedynej przez lat z górą trzydzieści przedstawicielce poezji w Lublinie, p. Franciszce Arnsztajnowej. Ten odosobniony przykład, nawet w połączeniu z szybko zapomnianym poetą przedwojennym Janem Iwańskim (autorem tomu wierszy: *Wśród życia dróg*) nie daje jeszcze tradycji. Mowa o poetach lubelskich w liczbie mnogiej dotyczy może tylko okresu powojennego.

2

Z przyzwyczajenia mówi się o odwiecznej walce obozu młodych z obozem starych. Poetycki Lublin zaczyna budować swoją tradycję od znamiennego współdziałania tych odległych od siebie światów. Jeden z najpotężniejszych mitów twórczych kultury zachodniej, mit przeszłości, połączył w przychylnej współpracy przedstawicielkę dawnej poezji p. Arnsztajnową, z najtęższym reprezentantem awangardy, Józefem Czechowiczem. Maleńka książeczka pt. *Stare kamienie* jest u nas chyba jedyną tego rodzaju “arką przymierza”.

Franciszka Arnsztajnową, jako autorka dwóch serii poezji, posiada znaną pozycję w grupie poetów Młodej Polski. W okresie wojny poetka występowała w roli barda polskiego czynu wojennego. Rezultatem tego był wydany w 1924 roku zbiorek wierszy *Archanioł jutra.* W ostatnich latach wiecznie młody duch poetki wykazał swą żywotność trzema tomikami wierszy pt. *Odloty*, *Duszki* i wymienione już *Stare kamienie”.* W *Odlotach*, które zawierają utwory z lat 1902-1926, poetka wyraża takie życzenie: “Z pyłu i słońca ulepię światy, styl - niby lubelskiej izby”. Lecz świat

Odlotów ulepiony jest właściwie z glinki młodopolskiej, z barwnego, soczystego, urodzajnego lessu, dającego nie byle jakie gatunki pszenicy. Ziarna tej złocistej pszeniczki przedwojennej, dziś już na ogół niejadalnej, doskonale przechowały się w *Odlotach*. Książkę należy traktować jako summariusz, zamykający dłuższy okres twórczości poetki. Cytowane wyrażenie o stylu lubelskiej izby stosuje się raczej do następnych wydawnictw. W *Duszkach* poetka wyzwala się spod sugestii młodopolskiej. W tych wierszykach, przeznaczonych dla dzieci, spotykamy piękne fragmenty wyzwolonej z niewoli poezji. Taki jest np. wiersz *Żniwo.* Zapowiedź zainteresowań regionalistycznych urzeczywistniła się w *Starych kamieniach,* w których poetka wyraziście podkreśliła swą łączność duchową ze współczesnością, przedstawiając język poetycki dzisiejszy, uwolniony od anachronizmów młodopolskich.

3

Historię poetyckiej Lubelszczyzny w liczbie mnogiej otwierają dwaj poeci, raczej przygodnie z samą stolicą regionu związani: - Kazimierz Andrzej Jaworski i Tadeusz Bocheński.

K. A. Jaworskiego prześladuje początkowo jakby kompleks niższości. Może być doskonałym przykładem dla znanej tezy Benedetta Croce “każdy jest poetą”. Czuje się poetą w krainie swoich marzeń na jawie, w samotnym zetknięciu się z przyrodą wiejską lub w obliczu gór. Pod wpływem takich “freudowskich” nastrojów poeta oświadcza: “nie jestem poetą” lub usprawiedliwia się: “wybaczcie mi wielcy i sławni poeci, że obok was dziś staję ja - poeta lichy”. Wyszczególniony kompleks łączył się początkowo ze swoistym werteryzmem i refleksami przedwojennego dekadentyzmu. W rekonstrukcji przemian poetyckich Jaworskiego szczególną uwagę należy zwrócić na przymierze poety z górami. Świat górski przyniósł poecie potwierdzenie postawionej na początku Croce'owskiej tezy. “Tutaj wszyscy są poetami, tutaj wszystko liryką tchnie i serce dzwoni wierszami, kiedy człowiek po skałach się pnie”. Tam poeta rozstaje się z poprzednią niekonsekwentną melancholią i młodopolską tęsknotą do śmierci, poznaje wieczność, pragnie przezwyciężyć czas i trwać. Światopogląd poety nabiera wyrazistości (*Więcierze*). Poeta czuje się maleńkim kosmosem, który chciałby rozszerzyć i narzucić nie-niewolniczo światom innym. Program barwny i mozaikowy: nieco trubadurska rycerskość i russowski kult pierwotności, rewolucjonizm i wagabundyzm, republikanizm i socjologizm, panteizm i geografizm znaczą się jak złocone płytki, z których się składa oblicze poety. Jest to mozaika więcej przyswojonych, niż samodzielnie wydobytych barwności, jako wyraz okresu przejściowego, okresu zbliżenia się do selekcji. Wszystko to zresztą pochodzi jeszcze z okresu sprzed 1932 roku, kiedy w poezji naszej było najbardziej płazowato i ciemno. Zwraca uwagę wcześnie zaznaczona skłonność do autentyzmu oparta na mocnym murze przeżyć młodości i dzieciństwa. Skłonność ta przyniosła najpiękniejszy w pierwszym tomie wiersz Do *rodzinnego miasta*, a ostatnio niepospolity w zespoleniu “prawdy treści” z “prawdą formy” wiersz *Wtedy*. Osobną kartę w twórczości Jaworskiego zajmują przekłady z poetów rosyjskich, zwłaszcza przekład wierszy Jesienina zdobył sobie powszechne uznanie. Obecnie gdy nad poezją naszą unoszą się pierwsze oznaki odrodzenia, idącego od dołu, Jaworski

przyjął na siebie ciężar przedstawicielstwa idących przemian, - jako redaktor “Kameny” symbolicznie prawie w przedziwnej przypadkowości umiejscowił stolicę odradzającego się państwa poezji polskiej w prowincjonalnym Chełmie.

Tadeusz Bocheński jest autorem m. in. prawie zapomnianej już *Mojej kantyczki*. Kantyczka ta pełna świeżości, w miniaturowych, ładnie zestawionych obrazeczkach jest wyrazem łagodnego, uśmiechniętego, powolnego wyzwalania się z konwencjonalizmów poetyckich. Bocheński właściwie nie zrywa z niczym, ale chętnie przyjmuje cudze wynalazki, oryginalnie rozmieszczając je w wierszu, czasami niespodziewanie, jakby chciał wywołać dysonans. Liczne uwarstwienia, trochę beztroskie chwytanie się różnych manier daje w rezultacie jakąś smaczną marmeladę poetycką, mimo podkreślonych zależności niekoniecznie epigońską. Szkoda, że poeta nie wypracował ostatecznie własnego stylu, którego zalążki tkwią w każdym wierszu. Bocheński jest poetą słonecznym, poganinem w każdym calu. Charakteryzują go: słowiańskość i tatrzańskość, balladowość i orlandowość, erotyzm i nudyzm - wszystko w słońcu. Wyjątkowo spotykany poeta, który nie reprezentuje ani cienia niepokojów metafizycznych. Oczywiście taki poeta nie wyśpiewa pieśni bohaterskiej, ani rapsodu o charakterze społecznym. Bocheński widocznie odczuwa tę właściwość, pozostając ciągle poetą osobistych miniaturek* .

4

Dalszym szczeblem narastającej stopniowo drabiny “poezji lubelskiej” stała się grupa, skupiona przy czasopiśmie “Reflektor”. Czasopismo należy zaliczyć do efemeryd, lecz nie pozostało bez znaczenia, jako wyraz startu kilku mocno ukonturowanych poetów.

Przede wszystkim wysuwa się na czoło najtrudniejszy do scharakteryzowania Józef Czechowicz. Przy pierwszym zetknięciu Czechowicz wydaje się poetą mglistym, lecz wkrótce to wrażenie okazuje się złudzeniem. Może nadmieniona pozorna mglistość wynika ze swoistego daru poety zestawiania takich zjawisk, których w zwykłych, codziennych myślach nie łączymy. W istocie rzeczy Czechowicz jest typem poety o głębokiej filozofii natury. Jest w nim coś z jońskich metafizyków, jakieś połączenie heraklityzmu z pitagoreizmem. Zwłaszcza ten “pitagoreizm” jest może najbardziej charakterystyczną właściwością poety. Już w *Inwokacji* do pierwszego tomu widzimy tę znamienną “metafizykę” w postaci śmiało stawionych tez, szkicowanych praw, określanych norm i kult cyfry. Początkowo ten mistycyzm jest raczej werbalny, zewnętrznie programowy, ale stopniowo pogłębia się, przechodząc coraz bardziej od zewnętrznych zaznaczeń do istotnego wnętrza wiersza, zaczyna stawać się samym wierszem. Od cyfry i liczby przechodzi do śpiewu i muzyki. Ostatni tom *w błyskawicy* jest już rodzajem poetyckiej “liry kosmicznej” lub “harmonii sfer”. Ta znamienna ewolucja w kierunku coraz bardziej zorganizowanej, świadomie na liczbie opartej muzyczności jest już skończonym systemem. Może nawet sugestia liczby muzycznej posunęła się do pewnej jednostronności, widocznej zwłaszcza w motywice erotycznej

ostatniego tomu. Pod przewagą tej sugestii skrywają się, zapewne chwilowo, ciekawie i charakterystycznie początkowo rysujące się niepokoje społeczne na rzecz roztargnień metafizycznych. Poeta o wielkim bogactwie asocjacji. Właściwe tego rodzaju poetom skłonności teriomorficzne przybierają u Czechowicza rzadko spotykaną postać, którą można by określić jako zoologizm tragiczny. Dręczące zagadnienie śmierci ilustruje sobie poeta na przykładach tragedii zwierząt i w bezwzględnym fatalizmie tego zjawiska odkrywa dla siebie pesymizm religijny. Potrzeba kultu znalazła przepiękny wyraz w liryzmie matriarchalnym, zazwyczaj rzuconym na tło śpiewnej sielanki. Warto podkreślić niespotykane w tych warunkach skąpstwo poety. Ale nie namawiajmy go do inflacji. Czechowicz posiada najbardziej prostą drogę j swego rozwoju poetyckiego, co należy dziś do rzadkości. To niemal wyjątek - taka linia, biegnąca bez załamań od chwili startu.

Z “Reflektorem” złączone są również początki Konrada Bielskiego. Niestety poeta ten, ogłosiwszy sporo wierszy w czasopismach, nie zechciał zebrać ich w wydaniu książkowym. Pozostaje więc niedostępny. Pierwsze jego kroki scharakteryzował Czechowicz w *Kamieniu.*

W wonnych snujących się dymach biegnie Konrad
gronami wina potrząsa tyrs wyciąga przed siebie
niesie go mądrość ostatnia radość stara i mądra
winem przez wino na winie po niebie.

Nie wiem, jak rozwijała się w wierszach wyrażona w cytacie skłonność poety do wizji, opartych na winie i alkoholu. W poznanych przygodnie wierszach mogłem stwierdzić rodzaj mrocznego i złotego bizantynizmu, to jakiś alchemiczny barwistan, to balladowy fakiryzm. Na podstawie tych spostrzeżeń wnioskowałbym, że Bielski jest typem powojennego Micińskiego. Szczupłość obserwacji nie pozwala mi jednak twierdzić tak bez zastrzeżeń. Szkoda, że Bielski jest takim kryjakiem.

Wreszcie warto wspomnieć o złamanym piórze Stanisława Grędzińskiego. Jego debiut *Parabole* posiadał wprawdzie wszystkie extraordynaryjności młodzieńczego nowatorstwa - papierowe draperie egzotyzmu, bezpodstawny geografizm, quasi-poe'owską fantastykę, nadzwyczajności seksualne - ale to nagromadzenie “okropności” świadczyło również o pewnym rozmachu, który skierowany na właściwą drogę nie byłby zapewne bez znaczenia. [...].

6

Znacznie odmiennym typem jest Antoni Madej. Należy do tych nierzadkich obecnie poetów, którzy nie poddają się niepokojom metafizycznym. Wierząc, że w każdym

atomie ziemi zamknięty jest pełny sens kosmiczny, a zespół dramatycznych zjawisk, dany naszym oczom, wynika ze spełniania się wyższych nakazów, Madej zwraca się raczej w kierunku “marzeń na jawie”, szukając szczęścia dla siebie w widzialnym, namacalnym świecie “na łonie przyrody” lub w otoczeniu najbliższych ludzi. Metafizyka jest dla niego księgą zagadnień nierozwiązalnych, regionem wielkich i niezbadanych liczb. Poeta nie widzi w swych możliwościach siły, którą mógłby mierzyć głębię bytu, i chociaż czasami nasuwają mu się tego rodzaju problemy, rezygnuje z trudu zamyśleń nad nimi. Ten ton rezygnacji jest do pewnego stopnia tonem słabości, - poeta pozbawia się siły i zapędu odkrywczości. Pozbawiony tej żywiołowej siły, jaką daje poecie niepokój metafizyczny, Madej nie może również nagiąć się do zagadnień społecznych, zbyt ostrych dziś, drażniących i trudnych dla człowieka, skłonnego do łagodności i pogodnych snów. Idiosynkrazja wyraża się tu w postaci lęku przed zagadnieniem walki i ruchu społecznego, ale jeżeli poeta podejmuje zagadnienie, lęk przemienia się w zdecydowany pesymizm. Ten stosunek poety do życia, będący pragnieniem ucieczki od zagmatwań dzisiejszych w pierwotną krainę owsa i skabiozy, nie pozostaje bez wpływu na gatunek formy. Zaznacza się to w kameralności wiersza, łagodność i skłonność do pogodnych marzeń składają się w falujące zdania. Może to odpowiednio określimy, nazywając mandolinowością lub srebrnodzwonkowością wierszy Madeja.

Podobny trochę do Madeja, tylko znacznie mniej wyraźny okazuje się dotychczas Bronisław Ludwik Michalski. Wydał pierwszy tom wierszy, a drugi podobno wycofał z drukarni. Wiersze jego pełne są tradycjonalizmu, którego bynajmniej nie przekreśla kult małych liter i zerwanie ze znakami przestankowania. Jeżeli jest w tych wierszach problematyka, gubi się w rozwiązłości zestawień słownych, które nie tworzą się, jako konieczne, przemyślane, jedyne zespoły, lecz jako zespoły możliwe, coś oznaczające, jednak niewyraziste i zdawkowe. Często te zespoły są ciężkie, jakby siłą wepchnięte w szereg, gwoli uczynienia zadość foremce czterowiersza. Ten rygor defilady czwórkowej wygląda na najważniejsze zagadnienie poetyckie Michalskiego. Pod wpływem takiego terroru poeta doszedł do znacznej dyscypliny. Jego wiersze śmiało mogłyby zapełniać karty dawnego “Skamandra”. W niektórych utworach próbował jednak poeta zerwać z czterowierszem. Wynik był połowiczny, zepsuty gadatliwością i brakiem selekcji w porównaniach. Przerwanie druku drugiego tomu jest chyba znakiem, że poeta dokonał gwałtownej rewizji swych poglądów na poezję.

7

Wreszcie narastający pagórek poetycki. Nasamprzód mam na myśli Wita Kasperskiego. Skromny poeta. Cechuje go prostota doznań: brak skomplikowań metafizycznych, nie ma pryncypialności, natomiast szczerość wzruszeń, prymitywizm szlachetnych odruchów, naturalna filozofia prawdy. Na tym tle wyrastają skłonności do zagadnień religijnych, które nie wynikają jednak z pobudek metafizycznych, lecz są wyrazem łączenia zagadnień społecznych z koncepcją Boga. Poeci-metafizycy zapatrzeni w tajemnicę początku i końca, nie widzą ziemi, człowieka, religii, dogmatyki, ich poezja jest czymś przeddogmatycznym lub naddogmatycznym. Inaczej u Kasperskiego - on zagadnienie Boga rozpatruje z punktu widzenia spraw ziemskich, nędzy fizycznej i społecznej, szczęścia ziemskiego. W koncepcji Boga symbolizuje istotę, rozwiązującą wszelkie zawikłania społeczne, odpowiedzialną za nie, nie umie zgodzić się z inną koncepcją. Jest to poszukiwanie i odwoływanie się do

źródła idealnych norm, pragnienie sankcji dla tych norm, które zagwarantowałyby triumf prawdy i szczęścia na ziemi. Leży w tym pewien neo-poganizm, coś z greckich koncepcji o wartości szczęścia ziemskiego i podwartości "życia pośmiertnego".

W każdym razie pierwiastki religijne Kasperskiego są raczej drugostronne, poboczne, wtórne. Jak wszyscy poeci pochodzenia wiejskiego, czuje się zrośnięty z ziemią, z rolą wszystkimi cząsteczkami swego jestestwa i te kategorie odczuwań posiadają dla niego znaczenie decydujące. Jest w tym ziarenko naturalnego programu społecznego, podświadomy nurt, stwarzający nie wyzwoloną jeszcze koncepcję ustroju społeczno-gospodarczego, opartego na micie ziemi i rolnika. To nurt podświadomy, w żywiole świadomości poeta układa swą energię emocjonalną w zagonach równych, tradycyjnych, w kategoriach wczorajszych, - zalążek koncepcji treściowej nie znajduje na razie własnych form. Ale poeta posiada niepokój szukania, - początek pogłębienia koncepcji i ułożenia jej we właściwej formie.

Znacznie dalszy od dojrzałości jest Wacław Mrozowski, autor pod niektórymi względami przedwcześnie wydanych tomików. Przedstawia jednak bardzo interesującą obietnicę. Wyróżnia go świeżość tematyki, niejednokrotnie sparaliżowana przez nieświeżą skłonność do wulgarności. Świetnie zapoczątkowana nieraz koncepcja zostaje lekkomyślnie zmarnowana, zdaje się, przez pośpiech szybkiego gromadzenia bogactw wierszowych, - czasem niesmacznie i bez powodu strywializowana. Tak samo jest z metaforyką - czasem przekonywająca i oryginalna, czasem dziecinnie śmieszna. Brak dyscypliny widać w brawurowym rzucaniu się w nieznane gęstwiny prymitywnych form. Szablon porozrywanych bez widocznej potrzeby zdań jest manierą pozornie nowatorską, lecz równie niebezpieczną dla poezji jak szeregowanie czterowierszy.

O najmłodszym poecie Lubelszczyzny Zdzisławie Popowskim nic nie mogę powiedzieć. Jego tomik znam tylko z notat bibliograficznych.

8

Przy końcu tego przeglądu znowu odwołam się do cytowanego już Filipa Sidney'a. Nie zaszkodzi mieszkańcom miasta, pieczętującego się podobno frywolnym kozłem, objadającym szczep winnej łozy, zacytować następujące zdania w dawnych czasach zwrócone do Anglików:

[...] byście więcej nie szydzili z świętych tajemnic poezji, byście się nie śmiali z imienia poetów, jak gdyby oni bardzo blisko byli z tłumem spokrewnieni, ani też byście nie rzucali się na czcigodny tytuł rymotwórcy, lecz wierzcie z Aristotelesem, że poeci to skarbce starożytności, boskim według Greków owiani tchnieniem, wierzcie z Bembusem, że oni są wszędzie pierwszymi roznosicielami światła cywilizacji, wierzcie ze Scaligerem, że itd...

R. II nr 1 i 2

REWIZJA W IMIĘ TREŚCI

W artykułach, zamieszczonych w ostatnich numerach “Kameny”, a zwłaszcza w artykułach Czuchnowskiego, Czernika i Przybosia, przejawia się w mniejszym lub większym stopniu i z różnych punktów widzenia podjęte żądanie rewizji stosunku do poezji w imię praw treści. Zagadnienie to nie jest mi obce. Interesuje mnie ono od dłuższego czasu. Jednej jego stronie poświęciłem kilka uwag w mej *Poezji integralnej* (str. 18-20), a stosunek treści do tematu był przedmiotem ostatniego rozdziału tejże broszury. Zagadnienie powyższe domaga się jednak jeszcze głębokiego i wnikliwego opracowania, a przede wszystkim postawienia na właściwej płaszczyźnie. Wszelkie próby dotychczas podejmowane dotyczyły zaledwie pewnych tylko i nie zawsze istotnych stron tego problemu.

Przyczyną niepowodzeń prób rewizjonizmu poetyckiego w imię treści była nie tyle sama trudność zagadnienia, ale przede wszystkim zamieszanie pojęć panujące w tej dziedzinie. Najgrubszym błędem było utożsamianie treści z tematem, z anegdotą. Ten błąd popełnia nawet Czuchnowski, który domaga się uspołecznionych eksperymentów w imię tematu społecznego, a mówiąc ściślej - proletariackiego. Należy jednak jasno sprecyzować, że temat (anegdota) nie jest równoznaczny z treścią. Sądzę, że treść jest czymś istotnym (essentia) poematu i zrośnięta jest organicznie ze źródłem wzruszenia lirycznego, podczas gdy temat stanowi czysto zewnętrzny element, związany ze sferą zasadniczo różną od poezji. Dlatego rewizja w imię treści jest niezwykle pożądana, podczas gdy burzenie Bastylii w imię tematu jest szkodliwym dla poezji nieporozumieniem. Można by nawet wysunąć twierdzenie, że treść jest wtórną przeróbką tematu, przejściem między tematem a formą Treść jest więc pewnego rodzaju wyciągiem elementów tematowych oraz czysto psychologicznych reakcji i ustosunkowań się poety: jest ona dopiero punktem wyjścia właściwej działalności poetyckiej, podczas gdy temat należy do zakresu prozy. Treść różni się więc od tematu przede wszystkim tym, że zawiera element wzruszeniowy i dlatego związana jest mocno z poezją.

Po tym krótkim określeniu treści i oddzieleniu jej od tematu pragnąłbym jeszcze wyjaśnić, jak wyobrażam sobie rewizję w imię treści. W *Poezji integralnej* (str. 19) wskazałem na możliwości, jakie mogą dać poezji substytucje treściowe i wielość interpretacji. Niewątpliwie, istnieje jednak możność rozszerzenia zakresu poetyckiej treści, powiększania jej dotychczasowej objętości o pewne nowe elementy. Przed kilkunastu laty rozszerzył zakres poetyckiej treści urbanizm, potem - futuryzm, a ostatnio - nadrealizm. Te wszystkie kierunki wniosły nowe elementy poetyckiej treści: miasto (urbanizm), masa i postęp techniki (futuryzm) i freudyzm (nadrealizm). Mogą go również znacznie rozszerzyć kierunki społeczne w poezji, ale pod warunkiem, iż wprowadzą nowe elementy w treści, a nie anegdoty. Wzbogacenie świadomości poetyckiej o nowe wartości, zaczerpnięte z życia proletariackiego (krzywda społeczna, głód, walka itp.) może być niezwykle cennym rozszerzeniem treści poetyckiej. Nie należy jednak zapominać, że potrzebna jest praca w głąb, w przeciwnym bowiem razie grozi infiltracja anegdoty, która jest istotnym elementem artykułu czy opisu, ale nie poezji.

To rozróżnienie może znaleźć zastosowanie także w odniesieniu do poetów innej generacji np. w stosunku do romantyków. Treść narodowa u Mickiewicza była istotną treścią, a nie - tylko tematem. Jeśli się jej nie widzi, dostrzegając wyłącznie temat - można dojść do absurdów. Tak np. w czasie ostatnich uroczystości mickiewiczowskich w Paryżu jeden z dziennikarzy francuskich w ten sposób "streścił" *Pana Tadeusza* na podstawie wydanego obecnie przekładu Pawła Cazina:

"*Pan Tadeusz* jest romantyczną przygodą młodego litewskiego pana, dziewiczego i niecierpliwie pragnącego się wyszumieć, który w r. 1812 walczy z miłością i pewnymi lokalnymi nieporozumieniami w swoim kraju. Zachowuje się tu w tej sytuacji jak najlepiej, poluje na niedźwiedzia i zbiera grzyby, znajduje nagle metresę i narzeczoną, i widzi, nie poznając go jednak pod habitem mnicha, śmierć swego zbrodniczego i przebranego ojca".

Te dwa zdania istotnie wyczerpują stronę anegdotyczną *Pana Tadeusza*. Francuski dziennikarz nie związany niczym z epoką ani z wartościami polskiej poezji romantycznej - dostrzegł tylko temat. Nie dojrzał jednak treści.

W polskiej poezji powojennej podejmowano kilkakrotnie próby rozszerzenia treści poetyckiej. Oprócz futurystów i poetów "Zwrotnicy" i "Linii" niektórzy "skamandryci", a zwłaszcza Wierzyński i Tuwim, - oddajmy co cesarskie Cezarowi - w pierwszych latach powojennych wnieśli istotnie pewne wartości treściowe, wyrażając "radość z odzyskanego śmietnika". Własne wartości wypracowali również niektórzy poeci społeczni. Zasadnicze i sprawiedliwe ustalenie tych kwestii mogłoby być bardzo interesujące, ale trzeba by to uczynić istotnie sprawiedliwie i metodycznie, a przede wszystkim - inteligentnie. Przed kilku laty wybitny malarz i teoretyk puryzmu Ozenfant w swej książce o sztuce zamieścił tabele statystyczne, wskazujące częstość używania pewnych wyrażeń przez niektórych poetów, należących do różnych generacji.

Podobną próbę w stosunku do metafor przedsięwziął u nas Czernik, ale pomieszał, niestety, plewy z ziarnem, rzeczy istotne z nieistotnymi, poetów, wnoszących pewne nowe wartości, z czwartorzędnymi naśladowcami... W tych warunkach eksperyment, pomimo dużej sumy włożonej weń pracy, nie mógł dać żadnych użytecznych konkluzji. Gdyby jednak teraz przedsięwziąć próbę określenia tych wartości i po odrzuceniu stałych dla wszystkich epok poezjotwórczych elementów treści usiłować stworzyć podstawy pod właściwą i słusznie pomyślaną rewizję w imię treści przez ustalenie dotychczasowego dorobku w tej dziedzinie i w dziedzinie formy? Mając w ten sposób mocne oparcie, polegające na istotnym zrozumieniu obecnego stanu poezji, można by wtedy znaleźć właściwy punkt wyjścia także dla rewizji pojęć. Może Czernik, który rozpoczął już pewne próby w tym kierunku, zdecydowałby się na razie na przeprowadzenie przynajmniej dokładnego i sprawiedliwego inwentarza? Potem poszłoby to już łatwiej, a w każdym razie nie można by wysuwać gołosłownych twierdzeń i zarzutów.

R. II nr 2

WIELOŚĆ INTERPRETACJI

Jan Brzękowski w rozprawie o poezji integralnej oraz w artykule *Rewizja w imię treści* (“Kamena” nr 2/12) zwrócił uwagę na sprawę wyzyskania elementów treściowych w nowej poezji. Z podanych kilku wskazań bliższego rozpatrzenia wymaga zasada różnorodności interpretacji treściowej, czyli inaczej - wielość interpretacji.

Brzękowski ilustruje zagadnienie cytatem przybosiowego “czas pełznie w błękicie”, co ma oznaczać przynajmniej podwójną wizję: - pełzania i pełznięcia czasu.
Dodam do tego inny przykład, raczej z zakresu składni - bardziej złożony. Pierwsze “zdania” wiersza Czechowicza *Dom św. Kazimierza*:

spokojnie miękko świeci chwila bez godziny
twarz opada nad książką rosa może granat

Wiersz ten może podlegać różnorodnej interpretacji wskutek braku znaków przestankowania. Ilość interpretacji staje się tutaj niepokojąco znaczna. Wchodzimy w kraj matematyki. Próbowałem obliczyć tę ilość przy pomocy elementarnej algebry, ale nie mogłem sprostać zadaniu. W każdym razie z punktu widzenia składni dochodzimy do “niewielkiej” liczby - stu możliwych zestawień, a gdy weźmiemy pod uwagę tylko pierwszy werset będzie ich około dwudziestu.

Wreszcie dołączę jeszcze trzeci przykład, znów niepodobny do poprzednich. Mickiewiczowskie “A imię jego - czterdzieści i cztery”. Ilość interpretacji biegnie przy tym w nieskończoność.

Te trzy bardzo różniące się przykłady niech nam posłużą jako dowód, że zasada wielości interpretacji jest zjawiskiem częstszym, niż wydawałoby się pozornie. Zwłaszcza wszyscy poeci, z przekonania lub mody sprzeciwiający się znakom przestankowania, mimo woli stają się wyznawcami tej metody.
Nas może tu zastanawiać problem, czy metoda wielości interpretacji jest rozszerzeniem poetyckiej treści, oraz w jakich granicach może być dopuszczalna w liryce.

Zagadnienie to wymaga podwójnego rozpatrywania – z punktu widzenia poety i czytelnika. Jeżeli oddzielimy się ścisłą przegrodą od czytelnika i staniemy oko w oko z poetą, musimy przyjąć tezę, że dla świadomego poety nie może być w jego utworze - dla niego samego - rozlicznych interpretacji. Interpretacja jedyna, wyraźna, niewątpliwa musi być zasadą poety. Poeta, który miałby wątpliwość interpretacyjną w stosunku do własnego wiersza, stwierdzałby, że napisał utwór niedoskonały, że z pierwotnego chaosu treści nie wydostał jeszcze tych nielicznych, koniecznych wyrażeń, które mają oddać istotę (prawdę) jego myśli i wizji. Tym bardziej poeta, który stawiałby jako cel otrzymanie dwuznacznej lub wieloznacznej treści, mijałby się poniekąd z samym sobą - miałby na myśli albo zaintrygowanie czytelników, albo oddawałby się stosunkowo łatwej igraszce. Bo to przecież łatwizna - zestawić w jakim takim szyku kilkanaście słów bez poczucia odpowiedzialności za związek treściowy, -

i kazać czytelnikowi w zakreślonych niby to ramach samemu być poetą i za autora odbyć pracę. Jeżeli powiem w tej chwili “ząb w kościele fiolety mrozi” - to nic nie powiedziałem, w tych słowach nie ma dla mnie ani atomu poezji. Ale wiem, że kogo innego takie zestawienie może pobudzać do poetyckiego myślenia, do poszukiwania podwójnej wizji w słowie “fiolety”. Poeta popełnia jednak zasadniczy błąd, jeżeli uważa swój wiersz za ćwiczenie dla czytelnika.

Jeżeli chodzi o wielość interpretacji z punktu widzenia poety, można by jednak dopuścić jeden co najwyżej wyjątek. Dla jakichś istotnie rozszczepionych wizji, które mogą się wyjątkowo zdarzać.

Jeżeli więc Przyboś napisał “czas pełznie w błękicie”, to musiał wiedzieć, czy chciał powiedzieć, że czas był żółwiem, czy inne sprawy miał na myśli... Jeżeli zaś istotnie napisał po to, by czytelnik mógł odnieść wrażenie dwuznaczności, to układał rebusik, o co Przybosia nie mogę posądzać.

Tak samo nie posądzam Czechowicza, że w przytoczonym przykładzie nie wiedział, o czym myśli i co wyraża. Ale posądzam wielu poetów, unikających interpunkcji, że starali się zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności za sens.

Wniosek zaś taki, że wielość interpretacji nie może być brana w rachubę u świadomego swej roli poety.

Z punktu widzenia czytelnika można by te sprawy inaczej rozważać. Być może, są tacy odbiorcy, którzy życzą sobie podobnej nieokreśloności w wierszu. Warto by poznać zwierzenia tych czytelników, - tylko gdzie je znaleźć. Nie wierzę, by mogło być ich wielu. Byliby to chyba tylko poeci o jakiejś dziwacznie biernej umysłowości, którzy z podawanych wyrażeń tworzyliby sobie swoiste wizje i martwili się, co znaczy np. w wierszu Czechowicza “świeci chwila bez godziny”. Przeciętny czytelnik, normalny poeta, każdy krytyk, ci wszyscy, którzy potrafią rekonstruować myśli poety, nie będą Czechowiczowi wdzięczni za opuszczenie kropek i przecinków. Poeta traci też w oczach czytelnika, jeżeli ten nie wie, co oznacza np. bez w cytowanymi urywku: czy to gałązka bzu, z której opada rosa, czy zwykły przyimek, czy chwila-bez, czy metafora roślinna “bez godziny”. Jako czytelnik chcę wiedzieć, co mi poeta podaje, potem dopiero mogę interpretować, - jako poeta sam sobie stworzę własne wizje bez pomocy podsuwanych mi słów.

Wielość interpretacji jest dla czytelnika utrudnieniem, zwłaszcza jeżeli jego odbiór ma być czynnością twórczą.

A inna sprawa, że czasami, wieloznaczne wyrażenie może być intrygujące. Mickiewiczowskie 44 wywołało niemało rozpraw, oczywiście bezpłodnych. Kilku panów otrzymało z tej racji doktoraty, może nawet katedry uniwersyteckie. Ale poezja niewiele na tym zyskała.

JĘZYK SUBSTANCJĄ PIŚMIENNICTWA

Język służy celom biotycznym, naukowym. Gdy kupca prosimy o paczkę okładzinek listowych, mówimy. Gdy definiujemy treść jakiego pojęcia naukowego, mówimy. Gdy tworzymy poemat, mówimy. W praktyce potrzeb żywota codziennego, w kręgu rozmówek sklepowych czy zdawkowo-towarzyskich idzie tylko o powierzchowną zrozumiałość. Kiedy w kawiarni zamawiasz "białą", nie wnikasz ani ty, ani ten, co cię ma obsłużyć, w nieścisłość polecenia. Komu tam zawadzi, że kawa z mlekiem albo śmietanką wcale nie jest biała, lecz właśnie szarobrunatna? Nikomu. Praktyczna proza mowy potocznej używa utartych, skostniałych zwrotów, ba, utartych zdań, a nawet utartych kompleksów zdaniowych. Górale zaczynają rozmowę zazwyczaj takim kompleksem:

- Niek będzie pokwalony Jezus Krystus!
    - Niekze będzie. Na wieki wieków. Witajcie!
    - Bóg zapłać.
    - Siednijciez!
    - Zeć ta pomalućku.
    - Cóż tez ta na was słyhno? Zdrowiście?
    - Je nic tez ta takiego. A wy ta jak? Lepiej?

Odmianki tego szablonu zdarzają się, ale nieznaczne. Nie trzeba się jednak uciekać aż do ludzi prostych, by oklepanki językowe napotkać. Więcej tych oklepanek między tak zwaną inteligencją. Wśród ludu są one przeważnie formułkami niemal obrzędowymi, a dotyczą sytuacji i czynności obyczajowych. Przepatrzmy miejską gazetę, a zbierzemy bezlik skostniałości zgoła nieobrzędowych, ba, nieswojskich, naniesionych byle jak i byle skąd, często niedorzecznych, błędnych i bardzo brzydkich. Czytałem niedawno w komunikacie Polskiego Radia, a więc w tekście, który powinien być układany starannie, takie wyrażenie: "Sonata ta należy do jednych z najbardziej ulubionych utworów". Gdyby nie ślepy nawyk układacza komunikatów, bylibyśmy z pewnością otrzymali zdanie rozsądniejsze i piękniejsze: sonata należałaby wprost "do najbardziej ulubionych utworów", a nie wlókłby się za nią niefortunny liczebnik. Ale pamiętam jeszcze zabawniejszy wypad oklepanki. Pisał ktoś w odcinku literackim, że "Horacy należy do **jednego** (!) **z najmilszych** wiekowi dojrzałemu poetów". Tu już trudno powstrzymać się od śmiechu i politowania.

Naukowcy lekceważą niekiedy formę językową tak sromotnie, że czytanie staje się przykrością. Szablony? Szablony byłyby drobiazgiem. Ohydą są prostackie błędy gramatyczne i zesypy biernie stosowanych germanizmów lub innej cudzoziemczyzny. Bywają jednak naukowcy o wybitnym poczuciu językowym. Tym płyną słowa zdaniami rodowitymi, ci mają styl.

Zdumiewam się i smutek ostry mię nachodzi, ilekroć oklepanki lub wyraźne błędy językowe spotykam w prozie poetów. Gdy zaś utwór poetycki dziurą nagle zaziewa

stylistyczną albo plombę ukaże, urobioną nijako ze zdawkowych artystycznie trupich powiedzonek, czuję klęskę najhaniebniejszą: zerwanie z tworzywem. - A wtedy twórczość? Ustąpiła miejsca kleceniu, łatwej namiastce trudów poetyckich.

Ale posłużmy się przykładem! Oto zdanie głośnego poety, wydrukowane w miesięczniku poetyckim:
“Artysta starej wsi, który **przechodzi do porządku dziennego nad** nowymi życiem, ujawnia swoje właściwe stanowisko z **punktu widzenia** (!?) i artystycznego i ideologicznego”.

Przykładów nietwórczego korzystania z błędnych i szpetnych oklepanek można by zgromadzić bezlik. Spieszmy się jednak i uogólniajmy.

Nowe myśli nie dostają nowej formy. Śmiałe myśli duszą się w mazgajskich gnuśnie powtarzanych frazesikach. Twórcy zaś i wypowiadacze śmiałych myśli zdają się nie pamiętać, że oklepane do ostateczności zwroty językowe, a tym bardziej powtarzanki żargonowe*, nie tylko estetycznie brużdżą uczciwej myśli, lecz także zrozumienie nowości utrudniają, skoro czytelnik przywykł z banałem językowym kojarzyć niezajmujące, obojętne, niewarte przemyślenia banały treściowe, że zaś nowość, w nowej i pięknej wchodząc szacie, łacniej “oczom i duchowi przypadnie”.

Pomyśli Czytelnik że przecież poezja, zwłaszcza poezja postępowa, wyrzekła się stanowczo oklepanek, a każdy jej okruszek jest jakąś metaforą, jakimś objawieniem nowości. Stare formy rozbito! Konstruujemy tj. czynimy coś wyższego i wielekroć cenniejszego od staroświeckiego tworzenia!
Otóż samochwalstwo chwili i chwilowych poetów. Nie jestem ślepy: widzę i podziwiam świetne zdobycze kilkunastu przednich talentów. Ale widzę, także mnóstwo sromotnych niedociągnięć, widzę językowe niedołęstwa.

Gdyby malarz osłabł nagle podczas tworzenia malowidła i zostawił w którym miejscu płótna pustkę, wystarczyłożby przylepić na tej pustce strzęp gazety albo i banknot stuzłotowy, by obraz uratować? Wcale nie. Nieartystyczne pochodzenie łaty, obcość jej jako szczegółu martwego i wierutny kłam formalny musiałyby chyba drażnić i odstręczać, lecz nie mogłyby wzbudzić uciechy estetycznej, która wynika z szlachetności tworzywa i tworzenia, z możności całkowania, z paradoksalnej na pozór jedni wśród wielości i wielości w granicach jedni.

Jednię trzeba odróżniać od jednostajności, jak zdrowie od choroby. Pamiętam rozmowę, którą toczyłem ze znanym dziś powieściopisarzem i podróżnikiem, podówczas, przed piętnastu laty, młodziutkim, pierwszych kroków próbującym... poetą. Przyniósł mi i odczytywał mnóstwo sonetów, przepojonych na wylot Staffem. Kiedym się przeciwstawił chropawemu i, jak czułem, nieuzasadnionemu porządkowi słów, pan Jerzy bronił go “wzorowością rytmu”. Szło mu o to, by druga, pośredniówkowa część trzynastozgłoskowca w każdym utworze trwała na wzór wiersza początkowego albo trójstopiem trocheicznym albo dwustopiem amfibrachicznym. Niezmiennie. Nazywał to rytmicznością. Nie przekonałem go wówczas, że rytm klasyczny jest także, “jednią wśród wielości i wielością w granicach

jedni”. Odszedł, jak był przyszedł, zwolennikiem i uprawiaczem monotonii.

Monotonią rzadko dziś grzeszyć się wydaje mowa poetycka. Raczej przeciążenia szczegółami, raczej nadmiaru wystawności lękać by się należało. Lecz stały nadmiar jest właśnie monotonią.
Dojrzałej, męskiej oszczędności dosłuchasz się jedynie z ust poetów nielicznych, ale najtęższych. Są to pisarze, którzy język przemyśleli, a przemyślawszy, już się go wycudaczać nie starają. Ci zwyciężą.

Przemyśleli, dobrze wprzód przesłuchawszy. Słuchają zresztą stale. Nie spotkasz w ich utworach zestawień fonetycznych niewymawialnych*, rymów niby różnych, a w istocie sąsiednim parom rymowym tak podobnych, że za ich odpowiedniki ujdą i nie urazi cię przypadkowe, w żaden cel nie wymierzone gromadzenie jednakich albo zbyt podobnych samogłosek czy spółgłosek. Są to słuchowcy, ludzie do tworzenia z materiału językowego (a więc akustycznego!) osobliwie uzdolnieni.

Materiałem językowym nazywam wielowartościowe ciało języka: brzmienia same w sobie, słownictwo, znaczenia, możliwości składni i szyku, możliwości odmienni itd.
Słownictwo poeci niektórzy przykro ubożą. Uroili sobie, że np. wyrazy “nieaktualne” tj. nie spotykane teraz w mowie miernego mieszczucha są poezjoburcze. Że “poświata” musi trącić “młodopolszczyzną”, choć to taki sam odpowiednik czasownika “poświecić”, jak aktualna “oświata” czasownika “oświecić”, lub “oświecać”. Uroili sobie, że nowoczesnością od razu uderzy i każdego czytelnika zachwyci byle żargonowy “spec” lub “żelbet”, i darzą nas takimi “efektami” bez żadnego niepokoju o rasowość i kulturę polszczyzny.
A przecież wyklinana młodopolszczyzną nie za odosobnionym kusztyka wyrazem! Jeśli się we wierszu rozmazgai

nokturnowa poświata, co srebrzysta idzie
po ziemi tej stęsknionej w gwiaździc jasnowidzie,

to ani Młoda Polska temu nie jest winna, ani poszczególne wyrazy: grzeszą kombinacje wyrazów, odpowiedniki nijakiej, bo nie przeżytej, wtórnej, ze słów tylko płynącej treści. Niby-treści.

Kto z materiału językowego świadomie wyraz poetycki własnemu człowieczeństwu tworzy, musi odczuwać głód języka, głód słowa, dźwięku, rozwartej, jawnej etymologii, nowej składni, świeżej znaczenni, metafory.

Przykro jest i klęska niemal pewna, jeśli poeta mało wie o języku. Wobec “świadomego pisarstwa” jakże śmieszni ci wszyscy, co język tak tylko słyszą, jak maszynista gwizdek zwrotniczego. Powierzchownie. Gdybyż wiedzieli, co tkwi pod skórą wyrazów! Gdyby choć dwieście słów rozcięli, w głąb, w etymologiczny sens

wejrzeli! Sądzę, że podpatrzenie (a nie nawykowe tylko i bezwiedne używanie) tego, co się w ciele żywym polskiej mowy dzieje i działo (językoznawstwo widzi poprzez wieki!), nawiodłoby niejednego poetę na cudne możliwości twórcze. Zrozumiałby i odczuł, że przylepienie czy przyszpilenie do zdania świetnej, najświetniejszej nawet metafory nie wystarczy polskiej sztuce. Natura polszczyzny, obejrzana mądrze w iściźnie faktów językowych, podziałałaby na osobowość poetycką, jak pejzaż na kliszę fotograficzną. Wdrożyłaby, pobłogosławiłaby tworzenie z niepodrabianego materiału językowego. Reszty dokaże "iskra boża", której przecież, choćbyśmy stanowczymi byli pozytywistami, całkiem z natury poetów nie wykarczujemy. Może ją tylko inaczej nazwiemy. Lecz o to mniejsza.

Język nawykowy, język formułek i szablonów nie jest językiem artystycznym. Językoznawstwo wyśledziło drogi, którymi język doszedł do formułek. Znamy przyczyny, znamy linie zmian. Nie śledzić kauzalistycznie, ale konstruować celowo: oto zadanie stylisty-poety. Ta właśnie celowość poetyckiego wysiłku chroni od unormowania naszej mowy rygoryzmem i dogmatycznością "zasad" gramatycznych. Zresztą gramatyka nie jest równa gramatyce. Płytka, doktrynerska pseudogramatyka zna tylko reguły (i zabawne "wyjątki"), a działać chce absolutystycznie: być nienaruszalnym, wiekowym prawem, wykraczającym przeciw najzdrowszej nawet ewolucji, nie uznającym prawa innego, prawa twórczej indywidualności. Gramatyka estetyczna jest gramatyką i wraz estetyką. Gramatyką głęboką, językoznawczą. Estetyką czującą. Co celowe, to dobre i piękne - chcielibyśmy powiedzieć w jej imieniu. Lecz tu od razu zastrzeżenie: okiem, które ogląda cele artystyczne, obejmuje gramatyka estetyczna także język. Wzajemne poszanowanie celów artystycznych i rodowitości tworzywa sprawia, że cele nie żegą anarchii, prawo zaś nie zakazuje nowych celów.

Jedno rzecz pewna: nie może powstać poemat z owych łat gazetowych, z formułek i szablonów mownych. Praca nowoczesnego, poważnego pisarza jest bacznym i odpowiedzialnym tworzeniem wyrazów człowieczeństwa z rzetelnego materiału językowego, tworzeniem takim, które nie zniesie wstawiania w ciało budowli gotowych, Bóg wie skąd zniesionych, niestylowych fasad, okien czy wykuszów. Żąda przetrawienia artystycznego każdej cząstki zdaniowej, każdego słowa, każdego niemal składnika fonetycznego. Bo ten jest jeden, ale konieczny warunek jedni wśród wielości i wielości w granicach jedni.

R. III nr 7

KILKA MYŚLI O POECIE, KRYTYKU I CZYTELNIKU

I

Wydawanie książek poetyckich w dwustu egzemplarzach to nie tylko fakt bibliograficzny. Bywa, że się poeci małą ilością egzemplarzy chwalą. Bywa także, iż krytyk stwierdza tę znikomą ilość bez przykrości lub nawet wtyka w recenzję rozumowanie: “Setka, licząc okrągło, działa w Polsce poetów. Ci książkę kolegi z ciekawości kupią. Reszta, pomijając tak zwane egzemplarze obowiązkowe, rozejdzie się po redakcjach ważniejszych czasopism. Nie zmarnuje się nic”. Przedmiotowe ujęcie rzeczywistości? Może. Ale i dowód, że wobec małego i niemal kastowego już pokupu książek poetyckich jesteśmy co najmniej chłodni.

II

Recenzentów rozróżniam dwojakich: poetów i niepoetów. Poeci piszą o poetach czasem zajmująco, czasem tylko złośliwie. Nie wiem, czy złośliwością nie wyłazi z nich sobkostwo lub coś sobkostwu podobnego: egometryzm, mierzenie sztuki cudzej łokciem własnych możliwości, własnych nawyków twórczych i upodobań. Gorszy i brzydszy od egometryzmu jest egoizm. Lecz tylko egoizmem (jednostkowym lub grupowym), tylko grubą zazdrością wytłumaczyć mogę wzgardliwe, poniżające “osądy” książek oczywiście i niezaprzeczenie śmiałych, zdobywczych i pięknych.

Niepoeci? Różnie tu bywa. Są i tacy, co kiedyś próbowali pisać wiersze. Nie udawało się, nie szło, więc rzucili pióro orle, a chwycili się gęsiego albo wręcz metalowego i wyładowują się gromieniem ekskolegów.

Mierny dziennikarz, osobliwy specjalista wszystkiego oblewa książkę i poetę sosem oklepanych frazesów, a gdy płatny od wiersza felieton jeszcze nie dość napęczniał, faszeruje go np. cytatami lub, co gorsze, naiwnymi streszczeniami. Zauważyłem, że ganienia bywa dziś w recenzjach gazetowych mniej, niźli bywało dawniej. Ale szkodliwsze bodaj od ganienia są frazesy, które nic nie mówiąc to jednak zdają się uparcie powtarzać, że poezja nie jest tematem poważnym. Czyżby istniała tylko po to, aby było o co zaczepić felieton?

III

Tak wśród recenzentów-poetów, jak wśród krytyków-nie-poetów są zacne wyjątki. Spotykałem i spotykam głosy poetów o poetach tak radosne, tak pełne entuzjazmu, a jednocześnie najświetniejszego, niezawodnego znawstwa, że czytanie recenzji uczy i zapala. A jeśli wolno przytoczyć i świecko zastosować słowa Biblii, przytoczę: “Gdzie się dwaj lub trzej zgromadzą w imię moje, jam jest” - mogłaby powiedzieć i poezja, ilekroć w zgodnym, nabożnym trudzie pięknotwórczym i pięknoznawczym zespoli się poeta z recenzentem, a najdzie ich obydwu i dopiero się nasłucha ktoś jeszcze trzeci.

Spotykałem i spotykam uczciwe, niekiedy w syntetyzujący zachwyt uchodzące

recenzje krytyków zawodowych. Jakże jednak rzadko. Częściej wytyki, kwaśne, przemądrzałe naciągania “ideologiczne” albo nawet próbą zgolą niedorzeczną, próbę prawowierności politycznej, społecznej, wyznaniowej. Z takiej próby pochwalony wyjdziesz czy zganiony, zawsze nie istoty sięgnięto.

IV

I jeszcze jedna jest metoda, jeden zapęd niby straszliwie etyczny, a naprawdę może tylko snobistyczny. Tak poeci, jak niepoeci powtarzają w recenzjach zrzędliwie, że poezji dobrej wcale dziś w Polsce nie ma, że istnieją tylko wierszopisowie średni, mierzwa pod daleką albo już idącą przyszłość.

Nie zgadzam się z taką opinią. Widzę i podziwiam świetne i najzupełniej europejskie, a przecież polskie książki i utwory. Nie wydaje mi się, by dziś większy był odsetek publikacji lichych niż np. w latach Młodej Polski. Myśmy tylko tamtej partaczyzny zapomnieli, a pamiętamy rzeczy dobre i najlepsze.

Nie wydaje mi się także, by poziom artystyczny obecnej poezji polskiej był niższy od poziomów zagranicznych. Znam jako tako poetów niemieckich, francuskich i włoskich, znam także (tych niestety z przekładów) angielskich, rosyjskich i innych, lecz nie widzę między nimi a Polską przepaści. Owszem, różnorodność poczynań polskich, mnogość indywidualnych założeń i stylów, znakomite u niektórych poetów zgłębienie i wyzyskanie potencjalnych zasobów polszczyzny, wielka rozpiętość tematyki, sięgająca od najskrytszych przeżyć osobniczych aż po grozę i potęgę sprawy dziejowej i kosmicznej - to podpory mego mniemania i odczucia, że poezja polska nie tylko żyje, ale się szczęśliwie rozwija i bynajmniej strojowi światowemu nie uchybia.

V

Poniżanie polskiej twórczości poetyckiej bywa ogólne i częściowe. Ogólnym płyną usta i pióra niezadowoleńców, których rozgrymaszenie przypomina przepieszczone albo chore dzieci. Częściowego rodowód brzydki: doktrynerstwo bojówkarskie, ślepe partyjnictwo.

Słyszałem już, a słyszałem właśnie od poetów, że Tuwim to kuplecista i kontynuator innego kuplecisty, Lenartowicza, że Przyboś megaloman i półgłówek, że Słonimski wyprany chemicznie z uzdolnień poetyckich, a Czechowicz bezmyślny naśladowca francuskich (czy tylko znanych “krytykowi”?) nadrealistów. Słyszałem, że Peiper się idiotycznie wygłupia, a poeci “Skamandra” żerują tylko na gnijącym trupie kapitalizmu, rozgłos zaś (niezaprzeczony) zdobywają hojnym opłacaniem i obdarowywaniem posadami przekupnych recenzentów.

Tymczasem Tuwim jest przednim, rodowitym poetą a rzetelny, licznymi i swoiście dojrzałymi owocami legitymowany wysiłek artystyczny Przybosia nie wyśmiewać każe tego twórcę, lecz szanować. *Okno bez krat* Słonimskiego mogło się spodobać i na pewno się bez łapówki spodobało Zawodzińskiemu (mnie się też podoba), a

utwory Czechowicza nie są wtórne, lecz wykwitły z bardzo ludzkiej i bardzo lirycznej osobowości. Znam poetę od dawna i pamiętam, że już pierwociny, które na wiele lat przed *Dniem jak co dzień* i *Kamieniem* oglądałem, bardzo były niepodległe i późniejszej technice, odrębnej tego pisarza skojarzeniowości, pokrewne. Peiper, choćby nie był nic innego osiągnął, już dlatego nie jest bezwartościowym wygłupkiem, że odważnie i logicznie przewietrzył zatęchłe, rutyniarstwem opancerzone gniazdka “poetyckich możliwości”. Skamandryci zaś, choćby właśnie peiperowcy zarządzali co innego, przedarli się przez tyle dziewiczych zakątków człowieczości i z takim artyzmem tajniki owe wypisali, że uważać ich za marne epifenomeny kapitalizmu, a nie dostrzegać ludzi ani (zróżnicowanego wedle osób) piękna może tylko zaślepieniec albo po prostu ślepiec.

VI

Gdyby nawet dzisiejsza poezja polska lichsza była od francuskiej czy niemieckiej, czyżby ją skutecznie w górę wiodły i na zaszczytniejszym poziomie umieszczały wieczne szukania wad i nieustanne przygany? Sądzę, że nie. Sądzę, że krytyk zalety raczej (a nie ma poezji bez zalet) i sam widzieć, i tym, co wzrok mają mniej uczony, poważnie i ochoczo pokazywać powinien. Boć tylko na żyznej glebie życzliwego czytelnictwa i tylko w cieple serdecznej współpracy poetów, krytyków i czytelników szlachetnieć mogą artystyczne płonki, rasowieć style i rodzaje.

Gdzie krytyka i czytelnik cieszyć się umieją poezją, tam ona rośnie śmiało, tam z przyrodzenia samego bujnieje. Ani jej wtedy dla dodania sobie animuszu nie wycudacza ważny społecznie twórca, ani się działalność potrzebnych poetów niej wyradza w ordynarną waśń konkurencyjną.

VII

Powiedział ktoś niedawno, że brak dzisiejszym poetom opiekunów, światłych i możnych mecenasów. Sądzę, że mecenasostwo winno dziś całkiem być odmienne od dawnego. W czasach, kiedy publicznością są lub mogą być miliony, a nie jak ongi nieliczni wybrańcy losu, mecenat musi być społeczny: drukowany.

Nowe zadanie rozwiązywać przyszło krytykowi dzisiejszemu: udostępniać książkę wielogłowemu narodowi, uczyć czytania, kształcić sensorium estetyczne, tworzyć je, gdzie go dotychczas nie ma. A krytykom zdaje się wciąż jeszcze, że istnieją po to, aby uczyć pisania poetów. Lecz i ty, poeto, nie po to jesteś poetą, byś - nie mówiąc niby nic o sobie - poniżał poetę innego, nie po to także, byś innego poetę tresował.

VIII

Życie nie polega na stawaniu do góry nogami przed Bogiem; praca kulturotwórcza nie jest boksem szyderstwa ani dziwaczeniem pseudoestetycznym. A jeśli do gromady szlachetnych tj. społecznie wartościowych pracowników należeć pragnie jednostka, która uprawia krytykę literacką, niechże choć to pamięta, że nie o krytykę dla krytyki idzie, ani o krytykę dla zabawienia półludków, łakomych zawsze

widowiska razów i czyjegoś padania na łopatki.

Odzyskać, a właściwie pozyskać nowoczesnych odbiorców temu kwiatowi literatury, którym jest poezja, mogą tylko krytycy radośni i afirmatywni. Nie dziur utworu szukać i dziury zwycięsko pokazywać, bo to i handełes potrafi, ale piękna i jego utajonych źródeł dopatrywać się i dopracowywać pospołu z rozciekawionym czytelnikiem winien w zdrowym i celowo zorganizowanym społeczeństwie krytyk. Że zaś nie rozciekawi ani nie zapali nikogo chłodny, próżen entuzjazmu referent (nie mówmy już o poniżaczach i o tępicielach poetów) to rozumiał jeszcze starożytny Cycero, kiedy pisał:

“Nie ma paliwa, które by tak było łatwopalne, iżby się bez podłożenia ognia zapalało. Nie ma też nigdzie duszy, która by tak była pobudliwa i do przyjęcia twego przekonania skłonna, iżby się mogła zapalić, jeśli do niej sam zapalony i płonący nie przystąpisz”.

R. IV nr 1

POŻEGNANIE MŁODOŚCI

"Wiek męski, wiek klęski..."
(A. Mickiewicz)

I

Tych wszystkich - a jest ich legion: zawistnych, niechętnych lub w mniemaniu swym skrzywdzonych - którzy przedwcześnie triumfowali, że Słonimski skończył się jako poeta, których przekonać nie zdołały liryki oraz wiersze publicystyczne, drukowane kolejno na łamach "Wiadomościach Literackich", niezawodnie zaskoczyć musiał, jeśli są bezstronni i wrażliwi, ostatni jego tom poetycki skupiający utwory z lat bez mała dziesięciu. Zbiór ów - to rekapitulacja niejako, finał i wydźwięk mijającej młodości, ów zenit, w którym przełamuje się dotychczasowy twórca, by oswobodzić się od mar przeszłości, by się z nimi **uporać** by je przezwyciężyć lub ulec pokonaniu przez nie. To moment przełomowy dla poety, moment południa: **dojrzałości**.

O*kno bez krat...* Kto zna wszechstronną działalność pisarską Słonimskiego, pełną pasji aż do zachłyśnięcia, entuzjazmu, naiwności i sceptycyzmu, temu nieobca będzie zawartość tych trzech wyrazów. Dla Słonimskiego, przypuszczać można, jest to jak gdyby **wyrwanie się na wolność** za pośrednictwem poezji, na wolność poza tym dla niego niedostępną w epoce, kiedy wali się świat wczorajszy, z którego wyszli ludzie jego pokolenia, tłocząc ich gruzami, a w męce, przemocy straszliwej, bezustannej walce powstaje ład nowy, ledwo majaczący, wstrząsany skurczami porodu.

W tych kilku słowach tytułowych mieści się cały tragizm tego liryka: poezja jest dlań bowiem, niestrudzonego bojownika o najprostsze prawa człowiecze, **jedyną** drogą ku swobodzie, której czepia się resztką sił, zachwycony i razem zdesperowany. Jest to również nigdy nie opuszczająca go żądza **wyłamania okna** ku strefom wyższym, czy choćby bardziej godziwym, gdzie **każdy** pierwszy lepszy z brzegu, gdzie byle jaki człowiek mógłby poczuć się sobą, nie spętany siecią administracji, idei obiegowych, nakazów, kłamstw konwencjonalnych i zakazów. Jest to wreszcie - a to przebija przez całą jego lirykę - ów wymarzony i zawsze z jednaką tęsknotą wspominany kraj dzieciństwa, ku któremu nawraca wzrokiem pełnym rozrzewnienia, powrót ku źródłom własnej osobowości, ku tym źródłom oczyszczającym i krzepiącym, w których zdarty przez walkę, przeżarty wewnętrznym ogniem entuzjazmu, pasji i nudy, zanurza się raz po raz, by się wzmóc na siłach, dorosły mężczyzna.

Szczupły, lecz wyjątkowo treściwy tom, ozdobiony pełnym smaku drzeworytem Janiny Konarskiej, zawiera 45 utworów. Nie podzielony przez autora na cykle, pragniemy - gwoli bliższej analizie i charakterystyce - w sposób dowolny nieco rozbić na szereg partii, zarówno ze względu na jakość wierszy, jak ich rodzaj. Książkę otwiera utwór zatytułowany *Odwiedziny poety,* pięć strof, a raczej stanc, o budowie neo-klasycznej (5 + 5, ostatnia linia mieści tylko człon pierwszy); z tą zwrotką parnasowską kłócą się nieco stosowane, zresztą dyskretnie, niepełne rymy (typu:

brzeżku - zmierzchu); zastanawia krótki oddech tego poemaciku, ładnie lecz trochę zdawkowo wystylizowanego (“burgund szacowny”), pewna zastygła akademickość, słowem. Z wierszem następnym wkraczamy in medias res zjawiska, które - z przekąsem lub uznaniem - zwykło się zwać “słonimszczyzną”. Na czymże ona tu polega? Naszym zdaniem, wiersz ten, brany oddzielnie, należy do najsłabszych zbioru, chociaż ów gatunek właśnie zyskuje autorowi największy rezonans; w utworach podobnych usiłuje on pełnić “służbę społeczną”. Jest to świetny artykuł publicystyczny, średnio rymowany, pomimo typowej dla poety rytmiki pisany raczej tokiem prozy, czyli tokiem fałszywym, wsparty w gruncie rzeczy o oklepankę dziennikarską, tyle tylko, że niepopularną w prasie oficjalnej. Zajmujące jest zwolnienie rytmu w kilku strofach (10-zgłoskowiec zamiast 13-zgłoskowca, umiejętnie stosowany), skądinąd doskonale znane z poprzednich tomów; nie jest to, zresztą, efekciarstwo, jak sądzą niektórzy, ni chwyt stylistyczny tylko: nie, to**zmiana oddechu**, gdyż wszystkie poezje tego autora, nawet najbardziej zewnętrzne, sycone są zmiennym i falującym **wzruszeniem**.

Wiersz ten, jak zwykle rymowana publicystyka Słonimskiego (by nie wspomnieć o nierymowanej) posiada **dużą nośność**. Sam styl jest tu zmącony. Spotykamy choćby “woń smakowitą”, typ epitetów, które Słonimski tępi u innych w rozmowie prywatnej (informacja z doświadczenia osobistego). Moglibyśmy wobec tego przymiotnika zastosować ulubioną autorowi **metodę pokpiwania**; nie uczynimy tego, nie dlatego, iż nie jesteśmy do niej zdolni, lecz że uważamy ją za nie dość godną, stwierdźmy natomiast, że Słonimski w wielu wierszach poprzedniego i obecnego okresy używa gatunku stylu, który nazwalibyśmy “stylem górnym”, umownym, podobnie, jak w “Comedie frangaise” od stuleci recytuje się w pewien ustalony sposób wiersz racinowski, ulegając złudzeniu, że w wieku XX dla poezji tego typu nieodzowny jest język specjalny. Stąd nadużycie podobnych epitetów.

Kołysanka z kolei łączy w jedno i stapia uczuciowca i pamflecistę (u dna jest to tym samym). Kombinacja miar metrycznych, żonglerskie niemal przerzucanie nimi, to “innowacja” przez Słonimskiego dawno wprowadzona i dzisiaj gruntownie przebrzmiała Trzeba to stwierdzić szczerze: kombinacja ta skłócona jest w samej istocie zasadniczej: poplątanie miar klasycznych, czy choćby tradycyjnych z wierszem wolnym stwarza w rezultacie typową hybrydę, rodzaj popisowy, lecz, pomimo elegancji, barbarzyński. Znany z kronik niezłomny pacyfizm, humanitaryzm zbyt uproszczony, stwarza w treści swej wiersz, unoszony napędem demagogizmu, do którego skądinąd zmusza Słonimskiego bezustanna walka o wartość idei dzisiaj głęboko niepopularnych. Razi nas tutaj **sztuczna prostota**, odpowiednik wspomnianego wyżej “stylu górnego”, nie pozbawiona, podobnie, jak on, wyrachowania i afektacji.

Bajka w chwili, gdy się ukazała, budziła zachwyt dość powszechny u mniej krytycznych czytelników. Jest to w samej rzeczy kicz, pełen deklamacyjnego rozczulenia, któremu - budząc aprobatę intelektualnego pospólstwa - zbyt często ulega ten nie dość zdyscyplinowany elegik. Spotykane podobnie jak uprzednio zmienne spięcia rytmiczne, a przy których w sposób symptomatyczny i godny lepszej sprawy trwa tak uporczywie poeta, to jedyna dyscyplina, jaką sobie narzuca. Styl

obniża się; autor nie gardzi epitetami z gatunku “purpurowo-grzywy” (koń z bajki); tu już przemawia przezeń tylko rutyna; opisowy dialektyk, jakim w niektórych, najbardziej wziętych swych wierszach, jest Słonimski, nie chce pojąć tej prawdy elementarnej, iż liryka (od czasu Safony choćby) **jest sztuką insynuacji**, a nie przesadnego dopowiadania. A przecież nawet tutaj spotykamy zdania (zakończenie strofy czwartej) bezpośrednio prawdziwe, spontaniczne, dotykalne, wstrząsające. Przy końcu poeta apeluje do małego chłopca, by odnalazł w następstwie “**słowa magiczne**” (podkreślenie nasze), te słowa, które mimo wszystko tak rzadko dostępne są Słonimskiemu, za którymi tęskni bezustannie, przystając raz po raz i cofając się jak przed widmem u progu czystej poezji.

Mróz jest ładny, lecz błahy; to jakby wiersz “albumowy”, z którego nie zostało nic poza powściągliwą swadą, poza samą nienaganną dykcją. *Znużenie* znów pisał elegik, którego dobrze znamy; marzeniem drzemiąc w wagonie powraca w dzieciństwo; lecz wędrówka lat męskich wiedzie z “samotności w samotność”; tu autor pragnie nie tylko już rozczulić, lecz nawet budzić współczucie i - pomimo wstawek mechanicznych - poniekąd mu się to udaje. *Romans astralny,* najdłuższy z wierszy tomu, niezależnie od pojedynczych ładnych i trafnych w wyrazie, a nawet silnych ustępów, wydaje się nam w całości poroniony. To mimowolna odbitka dawnych lepszych wzorów, przedruk z matrycy nieco zmienionej i bardzo zatartej. Rażą szablony myślenia, myśli-banały, myśli-trupy; przejmuje, jak zwykle u Słonimskiego, rytm wzruszenia, przyśpieszony, to znów zwolniony, a niekiedy zawieszenie jego jak oddechu.

Późna wiosna **-** wiersz pomimo wyraźności ulotny i niepochwytny, tą niepochwytnością, jaką zaznaczył niegdyś Iwaszkiewicz; utwór bardzo osobisty, rozdzierający mimo chłodu; bo jakże wiele chłód taki ukrywa swą oschłością, jak w pozornej obojętności pulsuje; **czyżby nieprzyznaniem się do klęski**? *Na śmierć poety* Majakowskiego, jeden z najsłabszych wierszy w zbiorze, pisany gwoli reprezentacji (“aby i mego głosu nie zabrakło”), podobnie, niestety, jak drukowany przed rokiem z okładem na łamach “Wiadomości Literackich” wiersz innego wybitnego liryka, Tuwima, po śmierci marszałka Piłsudskiego. *Rosjanka* posiada jedną strofę uroczą (czwartą); powstała jako margines podróży poety do Rosji sowieckiej. *Litery* **-** część pierwsza do strofy ósmej włącznie piękna i bezpośrednia w swej odpominanej anegdotyczności, po czym reszta się plącze: autor nie wiedział, jak wybrnąć, wadliwie, słowem, rzecz skomponował, czy też nie starczyło mu natchnienia. *Młodość* najlepszy może, lecz znamienny utwór, w którym poeta przeżywa boleśnie katastrofę swej dotychczasowej postawy - lirycznej i rebelianckiej - wobec rzeczywistego świata. *Protokół* (drukowany niegdyś w “Cyruliku”) bynajmniej niekabaretowy; imponuje w nim wspaniała odwaga cywilna paszkwilu, który, niestety, jest zarazem czymś w rodzaju rzeczowego reportażu.

Piekło i niebo **-** wiersz który, jeśli chodzi o jego zawartość treściową i ton uczuciowy, mógł był powstać w epoce pierwszych książek Darwina i młodości Augusta Comte'a, wiersz zatem gruntownie anachroniczny. *Annopol* uważamy za pomyłkę mimo siły wyrazu. Ślad - bardzo ładny, lecz w podobnym gatunku mieliśmy przed laty wiersze bardziej przekonywające... *Skrzydła* – pierwsza strofa mistrzowska, znamiennie

wyrażająca dla Słonimskiego właściwy mu stan odrętwienia, narkozy, półuśpienia, kiedy to poeta - człowiek samotny - budzi się z ciężarem snu na ołowianych powiekach, z gardłem wyschniętym, z goryczą na spalonych wargach, z językiem bełkocącym ciężko w ustach: dlatego tak bywa pełen swady, iż nie pozwala językowi temu samowolnie wygłaszać splątanych proroctw (nie zapominajmy, że jest z pochodzenia semitą, podobnie jak niżej podpisany). *Rozmowa z poetą* (tak mógłby nazywać się cały tom) - wiersz końcowy, to ostateczne przyznanie się do klęski; poeta nazywa się "niepotrzebnym"; jest to tragizm **bezdziejowości** Słonimskiego, chociaż określenie to wydać się może paradoksalne w zastosowaniu do liryka tak tematycznie aktualnego. Oto jest "wiek męski, wiek klęski".

Mija, minęło dawne upojenie, następuje tym straszliwsze otrzeźwienie wobec rozpasania narosłego świata. Słonimski bowiem, jeden z głośniejszych poetów polskich doby współczesnej, jest w gruncie rzeczy samotnym indywidualistą; ten niestrudzony publicysta nie dość jest uspołeczniony; zaprzeczyć się nie da, że w jego postawie bojowej przekornego "sprzeciwu" ("i proszę zapamiętać, że ja byłem przeciw"), jest sui generis heroizm; lecz równie wiele krnąbrności. Skąd się ona bierze u tak inteligentnego pisarza? Czyżby nie stąd, iż ponosi go to, co katechizm zwie grzechem pychy; iż nie zdoła on - pomimo odwagi samotniczego myślenia - w mierze dostatecznej z rzeczywistą odwagą, która niewątpliwie musiałaby być bezczelnością duchową wysokiej próby, konfrontować samego siebie w trudzie codziennym z bezustannie formującym się światem, że słowem, nie dość wnikliwie poeta ten **siebie weryfikuje**? Poprzestaje na micie własnego dzieciństwa, na "kraju lat anielskich", z którym niezgodny jest - gdyż zgodny być nie może - świat obecny, kraj lat męskich. Ta bezdziejowość, jak ją nazwaliśmy chyba nie bez umotywowania, wstrząsa nami do głębi: lecz ci, którzy nadchodzą i poczynają nas luzować, od postawy takiej odwracają silniejszy może, a na pewno prostszy wzrok. I to jest największa klęska Słonimskiego jako poety i człowieka.

II

Nie omówiliśmy dotychczas połowy nawet wierszy tomu; uczyniliśmy to celowo: niektóre z nich opuszczamy w ogóle, jako ładne wprawdzie, a nawet poniekąd wartościowe, lecz mniej istotne, gdy chodzi o zasadniczą charakterystykę ostatniego okresu autora jako poety; inne poddamy analizie obecnie, gdyż w przeglądzie naszym - z konieczności sumarycznym - usiłujemy kroczyć wraz ze Słonimskim linią wstępującą, by dotrzeć do szczytów obecnej jego liryki.

I otóż wiersz *Niemcom* wywodzi się z tej samej tendencji, która niegdyś, przed laty kilkunastu, kazała mu w formie stroficznej umiejętnie podrabiać Teofila Gautier (jego *Sztukę*), tendencji łączącej chłód, dźwięczność i patos. Objawem tendencji tej w zbiorze niniejszym jest omawiany już z początku wiersz wstępny (*Odwiedziny poety*) oraz, w pewnej przemianie, *Niemcom*. Mamy tu publicystykę wyniesioną na poziom retorycznej wzniosłości, z rodzaju tej, jaką przez całą długoletnią twórczość uprawiał Wiktor Hugo, poeta niewątpliwie bliski Słonimskiemu. Autor bierze tu w obronę wolność myśli ludzkiej, broni w osobie Archimedesa wiecznotrwałej godności wiedzy przed najazdem zamierzchłych barbarzyńców i tych, którzy nadchodzą dziś lub nadejdą jutro. Jest to zatem coś w rodzaju przypowieści; finał jest znamiennie tragiczny: poeta odrzuca ostatnie złudzenie, głosi jak eklezjasta, znikomość

wszystkiego, spowiada się w zdaniach nadto poprawnych, w których nie znać rozjątrzonego serca, z **nihilizmu**. Tą nienagannością próbuje jakby zagłuszyć, zamaskować nurtujący go dogłębnie niepokój.

Matko Europo to wzniosły i bolesny persyflaż, skądinąd częściowa trawestacja *wiersza Do matki Polski*, która Zawodzińskiego zaprowadziła na fałszywe, zdaniem naszym, ślady, każąc mu widzieć w autorze *Parady* kontynuatora linii mickiewiczowskiej. W podobnych wierszach Słonimski zdradza typową postawę **inteligencką**, i nie trzeba być marksistą, by wyprowadzić z tego dość daleko prowadzące wnioski. Jest szlachetny, lecz zarazem przekorny... (,,...a w republice będę wielbił króla...”). **Trudno bowiem wyobrazić sobie Słonimskiego w świecie, który by zrealizował jego postulaty**, podobnie, jak Heinego; pragnąc liberalizmu, a raczej nawrotu do niego, nie zdaje sobie najwidoczniej sprawy, że tenże liberalizm doprowadził wreszcie do własnego swego bankructwa: poprzestaje, słowem, na objawach, przynajmniej w wierszach swoich, rzadko kiedy schodząc do praprzyczyn.

Powrót do natury te upajające dawne liryki Słonimskiego, które wszyscy, jego rówieśni, znaliśmy ongi na pamięć. Pierwsze cztery strofy są nadal zachwycające: jest w nich akcent prostoty i szczerości ludzkiej nie do podrobienia, jest w nich naprawdę serce czułe, tające jak wosk; nawet pewne zwroty staroświeckie, z lekka stylizowane (“Czy obok na poduszce czyjąś marzysz głowę...?”), nawet rymy naiwnie wymyślne typu “ferii-loterii” w tamte, dawno ubiegłe, powracają nas lata. Lecz - “to są stare marzenia”; odżegnywa się od nich poeta i... poczyna składać słowa wyborną rutyną zamiast zaufać nadal natchnieniu; zatem czytelnikowi pozostaje w wyniku skłócone wrażenie. *Nokturn* posiada strofy bardzo piękne, obawa snu, jak zapadni, tak znamienna psychicznie dla tego poety, znajduje tu wyraz przejmujący; podobnie poczucie obcości, **wyodrębnienia**, nie zwalczonego osamotnienia w najtkliwszej nawet miłości; ostatnia strofa - to czysty liryzm, ton, przed którym tak niesłusznie broni się Słonimski. *Warkocz Bereniki* **-** utwór zimny, poprawny, nieskazitelny, **wstydliwość uczuć**, skrytość serca, charakteryzująca każdego wielkiego liryka, każe tu Słonimskiemu tworzyć strofy tak niepokalane, że aż obojętne.

Zbliżamy się do wierszy, zdaniem naszym, szczytowych, do kulminacji, do liryki bezwzględnej, do owej najtrudniejszej dla poety, wspomnianej u wstępu godziny jego południa, do tej godziny, która rozstrzyga o dalszym być lub nie być, która, słowem, jest pasowaniem się o wielkość i z wielkością. Do takich triumfów metody lirycznej Słonimskiego zaliczylibyśmy bez wahania *Pożegnanie Czorsztyna;* odrobinę razić nas tu może pewna literackość (owe “leśne kaniony” nad Dunajcem), lecz całość jest w swym rodzaju manifestacją najwyższej klasy poetyckiej. Wspaniałym, całkowicie zamkniętym poematem jest z kolei *Noc gwiaździsta:* średni tok opowiadawczy, jak w powszedniej rozmowie, sprzyja temu monologowi elegijnemu, monologowi Hamleta - którego Słonimski jest niezrównanym mistrzem; to arcydzieło: zarówno pod względem nasilenia uczuciowego, wersyfikacyjnego, rytmicznego, arcydzieło dojmującą wyrażające udrękę.

W *Nocy pochmurnej* zawarty jest niejako cały “program” liryczny tego poety; cóż

można powiedzieć o trzech strofach tak skończenie pięknych prócz zaznaczenia podziwu? Tu wreszcie widać, kim jest prawdziwy **Słonimski-poeta**: to poufny elegik, który niekiedy aparatem pojęć, obrazów, kunsztownie regulowanych rytmów, i least non least, haseł stłumić usiłuje uczucia, jak westchnienia, cisnące mu się na wargi, i przybierające brzmienie melodyjnej harmonii, bardzo gorzkiej harmonii. Podobnie pierwszorzędnym poematem jest *Inwokacja,* w I strofie, czy raczej partii, znajdujemy jeszcze zdania, które mówi nie tyle poeta, co retor (Słonimski jest nim również), lecz w następstwie wiersz, uniesiony falą wielkiej wzniosłości i tortury, nieskazitelny w wyrazie, a przecie pełen powściąganej pasji, zdobywa to, co dane jest znikomej ilości wierszy polskich: ów elan, który nas wraz ze sobą unosi ku konstelacjom, ku ich sądzącemu wyrokowi; zakończenie pomimo odrobiny dydaktyzmu jest jak hamowany płacz, jak szloch, wyrywający się spoza zaciśniętych ust, jak rąk bezradne rozłożenie; ecce poeta.

Lustro, wierszyk maleńki, uznalibyśmy chyba za najpiękniejszy z tomu, gdybyśmy się nie obawiali zarzutu, że takiemu “drobiazgowi” przypisujemy tak znaczną wagę; lecz jest to wiersz istotnie doniosły i kluczowy niejako dla całej liryki Słonimskiego, a zwłaszcza dla obecnego jej okresu. Te trzy niewielkie zwrotki - to jeden dreszcz, dreszcz skupionej grozy, jakby febrycznie po plecach zbiegający; istnieje taki obraz Jacka Malczewskiego, w którym kobieta klęczącemu mężczyźnie zapuszcza w oczy przymknięte palce, okrutne i łagodne, nie wiedzieć, ku ślepocie, czy przejrzeniu? Tu oto klęknął poeta i przed pustym zwierciadłem ujrzał - śmierć, twarz własną i obcą, niemal wrogą; tu zdarł z siebie maskę. Myśleć wolno, że tyleż kosztowało go przezwyciężenia złożenie tych niewielu wstrząsających słów, co ich wydrukowanie. Takie samo **dno osobowości** oglądamy, przerażeni, w *Chorym sercu świata;* wiersz wolny, trzymany silnie w drżącej dłoni, Osiąga tu patos rozdzierający; cierpiący człowiek bez maski bierze dłonią ziębnącą akord pół-głuchy, by nie musieć ulec milczeniu; sztuka staje się “falą, co wzbiera”, heroiczną falą ukojenia; w takich słowach przemawia wielki i nieubłagany artysta - nie głosiciel, bojownik, żongler, satyryk, ni apostoł-artysta, który wie, że składamy tylko wyrazy, że zlepiamy jeno dźwięki, w których nie może być wyzwolenia.

Białe noce (na tle wrażeń rosyjskich) - wiersz piękny o świetnym toku jambicznym: hołd, oddany Mickiewiczowi, godny go, atmosferze jego młodości, jeden z najlepszych polskich wierszy okolicznościowych doby powojennej (okolicznościowy w znaczeniu istotnym, o którym mówi Goethe). *Hamletyzm* – jedno arcydzieło więcej; oto jak należy, jak winien sam Słonimski pisywać wiersze “aktualne”, to znaczy po prostu dźwignąć je **poza** zagadnienie ku wartościom ogólnoludzkim, nie zatracając osobistego akcentu; tu tego wszystkiego dokonano w sposób mistrzowski. Skończenie piękny jest, również *Koncert skrzypcowy;* liryka, oto wszystko, co da się sumiennie powiedzieć. *Nie wołaj mnie* - to ów szept przenikający, o którym gdzieś wspomina Słonimski: wiersz dojmująco tragiczny, streszczający powołanie prawdziwego poety.

To wszystko; to bardzo wiele; Słonimski żegna się z młodością; dojrzały w pełni, zawsze jeszcze nie pojednany ze światem i ze sobą, może znów nam po latach ofiaruje tom wierszy. Formy poezji ulegają zmianie; lecz to będzie po prostu poezja.

Poezja, która przyznaje się do klęski i jedna nas z sobą poprzez tragiczny w istocie triumf sztuki.

R. IV nr 3

BOLESŁAW LEŚMIAN 1878-1937

Pieśń “od wnętrza zieloną, a po brzegach kwiaciatą” wyśpiewał upiór dębowy samemu Bogu, kiedy zstąpił do wiejskiego kościoła na wysłuchanie jej i pogrążenie się w niej swą bezkresną duszą i swym **bożyściejącym** jestestwem. Pieśnią od **wnętrza zieloną**, bo zieleń to symbol bytu samego w sobie, niepoznawalnego pod pianą zjawisk, pieśnią zatem pełną metafizycznych dociekań, mitotwórstwa i zamyśleń nad istotą świata i rzeczy, a zarazem **kwiaciatą**, bo strojną w niebywały przepych słowa, barwy, kształtu i dźwięku, jest twórczość Bolesława Leśmiana w okresie najwyższego jej szczytu, kiedy tworzył *Łąkę,* największe osiągnięcie artystyczne polskiej poezji powojennej. To, co ją poprzedza, twórczość lat młodych, zebrana w ogłoszonym przed wojną *Sadzie rozstajnym,* jeszcze dość ścisłymi węzłami związane z okresem, w którym powstało, a więc z okresem Młodej Polski, dobą symbolizmu i modernizmu, w szczególności z miriamowską kaplicą czystej sztuki, z “Chimerą” i jej programem artystycznym. Ale i tutaj już nawet, po głębszym wniknięciu w nie dość może jeszcze skrystalizowaną ale odrębną postawę poetycką *Sadu rozstajnego,* ujawniają się zarysy konstrukcji poetyckiej późniejszej *Łąki,* jedynie talent poetycki Leśmiana okrzepnął potem znakomicie, koncepcje metafizyczne nabrały wyrazistości i spoistości, jednocząc się przy tym w swoistą całość, dla której odrębność treści i formy przestaje istnieć, bo rozpływa się w harmonijnym zespole wszystkich czynników, składających się na jedność dzieła poetyckiego: z językiem, ze stylem, z owym przedziwnym słowotwórstwem Leśmiana i pełnią ekspresji poetyckiego wyrazu.

W *Łące* zatem dopełnia się całkowicie świat poezji Leśmiana, a jest to świat mitu, wyłoniony z kopulacji realizmu tęgiego, okrzepłego, umiejącego słowem twórczym wszystko wyrazić, uwypuklić, udźwięcznić z myślą nastawioną na istotę bytu, na proces mijania, na fantomy kategorii czasu i przestrzeni, na rozdział i rozgraniczenie bytu i niebytu. Wędruje więc poeta **topielec zieleni** - “z obłoków w obłoki”, bowiem “zapragnął w niecierpliwej żałobie zwiedzić duchem na przełaj zieleń samą w sobie”.

Ale jest jeszcze drugi aspekt tej twórczości, zapatrzonej w niepojętość wszystkoobejmującej zieloności. W świecie zjawisk i rzeczy mieszka wszak niepojęte, skurczem rozkoszy oszołamiające szczęście człowieka, szczęście każdej bytującej istoty, szczęście pełne piękna, bo bogactwem form i przepychem barw, kształtów “i dźwięków roi się świat zjawisk, ale i grozy, bo je lada moment może skrócić śmierć, czyhająca pod każdą niemal jagodą, śmierć, w której stronę popycha istność każdą irracjonalna, ślepa żądza przemian. I oto z tego aspektu na świat, z tych rozległych perspektyw życia, śmierci i bytu wyłania się wspaniała operująca wszelkimi środkami dostępnymi poecie, dla którego słowo jest naczelnym środkiem ekspresji artystycznej, deskrypcja świata, wszechstronna, niebywale bogata opisowość *Łąki*.

Niektóre z cech głównych *Łąki* nabierają jeszcze większego znaczenia przy rozważaniu *Napoju cienistego*, ostatniego za życia ogłoszonego tomu poezji. Nad innymi bowiem motywami, nad innymi pomysłami i wątkami panuje i w *Napoju cienistym* świat mitu, mitotwórstwo, demonologia poety, który przekształca w

szeregu poematów dawne, lub tworzy nowe mity. I tu także metafizyczna myśl poety chce się przedrzeć poza dostępne ludzkiemu myśleniu kategorie, ale czyni to z jeszcze większym natężeniem, pragnąc przedostać się tam, gdzie jest “możliwość innej jawy niż jawa istnienia”, nie ochrzczona słowem czy pojęciem, bezczłowiecza bezdeń, pozarealność. I tu także z większą tylko wyrazistością poeta tworzy pod obsesją czasu, pod persewaracją mijania i tutaj też geneza fascynującego, uroczego słowotwórstwa poety, ów zaborczy, zachłanny stosunek do słowa skonfrontowanego najściślej z treścią pojęciową, którego samoistność, samowystarczalność, pełna autonomiczność znamionuje najdobitniej swoistą, osobliwą postawę poetycką Leśmiana.

I jest jeszcze jeden przedziwny zarysowany już w *Łące* ale w *Napoju cienistym* zdecydowanymi liniami wyznaczony horyzont tego ostatniego etapu twórczości wielkiego poety. Życie osobnicze człowieka w miazdze okalającej je rzeczywistości trwające, cykl istnienia musi się dopełnić. Tragizm osobniczy bytu jednostki, tragizm skończoności, śmierci i zatraty wyraża się tutaj dwoma ewentualnościami! rozwiązań. Czyżby życie za grobem? Błahe, szare, wypełzłe i coraz bardziej zatracające się istnienie świadomości z jałmużny doznań ziemskich, świat zagrobowy, cmentarny? Cierpkim humorem, swoistą groteską odznaczają się wiersze zrodzone z takiego ujęcia śmierci, poezje, tchnące wonią kwiatów cmentarnych, wieńców nagrobnych, palących się, świec, butwienia i gnicia. Ale droga od tych przejmujących o śmierci rozważań wiedzie jeszcze indziej i że tak rzec wyżej. Wobec wiekuistego, nierozwiązalnego, powszechnego a tym samym nieistotnego tragizmu śmierci - tragizm jest stanem wyjątkowym - może narodzić się humor ostatecznych przezwyciężeń. I rozwiązuje się zawiązana tragicznym węzłem historia dwóch Maciejów - w ostatnim poemacie przedśmiertnego zbioru - w komedię ostatecznego zwycięstwa przez śmierć:

“Rzekł jeden: Noc nadchodzi. A drugi rzekł: Dnieje”.

*
* *

Tak zatem dwoma możliwościami rozwiązań: nocą i dniem zamyka się wspaniała twórczość poetycka Bolesława Leśmiana, jednego z największych poetów polskich, poety, jak trafnie zauważono w jednym ze wspomnień pośmiertnych, **absolutnego**, jednego z najdoskonalszych **oddaleńców**, od którego nikt lepiej, a mało kto równie pięknie, potrafił wyrazić to niepojęte szczęście, jakie mówiąc Jego słowami spływa na człowieka, kiedy “dłonią Boga szukającą natrafi na gniazdo ptasie lub kwiaty jaśminu”.

R. V nr 5

O POECIE

Łamałem właśnie w drukarni gazetę, kiedy przybiegł chłopiec:
- Telefon do pana...
- Kto mówi?
- Ten pan nie chce powiedzieć swego nazwiska.
Zaintrygowany podszedłem do telefonu. Była to rozmowa rzeczywiście pełna niepokoju. W słuchawce usłyszałem głos niski, melodyjny, jakby z lekka zasmucony.

- Pan Domiński? Mówi Bronisław Michalski, ale cóż, ja pana nie znam, pan mnie nie zna... - Po tych słowach nastąpiła cisza. Gdzieś w nieznanym punkcie miasta Bronek, uwieszony przy aparacie, raz i drugi ciężko westchnął. Musieliśmy się jednak jakoś poznać. Opisał mi swój dokładny wygląd. Kiedy w kilkanaście minut później spotkaliśmy się w mieście, byłem z lekka nim onieśmielony. Bronek, o którym w Lublinie chodziły legendy, o którym toczyliśmy niejednokrotnie długie rozmowy, Bronek od dawna narysowany w mojej wyobraźni, odbijał zupełnie jaskrawo od Bronka żywego, realnego, ściskającego w tamtej chwili moją dłoń. Spod okrągłego kapelusza patrzyły na mnie bez cienia niepokoju piwne, wesołe oczy. Na twarzy jego grał lekki uśmieszek. Tamten pierwszy strach z przestrzeni między telefoniczne j zginął bezpowrotnie. W parę godzin później byliśmy już zażyłymi przyjaciółmi. Bronek przyjechał do Warszawy. Miał szerokie plany. Każdy kieliszek odsłaniał coraz szersze, coraz bardziej jasne horyzonty. W pewnej chwili złapal mnie za rękę:

- Wiesz, muszą sprowadzić do Warszawy Samuelka. Będę go utrzymywał. I Kazia Wójcika - dodał po chwili - co oni będą robili w tym Lublinie...? Rozpiją się tylko z nudy. Podszedł kelner i wytrząsaliśmy z kieszeni ostatnie monety na zapłacenie rachunku. Bronek był wiecznym fantastą. W latach następnych, gdy zamieszkał z nami, poznawaliśmy Jego nagłe emocje, olśnienia, pomysły. Żył chwilą. Porywały go światy nierealne, marzenia dalekie. Niesłychana wrażliwość podsuwała mu ciągle nowe pola widzeń, odsłaniała przed koncepcje niemożliwe do spełnienia, ale mające jakiś czar magiczny. Jego humor, ujmujący sposób obejścia, serdeczność sprawiały, że wszyscy go lubili, otaczali szczerą przyjaźnią. Miał szczęście do ludzi. W sobie tylko wiadomy sposób umiał zjednywać świat. Ale obok pogody uśmiechów, prócz cygańskiego romantyzmu, tkliwych i sentymentalnych nastrojów, które wywoływał, były w nim inne sprawy, groźne, tragiczne.

Nie zapomnę nigdy tej sceny, jak raz przyszedł do mnie Stasio Piętak, prosząc, bym mu pomógł Bronka zaprowadzić do domu. Siedział w jakiejś podrzędnej knajpie kompletnie nieprzytomny. Zrobił na mnie wówczas wstrząsające wrażenie. W tamtej chwili pojąłem, że przyczyny pijaństwa Bronka wywodzą się z głębokich urazów psychicznych. Ta twarz zazwyczaj młoda, piękna, postarzała nagle, wykrzywiona grymasem bólu. W oczach czaiło się zwierzęce przerażenie. Ręce bezwładnie opuścił na stół takim gestem, jakby spadł nań niespodziewany cios i znikąd już nie mógł oczekiwać ratunku. W tym stanie obnażenia wewnętrznego szło od niego wielkie cierpienie. To nie był człowiek pijany.
Po raz pierwszy pomyślałem wtedy o nim inaczej niż się myśli o miłym przyjacielu.

Przed kilkoma dniami, w Dzień Zaduszny, z Wacławem Iwaniukiem pojechaliśmy na cmentarz odwiedzić mogiłę Bronka. W długim szeregu grobów ten jeden wydał się nam najbardziej opuszczony. Z kamiennych płyt, z kopców ziemi, szły łuny świateł, wieszając się obnażonych gałęzi drzew, czerwieniąc szumiący jesienią na ścieżkach liść. Wszędzie było pełno ludzi. Tablicę na grobie z nazwiskiem Bronka zmyły deszcze trzech lat. Znać na niej tylko niektóre litery.

Jak za życia był samotny mimo wszystko, tak i na cmentarzu czas począł zacierać ślady po jego istnieniu. I właśnie z tym się najtrudniej pogodzić. Wśród naszego pokolenia poetów mało było i jest takich, którzy by jemu mogli dorównać. Krytyka reklamująca z nadmiernym hukiem utwory w wielu wypadkach bardzo mierne, milczeniem zasypała jego pośmiertny tom wierszy. Ukazało się zaledwie kilka recenzyj i garstka wspomnień ogłoszonych w rocznicę jego zgonu po czasopismach przez najbliższych przyjaciół. A przecież Michalski był dużą indywidualnością poetycką. Wiersze Bronka nie potrzebują naszej koleżeńskiej legitymacji. Ich piękno do czułego czytelnika mówi samo przez się w sposób urzekający. Sam siebie nazywał czarodziejem ciszy i smutku, piewcą kwitnienia i śmierci. Śmierć w tych wierszach, gorzka konieczność przemijania mają metafizyczny wymiar. W spokojnych, opanowanych rygorem formalnym strofach tętni straszliwy żywioł, który latami całymi rozdzierał jego życie, aż je sprowadził ku dobrowolnej zagładzie.

Bronek był typem liryka prezentującego najczystszą, a zarazem najbardziej autentyczną poezję. Każde niemal słowo, każdy spadek zdania tkwił w głębokich, niefałszowanych źródłach przeżyć. Być może dlatego, że poezję nierozdzielnie związał z życiem, skończył tak tragicznie. Liryka była dla niego powołaniem wielkim i bezinteresownym. Jedyną, najwyższą wartością. W czasach dzisiejszych pełnych chaosu, gdy wzajemna nienawiść narodów zbroi społeczeństwa w hasła wzywające do walki człowieka przeciw człowiekowi, gdy sprawa sztuki przeniesiona została na daleki plan, on ze swoją naturą bluszczowatą, z temperamentem cygana-artysty, musiał zginąć. Może w naszej rzeczywistości był człowiekiem zbyt słabym, aby zapewnić sobie egzystencję. O tym myślałem stojąc nad jego mogiłą w trzecią rocznicę śmierci.

Ale myśleć tak nie można. Krytycy powinni wziąć do ręki tom wierszy Bronisława Michalskiego *Spotkanie z brzozą.* Ich rzeczą jest poznanie Michalskiego, uprzystępnienie tej przejmująco pięknej poezji czytelnikowi.

Byłby to jeden z czynów prawdziwie pożytecznych i pozytywnych.

R. VI nr 3-4

PRZYSPOSOBIENIE POETYCKIE

Przed dwoma laty Stanisław Czernik w felietonie o “poezji krajoznawczej” napomknął marginesowo, że w Chełmie jest “podchorążówka poetycka”. Obecnie już jej me ma, a absolwenci są w apollińskiej brygadzie z różną lokatą i awansem. Czy ich funkcje są ważne lub choćby coś warte, niech sąd wydają kompetentni. W paru wypadkach można tu postawić wróżebny znak zapytania, lecz przepowiednie nie są żadnym zapewnieniem i prawomocną kwalifikacją. Można za to bez omyłki i skrupułów zaopiniować szkołę, z której wyszli.

Żaden resort kultury nie ma tak samoucko przygotowanych pracowników jak literatura. Z dawien dawna wszystką zasługę i odpowiedzialność za walory literackiej majsterki zapisywano na rachunek iskry bożej. Tradycja i moda wymagały, by poeta był gościem jeśli nie niebios, to przynajmniej podniebia. Dopiero w naszych czasach wyrobiono i rozpropagowano pogląd i stosunek rozumny, naturalny i trzeźwy. Ale i dziś jeszcze bardzo często dla przeciętnego inteligenta poezja polska to romantyczna trójca wieszczów, znana z wypisów i ze... słyszenia. Jeśli coś więcej, to niewiele. Nie dziwota, że tak, skoro w naszych zakładach naukowych poezja została sponiewierana w funkcji utylitarnego dydaktyzmu, skoro liczni pedotribowie zamiast analizować konstrukcję metafory i koloryt poetyckiego obrazowania, wyszukiwali umoralniające aforyzmy, dłubali patriotyczny tynk “rozśpiewanej chałupy” polskiej i swojskiej.

A właśnie w prowincjonalnym Chełmie zaczęto inaczej. W pierwszą rocznicę śmierci Żeromskiego uczniowie tutejszego seminarium założyli koło literackie. Za pieniądze różnym przemysłem zebrane kupili pokaźny stosunkowo księgozbiór. Rzeczy współczesnych poetów i pisarzy polskich oraz obcych. Czytali, dyskutowali, recytowali systematycznie i gruntownie pod kierunkiem, przy pomocy i radzie nauczyciela. Jak w każdym zespole młodzieży, byli i tacy, którzy łapali za własne pióro. W innych warunkach prawdopodobnie pisaliby oni a la Lenartowicz. Tu jednak skamandryci, kwadrygiści i awangardyści byli dobrymi znajomymi. Ta znajomość obowiązywała.

Pierwszą liryczną jaskółką z tego gniazda był Jan Szczawiej. *Miłość tworząca* i *Gałąź czeremchy* są kunsztowną liryką szczerze doznanych przeżyć sfotografowanych subtelnie i poprawnie w starannych wierszach o wsi i jej niedoli, o przyrodzie i miłości. W rytmicznym kołysaniu inteligentnej zwrotki faluje spokojny, pogodny pejzaż psychiki wrażliwej na świat okoliczny, a jeszcze bardziej chyba na aspekty swej twórczości. Nawet w prometeizmie O *chleb powszedni* pilna dbałość o formę nienagannej wypowiedzi. Większym pożytkiem dobry wiersz, niż bezużyteczne zatargi z bóstwem.

Po Szczawieju debiutował Witold Kasperski *Dąbowymi progami* i *Falami mojej rzeki.* Światopogląd zbiorków w kolorze metafizycznych niepokojów. Nawet sprawy społeczne rozważane na płaszczyźnie obowiązujących norm religijnych i etycznych, choć ich rodowodu należy szukać gdzie indziej. Jest tu coś z chłopskiego instynktu, który szuka dla swej niedoli sprawiedliwości w instancjach wiecznych. Toteż zbiorki

Kasperskiego można zarejestrować do katalogu poezji chłopskiej.

Wacław Mrozowski ogłosił drukiem *Mosty nad życiem, Rzeczywistość* i *Dobranoc... dobranoc*... Te trzy zbiorki to notatki poetyckiego - w zdewaluowanym znaczeniu wyrazu - myślenia, poetyzowania. Liryka w popularnym wydaniu do użytku szerszej publiczności. Początkowo brawura i prymitywizm, potem eklektyzm tematyki i nastroju, szukanie swojego języka w słowniku znanych poetów, którzy istotnie smakują kwalifikowanemu czytelnikowi.

Staranniej już wybrał się w odwiedziny do poezji Zdzisław Popowski z *Pieśniami uroczystymi.* Chwilami może mniej uroczyście, a więcej patetycznie, ale rzetelnie i bez zakłamania sławiąc młodymi wierszami to, co sławić warto. Szeroką perspektywę pozamiejskiego krajobrazu, gdzie “maków czerwony taniec na smutne wzgórza się wdarł”; morze, na którego nocny szum “echem klęski odpowie miasto strzaskanych fregat”; chwałę legendarnych bohaterów i zawsze aktualnej bezosobowej sławy. To są rzeczy, o których pisałoby się dniem i nocą.

Pierwszeństwo w tej gromadce należy oddać Wacławowi Iwaniukowi, którego *Pełnia czerwca* jest szczelnie zmontowaną konstrukcją przedestylowanych obrazów o pięknych ujmująco i ujmująco prawdziwych wymiarach. Przemyślana a tym samym trafna metaforyka. Przy czytaniu w niektórych miejscach bierze oskoma przeczytać raz jeszcze. Tego nie można powiedzieć o wierszach wszystkich debiutantów, którzy ostatnio swoje zbiorki wydali.

A ileż to spośród tych zbiorków byłoby więcej coś wartych, gdyby ich autorzy mieli życzliwą radę, solidną naukę, która rozbrykaną elokwencję ujęłaby w dyscyplinę poszanowania słowa pisanego i odpowiedzialności za nie. A wtedy na pewno nikt by nie wymiatał śmiecia na rynek księgarski, bo widziałby jego brzydotę. A przy sposobności wychowałoby się rozumnego czytelnika, którego tak bardzo dotkliwie brak. Bo trzeba prawdę powiedzieć, że dziś poezję czytają jeśli nie zupełnie, to przeważnie tylko poeci. Jest przysposobienie wojskowe i rolnicze, przydałoby się i kulturalne. Także potrzebne.

R. VI nr 3/4

SPRAWY ELEMENTARNE

Ni stąd ni zowąd zjawiające się na łamach pisma pytania typu: po co jest sztuka? co jest elementem poezji? itp., jak w ogóle wszelkie pytania zbyt zasadnicze i merytoryczne, nie cieszą się u nas zrozumieniem i poważaniem. Przypisuje się je mentalności abstrakcyjnej, pedantycznej czy scholastycznej, a wywody i wnioski z góry osądza się jako nudne i niecelowe. Po co znowu zaczynać od Adama i Ewy? Życie i tak i zadecyduje mimo czy wbrew teoriom. Zagadnienia zostawia się pobłażliwie specjalistom od poetyk, profesorom uniwersytetu, z których równocześnie szydzi się po cichu, że dali się nabrać na kawał i zapędzać w ciasną uliczkę - formalistyki! Jeśli zaś takie pytania zaczną stawiać poeci, nigdy nie podejmuje się dyskusji, bo - szkoda się kłócić o słowa i prywatne widzimisię.

A jednak co pewien czas pytania takie zadawać trzeba publicznie, co więcej, pilnować, aby były rozstrzygane. Nieodzowne to jest zwłaszcza w momentach, kiedy obowiązujące formuły zbyt się już stały truizmami albo w momentach, kiedy relatywizm i tolerancja wobec każdej. opinii przekroczyły swą naturalną granicę. Pytanie o elementy poezji na pozór wydaje się łatwe a nawet banalne. Niemniej nie ma przecie jednoznacznych odpowiedzi. Pośrednio dowodzi tego praktyka poszczególnych kierunków poetyckich czy indywidualnych poetów. Można zaryzykować twierdzenie, że każda nowa poetyka zależna jest w swym typie od zasadniczej decyzji, co należy uważać za element poezji. I dzisiaj bodaj czy nie od takiego rozstrzygnięcia (dokonane być może ono intuicyjnie i nieświadomie) zależy przyszłość nowej poezji.
To powinno skłonić do dyskusji nad tymi naprawdę elementarnymi sprawami.

Zdaje mi się, że pod tym względem wyróżnić by się dało pięć głównych opinii. Według nich elementami poezji są: 1) artykułowane dźwięki, 2) miary rytmiczne, 3) słowa, 4) wyobrażenia czy pojęcia, 5) zdania. Rozpatrzmy się w tych sugestiach.

Jesteśmy nieraz świadkami zasłuchania się publiczności w wiersze w języku obcym (lub zbyt “czystym”), których nikt ze słuchaczy nie rozumie. Wystarcza widocznie sama strona dźwiękowa. Tuwim, opierając się na tych założeniach, tworzył swoje słopiewnie. Kiedy indziej byłem świadkiem, jak doskonały recytator Ronard-Bujański przez kwadrans powtarzał słowo: chlap! chlap! w różnych tonacjach, tworząc przejmujący dramat beznadziejnego marszu żołnierzy na wojnie. Na analogicznych przesłankach opierali swe niektóre manifesty futuryści, u nas swe “żabie ballady” Młodożeniec. Równolegle do tej poezji akustycznej poezja optyczna kombinowała graficzne układy wiersza w druku. Rozpoczął je bodaj Apollinaire (dyskretnie), a do absurdu doprowadził Strzemiński w tomiku Przybosia: *Z ponad*[!]. Cóż sądzić o takiej interpretacji “poezji”? Przede wszystkim jest tu pewne pomieszanie pojąć. Nawet najbardziej muzyczna czy graficzna poezja, jeśli działa, to dzięki rozlicznym skojarzeniom pojęciowym, które pojawiają się momentalnie, wypukane niejako dźwiękiem, tonem głosu, jego siłą itp. Ważniejsze nieporozumienie wynika z nierozróżniania takich odrębnych rodzajów sztuki, jak muzyka, śpiew, recytacja, poezja. Kiedyś rzeczy te stanowiły dość jednolity stop. Strona wydźwiękowa jest

ciągle sprawą zasadniczą przy utworach śpiewanych czy deklamowanych. Ale dziś domenę Muzy z czasów Homera rozdzielić wypadnie przynajmniej między 3-4 wnuczki Apollina. Obecnie kultywowana troska o muzyczną (onomatopeiczną), strofkową czy malarską stronę utworu wynika z tradycji dawnego stanu rzeczy, gdy możliwości takiego rodzaju nie uświadamiano sobie. Równa ilość zgłosek, regularny rytm, refren, aliteracja, rym i wszystko to, co tak strasznie dużo miejsca zajmuje w podręcznikach poetyk - było to bardzo istotne i nieodzowne, gdy wiersz trzeba było wyśpiewać przy wtórze liry czy gęśli. Dziś czynniki te muszą być mocno zredukowane ilościowo i sprowadzone do roli środków specjalnych podporządkowanych i całkowicie uzależnionych od ważniejszych dominant integralnie poetyckich.

Klasycyści i estetyści sądzą, że poezja jest w słowach. Z tego powodu dzielą słowa na poetyckie i niepoetyckie. Poetyckie dzielą - na patetyczne, dziwne, wzruszające, groteskowe itp. Zespół słów danej kategorii działa magicznie i daje automatycznie wymagane przeżycie estetyczne. Poszczególne słowa są zrozumiałe, ale nie jest nieodzowne zrozumienie sensu strukturalnego całego tego zespołu werbalnego. Wystarczy czarodziejstwo słów: gwiazdy, srebro, księżyc, miłość, czar, ona, tęsknota, a dusza się otwiera. Inny zespół budzi w nas uczucie zdenerwowania, inny - wzniosłości, inny - grozy, groteski itd. Na takim mechanizmie wygrywa agitka wiecowa czy piosenka kabaretowa. We wszystkich tych wypadkach wystarczy niekiedy mechaniczne zestawienie obok siebie wyrazów niezdeterminowanych nawet formą logiczno-gramatyczną. Marinetti odrzucał wszystkie znaki pisarskie i składnię, żądając np. gołych rzeczowników. Po tej linii idą surrealiści, którzy łączą słowa ruchem samego prądu asocjacyjnego. Tu również można by wymienić Przybosiową koncepcję zgęszczeń przez wieloznaczność (np. rozpłaszczyć: a) rozebrać z płaszcza, b) zrobić płaskim) i jego pseudorodowodowe kalambury (łąka - łączyć, wołu - wywołuje, pełza - spełzł), czy wreszcie aliteracyjne pomysły Brzękowskiego (amo - amoniak, barwi - bar).

Przeciw tym stanowiskom występował Peiper, który sądzi, że samo słowo nie jest elementem poezji. Poezja zaczyna się dopiero od zdania. Samo słowo ma charakter neutralny, pozaartystyczny, stąd może być elementem nauki. Poezja leży w zetknięciu się dwu słów. Stąd dla Peipera metafora odgrywa tak decydującą rolę. Dlatego też nawołuje do tworzenia pięknych zdań, miejsc nowych metafor. Twierdzenia Peipera są rewolucją w dotychczasowej tradycyjnej poetyce, nie zostały jednak odpowiednio wykorzystane i rozprowadzone. W sformułowaniu Peipera nie zawierają poza tym całej prawdy, względnie nie wyrażają jej jasno. Postulat “pięknych zdań” jest wyrazem pojmowania “elementu” jako” najmniejszego utworu poetyckiego. Wymaga on, aby element sam był dziełem sztuki. Stąd u Peipera może poemat składać się z jednego zdania. W “Pionie” czytaliśmy podobne poematy Ungaretti'ego. Również w utach chińskich można by wyśledzić niekiedy pokrewieństwo z tymi koncepcjami.

Trzeba by rozstrzygnąć zasadnicze pytanie, co nazywamy elementem w ogóle? Najpierw chodzi o to, czy w charakterze elementu musi się zawierać istota struktury całości, do której element należy? Następnie jak on należy: czy element poetycki jest produktem podziału logicznego (jako gatunek), czy metafizycznego (jako cecha), czy

fizycznego (jako kawałek)? Jeśli zgodzimy się, że jest to podział fizyczny, to stosunek elementu do całości będzie taki, jak stosunek cegły do budowli. Cegła nie jest małym domem, dom zawiera się właściwie między murami cegieł, sama cegła (jej kształt, materiał, waga) zdeterminowana jest jednak decydująco właściwością i sensem domu. Nie przeszkadza to równocześnie, aby cegła nie mogła być elementem innej struktury (np. za pomocą niej można rozbijać szyby w sklepach lub głowy wrogom). W każdym razie nie można żądać, aby tzw. element miał swój sens absolutny, wynikający z jakichś immanentnych przeznaczeń w duchu fenomenalizmu husserlowego.

Oczywiście nic nie przeszkadza (przejdźmy do poezji) tworzyć poematy z jednego zdania. Mogą one mieć nawet dużą i oryginalną dynamikę estetyczną. Ale wartość ta nie jest stała. W każdej chwili takie początkowo autarkiczne zdanie potraktować możemy jako element wyższej syntezy poetyckiej. I wtedy z wartością artystyczną zdania może być rozmaicie: może się nasilić, zmienić, zneutralizować. Z tego wynikają dwa wnioski: a) pojęcie elementu jest względne, b) nie istnieje jeden tylko (współrzędny) stosunek zdań w utworze. Zdania są różnej rangi hierarchicznej, stąd wiersz nie może być “równo gęsty”. Wiersz to nie wyrównany bukiet kwiatów, ale raczej rozgałęzione drzewo. Jest tak jak w matematyce. Trójmian, powstały z dwumianu podniesionego do kwadratu, funkcją swą nie jest równy trzem mechanicznie zestawionym jednomianom.

W znaczeniu socjalnym człowiek jest nierozkładalnym elementem, ale z punktu widzenia anatomii da się go podzielić na organy. Z punktu widzenia biologa człowiek jest zbiorem komórek, dla fizyka czy chemika jest zbiorem związków chemicznych czy atomów. Nie ma więc jasnego znaczenia pytanie, z jakich elementów składa się człowiek. Także przy utworze poetyckim można stosować różne punkty widzenia: fonetyczny (muzyczny), gramatyczny, logiczny itp. Jest wreszcie punkt widzenia poetycki. Otóż to - jest! Jak się ma więc rzecz z tego punktu widzenia? Jeżeli dla gramatyki elementami są: głoski - zgłoski - wyrazy - zdania, jeżeli dla psychologii są: wrażenia – postrzeżenia - wyobrażenia itp., jeżeli dla logika są: pojęcia - sądy - sylogizmy, to dla poezji? Sądzę, że muszą to być jakie inne pierwiastki. Nie definiując ich bliżej, zgódźmy się razie, że analiza elementów musi być robiona z punktu widzenia ich funkcji w danym, indywidualnym zespole strukturalnym. Może okaże się, że elementem może być zarówno głoska, jak słowo, jak pojęcie czy całe zdanie, że te rzec są równorzędne poetycko.

Żeby wyjaśnić sprawę zdań, trzeba zdać sobie sprawę, że co innego są tzw. zdania gramatyczne, logiczne, a poetyckie. Zdanie gramatyczne może być zwykłą nazwą pojęcia. Nie każde bowiem pojęcie ma swój termin, niektóre pojęcia (a zwłaszcza w poezji okazji do tego jest dużo) oznaczyć się dają tylko przez omówienie. Niekiedy trzeba do tego kilku zdań. Czy Peiper przewiduje takie zdania w poezji? Bo czyż chodzi w nich o to, żeby były piękne?

Niezależnie od odpowiedzi ważniejszą rzeczą jest stwierdzenie, że rozważając takie

zdanie izolatim (poza kontekstem) i absolutnie powiedzieć nie można, czy jest ono gramatyczne; czy “piękne”. Weźmy przykład: czy zdanie - “Miasto, które maluje najjaśniej swe płoty” - jest zdaniem poetyckim? A priori zadecydować się nie da. Może ono być oryginalnym widzeniem poetyckim, ale mogło być wyjęte z przemówienia Pana Premiera, gdy zastanawiał się komu dać medal.

Właśnie byłoby w duchu Peipera powiedzieć, że poezja powstaje przy zetknięciu się dwu zdań. Zdania mogą być najbanalniejsze, a odpowiednie ich zestawienie wskrzesi błyskawicę poezji. Możemy uniknąć wtedy metafor w stylistycznym tego słowa znaczeniu, mimo że żywioł metaforyczny wypełniać będzie cały utwór. Jeszcze się raz okazuje, że dopiero kontekst decyduje, czy co jest elementem poezji, czy nie. I czy w ogóle jest poezja.

Z naszych rozważań wynika, że terminologia dzisiejszej poetyki jest nieczystym konglomeratem zapożyczeń z dziedzin pokrewnych. Zadecydowało o tym pomieszanie elementów poezji z elementami języka, gramatyki, psychologii, muzyki i logiki. Utwór poetycki przynależy co prawda do tych układów językowych, ale zasady konstrukcyjne wyprowadzone być muszą z integralnego języka poetyckiego.

Otóż rodziłby się postulat wyzwolenia tego języka z sugestii i kategorii języków ubocznych i stworzenia dla niego własnego systemu terminologicznego. Potrzebę taką odczuwa się od dawna, o czym świadczą różne próby (nieporadne i nie skoordynowane dotychczas) wprowadzania integralnych wyrażeń nowej poetyki, typu takich powiedzeń, jak: “widzenie poetyckie”, “zdanie metaforyczne”, “układ rozkwitania” itp. Niestety, terminy te są używane bardzo kapryśnie i niejednoznacznie. Największe zamieszanie sprawia tu nierozróżnianie samego tworu artystycznego od procesu twórczego i przeżycia estetycznego. Rozważania Brzękowskiego nad poezją integralną są charakterystycznym przykładem takiego pomieszania. Same natomiast terminy Brzękowskiego, Peipera mogłyby być zużytkowane po dokładniejszym ich sprecyzowaniu. Pożyteczne bardzo są również rozróżniania Chwistka między sprawami estetycznymi i artystycznymi. Czas największy zerwać z bezcelowym (abstrakcyjnym) opisywaniem różnych metrów i tropów, z całą topografią rymów, ze statystykami efektów stylistycznych samych w sobie, z zachwytami nad różnymi: sz - cz - cz - sss (pada deszcz!), z gonitwami za wpływami i zapożyczeniami, z liczeniem głosek itd. - bo cóż to ma wspólnego z żywą poezją? Nowa poetyka nie przekreśli oczywiście dotychczasowej poezji, ale przestanie ją traktować jako teksty gramatyczne, nuty marszowe, testy psychologiczne czy libretta kabaretowe. Okaże się, że i rym, i aliteracja, i refren, i onomatopeja także dziś nie są bez celu, ale ocena i uzasadnienie ich musi być inne. Musimy patrzeć poprzez sens poetyckiej całości, by ć prawdziwy walor i charakter elementu.

R. VI nr 7

Lublin dn. 9 XI 1933 r.

Szanowny Panie!

List i 3-i numer “Kameny” otrzymałam. Graficznie lepiej się przedstawia niż poprzedni. Łatwo sobie wyobrazić, z jakimi technicznymi przeszkodami walczyć Pan musi w Chełmie. Treść zeszytu, jak zawsze, interesująca i starannie złożona. Dobrze by było, gdyby można więcej artykułów literackich, a zwłaszcza syntetycznych, dawać. Może by Czechowicz zechciał coś napisać w tym kierunku. Załączam trzy przekłady z Kiplinga. Niech mi Pan napisze na kiedy potrzebny jest materiał do 5-go numeru, może zdążę napisać jakiś odpowiedni artykulik.

Załączona odezwa przesłana nam została przez Sieroszewskiego, który gorąco w liście prosi o współpracę ZLP w Tygodniu Książki. Myślę, że i Szanowny Pan nie odmówi pomocy w sprawie tak bliskiej “interesom” literatów. Czy nie zechciałby Pan wygłosić jakiegoś odczytu? Przecież w Chełmie na pewno by się znalazło jakieś koło słuchaczy. Niech Pan obierze jakiś temat propagandowy i zawiadomi nas, to przyślemy odpowiedni materiał. Prosimy też bardzo o łaskawe zakomunikowanie odezwy koledze Kasperskiemu.

Praca Związku obraca się dokoła Antologii, Tygodnia Książki i... najróżnorodniejszych projektów. Onegdaj dopiero wróciłam ze wsi, gdzie odbywałam pochorobowe rekolekcje, nie wiem więc jeszcze, jak nam robota pójdzie. Czy nie miałby Pan ochoty wygłoszenia jakiegoś referatu na wieczorze dyskusyjnym? Temat dowolny, byle związany z literaturą.

Czy Madej pisał Panu, o tym, że Tow. Przyj. Nauk prosi o nadesłanie jakiegoś krótkiego utworu oryginalnego (nigdzie dotąd nie drukowanego) do “Pamiętnika”? Proza bardziej pożądana. Termin - jak najprędzej, bo już się układa. Ale można i wiersze, byle nie tłumaczone.

Sprawa “Strefy” wciąż jeszcze w zawieszeniu. Na razie nie mamy jeszcze funduszu, a chcielibyśmy wystąpić jakoś “godnie” i “trwać”.

Z koleżeńskim pozdrowieniem
F[ranciszka] Arnsztajnowa

Warszawa, 24 X 1938

Szanowny Panie!

Materiał do numeru lubelskiego “Kameny” dostarczę w terminie oznaczonym przez Szanownego Pana. O ile ów numer i tym razem nie dojdzie do skutku, rzeczy te przydadzą się Panu może do bieżących zeszytów. Ale bardzo bym pragnęła, aby pańska inicjatywa nie spaliła na panewce. Strasznie miło by było móc skupić znowu naszą gromadkę choćby na chwilę. Tak się to wszystko rozproszyło po świecie. Exodus nie ja zapoczątkowałam, tylko kolega Czechowicz. Co do mnie to nie z własnej woli i z wielkim żalem opuszczałam Lublin, z którym tyle mnie wiązało. Pracy mi i tu nie brak, ale nie mam tego żywotnego poczucia “niezbędności”, które dawało impuls moim czynom w rodzinnym mieście. Niestety mam ciężkie obowiązki rodzinne, które w żaden sposób nie dały się połączyć z prowadzeniem domu w Lublinie. Co do nagrody literackiej, to proszę wierzyć, że szczerze rada jestem, że wybór padł na Drogiego Pana, sama bym lepiej nie wybrała i nie widzę w Lubelszczyźnie nikogo godniejszego tego wyróżnienia od Pana. Mam nadzieję, że uda się Panu wkrótce pokonać wszelkie drukarniane przeszkody i “Kamena” wkrótce znowu swój rok rozpocznie.

Z koleżeńskim pozdrowieniem
Franciszka Arnsztajnowa

18 X 1934

Kochany Kaziu!

ezładnej
są dwa
o adresu
odległość,
Parnasu od
zgiełkliwego Krakowa.

Propozycję napisania artykułu o dzisiejszych poetach Tatr przyjmuję. Jakże by mogło być inaczej. Idzie przecież o dwa skarby: Tatry i poezję. Ani jednemu, ani drugiemu nie mogę pobruździć. No, a osoba zamawiającego Redaktora. O Jej znaczeniu i cenie w moim oszacowaniu z dawna i dobrze wiesz.

Powiem Ci tylko, że mnóstwa książek poetyckich nie mam ani nawet nie oglądałem. Jeśliś łaskaw, wymień znanych Ci autorów lub tytuły publikacji "tatrofilskich". Wszelkich oczywiście klasyków znam i mam. Czy pamiętasz np. w *Rozmowie z puszczą* ńskiego arcyprzedni wiersz o Tatrach (trzeci w tryptyku), który się zaczyna słowami: "Milionem ust cię piję, o wodo obnażona"? W utworze tym wiatr kamienieje. Dlaczego? Dlatego, że wtatrzona, zmistyczniała dusza wypowiada w ten sposób własny strój. "Uważam ten trzeci człon tryptyku za przejmujące obnażenie zapomnianej, praktycznie wytraconej duszy człowieka. Tej, która w przerażeniu, w ostateczności wyrzuciła ze siebie bogów. Bo jednak niech sobie zacietrzewieni łowcy nowości przekreślają, wyszydzają "śpiewankowanie" skamandrytów, ale Tuwim, Wierzyński, Słonimski wnieśli strasznie dużo. *Biblia cygańska* wierszy dwa razy więcej, niż zawierać powinna. Wyrzuciłbym mnóstwo utworów z tej książki, ale że są tam arcydzieła i niejedna a wieczysta prawda o człowieku, nie ulega mi wątpliwości. "Szpiegują samotność serc naszych" ci i owi, często bardzo krzykliwi tupetowcy, a jednak w tej samotności rodzą się rzeczy ważne. Przyboś, Tuwim, Czechowicz i Kochanowski, Horacy i Jesienin: wszyscy są poetami i będą. Doktryny i jednostronności boję się bardzo. A historyczne spojrzenie (zbrojne oczywiście najpoważniejszym orężem, tj. odczuwaniem piękna i prawdy człowieczej) na tysiąclecia jakoś wciąż wykazuje, że drzewa nie wiszą nigdy w powietrzu, lecz zawsze w starą puszczają korzeń ziemię. Im szerzej, im głębiej korzeń, tym wyżej, tym przestronniej korona konarów i liści. Kiedy czytam zaperzone, pewne siebie, a niestety dość często samochwalcze i nielogiczne "teorie" byle bojówkarzy literackich, myślę zawsze, że jednak w ten sposób nie tworzy się nic prócz nawozu. Na samym zaś nawozie rosną rośliny całkiem nieszlachetne: degenerują się najlepsze rasy, najświetniejsze osobniki. Jarmarczny styl i karczemna polemika [...] napełnia obrzydzeniem. Nawet w polityce, w agitacji przedwyborczej, w tym doraźnym i nieprzebierającym działaniu, wstrętem napawa mię karczemność, bojówkarski tupet, kopanie i obryzgiwanie konkurentów. Uciekłem od polityki, bom się czuł nazbyt

często widzem i współpracownikiem kanalarstwa. A oto coraz częściej kanalarskie metody napotykam w pracowni, w pracowisku poezji. Zakrzykuje ten i ów prostacko swe nieuctwo, zalepia efektem lub choćby próbą efektu zupełną bezstylowość i tandeciarstwo językowe. I to się mieni poezją. Pomyśl, Kaziu! Czy można hurtem i apriorycznie zachwycać się choćby Czuchnowskim? Oczywista rzecz: ma ten człowiek świetne, cudowne miejsca czy chwile. Jest poetą o żywiołowym talencie, ale bruździ mu sromotnie tupet nibynowatorski. I oto sprzeczność: gadanie o przeświadomieniu, o konstruowaniu, o elipsie, Bóg wie o czym i wraz taka np. ohyda, w której imiesłów gnije na imiesłowie, a całość ciężka, brudna, niejasna i brzydka:

"Wzburzoną rzeką, *unoszącą* nas, szczątki kwiatów, zapach zwierząt: płynie boleśnie snu *wypalony* lazur, *szlifowany* długo. Za nim wyruszą świeże smutki i starych bije *ujarzmione* tętno. Z krwawych słojów czasu, jakby z słojów drzewnych, wypłynęła nasza młodość opryskliwa, *schowana* w cieniu armat, różami dymów, *przysypywana* żywo, i staje nam twarzą w twarz, stokroć *pobitym,* luźno *zakopanym* w obcych, rdzą *przetartych,* grobach..." itd.

Pewnie pan autor dumny, że elipował po słowie "starych" rzeczownik domyślny "smutków", ale, choć tamta elipsa budzi swoisty efekt i powagi nadaje zdaniu, to jednak przede wszystkim powinny były ulec elipsie imiesłowy. Przecież to ołów, nie słowa!

Albo gdzie tu konstrukcja, gdzie inżynieria oryginalna, gdzie jedyne i niepowtarzalne piękno (wiersz Czesława Miłosza):

Że pozostaje tylko materia do badania
i tylko jej ciekawa tajemnica (,)
któż by mógł powiedzieć: dobrze to czy źle?

Niełatwo byłoby wynaleźć lepszy i bardziej odrażający przykład wytartego, ba, nawet niepolskiego (germanizm!) szablonu, niż ta szpetota: "pozostaje do badania".
Konstrukcja? Ani śladu konstrukcji. Prostacki żargon.
Albo któż ma czuć słowo lepiej od poety? Poety obowiązek, racja poezji, miazga sama poetyckich możliwości. Tymczasem "jej ciekawa tajemnica" to tylko płód szablonu. "Ciekać", dziś tylko w złożeniach aktualne, żyło kiedyś jawnie i było wzięte. "Ciekać" to niemal "ciec", niby "biegać", "zapuszczać zagony", "zapuszczać się" itp. "Ciekun" - "biegun" (kurier, goniec). "Ciekawy" to ten, co cieką, biega wszędzie, biega tu i tam. O *"ciekawych* zagonach tatarskich" można czytać w tekstach, o "ciekawych" (nie "legawych"), psach mówią myśliwcy. "Ciekawy" więc to nazwa tego, kto tu i tam zabiegnie, wszystko ogląda, wszędzie węszy, wszystko rad by poznać. Dopiero wtórnie wytwarza się znaczenie "interesujący, budzący "ciekanie", wywołujący "ciekawość". Powiesz może, że dziś to znaczenie bardzo rozpowszechnione. Zgoda, ale to właśnie wtórność i szablon, a "ciekawa tajemnica" jako zwrot stylistyczny trąci kalendarzykiem, brukowcem i plotką, a wcale nie wieje od niej nową (!), twórczą (!), każdego szczegółu celowo świadomą (!), poezją.

Nocą szepcz do zaryglowanych drzwi,

do izb wstrząsanych przez serc cichy stuk,
do ludzi nieświadomych, wsłuchanych w rytm krwi.

Znów Miłosz. Pomińmy trzykrotny imiesłów, którego nie znieślibyśmy w pracy ucznia, pomińmy niemiecki rygiel, ale zatrzymajmy się w drugiej części drugiego wiersza. Kiedyż to rodowita, rasowa polszczyzna wypowiada nieświadomego, ślepego wykonawcę czynności zwrotami przyimkowymi z "przez". Śliczne, rozumne, obrazowe było mówienie: "świat stworzony od Boga". Jak wola i twórcza moc, energia czynna płynęła od Boga, aby się, już odrębna, zobiektywizować w świecie (choć przecie zawsze od niego pochodzi i w nim ma źródło), tak wysłowienie biło wprost w oczy plastycznym "od". Czysto pojęciowe "przez" wlazło w język w czasach zintelektualizowania i odkrwienia językowej roboty. Ale choć już w XVI wieku dosyć częste (u Kochanowskiego, u innych) nie zatłumia to "przez" rodowitego "od", żyje obok niego, a służy tylko wykonawcom czynności żywotnym, świadomym. Ślepe narzędzia wyrażano wówczas i później i dziś samym narzędnikiem "Drzewa mącone wiatrem", nie "przez wiatr" itd. Otóż właśnie. Nic a nic nie cieszy mię poemat, który tak tępo, sucho, drewniane, automatycznie i szablonowo odnosi się do języka. Szablonem i gazeciarską łatwizną są imiesłowy, które zabijają wprost okrągłą soczystość zdań, szablonem i żargonową niemal łatwizną widzi mi się i słyszy mi się to biedne "przez" [...].

I jeszcze jedno. Czuchnowskiemu nie puchną uszy, gdy słyszy swoje własne, bezmyślne, wulgarne "zgnite" zamiast "zgniłego". Jest że na tyle nieczuły na podatność i wielowartościowość polszczyzny, że w zakończeniu - ty, - ta, - te nie czuje strony biernej, a względem znakomitego, nieporównanego imiesłowu z zakończeniem - ły, - ła, - łe zachowuje się obojętnie? Czy to takiemu neomickiewiczowi, takiemu burzycielowi wszystkiego i zapowiadaczowi nowej, tj. wszystkich obowiązującej poezji za jedno stanie: "słońce zgasłe" i "słońce zgaszone", "miasto zgniłe" i jakieś w języku literackim niedorzeczne "miasto zgnite"? Gwara zna "umartych", nie "umarłych", ale jaki sens gwarę wiejską mieszać znienacka z "hymnem" (utwór *Prawie... hymn)* i z miastem?:

miasto z miast żywych najbardziej kamienne,
od spodu zgnite, zawalone w szczytach.

Czy na koniec "konstrukcja" czy jakie inne dobro pozytywne przejawia się w Brzękowskim, gdy pisze i drukuje:

Oczy senne jak droga zamkły (!)
niezapomniany pejzaż sosen

albo:

ust mych czerwień,
która po ustach ustami się przemkła (!) -

w tym samym utworze (*Paryż po wakacjach*)?

Te wszystkie sromoty zestawić mogę tylko z kompromitującym potknięciem się Tuwima (który przeważnie zdrowo i rasowo czuje polszczyznę) w *Biblii cygańskiej* […]:

Lecz już w bramie zacząłem się chmurzyć,
powłóczyłem się, jak widmo, do szynku.

Na szczęście, "znachodzuje się" takie "powłóczyłem" zamiast "powlokłem" tylko raz. Inna rzecz, że językowych zaniedbań (i innych!) jest w *Biblii cygańskiej* sporo. Różne "zrozum" (odmieniajmy dalej, a będzie ślicznie: zrozummy, zrozumcie i niech zrozumią), różne "o co *wszystko* będę prosił słowiki" (str. 67) itd.

Moim skromnym zdaniem pierwszym jest obowiązkiem poety być rasowcem, zdrowym, niechybnym rasowcem w mowie. Twórczość poetycka musi się przecież odbywać w kategoriach języka i stylu. Cóż wszystkie wobec językowych wymogów i językowych grzechów - przejaskrawe wonie pachwin dziewczęcych i grubych spódnic przepoconych (Czuchnowski), cóż wszystkie "ciche krwawienia" maciczne i cała ta łaźniowa i niemal odwszalniowa aparatura (tegoż autora).

Otóż - streszczając się - dużo w tej awangardowości piękna i prawdziwych osiągnięć, ale za wiele stanowczo prostactwa, nieuctwa, przejaskrawień, nieodpowiedzialności językowych; w samych zaś awangardzistach (nie we wszystkich) za wiele pyszałkowatej, niesmacznej i po prostu głupiej pewności siebie i śmiesznego zaiste rojenia, że tysiące lat poezji były niczym, a dopiero ich efemeryczność wszystkim.

Rozpisałem się, bo właśnie myśli mam zaprzątnięte zagadnieniami estetyki języka polskiego. I powiem Ci tylko to jeszcze: od Rozmowy *mistrza ze śmiercią* aż do najbardziej nowego awangardowania sięga mój głód ciekawy. Wszędzie szukam, pątnik raczej niż turysta, ale szukam piękna nieskazitelnego. Nie akademickość, nie pseudoklasyczna gładkość, ale mię nakarmi pióro "dzikie, sterujące w niebie" (Norwid) i każdy "dwurząd domów rozłupany powietrzem", wszystkie "góry (byle nie kupy śmieci) naładowane trudem człowieczym" (Przyboś).

Niedbalstwa, nieuctwa, prostactwa stylistyczno-językowego nie znoszę, a szablon językowy przyprawia mię o duchowe torsje ze świętszym chyba prawem, niż to podobno czynią "czterowiersze" w poetyckich osobowościach awangardzistów. Czechowicza i Przybosia (Przybosia poza impertynenckim i za głupim wobec jego poezji tonem artykułów teoretycznych np. w "Linii") szanuję i podziwiam - ogólnie biorąc - najbardziej. Zresztą są i indziej rzeczy wzniosłe i święte - poezją. Ale już o tym dzisiaj dość.

Pytasz o mój sąd obiektywny o "Kamenie". Powiem najpierw, że dodatnio nastraja od razu ten choćby szczegół, iż ordynarnej napastliwości i ulicznikowskich "witzów", tak rozpanoszonych np. w "Linii", nie ma w "Kamenie" wcale. Nawet nie jest to szczegół, lecz raczej zaleta ogólna. Utwory, jak już pisałem, różne. Niektóre śliczne, inne

lichsze. Najmizerniejsza proza. Nawet sympatyczny, od dawna przeze mnie ceniony Madej zawiódł mnie nowelą całkowicie. W rzeczy tej nie dostrzegam prawie wcale pracy w płaszczyźnie języka i językowego stylu. Język oklepanek, a to w moim mniemaniu klęska stanowcza i bezwzględna. Za to wiersz Madeja z *Kształtów* bardzo porządny. To jest zdobycz. Przekłady różnie oceniam. Twoje często i Czechowicza wyróżniam. Czechowicz ślicznie czuje słowo. Co do Twoich, to stanowczo najpiękniejszy, najartystyczniejszy zawsze Jesienin. Błoka dostałem (i dziękuję, jeślim, tego przedtem nie uczynił), ale powiem, że Jesienina przekładałeś klasyczniej, cudowniej, rasowiej. "Klasyczniej" znaczy mi tylko "doskonalej", nic innego. Bardzo natomiast słabo przedstawiła mi się Rumunia Hollendra. Tam, gdzie - u węgłów mianowicie - najpewniej i najpiękniej trzeba działać, on cegły kładzie wybrakowane. Nieznośne są (jako rymy użyte!) wykrzyknienia (= stękanina) "och!". A czy ustawienie spółgłosek: "wiał z zwisłych skrzydeł" można wymówić? Jakże mię rażą wiersze niewymawialne!

Jaki (czy tylko informacyjny?) cel przyświeca "Kamenie", gdy i stare, a ostatecznie nie zawsze epokowe w spolszczeniu drukuje wiersze cudzoziemskie? Np. tę rumuńską *Wichurę?*

Artykuł Brzękowskiego (w numerze 121 zasadniczo bardzo słuszny. Rozdzielenie tematu od treści metodyczne, celowe, pożyteczne. Ale w szczegółach niedociągnięcia i przesada. Sumiennie, inteligentnie, uczciwie pisze wywody teoretyczne Czernik. Czechowicz niepotrzebnie się rozrzewnił i stąd ani Czuchnowski swą przesadą, ani Czechowicz swą lirycznością nie zwyciężył.

– – –

Dziennik tatrzański może wyjdzie na gwiazdkę. Częściowo będę już teraz ogłaszał w pismach. Dwa fragmenty już przyjęte w Krakowie i wnet się ukażą. Tamten urywek, który Tobie posłałem, może się już do Twojego numeru tatrzańskiego nie zda, jeśli książka numer ów wyprzedzi. Szkoda, że wcześniej puścić tego nie mogłeś. Byłaby to zaszczytna dla mnie i pożyteczna wydawniczo reklama. No, ale trudno. Wierszy nie posyłałem do druku, ale Tobie do przyjacielskiego przejrzenia. Ów *Deszcz,* także Tobie posłany, uznał przedtem Czernik za rzecz, która się mu "bardzo podoba". Ja mam zastrzeżenia autorskie i dlatego nie uważam utworku za ostatecznie gotowy.

Nad Heredią już nie pracuję. Jest ukończony. Czeka. Tonę obecnie w Grekach i Wergiliuszu ze względu na zamiar inscenizowania w Teatrze Miejskim kilku mimów antycznych w moim przekładzie, w mojej reżyserii i z moją prelekcją wstępną. Teatr projekt ten już zaakceptował.

Zresztą pogłębiam się. Czytam, myślę, notuję, piszę. Krótko mówiąc: korzystam z urlopu. Czy "Kamena" nie zechciałaby czegoś greckiego? Np. Teokryta albo jakiej Safony. Teokryt pójdzie w teatrze *(Czarownice). Czarownice* łem jako parafrazę, nie jako przekład. W ten sam sposób ósmą sielankę Wergiliusza. Zmodernizowane to, ale jeszcze uczciwie; to znaczy, że nie lekceważę tekstu autentycznego.

W Chełmie muszę Ci przeczytać wyjątkowo udały przekład ogromnego *Hymnu do Hermesa*. Czy też nie powiesz, że warto się było nie tylko po grecku nauczyć, nie

tylko oryginał poznać, ale także tę rozkoszną, niezrównaną podjąć pracę przetwórczą. Niektóre większe hymny, nie ogłoszone w tamtych *Gościńcach* dały mi tyle artystycznego zadowolenia, że nawet Heredia nie dał więcej. Zwłaszcza *Hymn do Hermesa* ...*do Demetry* ...*do Apollona*. Ale to są rozłożyste poematy długości ksiąg *PanaTadeuszowych*.

Zresztą bardzo mię cieszył Horacy. Ot, awangarda starożytna. Naprawdę. Wszystko pośrednio, wszystko konstrukcyjnie, wszystko eliptycznie. A takiego majstra polszczyć! Praca wściekła, szatańska w subtelności, słodka w obcowaniu ze skarbami polszczyzny.

Ale może dość już tego gawędzenia. Piszę, piszę, a Ty nawet nie wiesz, co za epistoła czeka Cię kilometrowa. Bądź wyrozumiały!

Serdeczny uścisk Ci \-przesyłam, Marka pozdrawiam, Pani Małżonce co należy.
Pa!

Tadzik [Tadeusz Bocheński]

Kochany Kaziu!

Za trzy uczynki winienem Ci jest podziękować: za nadesłanego Błoka, za kartę z wieściami, którą dziś dostałem, i za wzorowe dopilnowanie korekty Horacego, w którym istotnie ani jednego błędu nie spotkałem (...).

Błok wywołuje bardzo miłe reakcje. Ładna książeczka i dobrze jest, żeś te wiersze w zbiorze ujął i we formie książkowej upowszechnił. Nabożne służenie sztuce, a lekceważenie sukcesów skrajnie osobistych zdaje się wyglądać z tego połączenia Jaworskiego z Łobodowskim. Inna rzecz, że i Łobodowski porządnie i świadomie przekłada. Drzeworyty ładne. A więc nawet trójgłos, nie dwugłos tylko, w tej książeczce.

Pytasz jednak o *Belladonnę.* Czytałem kilka razy. Poważnie. Rozważnie. Całość mocna. Przejmuje; chwilami bije w czytelnika najczystszą poezją. Jest (mówię tylko o postaci przekładu, nic bezpośrednio nie wiedząc o oryginale) w miarę surowa. Raz po raz jakby sarkazm, ale potrzebny, estetycznie pożyteczny. Duma wysokogórskiej śmierci wyrażona zdecydowanie, pewnie. Rytmika płynna, rymy czy nibyrymy męskie, choć w liście na ich niedobór się skarżyłeś, bardzo bogate i szczęśliwe. Będę wiele jeszcze razy czytał ten przekład i bardzo się cieszę, że się ukaże W odbitce. Będzie przejrzystszy, milszy oczom, niż w zbitej gęstwie dwuszpaltowego druku “Kameny”. [...]

– – –

Sprawa artykułu. Otóż napiszę i nadeślę do 10 maja, jak żądasz. Napiszę z

przyjemnością, jak z przyjemnością odczytałem Twoje zaproszenie. Drukować w “Kamenie” staje się rzeczą coraz zaszczytniejszą. Chętnie i szczerze stwierdzam, że ostatnie numery są stanowczo świetne. Jakże np. pięknie i rozsądnie, a jak uczciwie pisze ostatnio recenzję Napierski. Bardzo podoba mi się także studium Łaszowskiego o Liebercie. Czekam niecierpliwie ciągu dalszego. Wiersze dojrzałe, dobre. Linia znacznie pewniejsza i zdrowsza, niż “Okolicy Poetów”, tam wciąż eksperyment, u Ciebie osiągnięcia. Przy sposobności dodam, że “Skamander” zdaje mi się bardzo nierówny. Obok rzeczy znakomitych dużo lichoty [...]. Dziwią mię też i drażnią niektóre rysunki. Po co to w poważnym organie artystycznym? Do “magazynu” z tym, do “Asa”, ale nie do “Skamandra”. Psuje się (moim zdaniem) bardzo Pawlikowska. W numerze lutowym nawet takie świństwo językowe, jak “kiedy je żałowałam”. Artykuł Jarczyńskiej (P. Valery) słaby. Nic nowego. Komentarzyk dla myślowych i poetyckich analfabetów.

Interesuje Jastrun, nie znana mi zresztą Ginczanka (czuję, że to głębsza natura i rasowsza poezja; kto ona jest? skąd ta pani?). Przekłady Tuwima nie zawsze wielkiej miary. Czasem banalnieją. A szkoda. Zresztą szkoda samego Tuwima, który ostatnimi czasami dziwnie mi osłabł, zmętniał i jakby zdziecinniał [...].

Bywają bardzo piękne wiersze Matuszewskiego. Nie wszystkie jednak. [...] A Karpiński! Byle tylko nie skabareciał, bo wielka byłaby strata. Hertz jeszcze bardzo młodociany [...]. Ale wolę na poetów patrzeć optymistycznie.

Wymyślanie polskiej twórczości i ustawiczne jej pomniejszanie na rachunek przyszłej “epiki” czy innej problematycznej wielkości zarzucam Czernikowi [...]. Przecież, u licha, są w Polsce i piszą znakomitości, godni najwyższych rang poeci. Czasem - oczywiście - doktrynerstwo oślepia. Zdaje mi się, że Czernik choruje na niejaką zaćmę (amaurosis). Ale cieszy mię, że “Kamena” puściła się już drogą pewną, że idzie. Nie wiem tylko, jak z grosiwem. To musi piekielnie kosztować. Obyś tylko wyciągnął!

– – –

Nie ukończyłem wczoraj tego listu, więc jeszcze dziś dodaję kilka zdań.

Bójkę Czechowicza i Zawodzińskiego uważam za kompromitację polskiej kultury literackiej. Czechowicz niepotrzebnie wytoczył kiedyś sprawę honorarium (a nie miał niezachwianych, oczywistych dowodów), Zawodziński zaś replikował z tupetem sierżanta, na domiar głupim. I awantura. Niestety jest tego bardzo wiele. Kłócą się niemal wszyscy, wyzywają się ordynarnymi wyzwiskami. Chwalą siebie. Kto wreszcie będzie miał w Polsce tyle cierpliwości, żeby te ordynarne, ulicznikowskie wyczyny rejestrować w czarnej księdze, piętnować, ośmieszać, a takich łapserdaków (stałych lub chwilowych) pod pręgierz opinii ogólnej opamiętywać? Prasa, literaci, krytycy, publiczność - to wszystko jakby naiwni widzowie: gapią się i cieszą się, że ktoś kogoś oprawia. Przypomina mi to gapiów, którzy śledzą wozy hyclowskie i używają pełnym

kołtuństwem. Nikt nikogo nie szanuje, a każdy wrzeszczy autoreklamę - i to ma być kultura [...].

A Czuchnowski? A wszystkie rozbrajająco śmieszne samochwalstwa Peipera, Przybosia, innych? A przecież i Peiper i Przyboś wiele są warci (umysłowo i poetycko). Epidemia tupetu niepoczytalności samochwalczej, głupiej ekskluzywności itd. objęła stanowczo za wielu. Kto ją opanuje? [...]

Poza tym cóż? Wszędzie niemal prymaty partyj politycznych, klasowych albo wręcz towarzyskich. Ile np. politycznej blagi czyta się w nibyestetycznych artykułach "Pionu" albo w "Prosto z mostu".

Jestem głęboko przekonany, że wyjątkowo czysto wygląda na tym tle "Kamena". I dlatego wciąż myślę, że jej właśnie przypadnie jeszcze rola demaskatorki i wietrzycielki stosunków. Były zapowiedzi. Stąd także płynie moja nadzieja [...]. A milej mi jest taką rolę przewidywać, że nie obcy człowiek, ale właśnie Ty jesteś tej "Kameny" gospodarzem. Skromnie myśl snując czy może "rzucając", życzę Ci jednak w głębi duszy i życzę "Kamenie", by kiedyś to zadanie wyraźnie podjęła i konsekwentnie wykonała [...].

Pracuję dużo. Szczególnie śpieszę (względnie; wiesz przecie, że to nie maszynowa robota) z przekładami. Horacego mam już coś 50 pieśni. Greków znacznie więcej. I innych. Wezmę się teraz w ryzy i spróbuję zrobić polski poemat z *Teogonii* . Kusi mię taka robota, sztuka absolutna, gdzie język i styl będzie niemal wszystkim. Po prostu zagrać na języku: jakiegoś polsko-greckiego Wagnera czy Bacha [...].

– – –

W Krakowie śpiączka. Miał niby zacząć nowy sezon znany Ci "Tygodnik Artystów", ale jakoś przycichło. Zresztą istnieje nadal święta Rostworowszczyzna (ul. Gontyna (!) 10), istnieje "Kurierek", propaganda chamskiej kolejki na Kasprowy, głupkowaty "Głos Narodu" itd. Za to Kolegium Wykładów Naukowych nie mogło opłacać lokalu i przestało istnieć.

Gdy chwycisz wolną chwilę, napisz. Ja tymczasem będę pilnował *Języka - substancji poezji,* abyś nie doznał zawodu. Nie gniewaj się za moje marginalia, wynotowane obok *Belladonny.* Gdyby przekład był mierny, nie obchodziłyby mnie ani szczegóły, ani całość. Ale jest właśnie bardzo wartościowy.

Ściskam serdecznie Twą energiczną dłoń, Twej Małżonce ślę najuprzejmiejszy ukłon, Markowi pozdrowienia.

15 II 1936

Tadzik [Tadeusz Bocheński]

Drogi Kaziu!

Udał Ci się znakomicie pomysł numeru nowofrancuskiego. Czytam te nowości (wieluż bo wierszy nie znałem w oryginale) i chłonę jak świeży, witaminowy pokarm. A przekłady na ogół świetne. Nie podoba mi się tylko proza przekładu *Les Nouvelles Nourritures.* Zapewne dosłownie, na pewno "autoryzowanie" ale brzydko i źle. Ten jeden defekt. Zresztą Bieńkowski spisał się znacznie lepiej we wierszach. Wiesz co? Prozę dobrze przełożyć - to sprawa bardzo trudna. I trzeba się tego długo uczyć. Wiersz ma krótszy oddech i jakoś, gdy tłumacz kulturalny, zawsze wypadnie dobrze (czasem wspaniale). Proza jest rozłożysta. Żąda rozłożenia szczegółów, żąda architektury, stylu i... języka. Nasi najmłodsi zbyt często są w języku tylko nawykowcami. Wcale twórcami. To nawet u Czuchnowskiego czasem bardzo razi.

Dobry pomysł: umieszczenie w numerze tych kilku reprodukcyj plastyki. Szkoda, że nie mogłeś dać rzeczy barwnych. Wyobrażam sobie, że byłby to koszt olbrzymi i że chyba Chełm nie wydołałby takiemu zadaniu.

Ta Twoja Francja trochę rozwiała lub może tylko przesłoniła moją niepoprawną biedę. Lektura normalniejsza, taka, do której człowiek przyzwyczajony, nie miałaby takiej mocy. A tu - udało się. Wiele już godzin przyjemnie spędziłem z tym numerem. Więc Ci nie tylko gratuluję, ale i dziękuję.

Nie posłałem - wbrew tradycji - żadnego artykułu na początek nowego rocznika. Nie mogłem nic wymyśleć ani w ogóle przy biurku pracować. Zdrowie nadal podłe, sił niewiele i trzeba by dopiero dłuższego, wolnego od kłopotów, a obfitującego w godziwe przyjemności odpoczynku, bym odżył energetycznie i uzdatnił się do roboty. O artykule do "Kameny" jednak myślę i kto wie, czy go wnet niespodziewanie nie napiszę i nie wyślę. Chciałbym Ci jednak dać coś porządnego, więc nie mogłoby to być wymuszone. Zobaczymy. Posyłam Ci tymczasem garść uwag czy aforyzmów na tematy sztuki, etyki, innych człowieczości. Pewnie Ci się to przyda, bo ostatecznie coś przecież przemyślanego zawiera. Nadto posyłam dwa wiersze: dawny i nowszy. Jeden jest odpowiedzią Tuwimowi na *Sitowie,* gi reakcją na erotyk Daukszty. Drugi chyba Ci będzie aktualniejszy. Zresztą jest - myślę - lepszy. Już mojego stylu. Dawniej pisało się inaczej, jakoś - psia kość - dziecinnie. Dziś inny jestem całkiem.
Czy się to spodoba, nie wiem. Ale czuję, że mię obowiązuje twórcza etyka. A jest wysoka i trudna.

Szkoda, że podłe czasy i fatalny stan moich nerwów nie pozwoliły mi latem nagadać się z Tobą, Kaziu, i skonfrontować swej opinii czy zdobyczy z Twoją krytyką. Korespondencja nigdy nie zastąpi żywej rozmowy bezpośredniej. Inna rzecz, że jak widzisz i nieraz już widziałeś, jestem w listach do Ciebie wielkim gadułą i wszystko Ci wypisuję, co Cię może nawet nie obchodzi. I inna rzecz, że bardzo się cieszę każdym Twoim listem i każdą Twoją "Kameną".

A propos: czy nie chciałbyś - w tej chwili mi to na myśl przyszło - artykułu o Szymanowskim? Oczywiście napisałbym po literacku, nie zaś tak, by tylko muzyk czytał.

Może w ogóle masz jakieś dezyderaty? Licz zawsze na mą dobrą wolę. Jeśli czego nie wypełnię, to tylko dlatego, że nie ma we mnie czy nie było dość zdrowia i siły.
Bądź, Drogi Kaziu, łaskaw napisać mi, czy na który z rękopisów reflektujesz, tj. czy co

będziesz drukował. Nie chciałbym uwięzić niczego. Więc gdyby Ci co nie odpowiadało, powiedz, a ewentualnie wyzyskam gdzie indziej.
Zawracam Ci głowę pytaniami, a Ty pewnie kwestionariuszy w redakcji nie lubisz. Wybacz po starej przyjaźni. I napisz.

Serdecznie Cię ściskam, Żonie Twojej rączki całuję, Marusiowi cześć!

Tadzik [Tadeusz Bocheński]

4 stycz. 1938.

Warszawa, 5 marca 1937.

Antoni Bogusławski
Warszawa, Kanonia 8, tel. 590-89

Szanowny Panie.

Dziękuję bardzo za pamięć o mnie: przyjemnie mi będzie zobaczyć swój przekład w “Kamenie”, która jest pocieszającym dowodem aktywności poetyckiej i każe Warszawie rumienić się wobec Chełma.

Nie miałem żadnego przekładu gotowego, bo zazwyczaj piszę bezpośrednio do druku. Wobec tego przełożyłem *Kaukaz*, który przy niniejszym załączam. Myślę, że Panu, jako piewcy gór, będzie przyjemnie ten właśnie wiersz w “Kamenie” wydrukować.

Bardzo mi miło było móc powiedzieć o Panu kilka słów na naszym wieczorze; rad byłbym, gdyby nasze stosunki literackie rozwinęły się na stałe.

Serdeczne wyrazy i koleżeński uścisk dłoni łączę.

Antoni Bogusławski

Warszawa, 15 marca 1937 r.

Szanowny Panie Redaktorze i Kolego.

Proszę oczywiście rozporządzać przekładem *Kaukazu,* jak Pan chce; myślałem, że może numer po numerze dziwnie będzie wyglądał ten sam wiersz. Przychodzi mi do głowy zabawna myśl: że nasze dwa przekłady należałoby złożyć razem i zrobić jeden, dwuimienny, biorąc z każdego, co się najlepiej udało. No, ale to tylko, jako rodzaj zabawki literackiej. Ciekawe jest, jak się różnie u ludzi ta sama myśl formułuje.

Rad będę utrzymać dalszy kontakt z “Kameną”; proszę pamiętać o mnie.

Serdeczny uścisk dłoni łączę.

Szczerze życzliwy
Antoni Bogusławski

Bułgarskich przekładów mam sporo, ale drukowanych w różnych pismach.

Warszawa, dn. 13 V 1939 r.

Szanowny Panie!

Przesyłam odpis wspomnień M. Szczuki z “Dźwigni”. W Zakopanem jest księga pamiątkowa “Gospody Włóczęgów”, gdzie znalazłoby się więcej, a może i lepszych fragmentów, ale “Gospody” już nie ma i trudno by mi było tę księgę odszukać.
Wierszy tatrzańskich w danej chwili nie mam. Może *Hawrań i Murań* przedrukować? .

Łączę serdeczne pozdrowienia

W[ładysław] Broniewski

Warszawa, ul. Czarnieckiego 80-1.

10 IX 1934.

Kazimierz Czachowski, Kraków, Anczyca 11

Szanowny Panie Redaktorze.

Dziękuję najuprzejmiej za poprzednio nadesłane cztery pierwsze zeszyty oraz za teraz odebrany zeszyt pierwszy II rocznika “Kameny”. Byłbym zobowiązany za uzupełnienie moich zbiorów zeszytami 5-10. Serdecznie gratuluję Wydawnictwu, tak ciekawie i na dobrym poziomie prowadzonemu w ośrodku prowincjonalnym. Poświęcę “Kamenie” odrębną uwagę w III-cim tomie mego *Obrazu współczesnej literatury polskiej*. Nadto być może omówię dotychczas wydane zeszyty w “Gazecie Polskiej”. Proszę też nadal o łaskawą o mnie pamięć. Łączę najlepsze wyrazy.

K[azimierz] Czachowski

Kaziu miły!

Winszuję “Kameny”. Nic to, że zewnętrznie nie dociągnięta, nic to, że tu i ówdzie mogłaby być lepsza. Całość jest pięknym wysiłkiem. Nie ustawaj. Ze swej strony pomogę Ci jak umiem - to znaczy dam kupę materiału. Co prawda od czasu przeniesienia się tutaj tak jestem zaorany, że nie mam czasu na mnóstwo rzeczy, dla “Kameny” jednak znajdę czas. Tylko, luby, nie piłuj mnie. Bywa i tak, że mija tydzień, a ja porządnie nawet nie wyśpię się ani nie zjem przyzwoicie. A głupia bodajby robota techniczna, ot przepisanie czy uzupełnienie drobnego nawet utworu wymaga chwili namysłu i odrobiny czasu. Toteż dziś, wyrwawszy z dnia trochę tego cennego elementu życia, piszę i przepisuję. Czego z żądanych rzeczy nie załączam do dzisiejszego listu - tego możesz oczekiwać za tydzień. Mosendza nie mam nic.

Serdeczny uścisk dłoni!

Warszawa, 1933 wrzesień.

J[ózef] Czechowicz

P. S. Przyślij mi ze 4 “Kameny”. Należność wyślą Ci w następnym liście znaczkami pocztowymi. Zgoda?

J. C.

Warszawa, 12 czerwca 1939 r.

JWPan Redaktor
Kazimierz Andrzej Jaworski
Chełm Lubelski
ul. Reformacka 43
Redakcja “Kameny”.

Szanowny Panie Redaktorze,

zechce mi Pan łaskawie wybaczyć, że dziś dopiero odpisuję na miłe dla mnie zaproszenie z dn. 21 IV 1939 do wzięcia udziału w górskim zeszycie “Kameny”.

Sytuacja moja tak się w tych czasach układała, że najpierw na próżno czekałem na możliwości czasowe, by przygotować coś dla “Kameny”, później zaś - gdy należało już przynajmniej odpisać i przeprosić, przyszły, a właściwie spadły na mnie takie rozmaite sprawy, które poza pracą obowiązkową i najpilniejszymi sprawami rodzinnymi całkowicie zabrały mój i tak skąpy wolny czas.

Niech mi Pan zatem wierzy, Panie Redaktorze, że milczenie moje nie było spowodowane żadnymi niechęciami czy lekceważeniem tak cennego dla mnie zaproszenia Pańskiego, ale jedynie tym, co było ode mnie w stu procentach niezależne. Muszę to podkreślić szczególnie mocno wobec mej niedawnej rozmowy z J. A. Szczepańskim, który mi wspominał, że Pan dziwił się brakiem mej odpowiedzi.

Raz jeszcze prosząc o usprawiedliwienie mnie, łączę wyrazy prawdziwego poważania i szczere górskie pozdrowienia.

Z[dzisław] Dąbrowski

Wielce Szanowny Panie.

Zwracam się do Pana z uprzejmą prośbą i zapytaniem, czy nie zechciałby Pan wziąć udziału jako tłumacz poezji ukraińskiej w specjalnym numerze “Sygnałów”, poświęconym sprawom kultury i literatury ukraińskiej, który zamierzamy wydać. Zwracam się do Pana, jako do tłumacza poezyj rosyjskich i słowiańskich, przy czym z podobną prośbą zwróciłem się do Tuwima, Czechowicza i grupy “Żagarów” w Wilnie. Chodzi nam oczywiście o czas. Dlatego, w razie gdyby się Pan zdecydował i zgodził, prosiłbym o jak najszybszą odpowiedź, po czym odwrotną pocztą posłałbym Panu potrzebne teksty. Może też Sz. Pan sam określi, kogo z ukraińskich poetów chciałby tłumaczyć; zaznaczam przy tym, że chcemy w tym ukraińskim numerze “Sygnałów” dać przegląd przede wszystkim młodej, a nawet najmłodszej poezji ukraińskiej.

Wreszcie zwracam się do Pana, jako redaktora “Kameny” z. propozycją nawiązania kontaktu. Nie chcemy zamykać się w “Sygnałach” do “twórczości regionalnej” i chętnie widzielibyśmy u siebie wiersze tych wszystkich, którzy drukują swe wiersze na łamach “Kameny”. Nie znam sam tych wszystkich młodych poetów. Pan jednak, jako redaktor “Kameny”, musi pozostawać z nimi w ściślejszym kontakcie. Dlatego, gdyby mi Pan zechciał to zbliżenie ułatwić, bylibyśmy (tzn. młodzi ludzie zgrupowani we Lwowie przy “Sygnałach” i ja) bardzo wdzięczni.

Zapytuję też Pana przy Okazji, czy nie zgodziłby się Pan na drukowanie w “Kamenie” wierszy moich współkolegów ze “Sygnałów”. Może byłaby możliwa wzajemna wymiana.

Kończę na tym ten list, który jest próbą nawiązania kontaktu i czekam odpowiedzi. Wobec tego, że “numer ukraiński” “Sygnałów” już jest w robocie i chodzi nam o pośpiech, jeszcze raz proszę o jak najszybszą odpowiedź Pana co do przekładów poezji ukraińskiej.

Oczekując z niecierpliwością odpowiedzi, łączę wyrazy najgłębszego poważania i szacunku.

Adres mój - Lwów
ul. Friedrichów 1. 8.

Tadeusz Hollender
redaktor “Sygnałów”
Lw. 10/11 1934

1 VI 1934

Szanowany Panie Kolego.

Odpisując na Wasz list, przepraszam przede wszystkim za spóźnienie wynikłe z braku czasu: egzaminy na uniwersytecie, praktyka w dzienniku, “Sygnały”, trochę pisaniny dla zarobku - to wszystko może wykończyć człowieka. Zrobiłem co mogłem u Ukraińców. Co do artykułu o Mickiewiczu śród Ukraińców, wszyscy jednomyślnie podali mi nazwisko prof. Zajcewa w Warszawie (Praga ul. św. Cyryla i Metodego 4. Prof. Paweł Zajcew), jako jedynego specjalisty, jeżeli chodzi o mickiewicziana wśród Ukraińców. Najlepiej, jeśli napisze Pan do niego od razu, podając mniej więcej temat artykułu; gdyby on odmówił, w co wątpię, napisze podobny artykuł Michał Rudnicki, najlepszy krytyk, jakiego Ukraińcy mają. Mówiłem z nim już o tym.

W sprawie “bibliografii” dzieł M. przełożonych na ukraińskie zwróćcie się do “p. Hordyńskiego (seniora) adres dopisuję na końcu po porozumieniu się z synem (poetą i grafikiem). Co do przekładu radzili mi wszyscy, abyście wzięli urywek z przekładu *Pana Tadeusza,* który przed 2-3 laty wyszedł na Ukrainie Sowieckiej, pióra Rylskiego. Nie znam go; określono mi jako kongenialny - no, ale każda pliszka swój ogon... czyli jak mówi Sienkiewicz - “jak blagować, to po arabsku”. Trzeba by to stwierdzić naocznie. Ewentualnie któryś z młodych poetów gotów jest przełożyć któryś z sonetów ad hoc. W razie czego - napiszcie.

Uzyskałem to, że kiedy się zwrócicie do kogokolwiek otrzymacie żądane prace możliwie najprędzej.

Nowe “Sygnały” już wyszły i są pewnie w drodze do Was. Przy okazji napiszcie mi jak się Wam ostatnie numery podobają.

I jeszcze prośba. Jeżeli możecie posłać mi 6-ty numer “Kameny” - poślijcie. Wpłacę na P.K.O. 50 groszy. Brak mi do kompletu, a zbieram.

I wreszcie - jeżeli Wam zależy na recenzji przekładów z rosyjskiego w “Przeglądzie Powszechnym” (tym wydawanym przez Jezuitów w Krakowie), poślijcie te tomiki pod adresem Teodor Parnicki - Lwów ul. L. Sapiehy 1. 47 - II p. - prowadzi on tam dział recenzji rzeczy rosyjskich, - mówiłem z nim i napisze je chętnie. W “Sygnałach” ukażą się niedługo, prawdopodobnie w najbliższym numerze. Ciśniemy się strasznie.

Przykro mi, że obiecałem, i sam prosiłem, chcąc Wam coś posłać ze Lwowa do druku, ale doprawdy czas mój już od dawna nie należy do mnie. W drugiej połowie czerwca będę nieco wolniejszy, wówczas przyślę coś do jesiennych już chyba numerów “Kameny”. Wtedy zaproponuję też Wam coś ze swojej strony. Czekam jednak z tym jeszcze. Dobrze by było, gdybyście mogli wpaść do Lwowa. Może podczas wakacyj.

Na tym chyba skończę. Życzę wszystkiego najlepszego i najpiękniejszego rozwoju “Kamenie”. Jej nie wadą może, ale główną niedogodnością jest położenie i warunki rozwoju na głuchej bądź co bądź prowincji. Z tymi współpracownikami jakich posiada ma wszelkie dane na to, aby być drugim “Skamandrem”. To bardzo poetyckie, choć niedocenione pismo.

A zatem - quod felix, faustum, fortunatumque sit! Mnohija lita!

Serdeczny uścisk dłoni i dużo pozdrowień
T[adeusz] Hollender

P. S. Hordyński jest ciągle nieuchwytny. Napiszcie do niego zaraz na adres: “Nazustricz”, gdzie pracuje - tam mu doręczą szybko.
I “Kamenę” wysyłajcie na nasz nowy adres - Krasickich 18-a. Zmieniliśmy.

T. H.

Ukraińcy proszą też o nadsyłanie “Kameny” dla ich biblioteki im. Szewczenki, proszą o komplet. Adres: Biblioteka im. T. Szewczenki - Lwów - ul. Czarnieckiego 24. Posyłamy tam “Sygnały”. Trzeba im to chyba zrobić, bo nie mają jak nasze bogate biblioteki uniwersyteckie ustawy do rozporządzenia, aby móc po prostu wyegzekwować wszystkie druki i pisma dla siebie
Jeszcze P. S. List ten przejdzie chyba do historii, jako jeden z najbardziej nieporządnie napisanych i chaotycznych. Ale sytuacja znowu uległa zmianie. Przed chwilą posłał mi Hordyński do domu kilka odpisów z przekładu *Pana Tadeusza* i *Stepów Akermańskich* Rylskiego oraz spis ważniejszej bibliografii “mickiewiczianów”. Hordyński pisze mi też, że dostaje dziś jeszcze (1.VI) wieczorem artykulik P. Doroszenki pt. *Mickiewicz w bibliografii ukraińskiej,* który natychmiast przełoży i dośle sam jutro (2.VI) o czym prosi, bym Pana zawiadomił.
Napiszcie zaraz do prof. Zajcewa, w razie gdyby było za późno do Michała Rudnickiego (Adres - Red. “Diła” Rynek-Lwów), choć Zajcew powinien to zrobić, byle mu podać termin. Spóźniłem się z tym wszystkim i boję się, że będzie to musztarda po obiedzie, ale to i Ukraińcy winni; zwodzili mnie z dnia na dzień. Zrobiłem co mogłem. W każdym razie kłopot z przekładem i bibliografią odpada.

Tyle zatem. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego. Uścisk dłoni.

T. H.

Kazimierz Dolny n/Wisłą - dom A. Michalaka - 2/VI-1935

Szanowny i Drogi Panie Kolego!

Siedzę już w Kazimierzu prawie dwa miesiące, w tym tygodniu zresztą chcę wyjechać do Lwowa, moje “wakacje” się kończą. Nie pisałem, ale też nie miałem także od Was odpowiedzi na swój ostatni list. Nie wiem nawet, czy “Kamena” wychodzi dalej; z domu mi jej nie przysłano.

Posyłam Wam odcinki moich recenzji z “Nowych Czasów”, gdzie pisałem o Waszych przekładach, bo nie wiem, czy je widzieliście.
Jeżeli chcecie odpisać mi kilka słów zaraz, proszę pisać do końca tego tygodnia jeszcze na adres “kazimierski”, w drugim tygodniu będę już prawdopodobnie na swoich “śmieciach” we Lwowie. Być może, przy sprzyjających okolicznościach

zatrzymałbym się na dzień jeden w Lublinie, bo nie znam tego miasta, a słyszałem, że warto je zobaczyć.

Proszę wreszcie o wiadomość, czy skorzystaliście z moich wierszy, które posłałem wam już dawno, ewentualnie odeślijcie mi te, z których nie skorzystacie.

U mnie nic nowego. Wydam tylko na jesieni dwie zdaje się książki; obie w Warszawie: antologię przekładów ukraińskich, nawet wcale pokaźny tom i wreszcie i nareszcie własny tomik wierszy - *Ludzie i pomniki.* Poza tym bardzo możliwe, na jesieni będę przez rok chyba w Paryżu. Moje stypendium “robi się” już w Warszawie.

Proszę o kilka słów. Ostatnio straciłem z Wami kontakt.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia wraz z mocnym uściskiem dłoni...

T[adeusz] Hollender

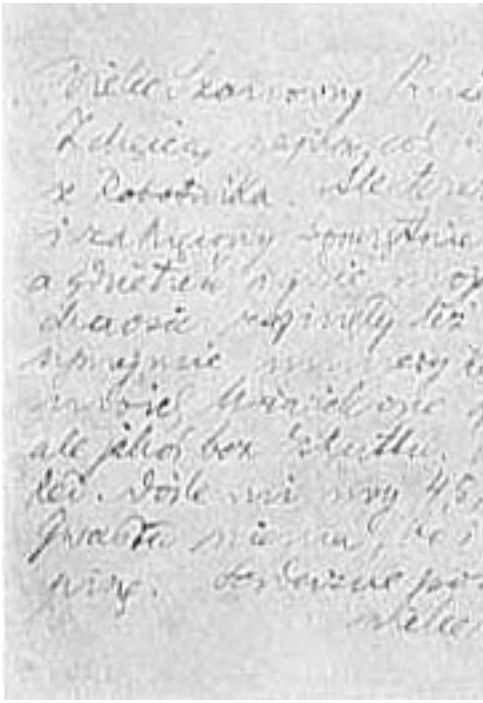
24 X 1934

Wielce Szanowny Panie!

Z chęcią napiszą coś dla Pana, dawnego kolegi z “Robotnika''. Ale teraz jestem zabałamucony i zakręcony doszczętnie, nie wiem, gdzie forma a gdzie treść i gdzie moja głowa i serce. W tym chaosie zaginęły też przysłane przez Pana uprzejmie numery “Kameny”; we wszechświecie moich książek one gdzieś są, przewracałem, ale jakoś bez skutku. Może przy sposobności Pan Red. dośle mi nry 4, 5, 6, z II roku, resztę mam do 9 włącznie. Gwałtu nie ma, bo i tak jeszcze teraz nie napiszę.

Serdeczne pozdrowienia załączam
wielce życzliwy

Karol Irzykowski



11 maj 1939

Szanowny Panie!

Nie mam wierszy odpowiednich, o górach nie piszę, w ogóle obecnie niczym nie rozporządzam nowym.

Z prawdziwym poważaniem

Maria Jasnorzewska [Pawlikowska]

13 paź. 1934

Szanowny Panie Kolego!

Dziękujemy za przesłanie nrów “Kameny”. Przydadzą się ponieważ w listopadzie będą omawiane właśnie w rubryce Co *czytać?* (czwartki godz. 18.45-19.00) nowości poetyckie.

W ogóle prosimy o przesyłanie wszystkich książek literackich, poezji, studiów, pism do Wydziału Literackiego P. R. Zielna 25, gdyż wszystkie one i to szybko będą omawiane w audycji *Co czytać. Ogród słowiczy* już był omówiony przez prof. Konrada Górskiego.

- A teraz pytanie: kogo by WPan proponował do wygłoszenia przez mikrofon prelekcji np. *Poetycka szkoła lubelska*? Prelegent musiałby posiadać nie tylko gruntowną znajomość tematu, ale i umiejętności lektorskie, dobry głos, dykcję, możność wypowiedzenia się w ciągu 15 minut (około 200-220 wierszy czterdziestoliterowych), w układzie przejrzystym, jasnym, bez przeładowania. Potrzebne by było porozumienie osobiste. Honorarium 75 zł. Czy np. Czechowicz? A może Pan? - Ale konieczna jest próba. Jeżeli Pan bywa w Warszawie, może Pan kiedy porozumie się ze mną (tel. radiowy 683-36, 4-6 po południu). Odnowilibyśmy dawną miłą znajomość i może porozumieli się w sprawach radiowych.

Serdeczny uścisk dłoni
Zygmunt Kisielewski

Wielce Szanowny Kolego!

[1934]

Bardzo serdecznie dziękuję za nadsyłanie “Kameny”. Do 1 list. wpłacam prenumeratę - dotychczas tego niestety nie uczyniłem z powodu stałej, ciężkiej choroby. Z radością teraz obserwuję (jak i czytam w prasie o tym) stały rozwój “Kameny”. *Ogród słowiczy* - kapitalnie przełożony. Proszę uprzejmie o nadsyłanie tak zbiorów tych przekładów - jak i tomów oryginalnych wierszy - gdyż pragnę je omówić obszernie w 2 pismach, w których prowadzę “przegląd wydawnictw”.

Gdybym przydał się na coś “Kamenie” - chętnie przystąpiłbym do pracy - ale za szczupłe są ramy pisma dla prozy. Czy otrzymał W.Sz. Kolega egzemplarz mej powieści pt. *Tańcząca karczma*? Jeżeli nie, to proszę łaskawie napisać - nadeślę niebawem. Okropne stosunki wydawnicze - za rękopis nie otrzymałem nawet 1 grosza. Jak proza Sz. Kolegi? Czy jest nadzieja wydania?

Życzę dobrego stałego rozwoju pięknej “Kamenie” oraz pozdrowienia i ściskam serdecznie dłoń.

Józef Nikodem Kłosowski

Krasnystaw Lub.
sk. 32

Kraków, 12 III 1938.

Szanowny Panie Redaktorze.

Wczoraj dopiero, wróciwszy z Zakopanego po kilkutygodniowym tam pobycie, dostałem do rąk list Pański z dn. 6 II, przesłany na adres redakcji “Albo - albo”. Oto dlaczego dzisiaj dopiero mogę odpowiedzieć na list Szan. Pana - proszę wybaczyć zwłokę i uznać mnie za wytłumaczonego.

Sprawa jest tym bardziej przykra, że i sama rzecz, z którą Pan był łaskaw zwrócić się do mnie, już jest nieaktualna. Minął bowiem dawno termin 18 II, wyznaczony na zamknięcie nru “Kameny”, poświęconego pamięci Struga. Gdyby nie przytoczone wyżej okoliczności, być może zdołałbym napisać coś do tego nru, jakkolwiek nie byłoby to rzeczą łatwą, gdyż o Strugu napisałem ostatnio cztery artykuły i artykuliki dla różnych pism, co jak Pan się domyśla - utrudnia napisanie jeszcze piątego tak, aby nie powtarzać rzeczy, raz już napisanych.

Chętnie natomiast prześlę za jakiś czas fragment powieściowy dla “Kameny”, wkrótce bowiem, po uporaniu się z lekturą materiałów (historycznych), zamierzam zasiąść do pisania nowej powieści.

Uścisk dłoni i pozdrowienia łączę.

Leon Kruczkowski

Warszawa, Wspólna 15 m. 5

17 V 1934

Szanowny Kazimierzu Edwardowiczu!

Przed chwilą dostałem egzemplarz Kameny'' z artykułem. Dziękuję. Sądzę, że Pan już otrzymał coś o Mickiewiczu; przypuszczam, że wypadnie trochę więcej niż o Wołoszynie. W ogóle pismo robi dobre wrażenie przede wszystkim dlatego, że biorą w nim udział przedstawiciele różnych kierunków, niezależnie jeden od drugiego; poza tym materiał jest dobrany i ułożony interesująco. Charakterem przypomina dawną już nieboszczkę - “Kwadrygę”. Ciekawe, że Pan potrafił w prowincjonalnym mieście dobrać tylu różnorodnych współpracowników. Przekłady z rosyjskiego i Pańskie innych poetów, na ogół podobają mi się; tylko o niektóre miejsca można by się spierać, ale nie ma na świecie nic takiego, o co by nie można było się sprzeczać. A więc wszystko w porządku.

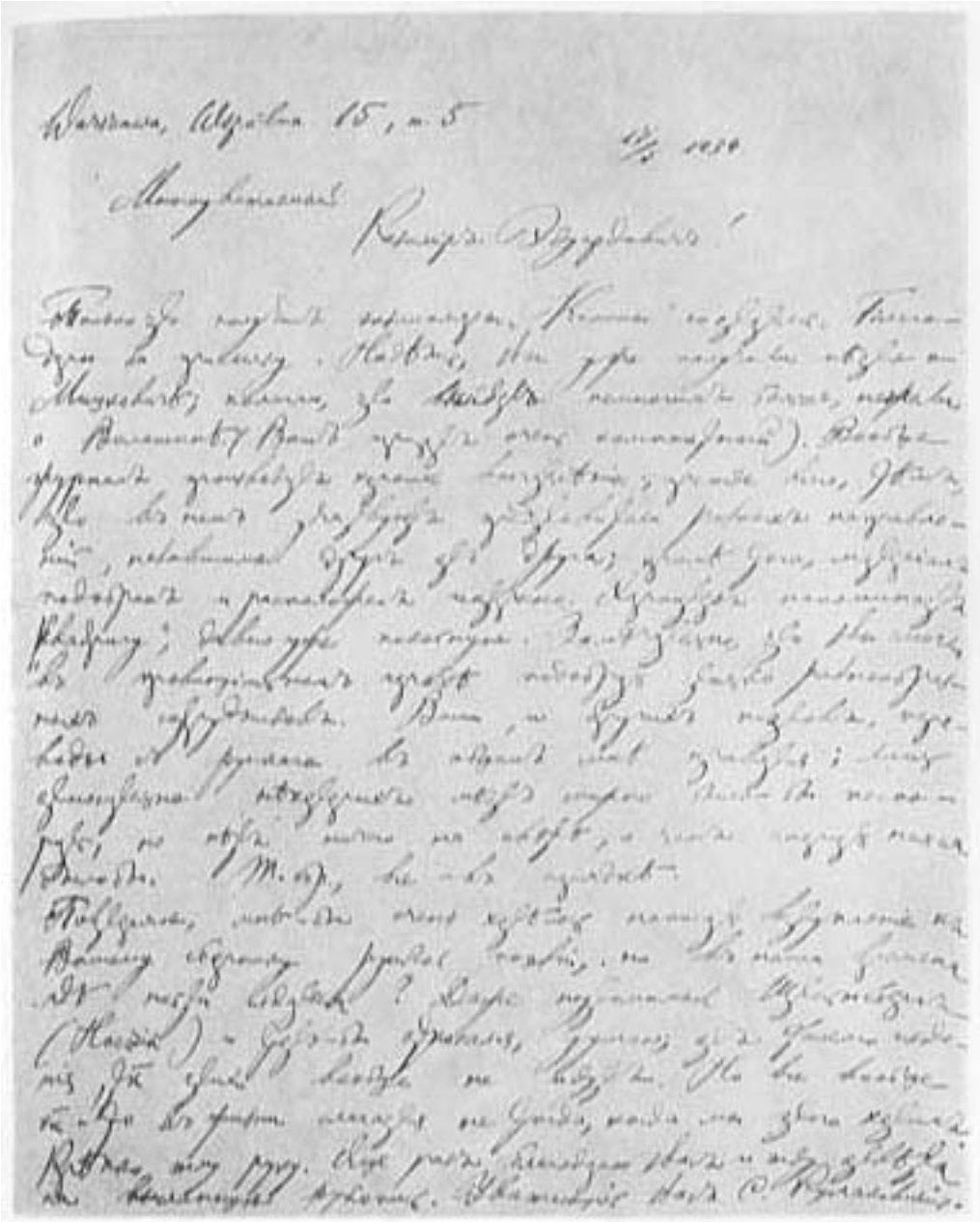
Powtarzam, chciałbym bardzo napisać przedmowę do Pańskiego zbioru poezji rosyjskiej, ale gdzie w naszych czasach znaleźć wydawcę? Nawet niezmordowany Sztajnsberg (Hoesick) i ten by odmówił wydania, ponieważ wiersze w ogóle nie idą. Ale w życiu w ogóle wszystko się jakoś układa nie wtedy, kiedy chcemy. Jeszcze raz dziękuję Panu i czekam na odpowiedź w sprawie wysłanego rękopisu.

Z poważaniem Pański
S[ergiusz] Kułakowski

P.S. Przejrzałem raz jeszcze ostatni numer “Kameny” i zamyśliłem się. Zawsze unikam sądów kategorycznych, ale jeszcze raz powiem, że żywy charakter Pańskiego pisma niezwykle pociąga. Przejrzałem wszystkie numery i bardzo żałuję, że jest ono tak mało znane. Niestety warszawska centralizacja nie dopuszcza sprzeciwów, a “Wiad. Lit.” lubią tylko swoich. Tymczasem skromna “Kamena” robi poważną pracę. Pańskie przekłady (a przejrzałem teraz wszystkie numery ponownie) często są doskonałe, przekłady Czechowicza - tak samo dobre. Taki np. wiersz Piechala o wiele jest żywszy, niż wszelkiego rodzaju filozofowanie (wyobraźmy sobie, że nr 1 “Demiurga” zawiera 100 stronic takiego - jak “Kamena”, przyp. mój - formatu). Uważam, że Pan słusznie przejechał się po “Demiurgu”. Ale Stępowski ma w sobie tyle idealistycznego żaru, że po prostu żal; niestety, ten mądry i wykształcony młodzieniec jest zbyt kategoryczny. Zastanawiając się nad “Kameną”, chciałem zapytać Pana o coś: czy Pan jest bardzo młody, jaką Pan ma specjalność. Pytania te wynikają z mego osobistego zainteresowania Panem jako człowiekiem. Tak ułożyć pismo, żeby przy całej swej lekkości nie miało lekkiej wagi, można tylko przy dużym doświadczeniu. Chciałbym bardzo, żeby jednak Pańska *Antologia poezji rosyjskiej* doszła do skutku. Kiedyś, kiedy będzie lżej w pracy (no i w życiu), przedłożę Panu swój plan. M. in. ja bym w dzisiejszych czasach zaczął ą antologię od Dzierżawina, a

nie od Puszkina: to taki mocny poeta i tak stoi u progu w. XIX. (Niech Pan zresztą nie myśli, że w tym wypadku ulegam pociągowi do Dierżawina naszych współczesnych poetów: przecież ten pociąg, choćby nieśmiały, przejawiał jeszcze Boris Sadowski, współczesny Błokowi i bądź co bądź równy talentem W. Al. Piastowi, memu miłemu druhowi, tak ślamazarnemu towarzyszowi Błoka w latach 1906-1913).

(Przekład z rosyjskiego).



16/VI1934

Warszawa, Wspólna 15 m. 5

Szanowny Kazimierzu Edwardowiczu!

Z całego serca dziękuję Panu za przysłane mi Pańskie zbiorki z serdecznymi dedykacjami i za egzemplarze “Kameny”, które dziś otrzymałem. Tak więc mam już cały tom I, stanowiący cenny wkład do mojej biblioteki i przypominający mi mój komplet nieżyjącej już niestety warszawskiej “Kwadrygi”, wydawanej bardziej ozdobnie, ale - rzadziej. Oba te pisma zrobione są bardzo mądrze i wszechstronnie; teraz, kiedy “Wiad. Lit.”, jak twierdzą niektórzy z tutejszej młodzieży, zwiędły za życia, takie pismo, i to jeszcze na prowincji lubelskiej, ma podwójną wartość. Pańskie posłowie - rozsądne i wzruszająco szczere: sam myślałem o tym, że w początkowych zeszytach było wierszy nazbyt wiele. Ale, na Boga, niech Pan z “Kameny” nie robi kwartalnika, ponieważ miesięcznik jest zawsze lżejszy i elastyczniejszy, a przy tym tańszy dla nabywcy. Pański wiersz o Mickiewiczu bardzo mi się podobał i nastrojem swym z lekka harmonizował z przemówieniem Staffa. Numer mickiewiczowski, jako klamra dla całego rocznika, nadzwyczaj pomysłowy i sam przez się zrobiony jest pięknie, interesująco i wszechstronnie. Zdążyłem już temu i owemu pokazać. Spożytkuję swoją notatkę o posiedzeniu Akademii Literatury - dam akademikom; wyzyskam to albo coś innego - w ogóle dam i roześlę (np. prof. Brücknerowi).

Biorąc pod uwagę dzisiejsze trudności finansowe i moralne, powiem, że od strony typograficznej wszystko jest zrobione - doskonale. Imponuje stanowczo wszystko, aż do różnojęzycznych tekstów włącznie. Gratuluję Panu z całego serca. A robię to bezstronnie, bo i pozrzędzę, tak, właśnie - za portret. Myślałem, że Pan kontynuując kolekcję pejzaży da linoryt np. zamku w Nowogródku. Linoleum dla portretu jest rzeczą niebezpieczną - - nie odpowiada. Można było dać portret jako rysunek ołówkiem gdzieś w środku numeru (oryginalny rysunek typu głowy Bourdelle'a, przypuśćmy, ale zupełnie oryginalny). A portret taki, jaki jest, nie stanowi ozdoby. Autotypia zaś z czegoś znanego - nie byłaby w stylu pisma. Szkoda, że nie wiedziałem! Jest cudowna litografia z lat 80-tych z portretu K. Pawiowej-Jaenisch. Zamieścił ją kiedyś krakowski “Tygodnik Powszechny”, a przysłała ją wraz z listem Wład. Mickiewicza, (którego nawiasem mówiąc, znałem osobiście) Pawiowa. Mam gdzieś egzemplarz tej rzadkiej rzeczy. Zrobiłbym autotypię tutaj na miejscu i przysłał Panu: na pierwszej stronie widok zamku, w środku - litografia, byłoby w ogóle stylowo. No, ale trudno. Widzi Pan - i krytykować zacząłem. Ściskam mocno dłoń i jeszcze raz dziękuję. Proszę się przed wyjazdem odezwać. Ja całe lato spędzę tu na pracy. Szkoda, że się nie zobaczymy. Oddany

S[ergiusz] K[ułakowski]

Rada: Komplet t. I “Kameny” można z łatwością sprzedać za 4 zł; tanio.

P.S. Czy Pan otrzymał mój list z portretem Wołoszyna? Krak. Przedm. 26/28, Uniwersytet, Seminarium Slawistyczne. Bardzo radzę. Uprzedzę, jeśli Pan sobie życzy. Proszę, jeżeli można, przesłać tam numer mickiewiczowski.

(Przekład z rosyjskiego).

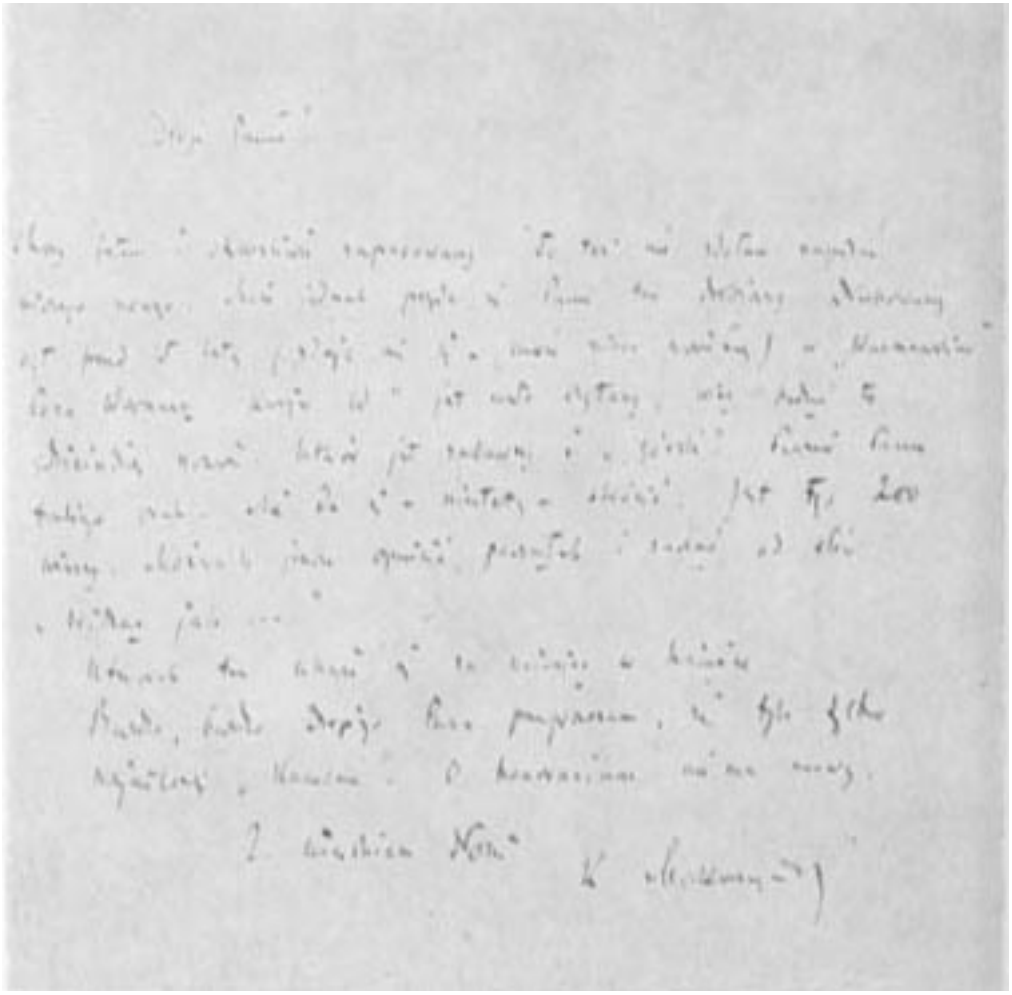
[1939]

Drogi Panie!

Chory jestem i straszliwie zapracowany, Toteż nie zdołam napisać niczego nowego. Może jednak przyda się Panu ten drobiazg. Drukowany był przed 5 laty (zdaje mi się - może nieco wcześniej) w “Warszawskim”. Poza Warszawą “Kurier W.” jest mało czytany, więc będzie to gdzie indziej nowość. Utwór jest zabawny i “górski”. Pewnie Panu takiego brak. Nie da się - niestety - skrócić. Jest tego 200 wierszy. Można by jeszcze opuścić początek i zacząć od słów “Widząc jak...”

Utworek ten ukaże się za miesiąc w książce. Bardzo, bardzo Drogiego Pana przepraszam, że tyle tylko najmilszej “Kamenie”. O honorarium nie ma mowy.

Z uściskiem dłoni
K[ornel] Makuszyński



18 XI 33 r.

Szanowny Panie!

W odpowiedzi na list z dnia 11 bm. w sprawie “Żagarów” komunikuję: nawiązanie kontaktu przyjmujemy nie bez zadowolenia. Będziemy mogli dać przekłady, o które “Kamenie” chodzi, trochę jednak później. Białoruskie, litewskie, a nawet może i łotewskie. Tak samo co do wierszy i artykułów członków zespołu “Żagarów”. Zbiorę i prześlę. W tej chwili jesteśmy zaabsorbowani sprawami lokalnymi, więc się nieco przeciągnie.

Serdeczny uścisk dłoni
Anatol Mikułko

Warszawa 18 IV 36

Szanowny Panie,

bardzo za list wyczerpujący dziękuję. Mój, wysłany przed wieloma tygodniami, najwidoczniej zginął. Tym bardziej jest mi przykro iż było to zaraz po ukazaniu się książki*. Wbrew Pańskim obawom książka podobała mi się całkowicie i najzupełniej mnie zadowoliła oraz wszystkich, którzy ją otrzymali. Między innymi i Panu przesłałem egzemplarz. Czyżby i on nie dotarł do rąk Pańskich?

Mogę tylko powtórzyć, co już pisałem raz obszerniej i bezpośredniej. Byłem po prostu zaskoczony starannością tego tomu, zrodzonego w tak trudnych warunkach i niemal jego bezbłędnością. Za Pańskie pilne starania i niezmierną koleżeńską uczynność dziękowałem Panu najszczerzej i teraz to ponawiam. Naprawdę, gdyby nie to, iż nie chcę Pana trudzić, oraz ze względu na długi okres druku, chętnie i na przyszłość korzystałbym z tej taniej okazji publikacji.

Pisałem Panu również, dziękując za przesłanie ostatniego przekładu. Ten poemacik ** uważam za wielce interesujący i piękny. Oceniam W pełni niezmierne trudności takiego tłumaczenia. Nie byle czego Pan dokonał.

W Warszawie taka książka, jak moja, musiałaby kosztować zapewne o połowę więcej, gdyby miała wypaść tak okazale. Są i tu taniutkie drukarnie, lecz bardzo liche i niechlujne.

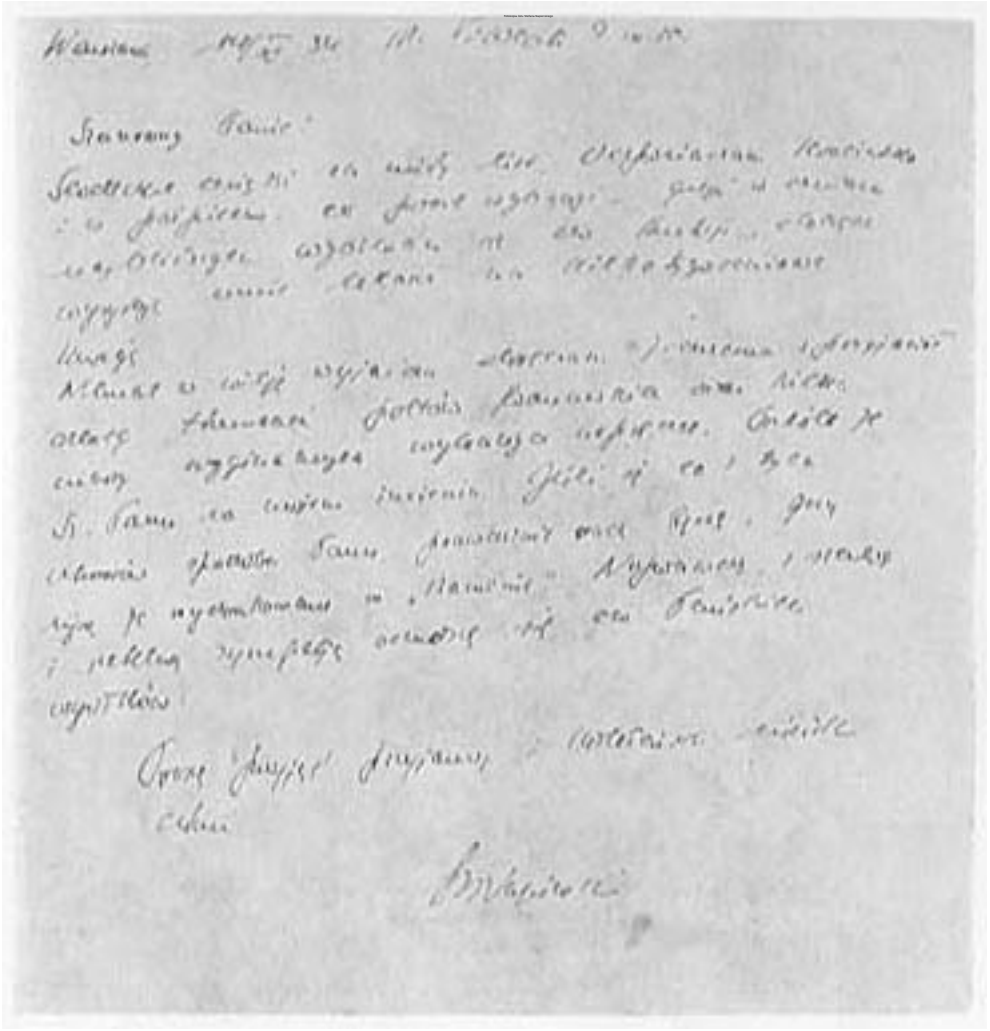
Artykuł o Czechowiczu ukazał się w Wilnie, dlatego musiałem wycofać go z żalem. Przekłady przesłane są do Pańskiej dyspozycji, bo mam ich mnóstwo nie drukowanych. Na artykuł, niestety, nie może Pan liczyć w tej chwili. Są to ostatnie moje tygodnie przedwyjazdowe. Wyruszam na zachód po wielu trudnościach na całe półrocze. Postaram się przed samym wyjazdem jeszcze Panu co przesłać. Na razie załączam ły artykulik o Brzechwie, może Panu przyda się na co. Łaszowskiego adres: Warszawa, Kredytowa 16 m. 30. Rad jestem, że ten artykuł spodobał się. To bardzo chwytliwa inteligencja. Tylko myślę, że trzeba go stylistycznie nieco trzymać w karbach. Tamtą rzecz za zgodą autora, skróciłem.

Zatem żegnam Pana teraz na długo i łączę bardzo serdeczny uścisk dłoni.

St[efan] Napierski

*) Stefan Napierski *Liryka niemiecka I* “Biblioteka Kameny” nr 5

**) Mikołaj Gronskij *Belladonna* “Biblioteka Kameny” nr 6.



Warszawa, 2 X 37 r.

Szanowny Panie,

własnie odbieram ostatni numer “Kameny”; dziękuję za wydrukowanie artykułu*. Szkoda, że tak długo czekał swej kolei, przez to zwietrzał, zwłaszcza, że od tej pory niektórzy *z* ów wydali nowe zbiorki. Lecz rad jestem właśnie ze względu na nich, którym krzywda się dzieje, gdyż traktuje się ich protekcjonalnie. Rzecz inna, że ja chyba przesoliłem w odwrotnym kierunku.

Niech Pan nie sądzi, że lekceważę liryki słowiańskie. Lecz zakrój mego pisma, jak się Pan przekona, na razie nie pozwala na bliższe zajęcie się nimi. Nie wyłączam tego bynajmniej na dalszą przyszłość i wtedy chętnie skorzystam z materiału i pouczeń informacyjnych.

Chwilowo proszę o przesłanie Boratyńskiego, Fieta, Błoka, Kusikowa. Pragnę mieć w tece szereg przekładów, by je móc z czasem odpowiednio skomponować.

Proszę przyjąć przyjazne pozdrowienia i uścisk dłoni.

St[efan] Napierski

P.S. Czy dogadzałoby Panu - pytam teoretycznie, aby II tom przekładów liryki niemieckiej ukazał się jako następny numer serii “Kameny”? Drukowałbym, zresztą, w Warszawie.

*) Stefan Napierski *Młodzi poeci poznańscy* nr 1 rocz. V.

Szanowny Panie Redaktorze.

Swego czasu był Pan łaskaw napisać w “Kamenie”, że jeden mój wiersz przeznacza do tatrzańskiego numeru. Bardzo się z tego cieszę; tyle, że dzisiaj oba wiersze, które wtenczas do Chełma Panu posłałem, traktuję jako bardzo słabe, bardzo. Dokonałem przeróbki jednego z nich - i tę właśnie przeróbkę posyłam Sz. Panu Redaktorowi z prośbą, aby Ją pomieścił w nrze tatrzańskim, o ile wyda Mu się tego godną. Sądzę jednak, że lepsza będzie od redakcji poprzedniej.

W numerze 7 z zainteresowaniem czytałem *List** - w druku zrobił na mnie jeszcze silniejsze wrażenie, niż w skrypcie. Wiersz ten miał iść w 1. numerze “Kultury”, która ostatecznie wcale nie wyszła. Sądzę, że Janowi Kottowi miło będzie go zobaczyć właśnie w “Kamenie”.

Pan Kułakowski był tak łaskaw ofiarować mi tom przekładów Jesienina - spod pióra Pana - ku upamiętnieniu wieczoru poezji rosyjskiej. Cieszyłem się z tego podarunku i z tego, że wieczór wreszcie do skutku doszedł. Nieobecność Pana, spowodowana złym przypadkiem, zaciążyła nieco nad; wieczorem. Jestem zresztą pewien, że Zarząd Klubu S - jak również Pan Kułakowski - opisali Panu przebieg zebrania w Kam. Baryczków.

Do listu pozwalam sobie dołączyć fragment dużego poematu z nadzieją, że, być może, pomieści go Pan Redaktor w którymś z numerów “Kameny”, mimo iż nie podobał się - poza jedną tylko linijką - Peiperowi.

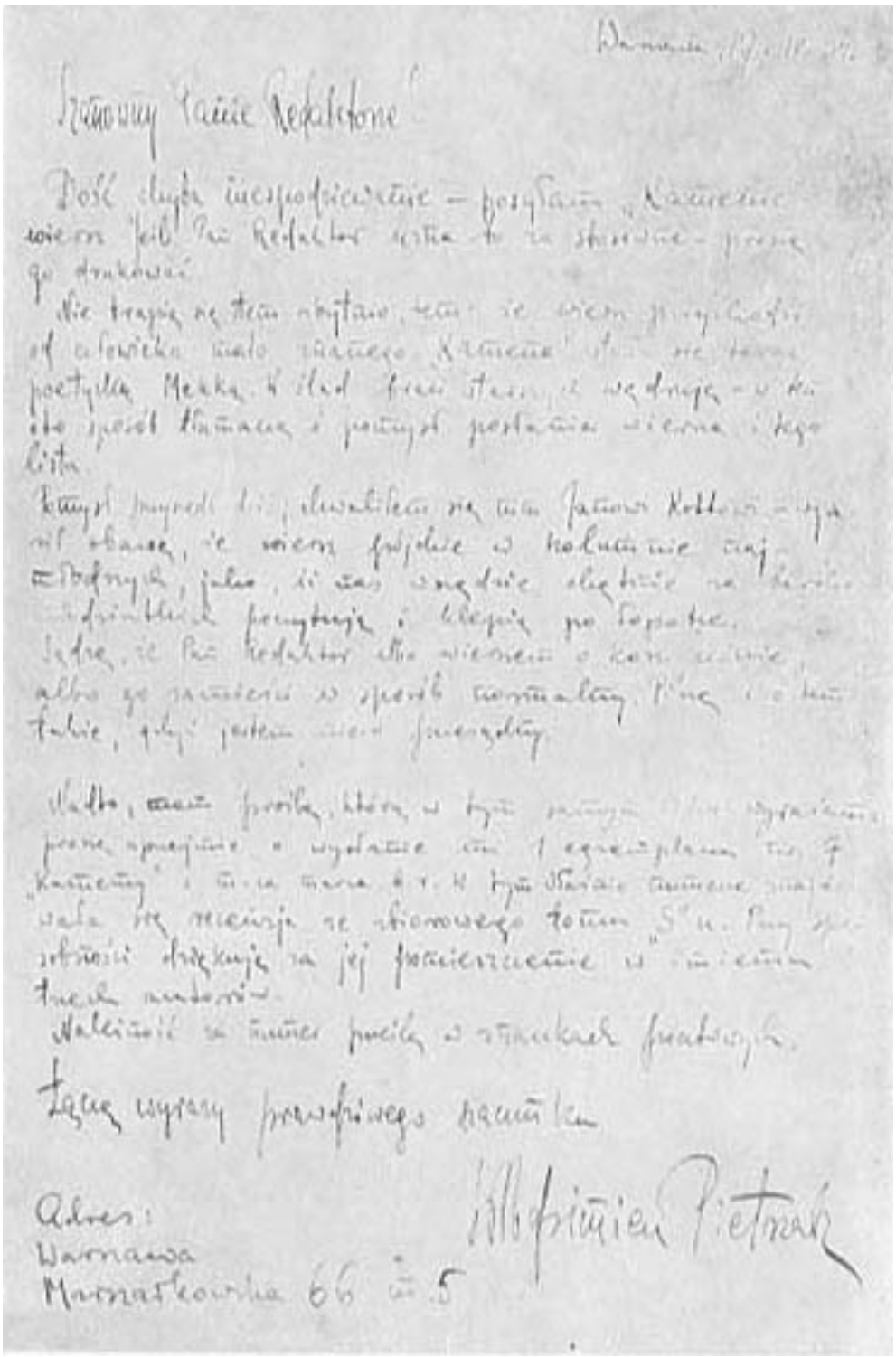
Pobyt mój w Turku ma charakter tymczasowy. Zaraz po świętach W. N. wracam do W-wy. Adres mój w W-wie, jeśli byłby potrzebny - Marszałkowska 66 m. 5.

Chcę przesłać pozdrowienia i wyrazy poważania

Turek, 4 IV 1935 r.

Włodzimierz Pietrzak

*) Mowa o wierszu J. Przybosia *List* zamieszczonym w n-rze 7 rocz. II “Kameny”.



Lwów, dn. 3 XI 1936 r.
ul. Na Bajkach 39 m. 5a

Szanowny Panie.

Przede wszystkim - chcę złożyć powinszowania z okazji nagrody, jaką Panu przyznał Związek Lubelski. Nie powinno się pracować z myślą o nagrodzie, najwłaściwsze wyroki feruje nam chyba zawsze (i tu już mnie wątpliwości porywają) osobisty wysiłek. Przecież - ludzkie uznanie, poza tą formą cerebralną, której nie chciałbym dowierzać, niesie dowód sprawdzalny, że siew padał i rósł, że nie tylko skalista brała go powierzchnia, lecz - że docierał. Tego właśnie, że posiew Pański dotarł, że wiatry go nie uniosły w żadną próżnię, gdzie głos milknie - winszuję Panu. A nagrodzonym tak młodo nie trzeba mówić plurimos annos - czeka ich przecież pełne i długie życie.

Wezwanie o tatrzańskim numerze “Kameny” budzi we mnie odgłos: posyłam Panu różne w tonie utwory - vers en prose, sięgający wspomnieniem do tej epoki życia, którą z daleka wielbię - gdy jest zamknięta w czasie, gdy mnie niesamowitość jej bogactwa już nie dotyka, - i wreszcie normalny wiersz. Może ten wiersz normalny obrony nie potrzebuje, vers en prose jej się domaga: nie chciałbym, aby Pan się go lękał. Może - przeciwnie - numer górski bogatszy będzie z tą stroną ratownictwa od śmierci?

Nie wnikając już dalej w arkana wiedzy redaktorskiej, ograniczę się do prośby: w razie, gdyby któryś z tych utworów nie był wykorzystany - nie miał być wykorzystany - o odesłanie. Tyczy się to zwłaszcza *Tatr* **-** jedyne pismo, a taki podle leniwy jestem, nie chce mi się działać odpisu. - Inicjatywa dorocznych numerów tatrzańskich wydaje mi się pociągająca, piękna. Może by jednak nie poprzestawać na wezwaniach? Może by Pan Redaktor ad personam do niektórych poetów o wiersze specjalne się zwrócił (dla przykładu: Przyboś, Jastrun, Napierski, Sowiński Adolf, wileńscy) - może by wtedy numer był bogatszy, ciekawszy? Chwytanie w sieć druku przypływu poczty, tego - co ze świata dobra wola niesie - nie daje rezultatów wspaniałych. A może by (ciągle: “a może by”) “Kamena” zwróciła raz spojrzenie na morze? Numer morski - to także możliwość jakiejś pomocy L. M. i K.

Chwilowo jestem służbowo przydzielony do Lwowa - może na kwartał, może na krócej. Ponieważ nie wiem, jak długo mnie tu moje zajęcia biurowe zatrzymają, przeto - o ile adres w nagłówku podany dobrze służyć będzie - na pewno - przez cały listopad, o tyle później - mogłyby zajść powikłania, numer autorski “Kameny” proszę przesłać (ten tatrzański) pod adresem - Wł. Piętrz., Turek, woj. łódzkie. Moi rodzice prześlą mi go z kolei pod adres właściwy.

Dziękuję Panu bardzo za tak przyjemną recenzję w “Kamenie”. Z W-wy wyjechałem niedawno; Lwów jest piękny nad wyraz, ale ludzi warszawskich mi tutaj brak. Kocham się za to w śpiewnej mowie lwowskiej, pełen jestem sympatii dla Ukraińców. Chcę ich odszukać - tych, co piszą. - A swoją drogą - “Kamena” imponuje: tyle lat - i w Chełmie Lubelskim. To właśnie dobrze - trzeba zasypać przepaść, która dzieli w kraju naszym życie stolicy od życia prowincji. O tym by za wiele pisać, a tu ledwo miejsce na złożenie wyrazów poważania

Wł[odzimierz] Pietrzak

[1938]

Szanowny Kolego!

Tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że - pomijając już istotne zdenerwowanie, które tutaj zapanowało wśród wszystkich - miałem ostatnio bardzo zapchane dni różnymi kłopotami. Ojciec mi ciężko zachorował, musiałem wyjeżdżać do Warszawy. Wybaczcie, że nie dotrzymałem terminu.

Artykuł* jednak jest już gotowy i zabieram się do przepisywania. Na pewno wyślę jutro, czyli że otrzymacie go we wtorek. Myślę, że będzie ze cztery strony. Posyłam także jeden wiersz. Bardzo by mi zależało, by to mogło się ukazać w nrze październikowym, bo w grudniu to by już było za daleko od rocznicy (9 listopada).

Kłaniam się serdecznie
Piwowar Lech

*) Chodzi o artykuł L. Piwowara *Apollinaire, poeta cywilizacji* zamieszczony w nrze 1-2 rocznika VI “Kameny”.

Równe, 27 października 1938

Szanowny Panie Redaktorze!

Posyłam wiersz do “lubelskiego” numeru “Kameny”. Zwłokę tłumaczę tym, że zamierzałem posłać coś innego, nowszego, niż to, co załączam. Jechałem do wojska z myślą, że będę miał tu dość czasu do napisania wielu obmyślanych już utworów. Niestety jednak do tej pory nie napisałem nic, jeśli się wyłączy parę listów o treści przeważnie “handlowej”. Czasu wolnego jest tu dość, ale nie sposób go dla twórczości wyzyskać. Wszystko to oglądane oczami cywila - całe to życie koszarowe pobudza jedynie do histerii lub otępienie sprowadza. W czasie czynnej służby można się było do tej egzotyki przyzwyczaić - człowiek był młodszy. Teraz jest to świat obcy, zachłanny i przez tę zachłanność wrogi. Szczęście, że za 10 dni kończą się “wzniosłe” chwile służby dla ojczyzny. Doprawdy takiej służby nie mógłbym dłużej pełnić. - Kiedy wyjdzie lubelski numer “Kameny”? Czy już się składa? - Byłoby mi bardzo miło, gdyby Pan zechciał parę słów przesłać mi na rozwrzeszczaną, roztrąbioną pustynię. Wieści ze świata nabierają w pewnych warunkach specjalnej wartości. A warunki moje określa i to, że w Równem nie posiadam żadnych znajomych - a nie mam także pieniędzy na to, żeby od czasu do czasu pójść do jakiejś kawiarni i poczytać gazety. - Czy “mokotowscy” poeci (Czechowicz, Domiński) i Łobodowski nadesłali utwory?

Na koniec prośba o łaskawe przesyłanie “Kameny” na mój adres warszawski, który podaję na kopercie.

Łączę serdeczne pozdrowienia
W[ładysław] Podstawka

Adres:
kapr. rezerwy W. P.
Równe Woł.
45 pułk strzelców kresowych
kompania gospodarcza

(Z listów do Zenona Waśniewskiego)

Szanowny Panie Kolego.

W istocie wstyd mi, ale nie pamiętam. Nie mogę znaleźć w pamięci twarzy, którą by przyczepić można do tego nazwiska. Czy nie bylibyście łaskawi dopomóc mi jakimś szczegółem, jakimś zajściem, obrazem z tych czasów? Gdybyście mi przysłali fotografię, albo przynajmniej opis swej zewnętrznej osoby. Powiało na mnie z tego listu dawnym czasem, raz na zawsze już - zda się - straconym. Miłe to i trochę smutne. Czy nie narysowałem wam kiedyś portreciku do indeksu?

W każdym razie dzięki serdeczne za list i pyszne czasopismo. Nie byłbym nigdy przypuścił, że Chełm może się poszczycić takim miesięcznikiem - na takim poziomie.
Oglądałem z przyjemnością piękne Wasze linoryty, kosztowałem tu i ówdzie trochę z jakiegoś wiersza. Świetne przekłady z rosyjskich poetów.
Chętnie prześlę jakiś fragment prozy. Nie będę tam w towarzystwie.

Proszę Was, byście z mojej niepamięci nie wysnuwali wniosku o jakiejś nieuwadze z mej strony, o jakimś przeoczeniu. Z pewnością tak nie było. Nie posiadam po prostu pamięci, że tak rzekę - biograficznej. Całe płaty mej biografii uleciały mi bez śladu - razem z zawartymi w nich ludźmi. Co za analogia losu! Obaj byliśmy na technice, obaj nie ukończyli jej i wylądowali w zawodzie nauczycielskim. A w dodatku wspólna słabość do literatury i malarstwa! Czy i Wy uczycie robót ręcznych? Zbrzydło mi to, do wymiotów!

Oczekuję od Was z przyjemnością dalszych wiadomości i tymczasem pozdrawiam serdecznie i zacną dłoń ściskam.

P. S. Czyście kiedyś natknęli (się) na moje akwaforty?
Wyrazy szacunku i uznania dla pana Jaworskiego.

Bruno Schulz

Drohobycz, 15 III 1934
Floriańska 10

Drogi Panie Kolego!

Naturalnie, że pamiętam Was i Wasza twarz stoi mi teraz żywo przed oczyma. Nieraz myślałem o Was i zapytywałem się, co się z Wami stać mogło. Tylko nazwisko oderwało się przez ten czas od Waszej fizjonomii i kiedy wróciło po latach samo - nie poznałem go i nie umiałem nigdzie zaszeregować. Teraz przypominam sobie doskonale, żeście mi nieraz .asystowali. Pamiętam jakieś spacery i rozmowy. Czyście tacy zostali? A może to tylko budowa Waszych brwi i oczu sprawiała tę jakąś słowiańską, łagodną ponurość.

Bardzo wam serdecznie dziękuję za sukurs mojej pamięci, za ten fragment biografii mojej, któryście mi oddali. Dziękuję także pięknie za ofiarowane szkice. Będą dla mnie miłą pamiątką. Mój portrecik od razu poznałem, kolega przedstawiony w profilu z orlim nosem i cieniem zgolonego zarostu to kol. Cygie z Łodzi. Także asystenta Sadłowskiego* przypomniałem sobie.

Bardzo się cieszę *Ogrodem słowiczym* z bardzo pięknymi drzeworytami Waszymi. Gdybyśmy się gdzieś spotkali - nauczylibyście mnie techniki drzeworytu. Nie mogę jeszcze ciągle zrewanżować się moją książką, gdyż ani jeden egzemplarz mi nie został.

Napisałem do “Roju” z prośbą o parę egzemplarzy, ale mi nie przysłali jeszcze. Poślę wam także coś z moich akwafort, gdy tylko będę miał trochę czasu na sporządzenie odbitek.

Nie odpisałem wam natychmiast, gdyż byłem zajęty przygotowaniami do lekcji pokazowej z robót ręcznych (szklarstwo), która wczoraj odbyła się w obecności wizytatora i instruktora fachowego - na szczęście wyszedłem z tej próby nieźle. Okropnie mnie to wszystko nudzi i chciałbym jakoś się od tego uwolnić. Na drugi rok dochodzą do tego roboty w metalu.

Jak widzę z fotografii, pochodzicie z rodziny ziemiańskiej i może jeszcze częściowo interesami i przynależnością klasową tkwicie w ziemiaństwie. Wakacje spędzacie zawsze na wsi, na własnej lub rodzinnej ziemi - bardzo to piękne.

Gdzie spędzę wakacje - nie wiem jeszcze. Zaraz po świętach będę w Warszawie parę dni. Odnaleźć mnie można w internacie dla nauczycieli państw. Marszałkowska 4 - na wypadek, gdybyście i wy znaleźli się w Warszawie. Bardzo chciałbym się z Wami zobaczyć. Jak widzę, rozwinęliście się w nie przeczuwanym przeze mnie kierunku. Nie imputowałem wam nigdy skłonności literackich. Dobrze by było w lecie gdzieś spotkać się. Zostaniemy - mam nadzieję - w kontakcie i porozumiemy się jeszcze co do tego. Bardzo dla mnie był miły ten epizod odnalezienia Was po tylu latach i jeszcze raz serdecznie dziękuję za wszystkie dary i pamiątki. Fotografie Wasze oraz rodzinne zwracam wam - szkice - korzystając z Waszej łaskawości - zatrzymuję.

Czy może to być fragment prozy, który mógłbym posłać do “Kameny” czy musi to być jakaś całość? Przypuszczam, że może być i fragment. Wyślę wkrótce.

Serdecznie Was ściskam i pozdrawiam

Wasz
Bruno Schulz

Drohobycz, 24 III 1934.
Floriańska 10.

*) Sadłowski - asystent, później prof. Politechniki.

Drogi Panie Kolego!

Wasze długie milczenie ciążyło mi na sumieniu, ile razy myślałem o Was. Miałem niejasne poczucie tego, że w ostatnim liście nie byłem tak miły, jakbym po Waszych serdecznych listach być powinien.

Wasza płowa i słowiańska dusza nie zrozumie zawiłości i krętych dróg, którymi chadza moja ciemna i meandryczna, pełna węzłów i splątań! Proszę Was gorąco, Drogi Panie Kolego, nie dopuszczajcie do siebie takich myśli, jakobym zachowywał wobec “Kameny” albo wobec Was jakąś rezerwę - chociaż nie przysłałem obiecanego fragmentu. Dla “Kameny” mam szczery respekt i sympatię, jako dla pisma wznoszącego wysoko sztandar czystej bezkompromisowej poezji. Przyjmijcie raczej zgodnie z prawdą, że pogrążony jestem w głębokim upadku ducha i że zdaje mi się, że już nic więcej nie potrafię napisać. Pocieszam się i perswaduję sobie, że to neurastenia, ale już przeszło sześć miesięcy trwa ta awersja do pióra i to jednak daje nieco do myślenia. Ze starszych fragmentów wybrałem jeden - właściwie nie fragment, a rzecz do pewnego stopnia zamkniętą pt. *Noce lipcowe,* przekazując ją dla “Kameny”. I oto nie znajduję energii, żeby ją poprawić i przepisać, gdyż mam ją w brulionie w stanie nieco surowym. Mam uczucie, jak gdybym powtórnym opracowaniem profanował tę rzecz, z pewnego rodzaju inspiracji wyrosłą, której już teraz sprostać nie umiem. Czy od tego czasu drukowałem gdziekolwiek indziej? - chociaż wszystkie pisma stoją mi otworem? Jakże Wy możecie mówić o rezerwie wobec “Kameny”?

Dziękuję Wam, żeście mimo tego mniemania o mnie - napisali. Dobrzeście zrobili, gdyż bez tego kto wie, czy byłbym się zdobył na kontynuację - a szkoda byłaby wypuścić z rąk tę rzecz nabrzmiałą taką sumą przeszłości i obciążoną takim kapitałem młodości naszej. “Co Was, u licha, gnębi?”- pytacie.

Nie umiem na to odpowiedzieć. Smutek życia, trwoga przed przyszłością, jakieś przeświadczenie niejasne o żałosnym końcu wszystkiego. Jakiś dekadencki Weltschmerz, czy co do licha. Nie, nie wyrzekam się korespondencji z Wami, pragnę ją utrzymać, jakkolwiek nie jestem może zdolny do tej wylewności, jakiej ode mnie oczekiwaliście. Nie bierzcie mi tego za złe i nie dopatrujcie się w tym żadnych rezerw

wobec Was. Nie chciałbym stracić Waszych listów j proszę Was nadal o Waszą miłą serdeczność i na wskroś sympatyczną naturalność. Właśnie dlatego, że jej sam nie posiadam, odczuwam ją tym żywiej. Strasznie chętnie chciałbym się z Wami spotkać. Dokąd wyjeżdżacie 20 VI ? Może to miejsce będzie jakoś dla mnie osiągalne podczas wakacji. Szczerze cieszę się, że Wam się kroi jakiś mały wojaż do Włoch. Należy się Wam od dawna, takiemu entuzjaście piękna! Co do mnie nie ma mowy, żebym mógł się przyłączyć. Moja pensja wynosi 240 zł. Ze *Sklepów cynam*. nie miałem ani grosza. Przeciwnie “Rój” obiecał mi wprawdzie w razie wyczerpania nakładu jakąś renumerację, ale wątpię, czy dotrzyma słowa.

W Warszawie było bardzo miło. Byłem tam 6 dni. Spędziłem je przeważnie z Nałkowską, moją protektorką i, rzec mogę, przyjaciółką. Byłem u Tuwima (był wówczas w rekonwalescencji po chorobie), u Aleksandra Wata, widziałem się z Ważykiem, z Bruczem, z Gojawiczyńską.

Co zrobię podczas ferii - nie wiem jeszcze.
Powinien bym gdzieś zaszyć się na wsi i pisać.
Może pojadę do Zakopanego, ze względu na zdrowie. Zależy to od tego, czy otrzymam subwencję na to. Czy “Kamena” nie będzie dalej wychodziła?
Pragnę z Wami podczas ferii pozostać w kontakcie. Napiszcie mi, gdzie będziecie.
Leszczyca * znam, ale powierzchownie. Przy okazji wycieczki do Truskawca zapytam go o ceny.

Bardzo serdecznie Was pozdrawiam i ściskam. Pamiętajcie o mnie.

Bruno Schulz

Drohobycz, 5 VI1934

*) Leszczyc - pośrednik w sprzedaży obrazów. Urządzał wystawy w Truskawcu i tam najwięcej sprzedawał.

Drogi Kolego!

Spodziewam się, że otrzymaliście list polecony zawierający fragment dla “Kameny”*. Bardzo ciekaw jestem, czy Wam i p. Jaworskiemu fragment się podobał i czy zostanie zamieszczony. Zdaje mi się, że jest za długi i że będzie musiał pójść w 2 numerach.

Nie gniewajcie się, żem wam tak długo nie odpisywał. Chciałem już odpisać razem z obiecanym fragmentem, a tymczasem zaproszono mnie do Truskawca (okazało się potem, że musiałem sam za pobyt zapłacić), gdzie spędziłem 9 dni i gdzie nie mogłem się zabrać do pisania. Była piękna pogoda i ten odpoczynek dobrze mi zrobił.

Mój urlop zdrowotny się skończył i zacząłem już pracę w szkole. Jednakowoż wniosłem podanie do Ministerstwa o urlop roczny celem napisania powieści i oczekuję odpowiedzi. Z Kuratorium odeszło z pomyślnym wnioskiem. Jeżeli mi odmówią, to będzie naprawdę rozpacz, gdyż tak odwykłem przez wakacje od szkoły i bachorów, że nie mogę sobie z nimi całkiem dać rady i dokazują mi niemożliwie. Prócz tego nie wiem, co będzie z robotami w metalu, których nie umiem. Są to ładne rzeczy - ładniejsze niż drzewo, ale trzeba by gdzieś elementów obróbki się nauczyć.

W Truskawcu widziałem Wasze prace u Leszczyca. Bardzo, bardzo mi się podobały. Te zielone masy parków, uroczyska zieleni prześwietlone lukami nieba, to interieur takie syte i zharmonizowane w kolorach. Zawsze myślałem sobie, że tempera - to szlachetniejsza technika niż olejna. To technika mniej realistyczna, chłodniejsza i wytworniejsza. Ale trudności też są bez porównania większe i niemożność mieszania i zlewania tonów, konieczność płaszczyznowego traktowania i rozjaśniania się po wyschnięciu.

Za to kolory mają coś aksamitnie-gobelinowego. Czy robicie także figuralne rzeczy? Osiągnęliście prawdziwe mistrzostwo w tej technice.

Za list Wasz serdecznie dziękuję. Dobrze jest i pokrzepiająco - mieć przyjaciół - z ducha. Za zaproszenie serdecznie dziękuję. Skorzystam, gdy otrzymam urlop.

Odwiedził mnie w tych dniach p. Kuryluk, redaktor “Sygnałów” lwowskich, i prosił koniecznie o jakiś fragment. Dałem mu starszą rzecz, jeszcze 1928 napisaną, którą znalazłem w papierach. Bardzo się ucieszyli tym i już podobno wydrukowali.

Bardzo ciekaw jestem, jak ocenicie mój fragment dla “Kameny”. Pomysł trochę ryzykowny i nie wiem, czy udało mi się dać tę kwintesencję jesieni, którą ma być ten “traktat meteorologiczny”.

Oczekując listu od Was, pozostaję z najserdeczniejszym uściskiem dłoni.

Wasz
Bruno *Schulz*

Drohobycz, 6 X 1934

*) Bruno Schulz *Druga jesień* nr 3 rocz. II.

Drogi Kolego!

Najmocniej Was przepraszam za długie milczenie, którym odpowiedziałem na Wasz piękny i smutny list owiany nastrojem Zaduszek. Skąd ten ton funebryczny, skąd to kokietowanie z straszliwie ponętną i smutną Panią grobów? Czy to może podświadoma reminiscencja starego święta natury, święta śmierci i rozpusty, listopadowych bachanalij ,na cmentarzach? Czy już i Was się chwyta “taedium vitae”? - wielkie zniechęcenie - bierny opór, chęć sabotażu, wyłamania się z ogólnego kieratu? Wstydzę się Was mojej płaczliwej niemęskości, recydywy zwątpienia - Wy jesteście o tyle silniejsi ode mnie i o tyle bardziej po męsku znosicie Wasz los!

Od miesięcy już nic nie pisałem, nie malowałem i mam niekiedy uczucie, że już nic porządnego nie napiszę. Wielka mi szkoda zmarnować taki sukces, jaki odniosłem *Sklepami,* zmarnuję go, jeśli jeszcze w tym roku nie wydam rzeczy przynajmniej na tym poziomie stojącej.

Napisałbym ją, gdybym otrzymał urlop, a tu o urlopie głucho, podanie utonęło w podziemnych trybach Ministerstwa i tracę nadzieję, czy jeszcze wypłynie. Mam zamiar na razie napisać parę artykułów o książkach. Kusi mnie zanalizować *Jakubowe historie* Manna, wspaniałą rzecz, której można zademonstrować przemianę naszego pojęcia rzeczywistości i nowy pogląd na istotę życia. Ta cudowna powieść (prawdziwa “druga jesień” z traktatu) opada ze mnie nie wykorzystana, ledwo zauważona. Tylko wieczorami, kiedy powietrze staje się kolorowe i pełne refleksów i z wszystkich przedmiotów, już zmierzchających, wydzielają się barwne emanacje, astralne ciała, cień za cieniem - lubią patrzeć na jasne niebiosa grynszpanowe, seledynowe, topazowe, jak księga czarodziejska, popstrzona czarnymi znakami, tureckim alfabetem wron i obserwować te ogromne sejmy wronie, zgiełkliwe i jękliwe, te ich szerokie fantastyczne loty i kołowania, nawracania i nagłe inwazje na niebo, które napełniają falowaniem swych skrzydeł i migotliwym krakaniem. Czy zauważyliście, że chwilami, odleciawszy bardzo daleko, stają się jak tuman pyłu ledwo widoczne i giną z oka, a potem nagle przy nawrocie nastawiwszy się do nas szerokością skrzydeł, skrupieją na czarną kaszę, osypują płatkami sadzy i rosną coraz szerzej i coraz gwałtowniej? [...] Co tam słychać koło Was, Drogi? Czy malujecie? Czy Was ta jesień natchnęła do jakichś nowych sformułowań barwnych? Czy macie taki piękny krajobraz. Czy od Leszczyca macie jakieś wiadomości? Napiszcie mi o sobie obszernie!

Serdecznie Was ściskam i pozdrawiam
Bruno Schulz

7 XI 1934.

Drogi Kolego!

Przesyłam Wam mały fragmencik * - nie wiem, czy się nada - ja osobiście lubię go i byłby znowu na czasie, bo właśnie wiosna idzie.

Dziękuję wam serdecznie za pamięć i nie gniewajcie się, że tak rzadko piszę. Nie gniewajcie się także, że jestem tak skąpy w nadsyłaniu fragmentów. Prosiła mnie i "Gazeta Artystów" w Krakowie, i Związek art. plast, we Lwowie, i miesięcznik literacki Związku Nauczycielstwa Pol. - Czechowicza - z tego wszystkiego posyłam tylko do "Kameny" - ze względu na Was. Od miesięcy nic nie piszę i wyczerpuję ostatki dawnych manuskryptów.

Żal mi Was, że się tak zapracowujecie. Cieszę się niezmiernie na Wasz przyjazd. Naturalnie zamieszkacie u mnie - gdzieżbym Was puścił do hotelu. Nauczycie mnie drzeworytu i linorytu.

Nauka w szkole zbrzydła mi do ostatnich granic. Nie umiem uczyć. Nie cieszą mnie te marne rezultaty, które można (podobno) osiągnąć. Seredyńskiego **) nie mogę sobie przypomnieć - musiało to być dawno. Szkice podług głów uczniów - robię bardzo rzadko - teraz nigdy.

Dziękuję wam za szczere słowa współczucia z powodu śmierci Brata. Odumarł on nie tylko swojej rodzinie, którą pozostawił, ale i mnie, i siostrze i siostrzeńcowi, których wszystkich utrzymywał. Był to człowiek, do którego wszyscy się uśmiechali, o którym mówili z zachwytem. Elegancki, piękny i wytworny czarował ludzi i pociągał.

Czy widzieliście może moją nowelę *Doda* w styczniowym jakimś numerze "Tygodnika Ilustrowanego"? Z własnymi ilustracjami. Czy czytaliście fragment o ojcu - strażaku w "Wiadomościach Literackich"? Są to wszystko dawniejsze rzeczy, jeszcze mi nie zapłacili. Oburzające jest, że Leszczyc zbywa Was 50 złotymi.

Czy czytaliście już Bąka? Jaka Wasza opinia? Przeczytałem tylko to, co było w "Wiad. Liter." Bardzo piękne.

Okolica Drohobycza - bardzo ładna. 12 minut do Borysławia - 15 minut do Truskawca. Za 2 godziny jest się w Bieszczadach - paśmie wschodniego Beskidu. Przyjedźcie z farbami i płótnem. Oczekuję Was.

Bardzo serdecznie ściskam Was
Bruno Schulz

Drohobycz, 16 III 1935 r.

*) Bruno Schulz Wiosna nr 10 rocz. II.
**) Seredyński - kolega z Politechniki.

14/I 1938 r. Zamość

W. Szanowny Panie

Proszę wybaczyć, że dopiero dziś (po powrocie z urlopu) odpisuję na miły list i propozycję. Sprawa tak się przedstawia, że napisałem o Leśmianie nieduży artykuł do miejscowego kwartalnika “Teka Zamojska” (będzie to poważne pismo naukowe o nastawieniu regionalnym), którego numer pierwszy ukaże się w końcu stycznia lub z początkiem lutego. Ponieważ jednak zasięg czytelniczy tego pisma będzie bardzo ciasny, w każdym razie ciaśniejszy od “Kameny”, która wszędzie dociera (ale nie do Zamościa) przysyłam go (ten artykuł) WPanu - może się przyda, o ile numer styczniowy nie wyszedł albo lutowy wkrótce wyjdzie. Do decyzji. Poza tym mam napisać o śp. Leśmianie do “Okolicy Poetów”, która w kwietniu wydaje numer specjalnie Poecie poświęcony. W lutym też - lub w marcu wyjdzie oddzielnie moja trochę dłuższa rzecz o Jego twórczości.

Przy sposobności dwie prośby: chciałbym dla czytelni szkolnej zaprenumerować “Kamenę”, więc uprzejmie proszę o polecenie przysyłania pisma pod adresem gimnazjum państwowego im. Zamoyskiego w Zamościu, a otrzymawszy czek, każę prenumeratę natychmiast wysłać. Druga prośba tyczy wydawnictw “Kameny” (oddzielnych), chętnie bym wysłał wydane dotąd trzy tomy naszej zamojskiej Księgarni Koła Miłośników Książki w zamian za bibliotekę “Kameny” (wiem o dwóch tomikach, może wyszło więcej).

Z głębokim poważaniem
A[dam] Szczerbowski

Adam Szczerbowski
Zamość - gimnazjum męskie

16 IV [19] 37

Szanowny i Drogi Panie!

Artykuł o Żeromskim ciągle nie napisany. Brak czasu. Przesyłam natomiast szkic o Szandlerowskim. Miałem zamiar nadać go przez radio, złożyłem jeszcze w listopadzie ub. roku - obecnie, po dłuższej naradzie wewnętrznej a zwłoce odrzucono cały ten materiał, jako że Szandlerowski kochał się w kobiecie (ksiądz!), a to może spowodować ataki kleru.

Wiem jednak, że Pan tej ewentualności nie bierze małodusznie pod uwagę, toteż z całym zaufaniem przesyłam do “Kameny” ów szkic.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia

Grzeg[orz] Timofiejew

Łódź, Dygasińskiego 10 m. 32

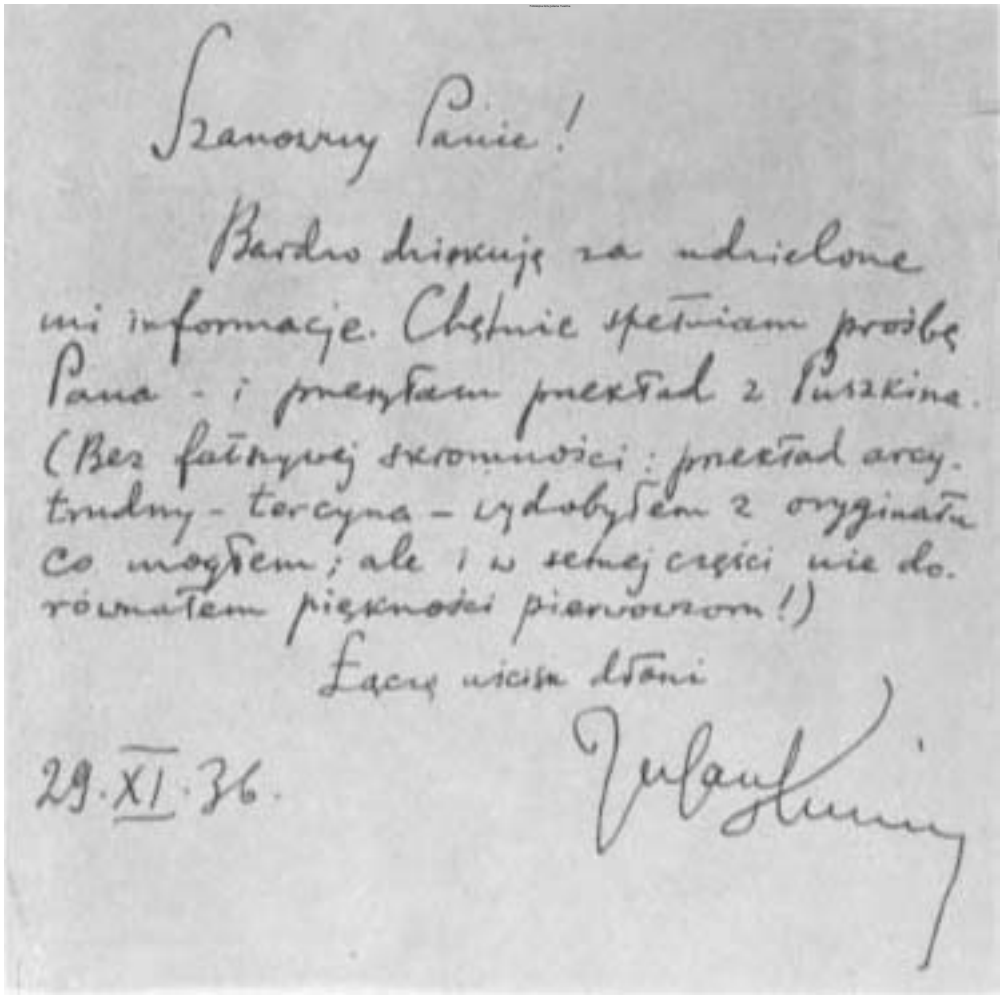
Szanowny Panie!

Bardzo dziękuję za udzielone informacje.* Chętnie spełniam prośbę Pana - i przesyłam przekład z Puszkina ** .
(Bez fałszywej skromności: przekład arcytrudny - tercyna - wydobyłem z oryginału co mogłem; ale i w setnej części nie dorównałem piękności pierwowzoru!).

Łączę uścisk dłoni
Julian Tuwim

29 XI 36

*) Adres Olgi Daukszty.
**) *W zaraniu życia* nr 4 IV roczn. “Kameny”.


Szanowny Panie!

Bardzo dziękuję za udzielone mi informacje. Chętnie spełniam prośbę Pana - i przesyłam przekład z Puszkina. (Bez fałszywej skromności: przekład arcytrudny - tercyna - wydobyłem z oryginału co mogłem; ale i w setnej części nie dorównałem piękności pierwowzoru!)

Łączę uścisk dłoni

29. XI. 36.

Tuwim

Szanowny Panie! Nie mam niestety żadnego własnego wiersza poświęconego górom, ani odpowiedniego przekładu. W *Lutni Puszkina* jest przekład pt. *Lawina*. Może się nada; proszę w takim razie przedrukować. Do Makuszyńskiego można napisać na adres PAL-u (Krakowskie Przedmieście 32), do Iwaszkiewicza - “Wiadomości Literackie”.

Ściskam dłoń i załączam serdeczne pozdrowienia.
Julian Tuwim

27 IV 39

Warszawa, 28 VIII 1940

Moi drodzy!

Korzystając z okazji przesyłam Wam tą drogą wiadomość o sobie. Jesteśmy oboje zdrowi. Po długich tarapatach dobrnęliśmy w końcu do Warszawy, zastając zbombardowane mieszkanie. Wobec tego przenieśliśmy się z powrotem do matki i mieszkamy w naszym starym mieszkaniu na Hożej. U nas - bez zmian. Matka pracuje, ja również. Napiszcie mi dokładnie, co u Was słychać, jak się czujecie, czy macie pracę i jak zdrowie Waszego syna. Przy okazji proszę Was uprzejmie o wydanie oddawcy niniejszego rzeczy które zostawiłem u Was we wrześniu. Najwięcej zależy mi na pantoflach męskich.

Przy okazji, jeżeli Wam to nie sprawia trudności, załączcie książeczki Błoka i Jesienina, bo nie mam ich w swojej bibliotece, a lektura jest obecnie jedyną radością w naszych czasach. Serdecznie wam dziękuję z góry za wszystko i przesyłam przy okazji ukłony od St.R.D. Trzymajcie się mocno. Serdecznie Was pozdrawiam i ściskam.

Jerzy Kamil Weintraub

P. S. Serdeczne pozdrowienia od żony.

Warszawa 15 września 1937

Szanowny Panie

W związku z 30-leciem śmierci Carducciego posyłam jego trzy utwory. Chciałabym dać zarazem choć jeden wiersz Leopardiego w setną rocznicę zgonu, niestety wszystkie utwory są długie bardzo, a kilka krótszych już drukowałam po różnych pismach i różnymi czasy. Gdyby Pan zechciał mi powiedzieć, jakiej długości maximum miejsce może się znaleźć dla Leopardiego w “Kamenie”, przejrzę jeszcze raz wszystkie rękopisy i może coś na tę miarę da się wybrać. Wiersz o Masaryku posyłam, rozumie się, z powodu aktualności tematu *. Towarzyszy mu inny wiersz Czernego, moim zdaniem ładny. Nie pamiętam, czy przedstawiłam Panu sonety i madrygały T. Campanelli, które przed latem przełożyłam? Jeżeli nie, prześlę je za następnym razem. Są ciekawe. Czy i coś łużyckiego mogłoby znowu pójść? Łączę wyrazy wysokiego poważania dla Sz. Pana Redaktora

Julia Wieleżyńska

*) Ze względu na śmierć Masaryka. Wiersz *zamieszczono* w nrze 1 roczn. V ,,Kameny”.

Kraków 25 V 1936

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję uprzejmie za przesłany mi numer “Kameny”, w którym z przyjemnością przeczytałem swój wiersz. Całość numeru jest naprawdę znakomita i bardzo bogata. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że “Kamena” jest może dziś najlepszym pismem literackim w Polsce. Przydałoby się tylko nieco więcej artykułów teoretycznych. W każdym razie z całego serca życzę dalszego tak pięknego rozwoju, do którego w miarę sił będę starał się przyczynić. Załączam dwa utwory.

JuliuszWit

Kraków
Kątowa 1 m. 6

Szanowny Panie!

W załączeniu przesyłam Panu parę wierszy. B. miło mi będzie, jeśli wybierze Pan coś z nich dla “Kameny”. O wyborze proszę uprzejmie mnie powiadomić. Czy nie zechciałby Pan przysłać mi ostatniego numeru “Kameny”, który się ukazał.

Proszę przyjąć wyrazy szczerego uznania dla Pańskiej pracy i nieustępliwości.

Z poważaniem
Juliusz Wit

Drohobycz, Iwana Franki 7
23 II 1939